

Polina Daszkowa

Rosyjska orchidea

Z języka rosyjskiego przełożyła

Barbara Leszczuk

Wydanie I, październik 2009

Wydawca: Videograf II Sp. z o.o.

Rozdział 1

Artiom Butejko patrzył tępo w lustro na swoją opuchniętą, bladozieloną twarz. Oczy zimne, mętne jak poranne moskiewskie kałuże, pokryte cieniutką warstwą lodu.

* Znowu będziemy witać Nowy Rok wplaw. * Młodziutka charakteryzatorka Luba zrobiła kwaśną minę i szybkimi, lekkimi ruchami zaczęła nakładać podkład na nieogolone policzki Artioma. * Słuchaj, Butejko, może ci kapnąć do oczu walerianę?

* Po co? * zdziwił się niemrawo Artiom.

* Masz jakieś takie martwe spojrzenie, a po waleriance pojawia się błysk. W dawnych czasach damy, idąc na bal czy na spotkanie, walerianą zakrapiały sobie oczy. I jeszcze ocet piły, żeby wyglądać romantycznie blado.

* Ale kształcona * warknął Artiom, przeciągając się, aż zatrzeszczało. * Nienawidzę wykształconych kobiet.

Do wejścia na wizję pozostało pięć minut. Przyszło mu do głowy, że właśnie od tego zdania powinien zacząć swój cotygodniowy dowcipny przegląd najbrudniejszych plotek.

* Dość tego paćkania * skrzywił się i brutalnie odepchnął rękę Luby, w której trzymała różową gąbkę. Bardzo się poccił i bał, że od gorącego światła reflektorów

spłynie mu makijaż.

Skończył się krótki sygnał muzyczny audycji. W powietrzu zawisła niezdolna cisza, jaka zawsze poprzedza wejście na wizję. Trwa nie więcej niż minutę, a wydaje się, że mija wieczność. Ta minuta powoduje takie napięcie psychiczne i fizyczne, że chciałoby się skoczyć na równe nogi i wybiec ze studia, póki nie jest za późno. Artiom zmusił się do skupienia, zacisnął mocno powieki i ruszał ramionami, by się rozluźnić. Już. Jego twarz pojawiła się na ekranie. Był na wizji, sam na sam z milionami widzów.

* Nienawidzę wykształconych kobiet * zaczął, wpatrując się ponuro w kamerę * nie znoszę ich. No dobrze, drodzy widzowie, potraktujmy to jako mój osobisty problem. No więc, co się u nas wydarzyło podczas męcząco długich dni rozłąki? Zaczniemy od nowinek politycznych. Znany demokrat, polityk przez duże „p”, pan Pribawkin, był widziany w jednym bardzo interesującym miejscu, a dokładnie w zamkniętym klubie o skromnej nazwie „P”, w towarzystwie jeszcze bardziej znanej gwiazdy estrady i nie to, że w towarzystwie, ale w objęciach owej gwiazdy, Katii Krasnej. Katia ułożyła się wygodnie na muskularnych udach polityka i podzieliła się z naszym korespondentem ciekawą nowiną. Otóż w najbliższym czasie Katia planuje zajść w ciążę przy pomocy demokracji Pribawkina, zbawcy Rosji, nowego mesjasza, który zapewni nam wszystkim świetlaną i radosną przyszłość. Tak więc panowie i towarzysze, nie mamy powodów do paniki. Myślę, że w następnym programie będę miał zaszczyt powiadomić państwa, że historyczny akt się dopełnił. Być może będziemy mogli poznać szczegóły tego wiekopomnego czynu.

Zamiast twarzy Butejki na ekranie pojawiła się krągła mordeczka z zadartym noskiem, piosenkarka Katia Krasna. Pokazali trzyminutowy fragment z jej ostatniego klipu.

Tekst, który Artiom Butejko wygłaszał, był oczywiście płatny. Producent Katii był nieustępliwy w targach, ceny po kryzysie bardzo spadły i minuta reklamy pośredniej, nawet w najbardziej popularnych programach, staniała aż pięciokrotnie. Artiomowi udało się wyrwać maksimum, czyli trzysta dolarów za minutę. Pięciominutowy tekst był wart półtora tysiąca, ale nikt oprócz Artioma o tym nie wiedział, i dlatego

podzielił się ze swoimi współpracownikami tak, jakby chodziło o sto pięćdziesiąt za minutę. Tego rodzaju arytmetyka działała na niego krzepiąco. Jeśli wszystko dalej pójdzie w ten sam sposób, to dość szybko i bezboleśnie uda mu się spłacić najbardziej niesympatyczne długi.

Klip się skończył. Artiom znów był w kadrze.

* Cóż, drodzy telewidzowie, otrzymaliśmy prawdziwie erotyczne, albo nie, estetyczne przeżycie, a właściwie, co się komu podoba. Nasza wspaniała Katia jest, jak zwykle, w najwyższej formie. Pozostaje nam tylko życzyć jej, by na wiele, wiele lat zachowała swoje kuszące kształty. A teraz z wysokiego poziomu przenieśmy się na poziom jeszcze wyższy. Francuska gwiazda filmowa, która przez wiele lat była światowym symbolem seksu, w chwili obecnej skierowała nurt swojej niezagospodarowanej miłości ku bezdomnym zwierzętom. Kilka dni temu przyleciała do nas, do Rosji, żeby wkroczyć w żywot biednego pieska, żyjącego na śmietniku w słynnym mieście Zasańsku, w obwodzie Rostowskim. Zapraszam na nasz specjalny reportaż.

Twarz Artioma znowu została zastąpiona nagraniem wcześniej materiałem. Na tle złośliwego komentarza młodziutkiej dziennikarki, mocno wymalowana staruszka karmiła kawałeczkami wędliny wyliniałą, bezdomną psinę. Potem dama profesjonalnie wyszczerzyła się do kamery i otuliwszy się futrem z norek, pomachała rączką, następnie odjechała z kadru dżipem, który udostępniły jej, razem z ochroną, miejscowe władze.

* Proszę mi wybaczyć * Artiom pociągnął nosem i otarł nieobecna łzę * to, co przed chwilą zobaczyliśmy, było tak wzruszające, że mimo woli się rozplakałem. Nie musimy się niepokoić o los zasańskiej psinki. A propos, gwiazda światowego kina wielkodusznie podarowała jej swoje imię. Psinka nazywa się teraz Brigitte, i ze śmietnikiem pożegnała się raz na zawsze.

Ponownie pociągnął nosem. W oczach znów miał łzy, ale tym razem wcale nie ze wzruszenia. Czuł się tak rozbity, że z trudem dociągnął do końca programu.

Po strasznym kryzysie, który wybuchł w końcu sierpnia, widzowie byli bardzo zmęczeni roztaczanymi ponurymi wizjami, debatami telewizyjnymi, w których

mówiło się wyłącznie o ważnych światowych problemach oraz o tym, że załamały się ich nadzieje.

* Wszyscy musimy się wyluzować. Wyluzować, ale tak naprawdę * przekonywał Artiom tych urzędników telewizyjnych, którzy zdołali się utrzymać na swoich stanowiskach.

Urzednicy reagowali w różny sposób, jednym podobał się jego projekt, inni sceptycznie wzruszali ramionami.

Magiczne „Wyrażam zgodę” napisał nowy zastępca dyrektora kanału półtora miesiąca temu, lecz wcale nie dlatego, że chciał pomóc telewidzom się wyluzować.

Po prostu zrozumiał, że do takiego programu bardzo łatwo wcisnąć każdą, nawet najbardziej nachalną pośrednią reklamę. Zgodnie z nieoficjalną ustną umową, od każdego płatnego tekstu Artiom Butejko był zobowiązany wypłacać wicedyrektorowi kanału trzydzieści procent. To były niekontrolowane i bardzo łatwe pieniądze. A programy Artiom robił właściwie z niczego.

Każdemu wydarzeniu umiał nadać posmak skandalu. Dowolną, nic nieznaczącą działalność znanej osobistości dziennikarz Butejko mógł skomentować w taki sposób, że widz trwał w przekonaniu, iż znanymi i bogatymi stają się tylko zręczni oszuści, aroganccy i bezczelni łajdacy, wyrafinowani rozpustnicy, wyniosłe hulaki, a on, uczciwy zwykły telewidz, porządny obywatel, pozostaje po tej stronie ekranu wyłącznie przez swoją wrodzoną przyzwoitość i brak nieodzownych znajomości.

Ale sztukę stwarzania podobnych iluzji i zarabiania na tym przyzwoitych pieniędzy posiadało wielu. Najistotniejszą sprawą było to, aby płatne teksty zawierały pikantną informację, którą znani ludzie sami chcieli z ochotą przekazać telewidzom. Artiom zdawał sobie sprawę, że chcąc osiągnąć prawdziwy sukces, potrzebne są prawdziwe skandale. Publiczność z każdym rokiem stawała się coraz bardziej wymagająca i grymaśna, intuicyjnie wyczuwała podstęp i oczekiwała czegoś, co zupełnie przekraczało wszelkie granice, czegoś zakazanego, głośnego i w żadnym wypadku nieprzeznaczonego dla jej chciwych oczu i uszu.

Dążąc do tego, by zainteresowanie programem nie spadło, żeby widz nie czuł się oszukany, trzeba było zacząć rozwadniać dozwolone brudy niedozwolonymi,

ogłaszać to, co tuzy wołałyby ukryć.

Zmęczenie Artioma, ból głowy, czerwone łzawiące oczy były skutkiem kilku bezsennych nocy, które spędził na ławeczce jednego z cichych podwórek w centrum Moskwy, trzymając przygotowaną maleńką kamerę ze światłoczułym obiektywem.

Zajmował się tym czym zwykle * polowaniem na znane osoby.

Tydzień temu, w barze TV „Ostankino”, usłyszał przypadkowo cichą rozmowę przez telefon komórkowy jednej z najbardziej znanych komentatorek politycznych kanału pierwszego, Jelizawiey Pawłownej Bielajewej. W tej

rozmowie było coś takiego * czy to intonacja, czy widoczne napięcie w zachowaniu

* co od razu przyciągnęło uwagę Artioma. Bielajewa nie zdawała sobie sprawy, że ktoś przysłuchuje się jej wymianie zdań, bo Artioma miała za plecami, poza tym siedział on w cieniu, a w barze było sporo ludzi.

* Przestań, proszę... nie, nie trzeba... Jura, posłuchaj mnie, tylko spokojnie. .. ja nie mogę, obiecałam... no, poczekaj jeszcze parę dni... * mówiła Bielajewa,

przykrywając słuchawkę dłonią * dobrze, podjadę do ciebie zaraz po audycji.

Artiom wiedział, że jej audycja kończy się o wpół do pierwszej w nocy, że jej mąż ma na imię Michaił, a braci ani kuzynów nie ma. Wobec tego zainteresowało go, do jakiego to niecierpliwego Jury czterdziestoletnia gwiazda, wzór przyzwoitości, wierna żona, matka dwojga dzieci, wybiera się o tak późnej porze.

Nie mając własnego auta, zatrzymał koło budynku telewizji nie rzucające się w oczy żiguli, którego właściciel za sto rubli zgodził się zawieźć go choćby na kraj świata.

Jazda pustymi nocnymi ulicami za wiśniową skodą Bielajewej nie sprawiła kierowcy kłopotu. Skoda dotarła do centrum, skręciła w przecznicę, a potem w podwórko.

Butejko podziękował właścicielowi auta i rozliczył się z nim.

Na podwórku było jasno od śniegu i światła latarni. Doświadczone oko Artioma od razu znalazło kryjówkę między dwoma garażami z blachy falistej, skąd świetnie było widać wszystkie bramy solidnego, zbudowanego jeszcze za Stalina, domu.

Bielajewa zaparkowała samochód i zanim zdążyła wysiąść, rzucił się ku niej masywny, o grubych łapach, szczeniak doberman pinczer. Pies radośnie ją witał, prawie tak jak jego właściciel, niewysoki, przysadzisty mężczyzna ze smyczą w ręce.

I w tym momencie Artiomomal się nie rozplakał i niewiele brakowało, a zaczęłyby walić głową w metalową ścianę garażu. Na tym pustym podwórku kobieta i mężczyzna objęli się i zaczęli całować. Artiom doskonale wiedział, że to nie jej dom, nie jej mąż, nie jej pies. Pech chciał, że akurat tym razem nie miał przy sobie ani kamery, ani aparatu fotograficznego.

A pies poczuł obcego i zaczął szczekać w stronę garaży. Artiom musiał się wycofać. Jelizawieta Bielajewa mogłaby go zauważyć, a tego nie zaplanował.

Od tej pory każdy wolny wieczór spędzał na tamtym podwórku. Parę razy widział mężczyznę ze szczeniakiem. Od gadatliwej listonoszki w starszym wieku dowiedział się za dziesiątaka, że mężczyzna nazywa się Jurij Iwanowicz Zacharow, ma czterdzieści trzy lata, od dawna jest rozwiedziony, nie wiadomo, czy ma dzieci, mieszka sam, niedawno sprawił sobie szczeniaka dobermana. A Bielajewa wciąż się nie pojawiała.

Artioma spalała zawodowa gorączka. Tylko jedno miał w głowie: aby scena namiętnych uścisków i pocałunków powtórzyła się na bis, ale tym razem na ekranie, w jego autorskim programie. Chcąc to osiągnąć, gotów był nie spać dziesięć dni pod rząd i marznąć na pustym podwórku z włączoną kamerą.

Mimo skrajnego wyczerpania i dzisiaj mógłby, zaraz po programie, pojechać na to spokojne podwórko obok metra Nowokuznieckaja, ale wiedział, że teraz już nie ma sensu. Wczoraj rano bohaterka upragnionego przezeń skandalu poleciała na tydzień do Montrealu.

W ciągu dnia w wiadomościach na wszystkich kanałach pokazano oficjalne otwarcie wielkiej międzynarodowej konferencji dotyczącej praw człowieka. Wśród członków rosyjskiej delegacji była też doktor nauk historycznych, komentator polityczny kanału pierwszego, jedna z najbardziej znanych i czarujących kobiet, Jelizawieta Pawłowna Bielajewa. Artiom mógł ze spokojnym sumieniem pojechać do domu i odespać zaległości. W ciągu najbliższych pięciu dni nie uda mu się zarejestrować skandalizującego „ekskluzywnego materiału” o tajemniczym romansie.

Sania Anisimow poprawił szalik przed lustrem w przedpokoju, przygładził włosy i nim otworzył drzwi, zajrzał w półmrok salonu, mówiąc głosem jak najbardziej

normalnym:

* Nataszka, wychodzę. * Nie oczekiwał odpowiedzi, bo już dzisiaj trzy razy się kłócili i dwa razy przepraszała.

* A ty dokąd? * Natasza, bosą i w szlafroku, jak zjawą pojawiła się w drzwiach do sypialni. Splątane jasne kosmyki włosów opadły na policzki, a rozpalone, czerwone oczy co chwilę mrugały.

Sania mimo woli zauważył, że bez przyczerwienionych rzeź jego żona przypomina białego królika. Dawniej jej blada, bezbarwna twarzyczka wydawała mu się delikatna i wzruszająca, a teraz tylko go denerwowała.

Ostatnimi czasy Natalia zrobiła się apatyczna, zasypiała na stojąco, ziewała, przykrywając usta dłonią, nawet podczas kłótni z mężem. Spała tylko w dzień, na raty. Nocą musiała czasem przez kilka godzin przesuwać tam i z powrotem dziecięce łóżeczko na kółkach, lub godzinami nosić Dimicza na rękach. Chłopczyk miał dziewięć miesięcy. W wielkich bólach i z wysoką temperaturą wyrzynały mu się ząbki. W nocy prawie wcale nie spał i ciągle płakał.

* Mam sprawy do załatwienia * burknął Sania, starając się nie patrzeć na żonę. Jeszcze raz poprawił szalik i przestąpił kilka razy z nogi na nogę jak zniecierpliwiony koń.

* Nie kłam, Sańka, jakie mogą być sprawy do załatwienia w sobotę o dziesiątej wieczorem? * Głos Nataszy drżał i już się czuło histeryczne nutki.

* Przestań. Doskonale wiesz, że mam teraz masę spraw na głowie. Muszę się spotkać z ważnym dla mnie facetem. Wrócę późno. * Starał się mówić spokojnie, ale nerwy i tak mu puściły. * W ogóle dosyć tego. Mam po uszy twoich hysterii.

Natalia rozplakała się. Jej twarz momentalnie nabrzmiała i pokryła się czerwonymi plamami.

* Całymi dniami siedzę w domu. Podwórko, sklep, przychodnia dla dzieci. Ja tak zwariuję, Sania. Ty wychodzisz, kiedy chcesz, dokąd chcesz, a ja siedzę w czterech ścianach jak zamurowana. Przecież dobrze wiem, że kogoś masz, a ja nie mogę ci się zrewanżować. Nie mam jak...

* Czemuś się uczepiła jak rzep i trujesz, i trujesz! Do wyrzygania! Nikogo nie mam,

rozumiesz, kretyńko?! * wykrzyknął jej w twarz tak nieoczekiwanie, że aż się zdziwił; do tego z ust trysnęła mu ślina i sam do siebie poczuł obrzydzenie, co go jeszcze bardziej wkurzyło. * Ty siedzisz z dzieckiem. Ja zarabiam na rodzinę. Mamy wszystko jak należy: mieszkanie, samochód, dacha, masz dwa futra, chciałaś na urodziny kolczyki ze szmaragdami * kupiłem. Zachciało ci się sukienki od Diora * kupiłem.

* No tak. Rzeczywiście! * Natalia pociągnęła nosem. * A gdzie ja pójde w tej sukience? Do lekarza z dzieckiem? Na plac? Obiecałeś mi nianię!

* Posłuchaj, dziecino, czy do ciebie dociera, że w kraju jest kryzys? Choć raz zamiast serialu oglądnij wiadomości. Skąd ci teraz wezmę pieniądze na nianię? Podziękuj, że na razie na pampersy nam wystarcza.

* Dobrze wiesz, że nie oglądam seriali, niedobrze mi się po nich robi * chlipała Natasza * nie rób ze mnie idiotki. To bardzo wygodne * mieć tępą żonę, taki przedmiot domowego użytku. Wtedy skoczyć w bok, to nie grzech.

Z sypialni doleciał głośny płacz dziecka. Natalia machnęła ręką i nieoczekiwanie odezwała się bardzo spokojnie, unosząc głowę:

* Dobrze, idź gdzie chcesz. * Gwałtownie obróciła się na pięcie, poszła do sypialni i po chwili dobiegł stamtąd zupełnie inny jej głos, głęboki, miękki, pieszczotliwy: * Obudziło się moje słoneczko, mój malutki, no, chodź na rączki do mamy, zaraz będziemy jedli...

Płacz przeszedł w radosne gulgotanie. Sania nie wytrzymał, uchylił drzwi i zobaczył, że Natalia siedzi na kanapie i karmi dziecko piersią. Dimicz głośno, zachłannie cmokał i posapywał. Natalia patrzyła na niego z łagodnym uśmiechem, z jej twarzy zniknęły czerwone plamy, światło lampy stołowej prześwitywało przez lekkie kosmyki jej splecionych włosów, a twarz znów była delikatna i prawie przezroczysta. Sania szybko wszedł do pokoju, niezręcznie, jakby przepraszająco pocałował Natalię w przedziałek i przesunął dłonią po ciepłej, jedwabistej główce Dimicza.

* Co ty, w butach po dywanie? * sennie spytała Natasza, nie podnosząc głowy, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

* Dość! Mam tego po prostu dość! * warknął Sania pod nosem i wyszedł z domu w

mokry zimowy mrok.

Na podwórku machinalnie wyjął z kieszeni klucze do auta i podrzucił je na dłoni, lecz po chwili schował je z powrotem, splunął w śnieg i zaklął. Trzy dni temu, w nowiutkim renault poleciało sprzęgło, a pieniędzy na naprawę nie ma. Ruszył w stronę przecznicy i już chciał podnieść rękę, zatrzymać taksówkę, ale natychmiast przypomniał sobie, że w portfelu zostały tylko trzy pół rublówki; dlatego tracić jedną na taksówkę byłoby głupotą. Musi jeszcze kupić papierosy i to dobre, drogie. Już od miesiąca palił raczej tanie chesterfieldy, które kupował od staruszek obok metra. Ale dzisiejszy wieczór był szczególny.

Stojąc przy drzwiach wagonu metro, usilnie próbował wymyślić, co jutro powie Nataszy, kiedy go poprosi o pieniądze na jedzenie i pampersy. Już dziś rano zdenerwował się, widząc, że w jasnoniebieskim opakowaniu zostało nie więcej niż pięć sztuk. Przedtem na takie drobiazgi nie zwracał uwagi.

Restauracja znajdowała się dokładnie naprzeciwko wyjścia z metra. Sania opuścił nisko głowę i, nie patrząc na boki, szybko przemknął w najbliższe przechodnie podwórko, a stamtąd na równoległą przecznicę. A jeśli oni już przyjechali, ale nie weszli do restauracji i siedzą w aucie lub stoją u wejścia? Nie może dopuścić, żeby zobaczyli go, wychodzącego z metra.

Powiew wilgotnego, kłującego wiatru spowodował, że Sania skulił się, czując, że wstrząsają nim dreszcze. Ciepły lekki kożuszek, kupiony całkiem niedawno za półtora tysiąca dolarów w jednym ze sklepów znanej firmy „W&L”, zupełnie nie chronił przed moskiewską zimową pogodą. Zamszowe buty firmy „Lord” wciągnęły w siebie lodowatą wilgoć i na powierzchni ukazały się białe zacieki z soli.

Podchodząc do jasno oświetlonego wejścia restauracji, na siłę wyprostował plecy i kilka razy poruszył ramionami. Dreszcze nie mijały, ale tym razem to była nerwowa trzęsionka. Sania już od dawna tak się nie denerwował.

* Czekają na pana * oznajmił wymuskany kierownik sali; poprowadzą go pewnie do osobnego gabinetu.

W lokalu hałasował zespół muzyczny. Wykonywał utwór oparty na motywie ostatniego szlagieru modnej piosenkarki, Katii Krasnej. Przed orkiestrą był parkiet w

kształcie koła, na którym wiła się i podrygiwała brzuchem pulchna dziewczyna w przezroczystych szarawarach i ze srebrnymi gwiazdami na ogromnych, jak astrachańskie arbuzy, piersiach. Goście przy stolikach jedli, pili, rozmawiali i śmiali się, choć i tak wszystko zagłuszała muzyka. Nikt nie zwracał na dziewczynę uwagi, a mimo to za jej cieniutkim srebrzystym paseczkiem w talii już było zatkniętych kilka zielonych banknotów. Nie przestając się wyginać, z rozmarzonym i lekko sennym uśmiechem na ustach, tancerka ruszyła dokładnie w stronę Sani i szefa sali.

Przystanąła w wąskim przejściu między stolikami, czekając aż podstarzałem przybyszowi z Kaukazu uda się wyciągnąć pieniądze. Na podbródku zawisła mu kropla czerwonego sosu tkemali. Facet był dobrze pijany, z trzęsących się rąk wypadł mu portfel i gruba paczka dolarów rozsypała się jak wachlarz tuż pod nogami Sani Anisimowa.

Było ich dużo, nieprzyzwoicie dużo. Setki, stare i nowe. Nie wiadomo dlaczego próbował je policzyć. Chryste Panie, jaka kupa kasy!

A jeszcze w lipcu ludzie zamożni nie nosili przy sobie tyle gotówki. Posługiwali się plastikowymi kartami. Jemu też zostały te sztywne prostokąciki nikomu już teraz do niczego niepotrzebne.

Sania nerwowo przełknął ślinę. Krew napłynęła mu do policzków, stał i kombinował, jak powinien się zachować. Czy pomóc pijanemu zebrać z podłogi pieniądze?

Przekroczyć je ostrożnie? Czy obejść bokiem, nie patrząc? A może szybko nadepnąć na te, które leżą tuż obok jego buta, tego z białymi zaciekami?

„Cholera jasna, zupełnie mi odbiło”, pomyślał i w wielkim lustrze zobaczył swoje spojrzenie, niedobre spojrzenie kogoś, kogo zagnano w kąt. Dokładnie w tej samej chwili napotkał w lustrze wesole oczy tancerki. Stała obok i poprawiała włosy.

Kierownik sali zbierał banknoty. Po chwili Sania usłyszał jego głos:

* Proszę, tędy, młody człowieku.

Sania miał wrażenie, że w jego głosie, jak i w niedbałym kiwnięciu ręką w stronę drzwi, słyhać wyraźną pogardę. I nie chodzi o to, że kierownik sali odgadł jego myśli, ale że pełzając po podłodze i zbierając pieniądze, zobaczył na Saninych butach zacieki z soli. Przyzwoici ludzie, którzy są serdecznie witani w tym przyzwoitym

lokalu, mają zawsze czyste i suche obuwie. Przyzwoici ludzie jeżdżą samochodami, a nie szlają się po roztopach.

Sania wciągnął głęboko powietrze, wstrzymał oddech, nadał policzki, potem z lekkim świstem zrobił głęboki wydech, następnie tak jak złodzieje naciągają na twarz kominiarki z otworami na oczy, tak on naciągnął na nią neutralny uśmiech i na koniec, zdecydowanym krokiem, ruszył ku ciężkim aksamitnym portierom zasłaniającym drzwi.

W przestronnym gabinecie, przy okrągłym szklanym stole, będącym jednocześnie akwariem, siedziało dwóch mężczyzn. W akwariu pływały żywe ryby. Razem z Sanią do gabinetu wpadł huk orkiestry, ale jak tylko drzwi się zamknęły, znów zrobiło się cicho. Urządzenie klimatyzacyjne miarowo mrucało, wciągając papierosowy dym. Pachniało ozonem jak po burzy.

* Nieźle wyglądasz, a nie poprawiłeś się przypadkiem? * to powiedział Wowa Muchin, tęgawy młody człowiek w zamszowej marynarce.

Wowa przepracował kilka lat w serwisie samochodowym, potem próbował założyć własny interes, ale mu się nie powiodło. Wykończyły go bandyckie najazdy, nieuczciwi nie tylko konkurenci, którzy go podle wystawiali, ale również podli kompani. Machnął więc ręką na biznesy i zatrudnił się jako masażysta w drogim kompleksie sportowym. Trzeba mieć sporo siły, żeby dobrze wygnieść boczki klientom. Dlatego zaczął się dobrze odżywiać i nieźle go rozděło. Od tej pory przy spotkaniu ze szczupłym przedstawicielem rodu męskiego oznajmiał złośliwie, że tamten się „poprawił”.

Sania kiwnął twierdząco głową, coś tam odburknął w odpowiedzi i powoli przeniósł wzrok na drugiego mężczyznę, który siedział odchylony do tyłu. Jego twarz ginęła w półmroku i Sania dostrzegł tylko zarys okrągłej wygolonej głowy, mocnej byczej szyi i lekko odstające uszy.

* Cześć * krótka jak kikut, dłoń o tłustych palcach wyciągnęła się ku niemu przez stół. Błysnęły brylanty w dwóch ogromnych pierścieniach.

Dzisiejszego ranka, zaraz po rozmowie z Wową, Sania postanowił, że powróży sobie: jeśli legendarny Klim wieczorem pierwszy wyciągnie do niego rękę, to znaczy, że

transakcja zaklepana i dalej wszystko pójdzie jak po maśle.

A Wowa zadzwonił i to absolutnie nieoczekiwanie. Nie widzieli się od sierpnia. Sania pomyślał, że przyjaciel będzie go o coś prosił i zamierzał jak najszybciej zakończyć rozmowę. Tymczasem Wowa zapraszał go do restauracji, co się nigdy dotąd nie zdarzyło. Jego głos był tajemniczy, a równocześnie nonszalancki.

* Wiesz, Klim przyjechał z Niemiec i pytał, czy nie znam jakichś rozgarniętych, zaufanych gości. Takich, którym przez kryzys nie pomieszało się we łbach. Od razu pomyślałem o tobie.

Sania nigdy dotąd nie widział Ernesta Klimowa, znakomicie prosperującego biznesmena, prawie milionera, ale słyszał o nim podczas każdego spotkania z Wową, który znał go mniej więcej od roku. Przez ten czas przy każdej okazji opowiadał o nim przeróżne fantastyczne historie. Klim był jak żywa legenda. Sam stworzył się właściwie z niczego; piętnaście lat temu pohandlował kilkoma kartonami papierosów, a obecnie jest właścicielem dużej niemiecko*rosyjskiej firmy pośredniczącej w handlu.

W ciągu piętnastu lat pomyślnego funkcjonowania w biznesie Klim przeżył pięć zamachów. I za każdym razem nawet nie został drażniony. Nigdy nie chorował, nigdy nie siedział w więzieniu, dwoma palcami potrafił zgiąć srebrną monetę na pół. Z urzędnikami na najwyższych rzą

dowych stanowiskach nie tylko w Rosji, ale i w Niemczech, był za pan brat, spotykał się, żartował. Bez problemów dawał sobie radę z najpoważniejszymi bandyckimi najezdami na jego firmy. Udało mu się zaprzyjaźnić z niemiecką i rosyjską policją podatkową, miał dobre wejścia na cle. Właściciel dwóch domów w Niemczech, willi na Cyprze, dacz na Krymie i pod Moskwą, jachtu i niewielkiej stadniny. Co roku jeździł na safari.

Jeśli Sania opowiadał Wowie o jakichś swoich handlowych kłopotach, to tamten natychmiast ripostował, że Klim znalazł się w podobnej sytuacji i bardzo łatwo problem rozwiązał. Klim mógłby Sani pomóc, bo ma dobre serce, ale problem w tym, że jest wiecznie zajęty. Właśnie teraz pojechał na Hawaje kupować niewielki hotel. Sania od dawna przebąkiwał, że fajnie byłoby móc w końcu poznać tego twardziela,

spojrzeć mu w oczy, znaleźć się tuż obok żywej legendy. Równocześnie był absolutnie pewien, że ta znajomość nigdy nie dojdzie do skutku. Z tak wszechmocnymi osobami jak Klim, nawet ze względu na długoletnią przyjaźń, nikt nikogo nie zapozna.

A jednak, w półmroku zacisznego gabinetu, siedzi oto przed Sanią legendarny rosyjski biznesmen.

Rozmowa od razu zeszła na konkretne tematy, co jeszcze bardziej mu się spodobało. Żadnych wstępów, typowo zachodnie podejście do interesu. Co prawda sens tego, co proponował Klim, jeszcze nie bardzo do niego docierał, ale składał to na karb podenerwowania, które z lekka go otumaniło.

* Dostawy trzeba wysyłać stopniowo, niedużymi partiami, teraz są kłopoty z pomieszczeniami magazynowymi, ale o tym już będą decydować moi ludzie.

Klim wyjął wykałaczkę z pojemniczka stojącego na stole. W jasnym świetle płynącym od spodu, z akwariarium, Sania zobaczył na środkowym i wskazującym palcu legendy rosyjskiego biznesu, pod prawdziwymi pierścionkami, takie same, wytatuowane. Tatuaze pierścieni w języku więziennym informują o liczbie odsiadek. „Ale Klim nigdy nie siedział”, przebiegło mu przez głowę. W tej chwili zauważył na grubym nadgarstku zegarek, szwajcarskiej firmy Longines. Ten przedmiot rozwiął chwilowy zamęt, jaki powstał w jego głowie w związku z tatuażem.

Mechanizm, złoty korpus, skórzany pasek. Sania miał niezłe rozeznanie w tak ważnych atrybutach męskiej garderoby.

Ktoś, kto nosi zwykłego roleksa nie jest tak bogaty, za jakiego chciałby uchodzić. Jeśli rolex jest złoty, to należy być pewnym, że właścicielowi dobrze się powodzi, ale zaufania do niego mieć nie można. Duże pieniądze zdobył łatwo i przypadkowo, a jutro może je stracić. A taki longines świadczy o solidności, spokojnym i stabilnym dostatku. Tak jak garnitur i krawat od Bosco di Ciliegi.

Sania przeniósł wzrok z zegarka na spinki do koszuli. Wszystko tak, jak być powinno. Brylanty, platyna. I zapalniczka ronson, też platynowa, w etui z hebanowego drewna.

* No to wypijmy jeszcze raz za powodzenie naszej beznadziejnej sprawy * Klim

podniósł kieliszek koniaku. Trzymał go prawidłowo, podgrzewając w dłoni. Sania stuknęła się najpierw z nim, potem z Wową i wypił jednym haustem. Za sukces. Natasza chodziła po pokoju z kąta w kąt, Dimicz kaprysił. Huśtała go na rękach, śpiewała kojące piosenki, ale wewnątrz czuła narastającą irytację. Ze zmęczenia kręciło się jej w głowie, bolały plecy i ramiona.

* No i gdzie on jest, gdzie jest twój kochany tatuś? * szeptała rozgniewana. * Czemu go do tej pory nie ma? Gdzie się szlaja po nocy? I jeszcze ma odwagę przebąkiwać na temat drugiego dziecka!

Natasza niedawno skończyła dwadzieścia lat. Uważała, że zbyt wcześnie została matką i przez to traci swoje najlepsze lata. Brakowało jej odświeżonej, radosnej bieżącej, nowych ludzi, męskich łakomych spojrzeń, bycia w centrum uwagi. W rzadkich wolnych chwilach nie wiedziała, czym się zająć. Próbowowała czytać, automatycznie przebiegała wzrokiem kilka stron kolejnego miłosnego romansu lub kryminału i łapała się na tym, że nie rozumie, o co chodzi. Rzucała książkę, włączała telewizor, ale i tam wszystko było nudne i bez sensu.

Zmęczona chodzeniem, usiadła na fotelu, nadal kołysząc Dimicza. Niechby Sańka właśnie tak, przez kilka godzin, kołysał dziecko. Drań, kanalia, sukinsyn! Jest teraz pewnie w knajpie z jakąś wypielegnowaną, wypacykowaną bzdziągwą albo już są w jej mieszkaniu, na kanapie. Światło zgaszone, cicho gra muzyka, na podręcznym stoliku kawa i likier. Bzdzią

gwa zrzuca pantofle i z gracją podwija długie nogi w lajkrowych rajtkach, a ręka Sanki ostrożnie ląduje na jej kolanie. Tfu, co za obrzydlistwo!

Natasza pociągnęła nosem, spojrzała na Dimicza. Chłopczyk już spał. Ułożyła go w łóżeczku. Włączyła telewizor i na ekranie pojawiła się zaspana i wymięta fizjonomia Artioma Butejki.

* O, dawno niewidziany. No i po co wpuścili cię na wizję? Komu są potrzebne twoje ohydne plotki?

Złapała się na tym, że mówi na głos do telewizora, więc natychmiast go zgasła.

Widok Butejki definitywnie zepsuł jej humor. Leniwie wstała z fotela, poczłapała do kuchni i włączyła elektryczny czajnik, chociaż wcale nie miała ochoty na herbatę.

Nagle zadzwonił telefon. Drgnęła i rzuciła się po słuchawkę z takim pośpiechem, jakby rzeczywiście czekała na ważną rozmowę. Usłyszawszy głos swojej przyjaciółki, Olgi Sitnikowej, wyraźnie posmutniała:

* Ach, to ty? Cześć.

* Położyłaś dziecko? * pytanie było konkretne.

* Tak. Dopiero, co usnął.

* Mąż w domu? * Nie.

* Dziwna z siebie kobieta * westchnęła Olga * na wszystko mu pozwalasz.

* Co znaczy * na wszystko?

* Dokładnie to, co słyszysz. Mój Andriusza też tak samo znikał wieczorami, ja milczałam, myślałam, że pracuje, haruje na utrzymanie rodziny, nie oszczędza siebie. No i sama wiesz, jak się to skończyło.

Skończyło się rzeczywiście nieciekawie. Kilka miesięcy temu Andriusza zostawił Olgę i ich dwuletnią córeczkę.

* Sania wyszedł w interesach. Ma teraz poważne problemy w związku z kryzysem * zaprotestowała bez przekonania Natasza.

* Nie, no jasne, że w interesach... Spotkałam Swietkę Bierestniewą. Wiesz, gdzie ona teraz pracuje? W „Arlekino”. Tańczy i robi striptiz, wyobrażasz sobie?

* Poważnie? Przecież ona ma krótkie nogi!

Chłodno i złośliwie obgadały figurę Swietki Bierestniewej, a potem Olga znów dosiadła swego ulubionego konika, czyli zaczęła rozpatrywać podłości, jakich dopuszczają się mężczyźni na całym świecie.

Dawniej Natasza starała się przerwać takie rozmowy i wymyślała różne preteksty: Dimicz się obudził, mleko kipi. Tym razem było jej tak smutno, czuła się taka samotna, że paplanina Olgi sprawiała jej przyjemność. W końcu to żywy głos w telefonie.

* A ty nic nie czułaś? Przecież, jak się pojawi w życiu mężczyzny inna kobieta, to chyba da się to wyczuć * spytała Olgę i zorientowała się, że po raz pierwszy zadaje to pytanie, nie kierując się współczuciem, ale autentycznym zainteresowaniem.

* Jasne, że czułam, ale sama przed sobą nie chciałam się przyznać. Czujesz się

skrzywdzona i poniżona. A w ogóle, co mogłabym zmienić? Potem, kiedy wszystko było już zupełnie jednoznaczne, przerzuciłam się w drugą skrajność * prosiłam, błagałam, histeryzowałam, poniżyłam się nawet do zastosowania szantażu, próbowałam przeciąć sobie żyły. Rezultat był jeszcze gorszy. Gdybym miała teraz zacząć wszystko od początku, to oczywiście zachowałabym się zupełnie inaczej. Udawałabym, że jest mi wszystko jedno. A najlepiej * znalazłabym sobie kogoś. Wtedy ten drań zastanowiłby się: odejść czy nie. I tobie też to radzę.

* Co?

* Mieć romans. Niech twój Sańka będzie zazdrosny. Wcześniej zacznij wracać do domu. Wiesz, oni tylko wydają się tacy mądrzy i skomplikowani, a w rzeczywistości są bardzo prości. Każdy z nich ma jeden ideał żony: bosa, w ciąży i w kuchni. No a kiedy wreszcie dojdiesz do tego stanu żony idealnej, to jesteś mu na diabła potrzebna. Już go nie interesujesz. Zaczyna się do ciebie odnosić jak do służącej, nawet gorzej. Służącej chociaż płacą i krępują się zachowywać po chamsku. To jest jednak obcy człowiek.

Natasza słuchała z obrzydzeniem, a równocześnie z jakąś masochistyczną przyjemnością. Wszystko jest tak samo, to prawda. Jaka tu, do cholery, miłość? „Cześć, staruszek! Co mamy dziś na obiad? Znowu kura? Słuchaj, skończyły mi się czyste skarpetki. Nie zapomnij mi wyprasować niebieską koszulę”.

A potem w tej wyprasowanej koszuli, gładko wygolony, przyjemnie pachnący francuską wodą kolońską, którą mu podarowałam na urodziny, wskakuje do auta i gna z zakazaną prędkością do wolnych, nie brzuchatych, nie karmiących, starannie wymalowanych. A ty, kwiatuszku, siedź w domu, pierz skarpetki, krzątaj się koło dziecka, pchaj wózek do supermarketu po stopionym śniegu, taszcz ciężkie siaty, starzej się i bądź szczęśliwa.

* No to gdzie jest teraz twój drogocenny Sania? * spytała Olga.

* Na rozmowach.

* Mądrała * śmiech Olgi zabrzmiał ochryple. * No to postępuj dalej w tym duchu.

* Co masz na myśli?

* Okłamuj siebie. Być może takie oszukiwanie jest rzeczywiście mądrzejsze i

bezpieczniejsze od prawdy.

* A jaka jest prawda?

* A taka, że żyjesz z dziwkarzem * wypaliła Olga i było słychać, że w tym momencie zapalała papierosa.

* Mój mąż wcale nie jest dziwkarzem * ponurym głosem zaprzeczyła Natasza po dłuższym milczeniu. * On nie ma żadnych bab. Po prostu bardzo dużo pracuje, a zwłaszcza teraz, kiedy skończył się kryzys.

* Nataszko, słoneczko moje, przestań, jesteś przecież dużą dziewczynką * westchnęła ze współczuciem Olga.

Natasza czuła, że płyną jej po policzkach łzy, zdawała sobie sprawę, że powinna odłożyć słuchawkę i przerwać tę obrzydliwą rozmowę. To wszystko nieprawda. Ona i Sania kochają się, mają synka Dimicza, w lecie z pewnością pojadą na Cypr. Właśnie dlatego, żeby to było możliwe, Sania znika wieczorami. Próbuje zarobić pieniądze. Znajdą świetną nianię, Dimicz podrośnie. Całe życie przed nimi.

* Oj, przepraszam cię, Dimicz się obudził, przedzwonię jutro rano. * Natasza odłożyła słuchawkę.

Dimicz spał spokojnie i mocno. Poprawiła mu kołderkę, przesunęła dłonią po ciepłym, krągłym policzku, schyliła się, delikatnie pocałowała wysokie wypukłe czółko.

* To wszystko bzdury, Dimicz * szepnęła * nasz tatuś jest najlepszy ze wszystkich. Nie będziemy więcej wysłuchiwać takich bzdur. Olgę rzucił mąż i teraz jej się wydaje, że wszyscy mężczyźni są łajdakami. A to nieprawda. Nie można żyć, jeśli nikomu nie wierzysz i nikogo nie kochasz.

Teraz, po rozmowie z Olgą, miała takie wrażenie, jakby na palcach podeszła na skraj czarnej przepaści, zajrzała w nią i odskoczyła do tyłu. Oczy jej się zamykały.

Patrzcie, już trzecia. A Sani wciąż nie ma. Teraz

już nie myślała o długonogich lafiryndach. Teraz po prostu się denerwowała.

Dawniej, jeśli Sania nie wracał na czas, zawsze mogła zadzwonić do niego na komórkę, ale ostatnio, oszczędzając, prawie z niej nie korzystał i bardzo rzadko włączał. Nie wierząc, że się połączy, mimo wszystko wystukała numer.

Na podwórku wybuchła jeszcze jedna petarda, dalekie plaśnięcie odbiło się w głowie słabym echem. Sania krzyknął przez sen, a sen miał okropny: wisi na rękach w szybie starej windy kopalnianej, wczepił się palcami w szarą siatkę, nie ma siły się utrzymać, drut wrzyna się w palce, ręce krwawią, w dole czarno, betonowa podłoga, a z góry powoli nadjeżdża winda. Ten koszmar często śnił mu się w dzieciństwie, zwłaszcza podczas choroby, gdy miał wysoką temperaturę. Ciemny ogrom kabiny nadpływał z góry, był coraz bliżej, ale na szczęście melodyjnie zadzwonił budzik. Sania rozlepił w końcu ciężkie powieki.

Z początku widział tylko plamy, jasne i ciemne. Coś się stało z jego oczami, wyteżał wzrok, jednak wszystko się rozplýwało, jakby patrzył przez brudne mętne szkło. Zamrugał, uniósł się na łokciu i spostrzegł, że leży na bardzo twardej i zimnej posadzce. Wygrzebując się z ciężkiego snu, był przekonany, że jest w swoim domu, w swoim łóżku. A tu okazało się, że spał na brudnej wykafelkowanej podłodze.

* Natasza!... * zawołał, ale nie usłyszał swojego głosu. W ustach mu tak zaschło, że trudno było odkleić język od podniebienia.

Melodyjne terkotanie nie ustawało. Sania uniósł się bardziej i wtedy dopiero dotarło do niego, że leży w jakimś nieznanym przedsionku domu. Kozuszek miał kompletnie przemoczony, a w wewnętrznej kieszeni uparcie dzwoniła komórka.

* Sania, gdzie jesteś? * usłyszał głos żony i trochę go to uspokoiło.

* Nie wiem * odparł zupełnie szczerze * poczekaj, spróbuję się zorientować.

Żeby wstać, musiał się oprzeć ręką o mokrą podłogę. Dłoń mu się poślizgnęła, odsuwając w bok jakiś zimny, metalowy przedmiot. Przedmiot przejechał po podłodze i głucho stuknął o ścianę. Sania znów osunął się na bok. Nie dość że jest prawie ślepy, to jeszcze ma zawroty głowy.

* Nataszko, niedobrze mi.

* A co? Upiłeś się? Ty wiesz, która godzina?

* Nie mam pojęcia.

* W pół do trzeciej. Bierz taksówkę i prosto do domu!

* Ale ja nie mogę wstać. Nic nie widzę.

Obok niego rozległy się huk i dudnienie. Te głosy świadczyły, że ktoś wezwał windę.

Po chwili dobiegło hałaśliwe psie szczekanie, a zaraz potem bojaźliwe skomlenie, jakby czworonóg się czegoś przestraszył. Równocześnie jakaś kobieta krzyknęła. Drzwi windy zatrzasnęły się głośno.

* O Boże! Pomóżcie! Jest tu kto? O matko, ile krwi!

* Sania, tam ktoś krzyczy * powiedziała Natasza. * Mów, co się dzieje? Pies nadal ujadł. Jego właścicielka milczała, ale słysząc było, że nie czekając, aż się otworzą automatyczne drzwi windy, razem z psem pobiegła schodami do góry

Gdzieś obok szcęknął zamek w drzwiach. Męski zdecydowany głos zapytał:

* O co chodzi?

Sania kolejny raz spróbował wstać, ale zawroty głowy nie ustąpiły. Miał spazmatycznie ściśnięte gardło. Próbował to opanować, ale bez rezultatu. Zdążył jeszcze wyłączyć telefon i zwymiotował. Po chwili film mu się urwał. Nie wiedział, czy to był sen, czy stracił przytomność. Oprzytomniał, kiedy ktoś gwałtownie podniósł go za łokcie.

* No, już, już, otwieraj oczy. Masz dokumenty?

* Przecież on jest kompletnie odjechany, naźarł się jak świnia. Tfu, cały zarzygany, obrzydzenie bierze, a trzeba go obszukać...

* Ty, popatrz, ubranie w porządku, ma komórkę.

„Złodzieje... * przeleciało Sani przez obolały mózg * sądząc po głosach, jest ich co najmniej trzech... Dokąd mnie ciągną?"

Zmusił się do otwarcia oczu. Prawie odzyskał wzrok. Najpierw zobaczył przed sobą szary milicyjny mundur, a potem młodą, gładką twarz.

* Już, towarzyszu kapitanie, on już jest przytomny, otwarł oczy. Sania tępo rozglądał się dokoła. Brama obca, ale jakby znajoma. Nagle uświadomił sobie, że kiedyś tu bywał.

* Ja znam tego człowieka * koło jego ucha rozległ się cichy głos starszej kobiety * to jest Anisimow Aleksander Jakowlewicz, urodzony w siedemdziesiątym roku.

Dwukrotnie groził mojemu synowi, raz przez telefon, a raz u nas, w domu.

Sania odwrócił się i natychmiast poznał kobietę. Na nocną koszulę miała narzucony

stary szlafrok frotte. Rzadkie siwe włosy były zaplecione w dwa cienkie warkoczyki.

* Dobry wieczór pani Jeleno * dramatycznie powiedział Sania, widząc, jaką ma dziwną twarz. Nawet nie bladą, ale prawie siną.

* Morderca * wyszeptała kobieta w odpowiedzi, ledwo poruszając wargami * i to przez pieniądze, przez parszywe dolary... niech cię piekło pochłonie * zachwiała się, jej gałki oczne wywróciły się białkami do góry, a z ust doleciał krótki charkot. Ktoś ją podtrzymał, ukazała się postać w zielonym kombinezonie z wielkim czerwonym napisem „Pogotowie Ratunkowe”.

* Pani Jeleno, proszę zaczekać, co się stało? * Sania nerwowo przełykał ślinę, strasznie się bał, że znów zwymiotuje.

Milicjanci wyciągnęli go na ulicę. Tam przystanęli pod jasno świecącą lampą. Dwóch sanitariuszy wyniosło z bramy nosze.

* Znasz tego człowieka? * spytał szybko milicjant, wskazując na trupa.

* Nie * wyszeptał Sania i odwrócił się. Nie mógł patrzeć na martwą twarz. Na dużą okrągłą dziurkę z czarną otoczką prochu na jego skroni.

* Patrz! * rozkazał mu milicjant. * To twoja robota. Znasz go? No?!

* To jest Butejko Artiom * wydukał, prawie sylabizując Sania.

* Bravo * pochwalił go milicjant * a ten przedmiot znasz?

W plastikowym woreczku leżała broń. Sania nie mógł jej nie poznać. To był jego nowiutki sześciostrzałowy pistolet marki Walther, kupiony przypadkowo od jakiegoś nieznajomego, tego lata. Wiadomo, że Sania nie miał żadnej licencji, a mimo to zamówił wygrawerowanie na rękojeści swoich inicjałów „A.A.J.”.

Rozdział 2

Ulica Świętej Katarzyny przecina cały ogromny Montreal, przechodzi przezeń na wylot, ciągnie się przez centrum, bogate i biedne dzielnice. Biorąc pod uwagę absolutny brak talentów topograficznych, Jelizawieta Pawłowna Bielajewa postanowiła przejść się tą ulicą, w żadnym wypadku nie skręcając w jakąkolwiek przecnicę. Będzie miała wtedy większe szansę, że nie zabłądzi.

Czasu nie było zbyt wiele. O wpół do dziewiątej musiała wrócić do hotelu i przebrać się na bankiet. Następne pięć dni konferencji. Od wczesnego rana do wieczora przepełnione będą zebraniem, spotkaniami, dyskusjami. Jedynie dzisiaj, zgodnie z oficjalnym programem, druga połowa dnia jest przeznaczona na „wycieczki i odpoczynek”.

Jelizawieta postarała się jak najszybciej przejść przez hotelowe foyer, ponieważ bała się, że wpadnie na kogoś znajomego, zagada się i straci drogocenny czas. Tak długo czekała na tych kilka wolnych godzin w samotności, że nawet czuła pewne podenerwowanie, tak jak przed jakimś ważnym spotkaniem.

Przechodząc przez parking, zobaczyła w jednej z szyb samochodu odbicie znajomej twarzy. Przedstawiciel MSZ, Anatolij Krasawczenko, zapalał papierosa, chroniąc ogień przed wiatrem i chyba jej nie zauważył.

Już w młodości wypracowała sobie zwyczaj bardzo szybkiego marszu, nawet kiedy nie było ku temu żadnego powodu. I tym razem zorientowała się, że zamiast kroczyć spokojnym spacerowym krokiem, gna przed siebie, jakby pędziła do pracy. Niedaleko hotelu wznosił się, piękny jak widokówka, kościół Świętej Katarzyny zbudowany na początku XX wieku w stylu pretendującym do wczesnego gotyku. Wieże świątyni widać było z jej hotelowego pokoju i już rano, podnosząc żaluzje, pomyślała, że musi koniecznie tam zajść.

Z kościoła dobiegały dostojne organowe dźwięki fugi Bacha. Liza uchyliła miedziane drzwi i przy okazji zauważyła, że zielonkawy odcień szlachetnej patyny na miedzi jest naniesiony sztucznie.

W środku było pusto, fuga sączyła się z rozwieszonych głośników, i jedynie niemłody, garbaty mężczyzna w ciemnej kraciatej koszuli, starannie odkurzał czerwony chodnik między rzędami ławek. Liza stała kilka minut, oglądając freski, szklaną mozaikę na suficie ze sprytnym tęczowym podświetleniem. Wąż odkurzacza podpełzł ku jej nogom. Okrągłe, wyblakłe oko garbusa ze złością przemknęło po jej twarzy. Liza cicho wyszła.

Przez tych kilka minut, kiedy była w kościele, niebo zaciągnęło się chmurami, zerwał się wiatr, który niósł ze sobą drobny suchy śnieg. Liza poprawiła szalik i ruszyła

wolno przed siebie. Oglądane przez śnieżne drobinki miasto wyglądało bardziej delikatnie i tajemniczo.

Spojrzała na zegarek i obliczyła, że zostało jej jeszcze tylko dwie i pół godziny do końca przechadzki, więc skręciła w drzwi wielkiego handlowego centrum. Chciała kupić sobie kilka bluzek do kostiumu.

* W czym mogę pomóc? * ocknęła się młodziutka ekspedientka znudzona czekaniem obok przymierzalni.

* Dziękuję, sama sobie poradzę.

* Szuka pani czegoś konkretnego? * Dziewczyna już weszła w rolę przewidzianą instrukcją obsługi klienta i wcale nie zamierzała się poddać.

* Właściwie nie, nic konkretnego * bąknęła Liza, przechodząc od bluzek do spodni * na razie nie mam pomysłu.

* Proszę spojrzeć na ten model. Ma pani niebieskie oczy i fioletowy odcień świetnie współgra. Powstaje niezwykły efekt * oczy wyglądają jak fiołki. Proszę się odwrócić do lustra * ekspedientka zgrabnym ruchem przyłożyła do Lizy coś pluszowego, kusego, ciasno opinającego w talii, z kołnierzykiem „psie uszy” * a jeśli do tego dobrać ciemnofioletowe elastyczne spodnie, na dole rozkloszowane, to będzie wyglądało znakomicie.

* Znakomicie * przytaknęła Liza * ale nie dla kogoś w moim wieku. Jakies piętnaście lat temu, to na pewno zgodziłabym się to nosić.

* Ależ, co pani mówi, pani ma się martwić o wiek? * dziewczyna figlarnie przymrużyła oczy. * Do tego kompletu jest jeszcze zamszowa kamizelka i jeśli pani weźmie te trzy rzeczy, to dajemy sporą zniżkę.

Liza prawie się poddała, nawet weszła do przymierzalni, zasunęła kotarę i zaczęła mierzyć komplet. Z lustra spoglądała na nią nieznajoma młoda kobieta o błyszczących fiołkowych oczach, zachwycająco ładniutka i głupawa. Jasnopozielate włosy były w lekkim nieładzie, policzki się zarumieniły, a usta same rozciągnęły w durnowatym uśmiechu.

Wyobraziła sobie twarze kolegów, kiedy zjawi się w „Ostankino” w takim ewidentnie dziewczęcym „przebraniu” i zaczęła się śmiać. Wypracowany przez lata image

poważnej, surowej, nieprzystępnej intelektualistki, miłej, czarującej, lecz właściwie bepcłciowej istoty rozleciałby się w ciągu kilku dni. Pogłoski, plotki, dwuznaczne aluzje będą latać jak pociski w czasie ostrzału artyleryjskiego.

Dwa razy w tygodniu Jelizawieta Pawłowna Bielajewa referowała milionom widzów polityczne nowości, głównie niepokojące i mało radosne, ale jej proste, jasne i lekko ironiczne komentarze dawały nadzieję i poczucie spokoju. Po takim programie widz nie miał wrażenia, że żyje w gównie, a jutro będzie koniec świata.

Od samego początku pracy w telewizji udało jej się nie ulec pokusie szybkiego i szablownego sukcesu. Pięć lat temu, przed pierwszym wejściem na wizję w charakterze prowadzącej „Wiadomości”, odmówiła standardowego makijażu, oświadczając, że nie życzy sobie występować jako kolejna „bużka”. To było tak niekobiece zachowanie, że nikt nie rozumiał, o co jej chodzi. Nikt, poza widzami. Od tej pory nigdy nie pokazała się na ekranie jako wymuskana foto*modelka, którą kojarzy się z określonym typem obrazów: futra z norek, mercedesy, masaże, siłownia, urlop na Wyspach Kanaryjskich. Nadal była kobietą z tłumu, mądrą, spokojną, kimś, kto budzi zaufanie, rozmawiając z milionami widzów. I za to ją kochano.

* Genialnie! Spodnie leżą idealnie! * terkotała ekspedientka, a z pomocą pospieszyły jej dwie koleżanki z sąsiedniego działu. * Madame, proszę uwierzyć, że ten komplet jest po prostu stworzony dla pani. Teraz trzeba tylko dobrać pantofle na platformie, torebkę i szal.

Wszystkie wymienione rzeczy momentalnie się znalazły.

Liza pokornie wsunęła nogę w fioletowe zamszowe trzewiki na koturnie, ale zmitygowała się, wpadła do przymierzalni, ściągnęła z siebie liliowofioletowe wspaniałości i wróciła do poprzedniego surowego damskiego wyglądu * gładki szary pulower, szare luźne spodnie, czarny szal, czarny francuski płaszcz.

Bystre sprzedawczynie natychmiast zaproponowały jej klasyczny ciemnogrnatowy kostium, suknię wieczorową, trzyczęściowe jedwabne spodnie oraz pół tuzina bluzek i sweterków.

Psychologiczny atak ustał dopiero wtedy, gdy do sklepu wtoczyła się nowa

potencjalna ofiara, dama lat pięćdziesięciu w futrze z norek sięgającym jej do pięt. Liza wywinęła się z pustymi rękami, w myślach pochwaliła siebie za to, że nie uległa pokusie wydania kupy pieniędzy na rzeczy, które właściwie nie były jej potrzebne, a na dodatek wcale jej się nie podobały.

W antykwariacie wybrała dla męża malutką, mechaniczną szkatułkę*pozytywkę. Z kolorowego, drewnianego pudełeczka płynęła melodia walca Straussa. W dziale zabawek kupiła kolekcjonerskiego angielskiego misia dla córki i „straszydło”, gumowy byczy pęcherz z pływającymi wewnątrz czaszkami i kośćmi dla syna (szesnastoletni Witia, jak zawsze, najkonkretniej z wszystkich wytłumaczył, co chce). Pozostała jej tylko godzina. Wyszła na ulicę, ale niestety nie na tę, która nosi nazwę Świętej Katarzyny. Zaczęło się ściemniać.

Przez kilka minut Liza nie mogła znaleźć na mapie, gdzie jest; pytała przechodniów. W końcu chyba zrozumiała, jak ma się dostać do hotelu, ale w rzeczywistości poszła w odwrotnym kierunku.

Różnokolorowe oświetlenia witryn sklepowych i reklam zmieniły się na trupio blade oślepiające światła latarni.

* Lady, ja dziś biorę bardzo tanio * smętnie zaproponował, zastępując jej drogę, wyróżzony młodzian, nie pierwszej młodości, w rajtuzach w kolorowe kostki i fioletowej skórzanej kurteczce do pasa.

Mdły zapach tanich perfum i wschodnich woni uderzył w jej nozdrza z taką siłą, że oczy zaczęły łzawić. Nie miała kogo spytać o drogę, nie zauważyła ani jednej tabliczki z nazwą ulicy. Odwróciła się i prawie biegiem ruszyła z powrotem.

* Jeśli pani woli dziewczyny... * czarnoskóra tłuściocha z rozjaśnionymi do cytrynowej żółci włosami, złapała ją za rękaw.

Liza wyrwała się i pobiegła, nie patrząc dokąd, byle przed siebie, ale straszna dzielnica nie miała końca. Zza rogu wyskoczyli dwaj ogoleni na łyso młodzi ludzie w wojskowych płaszczach i zagrodzili jej drogę. Pod rozchylonymi płaszczami były nagie ciała.

* Specjalna zniżka, tylko dla pani, pięćdziesiąt za nas dwóch, za dwie godziny, a siedemdziesiąt za noc! Lady, noc z nami tylko za siedemdziesiąt dolarów! Będzie

pani zadowolona! * zareklamowali się chórem, ukazując w uśmiechu szczerbate użębienie.

Liza odskoczyła od nich i zobaczyła prześwit między dwoma domami, a za nim ciemny zaułek, ale nie zaryzykowała, żeby tam pobiec. W panice zaczęła się kręcić w kółko, nie mogąc zdecydować, czy sensowniej uciekać do przodu, czy do tyłu.

Pobiegła do przodu i nagle usłyszała swój własny, zdławiony krzyk. Ktoś chwycił ją za ramiona.

* Jelizawieto Pawłowna, co się stało? Proszę się uspokoić!

Nie od razu do niej dotarło, że mężczyzna mówi do niej po rosyjsku, zwraca się po imieniu i otczestwu.

* Przedziwna sprawa, jakim cudem udało się pani wybrać ze wszystkich dzielnic Montrealu tę jedną, jedyną, niebezpieczną i najbardziej obrzydliwą?

Przed Lizą stał Krasawczenko, pracownik MSZ*u, siwy dyplomata ostrzyżony starannie najeża. Miał łagodny uśmiech i rozumne oczy.

* Zabłądziłam... * mruknęła, wczepiona w jego rękę.

* No już, już. Wyszliśmy z tej dzielnicy. Niech się pani tak nie denerwuje. A co, nie ma pani mapy?

* Mam, ale od dzieciństwa jestem na bakier z topografią, a prócz tego wszystkie tabliczki z nazwami ulic są urwane. Chyba już jesteśmy spóźnieni na bankiet. Pan wie, jak dojść do naszego hotelu?

* Znam na pamięć to miasto, pracowałem pięć lat w ambasadzie. Hotel jest całkiem blisko, jakieś dziesięć minut piechotą, więc jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, możemy jeszcze wstąpić na kawę. Powinna pani odpocząć, o, tu jest bardzo dobra francuska cukiernia.

Tuż za porno*dzielnicą zaczęły się bogate, eleganckie zabudowania, gdzie toczyło się normalne miejskie życie.

* Miejsce, gdzie się pani znalazła, to coś w rodzaju rezerwatu dla narkomanów, taniego porno i tego typu wspaniałości * objaśniał Krasawczenko * jakim cudem pani tam dotarła?

„A pan?“, przeleciało Lizie przez głowę, ale nie zapytała.

We francuskiej cukierence nie było żywej duszy. Różowy kolor na ścianach, niskie szklane stoliki, miękkie kwieciste kanapy i fotele. W środku * mała fontanna bijąca tęczowymi strużkami z ogromnej porcelanowej pomarańczy.

* Zaraz minie szok i zacznie pani energicznie myśleć, jak ratować te wszystkie upadłe istoty. Ze społecznych wyrzutków przemienia się dla pani w niewinne ofiary socjalnych niesprawiedliwości. * Krasawczenko ze śmiechem dotknął jej ręki. * Tu są wspaniałe ciastka. Lubi pani słodczy?

* Nie będę się zastanawiać, jak ich uratować, a słodkiego nie lubię * mruknęła ze złością Liza.

* Ale sałatki owocowej i filiżanki kawy cappuccino przecież pani nie odmówi? Pomógł zdjąć Lizie płaszcz, a przy okazji lekko i bez ogródek musnął palcami jej szyję, niby to poprawiając niesforne włosy na karku.

„A to coś nowego * zdziwiła się kobieta * skąd taka poufałość. Dlaczego?”

Palce miał lodowate. Oczy również. A kiedy rzeczywiście szok minął, zauważyła, że wcale nie jest taki miły i dobry. No i jak mu się udało znaleźć we właściwym miejscu i o właściwej porze? Wybrał się skorzystać z usług tanich prostytutek? Albo chciał odlecieć po marihuanie? Przecież nie mógł zablądzić, sam powiedział, że bardzo dobrze zna miasto. A więc ją śledził? Nie, przecież to bez sensu...

Liza rozsiadła się wygodnie na miękkiej kanapce, niewiele brakowało, a zrzuciłaby buty i usiadła na podwiniętych nogach. Krasawczenko usadowił się w fotelu naprzeciw.

* Zobaczyłem panią w centrum handlowym, w dziale zabawek. Chciałem podejść, ale mam zasadę: nie wolno przeszkadzać kobiecie, kiedy robi zakupy. A później ruszyła pani tak szybko, że prawie biegła.

„Szłam powoli. I długo stałam, studiując mapę. Pytałam przechodniów. ..”, pomyślała Liza.

* Już dawno chciałem panią bliżej poznać, ale nie było dotąd formalnych przyczyn. Owocową sałatkę zdobiła wymyślna różyczka z bitej śmietany. Kawa miała lekki smak wanilii. Krasawczenko dziobnął łyżeczką swoje ciastko, wielopiętrową konstrukcję z galaretki i pianek, ale nie zabrał się do jedzenia, tylko

wypił jednym haustem wodę mineralną i zapalił papierosa. Lizie przyszło do głowy, że on też nie lubi słodkiego i z przyjemnością delektowała się swoją sałatką.

Jadła wolno, piła kawę, a on przyglądał się jej uważnie, nie odrywając wzroku. Tak, ona już zauważyła, że chce ją poznać bliżej, tylko nie mogła zrozumieć po co? To nie było miłe, że odgrywa przed nią spektakl. Przeżyła już trochę lat, żeby mylić się w takich sprawach. Doskonale wiedziała, jak patrzy mężczyzna, który jest naprawdę zakochany.

* Znajdować formalne i nieformalne powody dla bliższej znajomości, to elementarz pańskiej profesji. * Liza skończyła sałatkę, zapaliła papierosa i uśmiechnęła się. * Po to jest pan dyplomatą, żeby z łatwością nawiązać kontakt nawet z tym, kto wcale nie ma na to ochoty.

* I wcale tego nie ukrywa * dodał, uśmiechając się dwuznacznie, i momentalnie jego twarz przybrała liryczno*poważny wyraz. Przeniósł wzrok z jej ust na szyję, przelatykając ślinę.* Bardzo pani do twarzy z taką fryzurą * wyciągnął ku niej rękę, ale zaraz ją cofnął i nawet troszkę się zaczerwienił.

„Oto, od kogo trzeba się uczyć panowania nad sobą * pomyślała Liza, obserwując wyrazistą mimikę dyplomaty * gdybym była o piętnaście lat młodsza, to bym uwierzyła”.

* Nie smakuje panu ciastko? Pan wcale nie je.

* Cały czas patrzę na panią. Próbuję zrozumieć, na czym polega pani sekret. I chyba już to rozgryzłem. Nie chodzi o to, że jest pani piękna, mądra, skuteczna, chociaż i to jest ważne. Pani promieniuje zdrową energią. Światłem i ciepłem. To jest tak, że jedni konsumują energię rozmówcy, a inni na odwrót, hojnie oddają ją każdemu. I pani potrafi przekazać tę siłę innym. Nikt pani tego nie mówił?

„No, chłopie, teraz to już przegiąłeś * pomyślała, uśmiechając się w duchu * idziesz na całego. Ciekawe, czego tak, naprawdę ode mnie chcesz?”

* Dzięki. Mnie rzadko mówią komplementy.

* To nie komplement. Raczej ostrzeżenie.

* Ostrzeżenie?

* Oddając energię, pani ją traci. Musi ją pani jakoś odnawiać, uzupełniać. Jest wiele

różnych sposobów. Muzyka, świeże powietrze, sport, seks.

„Dureń, a do tego trywialny”, skwitowała w myślach Liza.

* A co do życia osobistego, sportu, muzyki i innych zainteresowań * ciągnął dalej Krasawczenko * mój dobry znajomy, korespondent holenderskiej gazety „Volksgarden”, prosił mnie, żebym porozmawiał z panią o możliwości udzielenia mu wywiadu. To jest starszy pan, bardzo inteligentny. Nazywa się David Bart. Zajmie pani nie więcej niż trzydzieści minut.

* To ciekawe * Liza na siłę starała się być uprzejmą * a czy on nie może po prostu podejść do mnie w foyer, w czasie przerwy? Ja wtedy nic innego nie robię, poza udzielaniem wywiadów.

* Pani odpowiada na pytania dotyczące konferencji, a on chce porozmawiać o czymś innym. Jego interesuje pani jako osobowość, jako kobieta, jeśli pani chce...

* A jeśli nie chcę?

Ten dwuznaczny ton rozmowy zaczął naprawdę denerwować Lizę.

* Oj, przepraszam. Być może źle się wyraziłem. Chociaż nie widzę w tym nic obraźliwego. W każdym razie mój Holender chciałby przeprowadzić spokojną, miłą i szczerą rozmowę. Poza tym on nie ma akredytacji, a sama pani wie, jak ochroniarze teraz szaleją przez Serbów i Arabów.

* Nie odpowiadam na pytania dotyczące mojego życia osobistego * zauważyła szybko Liza.

* O, ma pani teraz całkiem inny wyraz twarzy * Krasawczenko westchnął ciężko * jeszcze przed chwilą promieniowała pani ciepłem, światłem, a teraz: brr... jak zimno, lód w oczach, lód w głosie. Czy ktoś z braci dziennikarskiej panią skrzywdził?

* Proszę pana, czego pan właściwie ode mnie chce? * Liza uśmiechnęła się miło i konfidencko. Chciała się wreszcie dowiedzieć: czego naprawdę chce od niej ten dyplomata ze sztucznym wyrazem twarzy? Liza wcale nie bała się udzielania wywiadów. Jeden dziennikarz więcej, jeden mniej * nie ma znaczenia.

* Czy mogę się poczęstować papierosem? Staram się rzucić palenie, moje się skończyły, no i teraz sępię * nadal się uśmiechał, ale w jego spojrzeniu widać było napięcie.

„Tak, bratku, jeszcze nie wiadomo, kto kogo maca w tej rozmowie * pomyślała Liza * teraz dam ci szansę łagodnie wyplątać się z niewygodnego tematu. Zobaczymy, czy będziesz miał ochotę do niego powrócić?”

* Proszę * podała mu paczkę * ale w ten sposób nigdy nie uda się panu rzucić. W niedługim czasie będzie panu niezręcznie sępić i zacznie pan znowu kupować.

* Czemu pani tak sądzi?

* Bo sama to przerabiałam. Można rzucić palenie tylko wtedy, kiedy jest się przekonany o tym, że to jest dla własnego organizmu bardziej szkodliwe, niż odżywianie się tłustym mięsem, makaronem z keczupem, hamburgerami, parówkami, zapijanie tego wszystkiego piwem, czy coca*colą, a do tego oddychanie samochodowymi spalinami.

* A, to teraz wszystko jasne. Pani dlatego tak wspaniale wygląda, że nie jada tych wszystkich rzeczy, które przed chwilą wymieniła?

* Dokładnie tak * skinęła głową * ale palę i wdycham spaliny.

* Szkoda, że nie ma teraz z nami Davida Barta z dyktafonem. Będzie dzwonić do mnie jutro rano, a ja nadal nie wiem, co mam mu odpowiedzieć.

* Nie odpowiedział mi pan, po co właśnie panu jest to potrzebne? * przypomniała Liza. * To pana bliski przyjaciel? Obiecał panu coś w zamian?

* No tak, o pani bezwzględności słyszałem również sporo * burknął Krasawczenko. * Nie, David Bart nie jest moim przyjacielem i niczego w zamian od niego nie oczekuję. Obiecałem mu, że panią namówię. Trudno, zachowałem się nierozważnie. Nie myślałem, że dla pani to takie ważne.

* Tak, dla mnie to jest ważne. * Liza wstała. * Sądzę, że pora iść do hotelu.

* Szkoda. Wielka szkoda. Ale jak nie, to nie. Ma pani prawo odmówić. Pomagając jej założyć płaszcz, przypadkowo dotknął policzkiem jej włosów.

* Muszę mieć zrobioną analizę krwi! Czymś mnie nafaszerowali! Ja nie zabiłem, wrobili mnie! Muszę zadzwonić do żony! * Podczas jazdy suką Sania uporczywie, jak wariat na mitingu, wykrzykiwał wciąż te same zdania, ale w odpowiedzi słyszał jedynie: „Zamknij się, przestań się drzeć!”.

Potem ledwie dosłyszalnym szeptem powtarzał rozpaczliwie jak mantrę, że zgodnie z prawem należy mu się adwokat, sam strzelać nie umie, a nawet, jakby umiał, to był nieprzytomny i w ogóle nie ma pojęcia, jakim cudem znalazł się w sieni tego budynku. Nawet nie pamięta dokładnego adresu zabitego, a notesu przy sobie nie ma, no i dlaczego miałby późną nocą pójść akurat tam, a nie do swojego domu?

Najgorsze było to, że naprawdę kompletnie niczego nie mógł sobie przypomnieć. Cały poprzedni dzień utonął w jakiejś męczącej magmie. Jeśli poranek jako tako można było odtworzyć, dzieląc na poszczególne fragmenty, to wieczór zupełnie nie istniał. Udało mu się przypomnieć, że rano rozmawiał przez telefon z Wową Muchinem, przy czym sama rozmowa była dziwna, zaskakująca, ważna i tak jakby miała jakiś związek z wieczorem tego dnia, ale o czym konkretnie rozmawiali * nie pamiętał i chyba nie miała żadnego związku z tym, co się później działo. Sania starał się po kolei prześledzić cały dzień, godzina po godzinie, ale nic z tego nie wychodziło. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, wpadł w panikę i oblał go lepki pot. Wiedział, że koniecznie musi sobie wszystko przypomnieć i z tego powodu miał jeszcze większy mętlik w głowie.

Milicjanci przywieźli go do dzielnicowego komisariatu. W „telewizorze”, jak nazywano zakratowane pomieszczenie dla interesantów, jego sąsiadami były naćpane świrujące podrostki, para nieszkodliwych bezdomnych i jakiś zupełnie pomyłony niemłody psychol, zatrzymany za zgwałcenie dziesięcioletniej dziewczynki.

Sania wbił się w kąt. Widział, jak we włosach bezdomnych spacerują wszy, widział okropne, mętne oczy gwałciciela, słyszał niekończące się przekleństwa podrostków i nie był w stanie się skupić i zorientować się, co tak naprawdę się stało. Wyobrażał sobie Nataszę, która miota się teraz po mieszkaniu, i serce mu się kroilo. Na pewno obdzwania teraz wszystkie szpitale. Dyktują jej numery telefonów do kolejnych punktów informacji, ona nie nadaża zapisywać, ręce jej się trzęsą, wzrok przesłaniają łzy. Dobrze, jeśli Dimicz śpi.

Czas mijał. Na Sanie nikt nie zwracał uwagi, a on wiedział, że z każdą minutą maleją jego szanse, by się z tego wszystkiego wyplątać. W pamięci miał czarną dziurę.

Ostatnie, co zapamiętał z początku wczorajszego wieczoru, to widok banknotów dolarowych, rozsypanych na podłodze. Ale gdzie je widział, czyje były te pieniądze, kto był z nim wtedy? Tego już nie mógł sobie przypomnieć.

Do poczekalni wparował tłum najtańszych pigalakówek. Przemarznięte, z rozmazanym makijażem na twarzach, głośno rechotały, flirtowały z milicjantami, zachowywały się tak, jakby komisariat był ich domem, a zatrzymanie * szczęśliwą okazją, by się ogrzać i wypocząć.

* Coś tak posmutniał, mój piękny? * ognistoruda, rumiana tłuścioszka w zielonych, skórzanych szortach i dziurawych czarnych rajtkach puściła oko do Sani.

A on przypominał sobie, jak dawniej, przejeżdżając późnym wieczorem przez Twerską lub Sadowoje Koko, spoglądał z okna swojego samochodu, z pełną obrzydzenia litością, na te dygocące żalosalne kukły i podziwiał ich żołnierską wytrwałość. Prawie gołe sterczały na zimnie, wietrze, śniegu, deszczu i miło było na tym żalosalnym tle znajdować się we wnętrzu ciepłego auta, czuć się czystym i niezależnym.

Tym razem te kurwy są sto razy szczęśliwsze od niego. One stąd wyjdą, w najgorszym wypadku dostaną mandaty. Nie muszą się przyzwyczajać do tego miejsca, a on wpadł na długo i na poważnie.

„Nie wykręcę się * pomyślał ze smutkiem * pistolet mój. Są na nim moje odciski palców. Spałem na miejscu przestępstwa, obok trupa. Taka sprawa to zwykła bytowucha"*.

bytowucha (ros.) * od słowa „byt”; przestępstwo popełnione z powodów pospolitych.

Rozdział 3

Bytowucha, nasza kochana * westchnął Ilia Nikitycz Borodin, starszy śledczy okręgowego wydziału zabójstw, otwierając teczkę ze świeżą sprawą.

Był zmartwiony, a nawet obrażony, że w tym przypadku nie ma żadnych niejasności. W odróżnieniu od większości swoich kolegów, lubił zagmatwane historie. Ale jeśli od czasu do czasu trafiały się w jego karierze sprawy, których nie dało się szybko

rozwikłać, to i tak było wiadomo, że wszystko sprowadza się do stałych, trywialnych motywów: pieniądze, mieszkanie, konkurencja w biznesie.

Jeśli chodzi o nierozwikłane do tej pory głośne skandale, to Ilija Borodin nie pracował przy nich, ale wiedział, że nie zawierają w sobie nic tajemniczego. Jest tylko zamieszanych więcej osób, pojawia się więcej zer w rubrykach i chodzi o większy biznes, a tak naprawdę * to dokładnie takie samo chłodne, beznamienne wyrachowanie, trywialność. Natomiast sprawy utknęły nie dlatego, że były błyskotliwie i sprytnie zaplanowane, lecz dlatego, że wcale nie chciano ich rozwiązać z tych samych wyrachowanych powodów, a to już samo przez się było przestępstwem, nikczemnością. Brudny krąg się zamykał.

Codzienna rutyna, góry papierów, nudne przesłuchania * to wszystko nie miało absolutnie nic wspólnego z romantyczną wizją zawodu śledczego, jaką Borodin stworzył sobie jeszcze w młodości. Rozumiał dobrze, że wciąż żyją w nim naiwne, młodzieńcze iluzje, ale nie chciał się z nimi rozstawać.

Kiedy przyjął sprawę dotyczącą umyślnego zabójstwa dziennikarza Artioma Butejki, to wreszcie serce śledczego zabiło mocniej. Dziennikarz telewizyjny. Znana postać. Kogo to słynny Butejko nie oblewał gównem?

Być może w pracy dziennikarskiej dokopał się do jakichś poważnych materiałów kompromitujących albo się komuś strasznie naraził nieokiełznanym językiem? Albo wreszcie komuś tak założyły za skórę wszystkie świństwa, dzięki którym Butejko zbudował swoją karierę, że postanowił się zemścić. Niechby bezprawnie, ale w zbożnym celu. Być może to zabójstwo było czymś w rodzaju pojedynku, jak w dawnych, dobrych czasach, kiedy to krwią zmywało się obrazę honoru.

Emocje sprawiły, że na policzkach śledczego ukazały się rumieńce, wytarł czoło kraciastą wykrochmaloną chusteczką i przy okazji zarejestrował drwiące spojrzenie dyżurnego, który przekazywał mu akta sprawy.

* Podejrzany został zatrzymany na miejscu przestępstwa, właściwie na gorącym uczynku. Ofiara winna była swojemu „przyjacielowi” trzy tysiące dolców. Ten przyjaciel to drobny biznesmen, który po kryzysie zbankrutował i teraz zaczął się domagać zwrotu długu; kilka razy groził ofierze, zdesperowany zaczął w sieni domu

i palnął mu w łeb. Bytowucha.

Rumieniec odpłynął z krągłych policzków śledczego, twarz mu się wydłużyła i spochmurniała. Starał się ukryć, jak go to mocno obeszło.

Co robić? Najprawdopodobniej już do emerytury nie uda mu się spotkać godnego siebie przeciwnika, przestępcy * intelektualisty w rodzaju współczesnego Rodiona Raskolnikowa.

Wyraziście i poważne uczucia * zemsta, zawiść, zazdrość, miłość, próżność, idee fove albo już wcale nie istnieją, albo pozostały gdzieś, hen, w dalekiej przeszłości.

Koledzy w wydziale zabójstw regularnie naśmiewali się z niego, przezywali Pinkertonem lub Sherlockiem Holmesem. „Powinieneś pisać powieści * mawiali * wymyślasz to, co w życiu się nie zdarza. Na życie trzeba patrzeć zwyczajnie”.

Ale Borodin, będąc w solidnym wieku, z solidnym doświadczeniem zawodowym, z miękkim, wydętym brzuszkiem, siwiutkimi wijącymi się baczkami po obu stronach krągłych policzków, ze słabością do słodkiego drożdżowego ciasta i kefiru owocowego, wciąż nie chciał postrzegać życia bez romantycznych iluzji.

Kiedy go nazywali Sherlockiem Holmesem, nie protestował, ale jeśli Pinkertonem * kategorycznie protestował. Natychmiast zaczynał szcze gółowo i monotonicznie wyjaśniać, że było dwóch Pinkertonów, obaj byli wielkimi świniami i wiele osób ich myli.

Allan Pinkerton, postać historyczna, urodził się w 1819 roku w Glasgow, w rodzinie niezamożnego szkockiego policjanta. W młodości wyemigrował do Ameryki Północnej, wypróbował wiele zawodów i wreszcie w 1850 roku otworzył agencję detektywistyczną. Emblematem agencji było oko, a dewiza: „My nigdy nie śpimy”. Interes od początku odnosił sukcesy.

W trakcie wojny Północy z Południem, nigdy nie śpiąca agencja Pinkertona za spore pieniądze zajmowała się działalnością wywiadowczą dla Rządu Federalnego. Po wojnie, w czasie kryzysu lat siedemdziesiątych, obsługiwała wielkie węglowe i kolejowe kompanie. Legendarni pinkertonowcy przenikali do górniczych związków zawodowych, prowokowali liderów do działań pozaprawnych, a jeśli to się nie udawało, to działali sami, dokonywali zabójstw czy podpaleń. Później sami

występowali w charakterze świadków na procesach, składali kłamliwe zeznania, w rezultacie których dziesiątki ludzi zostały skazane na karę śmierci przez powieszenie. Kiedy działalność agencji została ujawniona, liczba klientów dramatycznie spadła. Mało kto chciał prosić morderców i prowokatorów o pomoc. Chcąc odbudować dobre imię agencji, Allan Pinkerton zorganizował reklamę, wykorzystując do tego literaturę. Najpierw zaczęły wychodzić broszurki z pasjonującymi i całkowicie zmyślonymi wspomnieniami pracowników agencji, a następnie pojawił się legendarny Nat Pinkerton, bohater komercyjnego serialu literackiego.

Ilia Borodin lubił grzebać w historii. Wystarczyło przy nim wymówić jakieś znane, obrośnięte mitem imię, a już brał się do zeszkrobywania narośli nieprawdy, zasypując słuchacza lawiną informacji. Ponieważ robił to głosem cichym i bezbarwnym, słuchaczy zbyt wielu nie miał.

Siedząc teraz nad cienką i mało ciekawą sprawą dotyczącą zabójstwa dziennikarza telewizyjnego, rozmyślał nad tym, że zbyt dużo ewidentnych faktów w pewnych wypadkach również może wzbudzić podejrzenia.

Anisimow Aleksander Jakowlewicz, urodzony w 1970 roku w Moskwie. Żonaty. Jedno dziecko, wiek dziewięć miesięcy. Prowadzi prywatne interesy. Wykształcenie wyższe. Niekarany. Ze słów matki ofiary wynika, że w czerwcu tego roku Anisimow pożyczył Butejce trzy tysiące dolarów.

Tydzień temu, przez telefon Anisimow zażądał, w ostrej formie, zwrotu długu. Matka ofiary, Jelena Butejko, zaświadcza, że rozmowa była burzliwa. Również od niej wiadomo, że dwa dni później Anisimow przyszedł do nich do domu, znów natarczywie domagał się zwrotu długu, krzyczał i otwarcie groził jej synowi.

Oprócz Jeleny Butejko w tej chwili nie ma więcej świadków. Ojciec dziennikarza z zawałem serca leży w szpitalu, a lekarze nie wydali zgody na jego przesłuchanie.

Matka nie ma wątpliwości, że jej syna zabił Anisimow. Zresztą inni też. Anisimow posiada pistolet marki Walther. Upił się, przyszedł nocą do sieni budynku, strzelił Butejce w skroń i usnął na miejscu popełnionego przestępstwa. Broń, z której został oddany strzał, leżała w odległości kilku metrów od śpiącego zabójcy.

Narzędzie zbrodni, motyw, groźby. Znakomite jakościowo dowody winy, można

powiedzieć * super.

* A jednak, a jednak... * mrucał pod nosem śledczy.

Dlaczego nikt nie usłyszał wystrzału? Jest noc. Cisza. Mieszkańcy parteru powinni byli jakoś zareagować na dźwięk, nawet jeśli spali. Pistolet nie ma tłumika, ściany są wykafelkowane, akustyka wspaniała.

Ciało znalazła kobieta, która wyszła z psem. Mieszkaniec parteru wyrżał, słysząc jej krzyk, a nie na odgłos wystrzału. I wszystko to działo się dwadzieścia pięć minut po zabójstwie. A pijany morderca spokojnie spał zwinięty w kłębuszek w niewielkiej odległości od trupa. Wygląda na to, że kiedy Butejko stał przy windzie, strzelił mu w skroń. Potem pobiegł do drzwi. Musiał wtedy zbiec po trzech stopniach, lecz nie był w stanie pokonać tej przeszkody, jak kłoda sturlał się po nich i stracił przytomność. A jednak, w czasie pierwszych oględzin, nie znaleziono żadnych śladów, które by o tym świadczyły. Czyli, że tak sobie po prostu usnął?

Śledczy spacerował po gabinecie, nadal mrużąc coś pod nosem, włączył czajnik elektryczny, wyjął ze starej teczki paczuszkę z pierogami przygotowanymi przez mamę. Dwa z kapustą, dwa z jabłkami. Każdy starannie zawinięty w papierową serwetkę.

Do posiłku starszy pan przygotowywał się solidnie i poważnie. Nigdy nie jadł w trakcie chodzenia, nie sypał okruszków na papiery leżące na biurku, nie zapominał o dokładnym umyciu rąk i wypłukaniu ust po jedzeniu. W szafce miał przyniesione z domu bardzo ładne talerzyki, widelce i dużą porcelanową filiżankę. Nigdy nie pił herbaty ze szklanek. Filiżanka była angielska, z malunkami Big Bena, pałacu Buckingham oraz gwardzistów w wysokich czarnych czapach. Lubił herbatę bardzo mocną i słodką, obowiązkowo ze śmietanką. Mama nigdy nie zapominała o włożeniu mu do teczki kilku plastikowych opakowań tego dodatku.

Przed jedzeniem Ilia Nikitycz poszedł do toalety * zabrawszy własne pachnące mydło w mydelniczce, mały puszysty ręczniczek * dokładnie umył ręce i przyczesał włosy przed lustrem. Wróciwszy do gabinetu, wyłożył na talerzyk pierogi, zamieszał w filiżance cukier i w trakcie tych czynności podśpiewywał wysokim przyjemnym barytonem:

Fortepian był otwarty i struny w nim drżały...

Śpiewał całkiem poprawnie, nie fałszował. W ogóle lubił to robić, znał na pamięć wiele romansów i starych ludowych piosenek. Kiedy w domu zaczynał koncertować, mama, jedyny bliski mu człowiek, zawsze cichutko wychodziła z pokoju, bo wiedziała, że w tym momencie syn zastanawia się nad czymś ważnym i nie powinno się mu teraz przeszkadzać.

Sania Anisimow zdołał na jakiś czas usnąć. Właściwie trudno to było nazwać snem. Słyszał wszystko, co się działo wokół niego, ale oczy same się zamykały. Miał nadzieję, że jeśli uśnie i choć troszeczkę odpocznie, to wróci mu pamięć.

Ale ławka była zbyt twarda, przeszkadzały nieprzyjemne zapachy i świadomość brudu. Dzwonki telefonów, głosy, strzelanie drzwiami * wszystko zlewało się w jednostajne dudnienie. Sania już spał, kiedy przez hałas przebił się wysoki drżący głos:

* No, proszę, bardzo pana proszę... mój mąż, Anisimow Aleksander Jakowlewicz... Ja muszę wiedzieć, co się stało, ja muszę z nim porozmawiać.

* Nie można. Kiedy sprawa formalnie ruszy, wtedy będzie widzenie. Jeśli śledczy wyda zgodę. A teraz nie można. Przeszkadzasz mi w pracy, dziewczyno * zadudnił w odpowiedzi dobroduszny bas.

Dyżurny milicjant pił kawę z papierowego kubka i zagryzał bułką z parówką. Sprawa miała być przekazana do okręgu, a Anisimowa za pół godziny mieli zabrać z ich komisariatu, dlatego w odruchu dobrego serca milicjant pozwolił jego żonie z dzieckiem podejść do „klatki”, ale teraz

bardzo tego żałował. Młoda mama z niemowlakiem w torbie, typu „kangurek”, była w bardzo wojowniczym nastroju.

Sania otworzył oczy i pierwsze, co zobaczył, to usta wysmarowane keczupem. W jego głowie, jak błyskawica, przemknął obrazek: dolary na jasnym dywanie, usta wymazane czerwonym sosem, podrygująca umięśnionym brzuchem prawie goła dziewczyna z gwiazdami na obfitych piersiach.

Restauracja... Wieczorem był w restauracji. Sądząc po wyglądzie dziewczyny, był to lokal ze striptizem. Na dywanie rozsypały się pieniądze, dużo pieniędzy, któryś z

kelnerów powinien był go pamiętać. Dobrze, ale co to da? Tak, był w restauracji. A potem znalazł się w bramie domu, gdzie mieszkał Butejko. Jak się tam dostał? Metrem? Taksówką? Czy podwieźli go ci ludzie, z którymi siedział w lokalu? A z kim tam był?

Rano rozmawiał przez telefon z Wową Muchinem. Ale Wowa nigdy nikogo nie zaprasza do restauracji. I jeszcze jedno pytanie, najważniejsze: gdzie mógł włożyć pistolet, kiedy wychodził z domu?

Wieczorem nie miał przy sobie ani torby, ani teczki. Więc nie miał gdzie go wsadzić. Kieszenie kożuska są za płytkie, a jest tylko jedna pojemna kieszeń, wewnętrzna, ale tam był telefon. Ciężkiej broni nie mógł wsadzić do kieszeni marynarki, od razu byłoby widać, ponieważ marynarka jest uszyta z cienkiego, jedwabistego sukna. Sania przymknął oczy, próbując wydobyć z dna pamięci jeszcze coś ważnego. W tej chwili czuł się znacznie lepiej, był spokojniejszy i od razu udało mu się tak wiele przypomnieć. Potrząsnął głową i wtedy dopiero zobaczył sylwetkę swojej Nataszy. Stała tyłem do niego. Miała na sobie stare domowe dżinsy i krótką jaskrawoczerwoną puchówkę. Jasne włosy spięła byle jak, plastikową zapinką.

* Nataszka! * skoczył z ławki i wcisnął twarz między pręty „klatki”.

* Sania... * odwróciła się. Policzki miała mokre od łez. Dimicz siedział spokojnie w „kangurku”, przyciśnięty do piersi mamy, i rozglądał się z ciekawością. Zobaczywszy ojca, natychmiast się uśmiechnął, zaczął się wiercić, uniósł rączkę w kolorowej pasiastej rękawiczce i głośno i wyraźnie powiedział:

* Tata!

* Nataszko, przypomnij sobie, kto do nas przychodził w ciągu kilku ostatnich dni, kto mógł zaglądać do szuflady biurka? * Sania mówił tak

szybko, że prawie dusił się słowami. * Nie wycieraj kurzu. Sprawdź, czy w twojej szkatułce na komodzie jest pudełko z nabojami. Otwórz ją nożem i nie dotykaj. Na masie perłowej mogą być cudze odciski palców. Zrozumiałaś? Wieczorem byłem w restauracji. Zadzwoń do Wowki Muchina, ja z nim rano rozmawiałem, może on coś wie na temat tego wieczoru. ..

* Sania, czy ty wzięłaś ze sobą pistolet?

* Nie pamiętam...

* Odbiło ci? Przecież nie mogłeś go wziąć. Przypomnij sobie, gdzie i z kim byłeś?
No, już, szybko!

* Nie mogę, Nataszko, słowo honoru, mam dziurę w pamięci.

* No, dosyć, koniec tej zabawy! * milicjant podniósł się zza stołu. * Czy wyście całkiem zgłupieli?!

* Nataszko, słuchaj uważnie! Ja nie mogłem schować pistoletu, kiedy szedłem do restauracji, rozumiesz? Trzeba znaleźć tę restaurację. Tam była prawie goła dziewczyna... dolary się rozsypały...

* Jaka dziewczyna? * Natasza zamrugła pociemniałymi od łez powiekami. * Jakie dolary? Sańka, co ty pleciesz?

* Słuchaj, czy ty pójdiesz stąd wreszcie, czy nie? * rozeźlił się dyżurny milicjant.

* Jeszcze minutkę, proszę, bardzo pana proszę...

* Jaką minutkę? Koniec, żebym cię tu więcej nie widział! * Milicjant wziął Nataszę za łokieć.

* Niech pan poczeka, jestem żoną aresztowanego, jestem świadkiem, powinniście mnie przesłuchać! Kto tu dowodzi? Kto się zajmuje tą sprawą?

* Takaś mądra, co? Marsz z dzieckiem do domu i nie płacz się tutaj. Sio stąd, żebym cię tu więcej nie widział! Jak będzie trzeba cię przesłuchać, to wezwą. Zrozumiałaś? Tak?

* Niech pan ją zostawi! * zachrypiał Sania. * Nataszko, mnie czymś nafaszerowali. Załatw, żeby mi zrobili analizę krwi! Zapamiętaj: restauracja, narkotyki, Wowa Muchin. Kiedy będziesz rozmawiała ze śledczym, powiedz o pistolecie, ja nie miałem gdzie go schować, zrozumiałaś?

* Tata! * oburzony Dimicz podniósł głos, zaczął się wiercić, podskakiwać, próbując wyleźć z „kangurka”. Niewiele brakowało, a byłby to zrobił i upadł na kamienną podłogę. Natasza objęła go mocno rękami. Dimicz zamarł na chwilę, wygiął dolną wargę w podkówkę, nabrał maksymal

nie dużo powietrza do płuc, przymknął oczka i po chwili jego triumfalny basowy ryk zagłuszył słowa ojca, krzyki milicjantów i chrapanie bezdomnych.

Milicjanci wzięli Nataszę pod pachy i wyprowadzili na ulicę. Nie protestowała, tylko oglądała się, patrząc na coraz mniejszą, wciśniętą między pręty „klatki” twarz męża, bladą, z ciemnym zarostem, postarzałą przez jedną noc o dziesięć lat, tak bardzo zmienioną, że wyglądała na zupełnie obcą. Natasza skupiła się na ostatnich słowach Sani, próbowała zrozumieć ich sens, widziała poruszające się usta, ale dźwięku już nie słyszała.

Na ulicy Dimicz się uspokoił. Jedyne, co go teraz interesowało, to zapach mleka. Mamina pierś była na wprost jego nosa. Ocierał buźkę o jej sweter i niecierpliwie popiskiwał, dając znać, że już pora karmienia. Natasza wskoczyła do trolejbusu i usiadła na przednim siedzeniu.

Teraz przede wszystkim należało się uspokoić i, żeby nie wyleciało z pamięci, powtórzyć, o co prosił mąż.

„W tych dniach u nas w domu nie było nikogo * myślała, patrząc w okno trolejbusu i gładząc Dimicza po główce * tydzień temu wpadła Olga. Przedwczoraj, jak byłam u dentysty, z Dimiczem siedziała mama. W ciągu tych trzech godzin mógł ktoś przyjść, a mama zapomniała mi powiedzieć...”.

Zamyśliła się i nie zauważyła, że na siedzeniu obok umościł się wiekowy babsztyl w płaszczu z karakułowym kołnierzem i napaćkanymi na ceglasto policzkami.

* Oj, dziecino, ale ci niewygodnie w tym worku, jak urośniesz to będziesz mieć biedactwo, krzywe nóżki jak beczka i garbate plecki. Niedobłą masz mamusię, mój malutki!

* Niech pani przestanie mówić głupstwa! * odgryzła się cicho Natasza.

* No i do tego jeszcze chamka! * ucieszył się babsztyl. * Ja bym takie z Moskwy wysiedlała, jak nie umiesz się zachować w publicznym miejscu, to nie masz co robić w stolicy! Rodzą, bezwstydną gówniary, a potem męczą swoje dzieci, taszcą w workach, jak jakie szczeniaki, i do tego chamsko się odnoszą do starszych! * darła się coraz głośniej, wyraźnie pod publikę. * Ja bym takim zabrała prawa rodzicielskie, popatrzcie na nią, no, popatrzcie, przecież ona jest niepełnoletnia, niebezpiecznie jej dawać malutkie dziecko!

Nikt jej nie słuchał i to jeszcze bardziej uskrzydliło „ciotkę rewolucji”.

* I nie karmi dziecka, głodem morzy, widzę, jak maństwu oczka się błyszczą, ono jest głodne! Już, dziecino, już malutki...

I nim się Natasza zorientowała, Dimicz trzymał w ręce czekoladkę, którą natychmiast razem z opakowaniem wsadził do buzi.

Natasza wyrwała mu przysmak i rzuciła babsku na kolana. Dimicz zaczął głośno protestować, wychylił się z „kangurka” w stronę pomadki i o mało nie wypadł.

Natasza usadziła go głębiej, poprawiła szelki, wstała i spokojnym głosem powiedziała do babsztyla:

* Proszę mnie przepuścić!

Dla „ciotki rewolucji” nastąpiła minuta chwały. Tkwiła na siedzeniu jak głaz. W rezultacie Natasza z dzieckiem byłaby upadła, gdyby nie to, że zdążyła się chwycić poręczy. Trolejbus ostro zahamował na przystanku. Natasza wyskoczyła przednimi drzwiami. Dimicz zalewał się łzami. Wszyscy patrzyli z ciekawością na młodą matkę. Przez okno trolejbusu widać było upiorną babę, która nadal coś bezgłośnie wykrzykiwała. Natasza roztrzęsła się jak w gorączce. Jej spokojny, skoncentrowany nastrój rozwiła cudza mściwa głupota. Poczuli się bezradną, absolutnie samotną i niezasłużenie skrzywdzoną. Synek ciągle płakał. Przechodnie patrzyli w ślad za nią. Było ślisko i bardzo zimno. Po bezsennej nocy Natasza miała dreszcze, do tego mleko wyciekało z piersi, sweterek przemókł, a do domu musiała jeszcze przejść odległość dwóch przystanków.

* Dimicz, kochanie, nie płacz, no, proszę * mruczała do niego, ostrożnie stawiając nogi na lodzie * przestań, bo ja się też rozplaczę. I co zrobisz z płaczącą mamą na śliskiej drodze? Lepiej oboje się uspokojmy i sobie porozmawiamy.

Łzy jeszcze spływały mu po policzkach, ale już się uśmiechał, patrząc na nią.

* No, widzisz, moje słoneczko, zaraz dojdziemy do domu, najesz się i będzie dobrze. Wszystko będzie bardzo dobrze.

Słyszała, jak głos jej drży, a słowa brzmią nieprzekonywająco. Dimicz przestał się uśmiechać i znów zaniósł się głośnym płaczem. Dziecko natychmiast wyczuło u matki brak pewności siebie i zareagowało płaczem. Cały czas był niespokojny, wiercił się w torbie, Nataszy było coraz trudniej iść, zwłaszcza że pod nogami był lód

i kilka razy niemal nie upadła.

„Przestań się mazać, myśl, szukaj wyjścia z sytuacji * powtarzała sobie w myślach. * Nikt prócz ciebie Sani nie pomoże”.

Po skończonej przedziwnej rozmowie z Sanią jego komórka natychmiast się wyłączyła. Natasza zrozumiała, że z jej mężem stało się coś strasznego. Mówił, jakby był pijany, język mu się plątał, a przecież wiedziała, że rzadko sięga po alkohol, a jeśli już, to nigdy nie upija się do nieprzytomności i nie traci kontroli nad sobą. Jego organizm jest bardzo mądry: gdy Sania za dużo wypije, to po prostu dostaje torsji. Potem bardzo źle się czuje i boli go głowa.

W czasie rozmowy telefonicznej Natasza wyraźnie słyszała szczekanie psa i to, co krzyczała jakaś kobieta: „O Boże! Pomóżcie! Jest tu kto? O matko, ile krwi!”.

Obdzwaniając szpitale, właściwie nie miała wątpliwości, że to chodziło o krew jej męża. Wyobrażała sobie, jak leży gdzieś półprzytomny, w wielkiej kałuży krwi. Wiedziała, że jest źle i musi działać; nie wolno jej się mazać.

Dość szybko udało się wyjaśnić, że jej mąż został zatrzymany przez milicję pod zarzutem popełnienia zabójstwa i obecnie znajduje się w dzielnicowym komisariacie. Dziewczyna z informacji MSW nawet podała jej numer telefonu do tego komisariatu. Widok męża trochę uspokoił Nataszę. Wykrzykiwał wprawdzie coś kompletnie niezrozumiałego, ale trudno wyobrazić sobie kogoś, kto w podobnych okolicznościach potrafiłby zachowywać się spokojnie i konstruktywnie myśleć. Wiadomo, że Sańka nikogo nie zabił i trudno wymyślić coś bardziej głupiego. Najważniejsze, by nie panikować. On sobie koniecznie musi przypomnieć, co się z nim naprawdę działo. Wrobiono go? To bzdura, komu było to potrzebne? Minie szok i wszystko się wyjaśni.

Po drodze do domu powtarzała sobie wiele rozumnych i sensownych słów, ale z każdym krokiem po mokrej warstwie lodu, czuła, że te słowa tracą sens. I nie ma nic, poza wrogim lodowatym chaosem wokół niej i wewnątrz niej.

Noc była koszmarna, Natasza nie spała ani minuty, miotła się po mieszkaniu, płakała.

Rozdział 4

Paweł Władimirowicz Malcew po raz pierwszy znalazł się w Montrealu w wieku pięćdziesięciu trzech lat i bardzo żałował, że nie ma ani czasu, ani sił, by należycie zwiedzić miasto. Celem przyjazdu wcale nie była „turystyka”, jak zaznaczył w obszernej ankiecie, którą musiał wypełnić, żeby wjechać do Kanady.

Jeśli nazywać rzeczy po imieniu, celem przyjazdu był naprawdę dziki pomysł, zwariowana młodzieńcza przygoda, która mogła się bardzo źle skończyć i dla niego, doktora historii sztuki, i dla jego starszego brata, Dmitrija Władimirowicza Malcewa, wiceministra finansów Rosji. Mimo że brat był w Rosji, to ryzykował w nie mniejszym stopniu.

W „przygodę”, jak chciwy wir rzeki, wciągało coraz więcej nowych osób i przez to ryzyko stawało się również coraz większe. Paweł Malcew wynajął sobie na pomocnika dość oryginalnego, a być może nawet niebezpiecznego cwaniaka, mężczyznę o wyglądzie supermena i o nie do końca jasnej biografii. Nazywał się Anatolij Grigorjewicz Krasawczenko.

W trakcie pierwszego spotkania wywarł na nowym bossie silne wrażenie. Prężył muskuł, swobodnie rozmawiał po angielsku i francusku, sypał terminami medycznymi i plotkami związanymi z życiem rosyjskich dyplomatów zagranicą. Czuło się w nim tak zwany chwyt buldoga.

Wyższa Szkoła KGB dla Oficerów Służby Granicznej, fakultet dywersyjno*wywrotowej działalności, praca przy sprawdzaniu kadrowego składu w Afganistanie, werbunek agentury w Czeczenii, a następnie * ostry zwrot i spokojne, niejednoznaczne stanowisko przedstawiciela fundacji weteranów sportu przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Cudowna biografia, nawet jeśli tylko połowa informacji w niej jest prawdziwa. Poza tym siwowłosy heros od razu zaznaczył, że bardzo mało może powiedzieć o swojej bohaterskiej przeszłości.

Podczas pierwszych spotkań wiele w tym, co opowiadał o sobie Krasawczenko, zaniepokoiło Pawła Malcewa, ale z drugiej strony do tak delikatnej sprawy nie

wynajmuje się przyzwoitego człowieka!

„Przeprowadzenie profesjonalnego przesłuchania, stosując narkotyki * to coś takiego, jak wyrywanie zębów pod narkozą * tłumaczył Krasawczenko * najważniejsze, żeby pacjent się rozluźnił i zaufał lekarzowi, nie przeszkadzał mu działać. Kiedy dentysta już pracuje, to trzeba zadbać, żeby korona nie pękła, a korzeń nie został w dziąśle. Bo zdarza się, że zamiast oczekiwanej informacji «klient» plecie jakieś głupstwa”.

Swoje „zęborywane” sesje Krasawczenko przeprowadzał z „klientem” sam na sam. Po zawarciu znajomości, starał się zdobyć zaufanie danej osoby, przy pierwszej nadarzającej się okazji dolewał do dowolnego alkoholu niewielką ilość specyfiku, nie mającego ani zapachu, ani smaku. Po kilku chwilach „klienta” ogarniało takie osłabienie, że bez pomocy nie mógł wykonać żadnego ruchu. Wówczas

Krasawczenko robił mu zastrzyk z jeszcze innego preparatu, który notabene zwano „eliksirem prawdy”. Była to skomplikowana mieszanka narkotyków

halucynogennych i antydepresantów. Po upływie piętnastu minut delikwent odpowiadał na każde pytanie i relacjonował to, czego dobrowolnie, będąc przy zdrowych zmysłach i sprawnej pamięci, nie powiedziałby nawet na spowiedzi. Następnie zapadał w długi, ciężki sen, a po przebudzeniu nic nie pamiętał.

Do zastrzyku Krasawczenko używał specjalnych jednorazowych strzykawek z najcieńszymi igłami. Znalezienie w zgięciu łokcia śladu po takim wkłuciu było absolutnie niemożliwe. Z kolei wprowadzone do organizmu preparaty wchłaniały się bardzo szybko, o wiele szybciej, niż „klient” wracał do przytomności. Krawczenko przekonywał, że używa środków absolutnie najnowszych, niedawno opracowanych w tajnych laboratoriach CRU i Mossadu. Nie pozostawiają one po sobie najmniejszego śladu.

Do umówionej godziny pozostało dziesięć minut. Krasawczenko nigdy się nie spóźniał, więc Paweł Malcew wolał przychodzić na spotkania troszkę wcześniej, żeby się psychicznie przygotować do rozmowy. Nieste*

ty, denerwował się jeszcze bardziej. Nigdy nie wiedział, czego można się spodziewać po tym cwaniaku.

Siedząc w maleńkiej chińskiej restauracji, co chwila spoglądał na zegarek i starał się

zwalczyć przemożną chęć wyjęcia z kieszeni telefonu i zadzwonienia do brata w Moskwie. Potrzebował podzielić się z nim swoimi obawami i się naradzić. Trafiły go wątpliwości i złe przeczucia. Od jakiegoś czasu zaczął się poważnie obawiać, że pewnego pięknego dnia cwaniaczek zechce i jemu „wyrwać zęb” za pomocą swego nadzwyczajnego „eliksiru prawdy”. W całym dotychczasowym życiu Malcew nie spotkał jeszcze osoby, która wywoływałaby u niego tak zwierzęce obrzydzenie i paniczny brak zaufania.

Chwała Bogu, że ten mądrała nie domyśla się, że Paweł Władimirowicz Malcew i tak zwany „zleceniodawca” to rodzeni bracia.

Krasawczenko pojawił się jak zawsze punktualnie, co do minuty, i w właściwy sobie sposób podszedł cichutko od tyłu.

* No cóż, moje gratulacje! Tak jak zakładałem, pański plan z holenderskim korespondentem spalił na panewce * oznajmił raczej z radością * ona kategorycznie odmówiła udzielenia wywiadu. Mówiąc szczerze, ten wariant był z góry skazany na fiasko. Nie jestem pewien, czy pan potrafiłby odegrać rolę Holendra. Niech mi pan uczciwie powie, czy ten plan został wymyślony dlatego, że nie ma pan do mnie zaufania? Boi się, że może się powtórzyć historia z tamtym starym stróżem? A może obawia się pan, że w końcu zdobędę tę informację, zachowam dla siebie i sam ją wykorzystam?

* Odegranie Holendra to dla mnie pestka. Znam język, wiele razy byłem w Holandii. Natomiast, rzeczywiście, obawiam się powtórzenia historii ze stróżem. Wybacz, ale mam po prostu obowiązek kontrolowania ciebie. Tak zadecydowano od samego początku. A jeśli chodzi o to, że mógłbyś się ulotnić * tego akurat zupełnie się nie obawiam. Sam dobrze wiesz, że ten numer nie przejdzie. Nie jesteś przecież samobójcą.

* Jasne * Krasawczenko, puścił do niego porozumiewawczo oko * nie chce mnie pan zostawić sam na sam z tą czarującą damą. Będzie pan spokojniejszy, jeśli przesłuchanie odbędzie się w pańskiej obecności. Niestety, muszę pana zmartwić. Nic z tego. Nawet gdyby się zgodziła spotkać z korespondentem, to nie sądzę, żeby udało mi się namówić ją na wywiad w pokoju hotelowym, do tego późnym wieczorem i to

w warunkach intymnych. * Rozwalił się wygodnie na oparciu aksamitnej kanapki i zaczął kartkować menu.

* Słuchaj, a może właśnie dlatego odmówiła, że jej to przedstawiłeś w dwuznaczny sposób, chlapanąłeś coś o późnym wieczorze i warunkach tete*a*tete? To przecież poważna niewiasta, ma doskonałą opinię.

* Nie pozwoliłem sobie na żadne aluzje i prosiłem bardzo kulturalnie. Chyba nie była w odpowiednim nastroju. Poza tym jest jeszcze jedna nieprzyjemna nowina. Okazało się, że ona w ogóle nie pije, a to znacznie komplikuje nasze zadanie.

* No tak, ale oprócz alkoholu są jeszcze kawa, sok, woda mineralna. Mówiłeś, że ten twój znakomity eliksir nie ma ani smaku, ani zapachu.

* Alkohol wzmacnia działanie preparatu i dlatego w wódce jest bardziej pewny. A do tego, jeśli człowiek wie doskonale, że żadnego alkoholu nie brał do ust, to o wiele trudniej mu zrozumieć przyczyny dziwnego stanu, w jakim się znalazł. Osoba pijąca często dopuszcza, że mogła przeholować. U abstynenta nagła utrata przytomności po wypiciu filiżanki kawy czy szklanki soku wywoła spore podejrzenia, szczególnie, jeśli raczył się tymi napojami, będąc w towarzystwie mało znanej sobie osoby.

Podszedł kelner, uklonił się nisko i tak pozostał z wyczekującym uśmiechem.

Krasawczenko, jak zwykle, zamówił sobie całą górę jedzenia. Malcew ograniczył się do porcji ulubionych tygryskich krewetek z sokiem żurawinowym.

* Nadal upieram się, że trzeba absolutnie zmienić sposób podejścia do Bielajewej * wrócił do poprzedniego tematu Krasawczenko.

* To znaczy?

* Przecież proponowałem moją zwykłą taktykę, ale nie dał mi pan zgody na sex*party, powiedział pan...

* Taktyka, zgoda na sex*party... oj, lubisz ty wyrażać się, że nie daj Bóg. Też mi dyplomata główniany * pokręcił głową Malcew. * Jeśli do niej uderzysz, stosując te swoje podchody, to ucieknie od ciebie jak od zarazy.

* Nie ma się z czego naśmiewać. Ona ma czterdziestkę, w tym okresie są ostatnie podrygi młodości, ostatnia szansa. W takim stanie kobieta potrafi zrobić wiele głupstw.

* Tak, oczywiście! Według ciebie, one wszystkie mają tylko seks na myśli i marzą o robieniu głupstw. Bez względu na wiek, intelekt, przyna
leżność społeczną, no i, oczywiście, wyłącznie ze względu na ciebie, jedyne i
niepowtarzalne! To dziwne, że te wyposzczone damy jeszcze nie obgryzły cię do
kości? Bielajewa ma kryształową reputację.

Kelner przyniósł Krasawczence wielki talerz z jakąś skomplikowaną kurzo*rybną
przystawką, a przed Malcewem postawił szklaneczkę z żurawinowym sokiem, którą
on, instynktownie zaraz przysunął do siebie, byle dalej od swojego rozmówcy.

* Niemożliwe, żeby nie uległa * wymamlał z pełnymi ustami, Krasawczenko.

* Wszystko jest możliwe. Myślisz, że ona zaryzykuje poświęcić swoją reputację dla
kilku godzin przyjemności w towarzystwie takiego apolla jak ty?

* Ależ tu nie chodzi o mnie. Powtarzam jeszcze raz: Bielajewa ma czterdziechę. Dla
kobiety to wiek krytyczny. Podświadomie dąży do tego, żeby nadrobić to, co ją
ominało. A jeśli do tego jest od dwudziestu lat mężatką z kryształową opinią, to
musiała naprawdę wiele stracić. Takie są wyniki psychoanalizy.

* Dobra, wystarczy. Nie będziemy się zajmować psychoanalizą * skrzywił się
Malcew.

* No i nie ma pan racji. Nie da się obejść bez psychoanalizy. Trzeba działać
delikatnie i przemyślanie.

* Jasne, jasne. Bielajewa to nie stary alkoholik, który po butelce wódki wygada
wszystko, co mu ślina na język przyniesie.

* Jeśli o tym mowa, to z tym pijaczkiem też musiałem się namęczyć. Każdy człowiek
wymaga innego podejścia. Moja metoda nastawiona jest na proste ludzkie słabostki, a
słabostki zrównują ludzi ze sobą. Dla wiejskiego stróża to alkohol, dla
czterdziestoletniej cnotliwej damy * seks.

* Przy tym całym twoim delikatnym i psychologicznym podejściu do „obiekta”
jednak nie potrafiłeś wyciągnąć informacji z tego starego wiejskiego stróża w taki
sposób, żeby potem mógł sobie dalej żyć.

Kelner przyniósł ciepłe dania. Tygrysie krewetki były tak obficie polane słonym
sojowym sosem, że nie dało się ich zjeść. Krasawczenko łykał zupę z przegrzebków z

apetytem godnym pozazdroszczenia.

* Zgadzam się, szkoda starego. Ale o sobie bardziej trzeba się martwić. To był gaduła, dla którego każdy nowy człowiek był wydarzeniem i nie wiadomo, czym dla nas mogło się skończyć jego gadulstwo.

* Dobrze, Bóg z nim. Przygotowałeś jakiś konkretny plan? Nie zapominaj, że czasu mamy bardzo mało, musisz rozpracować Bielajewą tutaj, w Kanadzie. W Moskwie będzie o wiele trudniej to zrobić.

* Niech się pan nie boi. Znajdę okazję, żeby zostać z nią sam na sam, a reszta to już sprawa techniki.

* Pamiętaj, że masz tylko cztery dni. Plan z wywiadem upadł, wobec tego radzę nie liczyć na swój ogromny męski urok i wymyślić jeszcze kilka innych zapasowych wariantów.

* Już mam wymyślone.

* No to świetnie. Działaj. Tylko chociaż raz w życiu posłuchaj dobrej rady * nie bądź taki pewny siebie.

Jak zwykle, za jedzenie zapłacił Malcew. Krasawczenko po prostu wstał i wyszedł, nawet nie dziękując.

Kiedy Paweł Władimirowicz Malcew został sam, natychmiast zaczął dzwonić do brata, do Moskwy. W Moskwie była już noc. Automat poinformował, że abonent jest czasowo niedostępny.

* Z pańskiego pistoletu został zastrzelony człowiek, któremu przedtem pan dwukrotnie groził. Zęby nie przedłużać rozmowy, lepiej będzie, jak się pan szczerze przyzna, bo to może wpłynąć na złagodzenie wyroku.

* Nikomu nie groziłem i nikogo nie zabiłem. Nie wiem, jakim cudem znalazłem się na tej klatce schodowej.

* Czyli nie mamy zamiaru szczerze się przyznać?

* Nie zabiłem. Niczego nie pamiętam. Bardzo źle się czułem.

* Bardzo źle się pan czuł. A pił pan przed tym?

* Nie pamiętam.

* A co pan pamięta? * Nic.

Od samego początku śledczy nie spodobał się Anisimowowi. Niski, niemłody grubasek, spokojny, przypominający upieczoną w domu słodką bułeczkę. Właśnie po takich wyglądających dobrodusznie, niezbyt mądrze i nieszkodliwie, można się spodziewać wyłącznie nieprzyjemności.

* Jutro zostanie przeprowadzona ekspertyza psychiatryczna, ale i bez niej mogę powiedzieć, że sprawia pan wrażenie osoby całkowicie poczytalnej. Nie radzę symulować.

* Nie mam takiego zamiaru. Niech mnie sprawdzi dowolna komisja. Ja, naprawdę, niczego nie pamiętam. Mówiłem już, że mnie nafaszerowano jakimiś narkotykami. Oprzytomniałem w jakiejś obcej sieni. Pies szczekał. Nie miałem zamiaru nikogo zabijać, mam rodzinę, małe dziecko.

* Nikogo pan nie miał zamiaru zabijać... To, po co pan kupił pistolet?

* Po prostu. Teraz mnóstwo ludzi ma pistolety. Taka moda, daje prestiż.

* Mnóstwo? To znaczy kto, jakiś przykład? Czy może pan wymienić nazwiska znajomych, którzy mają ostrą broń?

* Nie jestem kapusiem.

* A wie pan, że bezprawne nabycie, przechowywanie i noszenie broni jest karane pozbawieniem wolności do lat trzech?

Anisimow w milczeniu wbił wzrok w podłogę.

* Zadałem pytanie * miękko powtórzył Ilia Borodin.

* Tak * odparł ledwo dosłyszalnie Sania, nie podnosząc oczu.

* Czyli, kupując pistolet, pan świadomie dopuścił się złamania prawa?

* Nie uważam tego za przestępstwo.

* Zabójstwa też nie uważa pan za przestępstwo?

* Nikogo nie zabiłem * Sania zdecydowanie pokręcił głową * pan mnie w to wrabia.

* Kto więc i dlaczego?

* Nie mam pojęcia.

* Nie ma pan pojęcia? * zdziwił się śledczy.

Maniera powtarzania prawie każdego zdania rozmówcy strasznie wkurzała Sańkę.

Własne słowa brzmiały wówczas głupio i nieprzekonująco.

- * Nie brałem z domu pistoletu. Zresztą nie miałbym go gdzie wsadzić.
- * Jak to? * spytał zaskoczony Ilija Borodin. * Jest taki wygodny, lekki, nie obciążnie kieszeni.
- * Nie. Zewnętrzne kieszenie w kozuchu są bardzo płytkie, a w wewnętrznej miałem telefon. Marynarka jest z cienkiego materiału i gdyby tam było coś ciężkiego, to od razu byłoby widać.
- * Dobrze, a wewnętrzna kieszeń marynarki?
- * Trzymam w niej notes.
- * Ale są jeszcze kieszenie spodni, pański pistolet zmieści się tam bez problemu.
- * Nie, będzie sterczał. Spodnie są wąskie.
- * Czyli wszystkie możliwości pan sprawdził?
- * Jakie znowu możliwości? W ogóle go nie brałem ze sobą, rozumie pan?
- * Dobrze. Załóżmy, że tak było. O której godzinie wyszedł pan z domu?
- * Niech pan spyta moją żonę.
- * A dokąd pan poszedł? Czy o to też mam spytać pańską żonę?
- * Chyba byłem w restauracji.
- * Świetnie * ucieszył się śledczy * to już coś. A konkretnie, w jakiej restauracji?
- * Tam tańczyła prawie goła dziewczyna z gwiazdami na piersiach i jeszcze na dywanie rozsypało się mnóstwo dolarów. Ale ja to wszystko przypominam sobie jak przez mgłę.
- * Rzeczywiście mgły tu jest sporo. Nazwę restauracji pan, oczywiście, zapomniał? Anisimow przytaknął głową i opuścił ją tak nisko, że starszy pan widział tylko ciemnoblonde czubek głowy.
- * A więc pamięta pan, że jakiś czas przed zabójstwem spędził pan w restauracji, ale pistoletu nie miał pan przy sobie? Wobec tego jakim cudem znalazł się on na klatce schodowej, obok zwłok?
- * Ja nie zabiłem.
- * Panie Anisimow, a może pan zapomniał, że strzelił do Butejki?
- * Niech pan ze mnie nie kpi * Sania wcisnął głowę w ramiona, jakby się bał, że śledczy go uderzy* ja nie kłamię. Nie mogłem strzelić człowiekowi w skroń. Po

prostu ręka by mi się nie podniosła. Mój pistolet powinien teraz być w domu, w szufladzie biurka.

* Czy pożyczył pan Butejce pieniądze?

* Tak, trzy tysiące dolarów.

* Wziął pan od niego pokwitowanie?

* Jasne, że nie.

* A umówiliście się na termin oddania?

* Nie... Przepraszam, czy ma pan może papierosy?

Ilia Borodin nie palił, ale na wszelki wypadek trzymał w biurku paczkę rothmansów i tanią jednorazową zapalniczkę.

Sania zaciągnął się głęboko i zaczął mówić tak szybko, jakby nauczył się tekstu na pamięć:

* Artiom Butejko był mi winien trzy tysiące dolarów. W kryzysie zacząłem mieć poważne problemy finansowe, ale z tego nie wynika, że zabiłem Artioma. Przecież umarli nie zwracają długów! A poza tym, jakbym go zabił, to natychmiast bym uciekł.

* Był pan za bardzo pijany.

* No więc gdybym miał zamiar go zabić, to czy piłbym wcześniej?

* Logiczne * zgodził się śledczy * ale logiczne jest też upicie się dla dodania sobie odwagi. Poza tym pan mu już wcześniej groził dwa razy.

* Groził? Co za bzdury... Nie, ja mu przypominałem o długu, a to przecież trudno nazwać groźbą.

* Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak przebiegała rozmowa między wami, kiedy po raz pierwszy zażądał pan zwrotu długu.

* Po prostu zadzwoniłem i spytałem, co słyszeć. Czekałem, że sam zacznie mówić o pieniądzach, a on nic. No to spytałem wprost, kiedy zamierza mi oddać dług. On na to, że na razie konkretnie nie może mi nic powiedzieć, bo u niego jest tak cienko, że nawet na chleb nie starcza. No i, w ogóle, zaczął narzekać na życie jak wszyscy w takiej sytuacji.

* Ma pan duże doświadczenie w kontaktach z dłużnikami? * uśmiechnął się śledczy.

* Nie... a dlaczego pan tak myśli? * spytał zaskoczony Sania.

* Powiedział pan: „jak wszyscy w takiej sytuacji”.

* No, miałem na myśli... ja nie mówię o swoich doświadczeniach. Przecież wiadomo, że jak tylko mówi się o pieniądzach, to ludzie przeciągają sprawę, narzekają na ciężkie życie... * Sania poczuł, że się czerwieni, zaczął się jąkać i w końcu umilkł.

* No, dobrze, a potem, po dwóch dniach, przyszedł pan do jego mieszkania i znów była mowa o pieniądzach. Matka Butejki twierdzi, że słyszała groźby.

* Nic nie mogła słyszeć. Tak, prosiłem, żeby mi zwrócił chociaż część pieniędzy. Wiem, że udało mu się dostać w telewizji swój autorski program. Czyli mógł teraz zacząć dobrze zarabiać. A więc nie miałem po co go zabijać. Prosiłem go, nie groziłem.

* Czy przyszedł pan specjalnie po to, żeby mu przypomnieć o długu, czy był jeszcze jakiś inny powód?

Anisimow niespodziewanie zamilkł. Zaskoczony śledczy zauważył znaczącą zmianę na jego twarzy. Sania zbladł, w oczach pojawił się strach.

Widać było, że ma poważny problem i waha się, czy go wyjawic. Śledczy nie popędzał go, dał mu czas na podjęcie decyzji.

* Tak. Miałem powód * wydusił wreszcie Sania przez zęby. * Poszedłem zapytać o coś jego ojca.

* O, to ciekawe * ucieszył się Borodin. * A konkretnie?

* Nie mogę... Chociaż, właściwie, to już nieważne. Przyniosłem pokazać ojcu Artioma jedną rzecz. Zęby ją wycenił. Moja żona ma stary pierścionek. Duży szmaragd z brylantami. Przeszedł na nią po prababce. Chciałem się dowiedzieć, ile może kosztować. No, na wszelki wypadek. Różnie może się zdarzyć. Teraz bardzo nam są potrzebne pieniądze. Nie powiedziałem o tym Nataszy, bo ona za nic w świecie nie zgodziłaby się go sprzedać. Wiele razy mi powtarzała, że jej prababcia nawet w czasie wojny domowej, w czasie głodu, strzegła pierścionka jak oka w głowie.

* Czy Wiaczesław Iwanowicz Butejko ma jakiś związek z jubilerstwem? * szczerze zdziwił się Borodin.

* Miał. Kiedyś. Ale o tym się w rodzinie nie mówi. „Dlaczego?”, chciał spytać śledczy, ale się powstrzymał. Miał zasadę nie spieszyć z pytaniami, które były dla niego szczególnie ważne.

* No i jak pan Butejko ocenił pierścionek? Rzeczywiście okazał się cenny?

* Nie * westchnął ciężko Sania * oświadczył, że w szmaragdzie jest rysa i jeszcze jakieś uszkodzenia, a brylanty są bardzo drobne i nie za bardzo czyste. Czyli więcej niż trzysta dolarów za niego nie dostanę. Nie powiedziałem o tym Nataszy.

Przyniosłem pierścionek i schowałem z powrotem do szkatułki. Proszę jej także o tym nie mówić, dobrze? Byłoby jej bardzo przykro, gdyby się dowiedziała, że wyceniałem pierścionek i tak naprawdę nie ma on dużej wartości. To jest przecież jej jedyna rodzinna cenna rzecz.

* No, nie pójde ją specjalnie powiadomić. Może kiedyś, zobaczymy, co będzie dalej

* uśmiechnął się śledczy. * A od dawna zna pan Artioma Butejkę?

* Chodziliśmy do jednej klasy.

* Przyjaźniliście się?

* Nie * padła szybka odpowiedź podniesionym tonem i poparta uderzeniem pięścią w stół.

* Czyli nie przyjaźniliście się w szkole. A czy w ostatnim okresie bliżej się kontaktowaliście?

* Nie, nie było żadnych bliższych kontaktów! Po prostu byliśmy kolegami. Kolegami z klasy.

* A kto z waszych znajomych mógł wiedzieć o długu?

* Wiele osób.

* Co to znaczy * wiele? Pan mu dał pieniądze przy świadkach?

* Nie! Ale w ostatnim czasie Artiom żył z pożyczek. Brał od każdego, kto skłonny był mu pomóc. Wszyscy o tym wiedzieli oprócz jego rodziców.

Ilja Borodin przymknął oczy i zastanawiał się przez chwilę, bębniąc cicho palcami po blacie biurka.

„Wszyscy oprócz rodziców... a jednak o długu dowiedzieliśmy się od matki zabitego. Od razu nazwała Anisimowa zabójcą i powiedziała o pieniądzach. Później, jak

przyszła do siebie, po tym, jak na krotko straciła przytomność, sprecyzowała sumę * trzy tysiące. Właściwie o pieniądzech wiemy tylko od niej. O groźbach też".

* Panie Anisimow, a jakie były stosunki Artioma Butejki z rodzicami?

* Jak mam to panu określić? Skomplikowane.

* Proszę dokładniej wyjaśnić.

* Wie pan, rodzice Artioma byli ludźmi starej daty, porządni, poczciwi i naiwni. Takim jak oni trudno pewne rzeczy wytłumaczyć. Gdyby dowiedzieli się, choć w przybliżeniu, ile pieniędzy ich syn wydaje i jak wiele ma długów, to obojgu włosy stanęłyby dęba na głowie. Z racji zawodu Artiom codziennie musiał bywać na różnych pokazach, w restauracjach, kasynach, musiał podtrzymywać znajomości z ważnymi ludźmi. Musiał się ubierać w drogich butikach. Wiadomo, że chronicznie brakowało mu pieniędzy.

* A rodzice nie zwrócili uwagi, że ma na sobie takie drogie rzeczy?

* Artiom im wmawiał, że kupuje ciuchy w najtańszych komisach. Dla rodziców Versace i zakład odzieżowy „Czerwona Krawcowa" to jeden diabeł.

* Chwileczkę, ale w Moskwie już od dawna nie ma komisów * zauważył śledczy * o tym też nie wiedzieli?

* Jego rodzice w ostatnich latach kupowali tylko jedzenie. Kefir, chleb, makaron. Każdego, kto do nich przychodził, częstowali czarnymi grzankami. Wie pan, takie kawałeczki chleba obsmażone na oleju słonecznikowym. A ubrań w ogóle nie kupowali. Donaszali stare. Skarpetki ojca Artioma to była cera na cerze. Nicowali też marynarki i płaszcze. To się robi tak, że rozpruwa się szwy, kawałki obraca do góry spodem, bo ze spodu materiał jest prawie jak nowy, i z tych kawałków znów się coś kombinuje. Matka Artioma całymi dniami ślęczała przy maszynie do szycia.

Sania nawijał monotonna, wpatrzony w jakiś punkt i czekał, aż śledczemu znudzą się te głupoty. Ale Borodin siedział w milczeniu, odchylił się wygodnie na krześle i obserwował mówiącego spod półprzymkniętych powiek. W pewnej chwili Sania pomyślał, że śledczy usnął i, spojrzawszy raz jeszcze, bez pytania wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i zapalił.

* Któregoś dnia Artiom przyszedł do szkoły w pluszowej, ciemnozielonej koszuli, tak wąskiej, że prawie pękała w szwach, i oświadczył, że to na Zachodzie ostatni krzyk mody i jakiś krewny przywiózł ją z Paryża dla swojego syna, ale syn ma za gruby brzuch i nie mógł zapiąć guzików. A tak naprawdę mama Artioma znalazła na antresoli starą kapę i z niej uszyła tę koszulę. * Sania zgasił papierosa i odetchnął głęboko. Milczenie trwało kilka minut.

„Nie wierzy mi * pomyślał zrezygnowany * zaraz mnie odeśle z powrotem do celi”. A tego bał się najbardziej. Każda minuta w cichym gabinecie śledczego, bez smrodu i strachu przed sąsiadami z celi, była dla Sani cenniejsza niż złoto.

Śledczy siedział bez ruchu, tylko powieki mu się uniosły i oczy ożywiły.

* No i czemu pan przestał mówić? * odezwał się z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

* Ja pana bardzo uważnie słucham. Butejko przyszedł do szkoły w koszuli uszytej ze starej kapy. Co było dalej?

* Dalej? A co mogło być dalej? Wszyscy zaczęli się kłócić, krytykować tę nieszczęsną koszulę, oglądać ją, macać. Któraś z dziewczyn zauważyła, że szwy są obrębione zygzakiem, a nie owerlokiem, czyli koszula została uszyta na domowej maszynie do szycia. Ale Artiom nigdy się nie przejmował, jak go przyłapano na kłamstwie. Wtedy też powiedział, że właśnie to jest także krzyk mody. Najwięksi projektanci sprzedają rzeczy „hand made”, zrobione ręcznie. W efekcie osiągnął to, o co mu chodziło. Cała klasa była zajęta jego ubraniem i nim samym. Kiedy koszula „hand made” już się wszystkim znudziła, wymyślił coś innego. Przyniósł do szkoły broszkę wysadzaną szkiełkami i oznajmił, że to bardzo stary brylant. Opowiedział nam absolutnie nieprawdopodobną historię, że niby jego dziadek kopał studnię i znalazł szkatułkę z klejnotami. Oprócz innych ozdób była właśnie ta broszka z brylantem, na którą teraz polują wszyscy kolekcjonerzy i bandyci na świecie. Ten brylant zniosła kura, sto pięćdziesiąt lat temu, gdzieś na Uralu. Sania umilkł i wtulił głowę w ramiona. Był przekonany, że śledczy zerwie się na równe nogi, walnie pięścią w stół i wrzaśnie, że ma dość tych bredni i robienia z przesłuchania kabaretu. Jaka koszula? Jaka kura? Co to w ogóle ma wspólnego ze śmiercią Artioma Butejki? Tymczasem Ilia Nikitycz Borodin powiedział łagodnie:

* Proszę mówić dalej. Ja pana bardzo uważnie słucham.

Rozdział 5

Nie ma wielkości mniej stałej niż wartość pieniędzy. Przekazywane z rąk do rąk, rozpadają się; w czasach wielkich kataklizmów tracą znaczenie, a portrety wydrukowane na wytartych papierkach wyglądają jakby się uśmiechały. Spójrz, jak wygląda to, w imię czego pracowałeś w pocie czoła, traciłeś siły, nie spałeś nocami, składając na kupkę papierek do papierka.

Oczywiście można postąpić rozsądniej, zainwestować papierki w coś bardziej pewnego. Ale jeśli kupisz ziemię, to gdzie gwarancja, że jutro nie przegonię cię z tej ziemi ci, którzy okażą się silniejsi? Dom może się zawalić, zniszczyć, spalić, jak każda inna rzecz.

Złoto jest bardziej pewne, ale jest ciężkie i zajmuje sporo miejsca, nie ma w nim życia ani światła. Wartość metalu określa się tylko jego ciężarem, a nie urodą. Były takie czasy, kiedy aluminium ceniono wyżej niż złoto.

I tylko kamienie szlachetne: diamenty, szmaragdy, rubiny i szafiry nie tracą na wartości.

Kamień to najbardziej długowieczna substancja, jaka istnieje w materialnym świecie. Drogocenny kryształ żywi się światłem, wchłania w siebie czas. Chęć zawładnięcia takim zimnym, tęczowym fragmentem wieczności doprowadza wielu ludzi do szaleństwa. Można go porównać do skryzalizowanej, cudownej chwili, którą kusił przebiegły Mefistofeles doktora Fausta.

W 1701 roku w Partial, jednej z kopalni diamentów w Indiach Wschodnich, bezimienny niewolnik znalazł kryształ takiej urody, że nie mógł się z nim rozstać. Rozciął sobie biodro, wcisnął w ciało błyszczący kryształ i nosił go pod zakrwawioną opaską. Swoją tajemnicę wyjawiał przypadkowi spotkanemu angielskiemu marynarzowi. Zgodziłby się oddać swój skarb, ale nie za pieniądze, których Anglik i tak nie posiadał, ale za odzyskanie wolności. Marynarz spełnił obietnicę i wkrótce Hindus znalazł się na angielskim statku

handlowym. Jednak po wyjęciu kamienia z gnijącej rany, marynarz wyrzucił byłego niewolnika za burzę.

Frachtowiec przybił do fortu św. Jerzego w Madrasie. Marynarz sprzedał diament gubernatorowi fortu, Williamowi Pittowi. Otrzymane pieniądze nie przyczyniły się do jego szczęścia i bogactwa. Wszystko, co miał, przepuścił w portowych knajpach i się powiesił.

A szczęśliwy nowy właściciel diamentu, William Pitt, nazwał ten cud przyrody swoim imieniem („Pitt”) i, wróciwszy do ojczyzny, do Anglii, polecił oszlifować go, by stał się doskonałym brylantem. Szlifowanie trwało dwa lata i kosztowało pięć tysięcy funtów. Pozostałe okruchy sprzedano za siedem tysięcy funtów.

W 1717 roku brylant kupił książę Orleanu, ówczesny regent Francji, za sto trzydzieści tysięcy funtów. Nie nadał mu swojego imienia, lecz swój tytuł. Od tej pory brylant nazywał się „Regent”.

Kamień wprawiono w koronę Ludwika XIV na uroczystość koronacji w 1722 roku. Podczas rewolucji francuskiej głowę króla Ludwika ścięło skośne ostrze noża gilotyny. Po krwawym przewrocie nowa Republika Francuska gwałtownie potrzebowała pieniędzy. „Regent” został wyłamany z korony i sprzedany rosyjskiemu kupcowi o nazwisku * Treskow. Ale generał Bonaparte bardzo lubił szlachetne kamienie, wykupił wspaniały brylant i kazał umieścić go w rękojeści szpady. Niestety, wkrótce i on musiał się z nim rozstać, gdyż dając go w zastaw, otrzymał ogromną sumę pieniędzy, bardzo mu potrzebną. Napoleon Bonaparte chciał zawojować świat. Brylant, który mieścił się w dziecięcej dłoni miał taką wartość, że za otrzymane pieniądze Napoleon wyposażył całą armię. Wiemy, czym się to wszystko skończyło i dla żołnierzy, i dla dowódcy.

Obecnie zjawiskowo piękny „Regent” spoczywa w Luwrze, na honorowym miejscu. Być może znajdzie się kiedyś człowiek, któremu uda się włączyć ten skarb do swojej prywatnej kolekcji. I, kto wie, jak potoczy się później jego życie?

Rzymski przyrodnik, Pliniusz Starszy, w swoim dziele Historia naturalna pisał, że diament neutralizuje działanie trucizn, zwalcza jałowe brednie, uwalnia od strachu, robi się matowy w ręce mordercy. Kamień jest

niewiarygodnie twardy. Nie poddaje się uderzeniom młota na kowadle * żelazo pęka, rozlatuje się na kawałki, a diament jest nietknięty. „Ta przemożna siła, która przeciwstawia się dwóm najtwardszym elementom w przyrodzie, żelazu i ogniewi, a mięknie pod wpływem gorącej koźlej krwi”.

Rzymski uczony się myli. Mimo niespotykanej twardości kryształy diamentu są kruche i łatwo pękają od uderzenia, a koźla krew nie ma na nie żadnego wpływu. Tak czyste i błyszczące kryształy jak „Pitt” spotyka się rzadko. Surowe, nieoszlifowane kamienie nie rzucają się w oczy. Bardzo często mają matową i szorstką powierzchnię, nierzadko są pokryte warstwą innego materiału, która nosi nazwę „koszulki”. W średniowiecznych lapidariach*, w traktatach poświęconych leczniczym i magicznym właściwościom kamieni szlachetnych, twierdzi się, że diamenty „rosną” rodzinami, jeden kryształ jest mały, drugi duży, są męskie i żeńskie. Żywią się niebiańską rosą i rodzą dzieci. Pojawienie się „koszulki” u diamentowego dziecka, tak jak i u ludzkiego, jest szczęśliwym znakiem.

Wczesną wiosną 1829 roku na Uralu, w okręgu Gornobłagodatskim, w wiosce Kalinińskaja, babka Apolinaria Popowa wyszła rankiem popatrzeć, jak się ma kura, biała nioska Motia. Motia była stara, tłusta i bardzo nieśna. Zajrzawszy do kobiałki, wyłożonej miękką słomą, zaskoczona Apolinaria nie znalazła ciepłych jajeczek o mlecznej barwie. Na czystej ściółce leżało jedno, jedyne jajko, mniejsze niż gołębie, brudne, szare, a co najważniejsze * jakieś kwadratowe.

* Oj, dobrzy ludzie, a cóż to za paskudztwo? Czyżby mi ktoś urok na kurkę rzucił!? * wykrzyknęła.

Starszy wnuk, czternastoletni Pawlik, miał właśnie wyjść do pracy, przemywać złoto.

* Ty się patrz, Pawłusza, co za bieda * babka podała mu kobiałkę * ktoś urok rzucił na naszą kurkę, ale ja już wiem kto, to ta, co do dziś pietruszkuje, Raiska, wiedźma przeklęta. Pamiętasz, jak trzy dni temu Motia zginęła? To Raiska ją na swoje podwórko zwabiła, ona ma czarnego koguta. Baby mówią, że to jakiś dziwny ten kogut, zamówiony. Oj, bieda,

* Lapidarium (łac.) * miejsce, w którym są zgromadzone okazy kamieni naturalnych lub kamienne fragmenty rzeźb czy zabytkowych budowli.

Pawłusza, żal kury, teraz tylko na zupę się nada, a i to nie wiem, czy od tej zupy jakiego nieszczęścia nie będzie?

* Babko * Pawlik wziął ostrożnie do ręki brudne małe jajeczko, poskrobał paznokciem jego twarde brzośko * kury nie biegają na podwórko Raiski, ale do kopalni, kręcą się, gdzie kucharze stawę gotują. Tam jest dużo ziarna i okruchy chleba. Raiska nie ma nic do naszej kury, a jej kogut jest normalny, tyle że czarny jak węgiel i zadybny jak czort. * Pawlik mówił roztropnie, jak dorosły, i cały czas skrobał dziwne jajeczko, oglądał go w świetle.

* Aha, akurat, do kopalni * warczała dalej staruszka. * Jaja, moją gołąbkę, karmię smacznym ziarnem, nie ma po co uciekać z naszego podwórka. A ty, Pawłusza, zjedz sobie chleba z zsiadłym mlekiem.

* Babulu, a ty sąsiadkom o tym jajeczku nic nie gadaj. Nikomu ani słowa.

Zrozumiałaś? * i szybko wybiegł, zapomniawszy o chlebie i mleku.

Rozdział 6

Za oknem padał gęsty śnieg. Od tego śniegu było bardzo jasno i tak cicho, że słyhać było, jak pięć kilometrów stąd dudni po szynach samotna kolejka elektryczna.

Podmoskiewski dom Dmitrija Władimirowicza Malcewa był wielki i ciepły, z centralnym ogrzewaniem, trzema łazienkami i dwoma niedużymi pomieszczeniami na prysznic. W salonie, jadalni i sypialni były również kominki, prawdziwe, z ażurowymi ekranami i pełnymi kompletami łopatek, szczypiec, miotełek i innych przyborów.

Śnieg zaczął padać wieczorem, a nocą przeszedł w zamieć. Waria z początku patrzyła w okno, na duże śnieżynki, podświetlone światłem lamp. Potem spojrzała na czerwone języki ognia, strzelające z żarzących się węgli w kominku. W końcu wlepiła wzrok w sufit i zaczęła liczyć sło*

mę.

Oczami wyobraźni widziała wolno przesuujące się wielkie, ciemnoszare stado.

Rytm był uporczywie jednostajny. Najważniejsze, by nie skupiać się za bardzo na

liczeniu, no i nie zapominać o jękach rozkoszy i że trzeba się ruszać, ruszać. A jeszcze ważniejsze * nie myśleć, iż pod nią jest woda, sto pięćdziesiąt litrów wody, od której oddziela tylko podgumowana tkanina materaca i cienkie jedwabne prześcieradło.

Rytm narastał. Ogromny materac wodny kołysał się jak kupa gluta. Słonie pędziły po suficie. Waria pocieszała się myślą, że kiedyś nadejdzie ta szczęśliwa chwila, kiedy stanie pod prysznicem, wycisnie na gąbkę aromatyczny zielony żel i będzie się myć długo i dokładnie. Ale do tego momentu jeszcze daleko. Musi jeszcze pocierpieć co najmniej dwadzieścia minut. A to cała wieczność.

Słoniowy tupot stopniowo zlewał się w długi przeciągły dźwięk przypominający grzmot pioruna. Wydawało jej się, że stado już nie pędzi po suficie, ale po jej rozplaszczonym ciele. Czula się idealnie płaska, wdeptywana w sprężystą, poruszającą się pulpę materaca. Spocony, sapiący mężczyzna ważył około stu kilogramów. Zawsze kładł się na niej. Nie znosił innych pozycji prócz tej, najbardziej prymitywnej. Wszystko inne uważał za zboczenie.

Sił miał wiele, ale fantazji za grosz. Przez kilka pierwszych tygodni z jego wąskich ust nie wydobył się żaden dźwięk, ani raz jej nie pocałował. Czterdzieści minut grobowej ciszy i miarowego, ciężkiego rytmu poruszającego się ciała.

Po pewnym czasie rozluźnił się, można powiedzieć, że rozbrykał. Bywało, że czasem całował Warię, kąsał jej ucho, jęczał, wydawał okrzyki dziwnym, wysokim jak falset, głosem. I wówczas pojawiała się nadzieja, że wreszcie wszystko pójdzie dobrze.

Ze ten mężczyzna, jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych w Rosji * ten sprężysty małomówny grubas z żółtawymi, błyszczącymi jak mokra glina oczami, krótką, byczą szyją, szerokimi, owłosionymi nadgarstkami i cienkimi, wypielegnowanymi kobiecymi palcami * ożeni się z nią.

Dmitrij Władimirowicz Malcew był oficjalnie wiceministrem finansów, jednak jego wpływy i uprawnienia sięgały o wiele dalej, niż wskazywałoby na to raczej skromne państwowe stanowisko.

Codziennie rano przebiegał boso pięć kilometrów przez las, niezależnie od pogody, a

potem pływał w basenie z lodowatą wodą. Mając pięćdziesiąt sześć lat był zdrow jak wieprz, jak rozplodowy byk, jak dziki afrykański słoń.

Woda w basenie, zimą czy latem, miała stale tę samą temperaturę, czyli plus siedem stopni. Stojąc na brzegu, widać było cieniutkie blaszki lodu, przezroczyste jak soczewki kontaktowe. Czasem, nocą, kiedy panowała idealna cisza, wydawało się dziewczynie, że słyszy, jak dzwonią, stukając jedna o drugą, na czarnej gładzi wody, odbijającej blade zimowe gwiazdy.

„Woda, to nic strasznego * przekonywała sobie, patrząc w czarną głębię basenu * musisz się przyzwycząić do wody. Do tej pory ci się udawało, przez trzy lata, i nie jeździł z tobą do kurortów nad morzem. Lekarze przekonali go, że słońce mu szkodzi, ma coś ze skórą i opalanie jest dla niego niebezpieczne. Ale teraz już mu pozwolili się opalać, czyli tego lata ma zamiar pojechać do Nicei. Będziesz musiała wejść do morza. Przygotuj się na to, bo inaczej zaraz się zaczniesz wypytywanie, podejrzenia i on nie poprzestanie, póki nie wyjaśni prawdziwej przyczyny twojego strachu”.

* Oj, tak... * jęknęła Waria, prawie nie otwierając zaciśniętych ust. Strasznie rozboleły ją nogi. Prawe ucho miała zupełnie mokre, ob* ślinił jej szyję, do której przylepiły się kosmyki włosów. Czarna, ciężka masa wody prawie zamknęła się nad nią, nie pozwalając oddychać. Waria krzyknęła zdławionym, głuchym głosem.

Dmitrij Władimirowicz Malcew był w pełni zadowolony. Poczul się prawdziwym mężczyzną. A Waria była szczęśliwa, że już wreszcie koniec i może iść pod prysznic. Zostawiła go leżącego z zamkniętymi oczami i błogim wyrazem na spoconej twarzy. Widziała, że nie otwierając oczu, wyciągnął rękę w stronę radiotelefonu, z którym się nigdy nie rozstawał i włączył go teraz, po czterdziestu minutach przeznaczonych na miłość.

Dziewczyna narzuciła szlafrok i wyslizgnęła się z sypialni. Nim zamknęła za sobą drzwi, usłyszała słaby dźwięk telefonu i chrypiący, niezadowolony głos:

* Tak... Nie, ja ciebie bardzo dobrze słyszę, ale nie podoba mi się twój głos... Rozumiem... Mówiąc szczerze, od początku ten twój pomysł z holenderskim

korespondentem wydawał mi się głupi. Wybacz, ale aktor z ciebie żaden. Słuchaj, Pawłusza, skąd ci się wzięło takie gówniarskie awanturnictwo? Dobra, to nie jest temat na telefon. A w ogóle wszystko idzie w dobrą stronę. To zawodowiec, niech pracuje swoimi metodami. Czemu milczysz? Masz jakieś wątpliwości? Dobrze, wytłumacz... W porządku, Pasza, dosyć, nie przesadzaj. Z tego, że uważa siebie za pożeracza serc kobiecych, wcale nie wynika, że jest kompletnym idiotą. Przestań panikować. Cześć, bądź zdrów.

Waria starała się nie oddychać, zamarła przy drzwiach, dosłuchała rozmowę do końca i dopiero potem poszła pod prysznic.

U większości pracowników operacyjnych, skrupulatność starszego śledczego Borodina wywoływała wielką irytację. Pracę przy sprawie, którą prowadził Borodin, traktowano jako swego rodzaju karę dyscyplinarną.

Przeglądając materiały dotyczące sprawy zabójstwa dziennikarza Butejki, kapitan Iwan Kosickij był wyraźnie zmartwiony. Sądząc po tym, jakie czynności zamierza w związku z tą sprawą przeprowadzić śledczy, praca zapowiada się nieciekawie, a co ważniejsze, bez sensu. Gdyby na miejscu Borodina znalazł się ktoś inny, to byłby bardzo zadowolony: jest i trup, i zabójca z narzędziem zbrodni, który miał motyw. Czyli, gdyby nie Borodin, to sprawę w ciągu tygodnia przekazano by do sądu.

A jednak kapitan Kosickij uważał, że chyba jest nieszczerzy wobec siebie. Mimo iż sprawa wygląda banalnie i jednoznacznie, to jednak śledczy Borodin ma rację. Za dużo tu białych plam. Świadkowie nie zostali przesłuchani, nie przeprowadzono żadnych ekspertyz. Poza tym, oprócz Anisimowa, karę poniesie również jego dwudziestoletnia żona i maleńki syn, który będzie musiał rósć bez ojca. Anisimow ma też rodziców, naprawdę przyzwoitych ludzi. W rezultacie kapitan Kosickij zdecydował, że nie zaszkodzi, jeśli pochodzi sobie po tym dużym, cichym podwórku, porozmawia z mieszkańcami parteru.

To rzeczywiście ciekawe, dlaczego nikt w nocy nie słyszał wystrzału, mimo że pistolet nie miał tłumika? W jaki sposób udało się podejrzanemu cichutko spać ze schodów, a do tego nie nabawiwszy sobie najmniejszego guza, no i spokojnie usnąć kamiennym snem, kompletnie nawalonego pijaczka? Podsumowując: zabójca czekał

na swoją ofiarę w sieni, zachowywał się bardzo przytomnie, następnie z zimną krwią palną prosto w skroń swojemu koledze z klasy, zrobił kilka kroków ku schodkom i naraz rypnął jak długi.

Kapitan wolnym krokiem obszedł ceglany dom, w którym jeszcze niedawno mieszkał dziennikarz Artiom Butejko. Był to zwykły dziewięcio*piętrowy budynek, z trzema klatkami schodowymi, cienkimi ścianami i niskimi sufitami.

Przed domem rozpościerało się przestronne podwórko z placem zabaw dla dzieci i dwoma rzędami garaży z blachy falistej, zwanych „muszelkami”. Oprócz młodej mamy z wózkiem, skurczonej jak przemarznięty wróbel, siedzącej na oparciu połamanej ławki, oraz wyglądającego

na szesnaście lat chłopca, spacerującego z otłuszczonym sennym bokserem, nie było tam nikogo.

Skąpe zimowe słońce schowało się i od razu zrobiło się chłodniej. Mama zeskoczyła z ławki i, pchając wózek, ruszyła w kierunku drzwi wejściowych, dokładnie tych, w których doszło do zabójstwa. Kosickij ruszył za nią zdecydowanym krokiem.

* Dzień dobry * przedstawił się i pokazał służbową legitymację * czy pani mieszka w tej klatce schodowej?

* Tak, a co? Pan w związku z morderstwem? * Jej twarz momentalnie się ożywiła.

Stali bywalcy moskiewskich podwórek: babcie, mamy z dziećmi, młodzieńcy bez żadnego zajęcia, bezdomni, wszyscy oni, ostatnimi czasy, coraz rzadziej zgadzali się występować w roli świadków. Zapewne stało się to, o co tak uporczywie walczyły środki masowego przekazu. Została definitywnie zniszczona wiara w pozytywną działalność milicji, i wielu ludzi żyje w stuprocentowym przekonaniu, że od dawna nikt nie łapie przestępców, wszyscy kradną i biorą łapówki, w ogóle bandzior jest sympatyczniejszy od milicjanta.

Ale tym razem kapitanowi się udało. Mamusia z wózkiem gotowa była odpowiadać na pytania.

* Tak, ja w sprawie zabójstwa * przytaknął. * Proszę mi powiedzieć, czy tamtej nocy słyszała pani strzał?

Kobieta wzruszyła ramionami, przez chwilę się zastanawiała, a następnie

powiedziała:

* Wie pan, ja mieszkam na parterze, drzwi mam naprzeciw windy. W naszym mieszkaniu bardzo dobrze słysząc, co się dzieje na podeście. Czy tego faceta zastrzelili koło drugiej w nocy?

* O pierwszej czterdzieści pięć.

* No tak, to o tej porze byłem w łazience. Słyszałam jakiś ruch, cały czas trzaskały drzwi wejściowe. Te drzwi są ciężkie, metalowe, hałas słysząc na całej klatce schodowej, nawet jeśli sieje przytrzyma.

* Drzwi strzeliły kilka razy? * zainteresował się kapitan. * A może pani sobie dokładniej przypomnieć?

* Nie, no oczywiście wtedy nie liczyłam * kobieta ponownie wzruszyła ramionami * ale na pewno więcej niż dwa razy. Wie pan, odniosłam takie wrażenie, jakby ktoś chodził tam i z powrotem, a prócz tego na podwórku była kanonada jak na wiosnę. Potem się wszystko uspokoiło, na jakieś pół godziny. Nie kładłam się jeszcze spać, siedziałam w kuchni, piłam herbatę. No a potem znowu zaczął się ruch, znaleziono trupa, przyjechała milicja.

* Chwileczkę, wspomniała pani, że była kanonada jak na wiosnę. Co pani miała na myśli?

* Petardy * wyjaśniła kobieta * wiosną na naszym podwórku każdej nocy strzelają petardy. Jak się zaczyna pierwsze ciepłe noce, to wychodzą gówniarze na podwórko i do rana tak szaleją. W Nowy Rok też strzelają. No więc tamtej nocy, ni z tego, ni z owego, urządzili taką kanonadę, akurat między pierwszą a drugą. Pomyślałam, że może ktoś ma urodziny albo jest czyjeś wesele? Poza tym, jakoś tak, przed drugą, otwarłam lufcik i zobaczyłam, że ktoś przebiegł pod oknem. Okno mojej kuchni jest tuż obok bramy wejściowej, i zwróciłam uwagę na tego kogoś, bo po pierwsze biegł, a po drugie miał bardzo szerokie ramiona. Taki, wie pan „paker”, z byczym karkiem. Góra mięśni. Przebiegł od bramy do skrzyżowania w przecznicy. Twarzy, oczywiście, nie widziałam, patrzyłam ze światła w ciemność, ale sylwetkę zapamiętałam.

* Powiedziała pani, że to było tuż przed drugą? Nie potrafi pani określić dokładniej?

* Niestety nie. Nie patrzyłam na zegarek.

Kosickij podziękował, usiadł na oparciu ławeczki i wyjął papierosa.

„Petardy * to bardzo ciekawe. Tej samej nocy, o tej samej porze, kiedy strzelono z pistoletu, na podwórku puszczali petardy. Z bramy wybiegł barczysty osiłek. I drzwi co chwilę strzelały. Dobrze by było jeszcze z kimś pogadać na ten temat”.

Spojrzał na podwórko. Poza chłopcem, ćwiczącym swojego tłustego boksera na boisku, było pusto. Może warto z nim porozmawiać. Właściciele psów często w nocy wyprowadzają swoje czworonogi.

Trzasnęły drzwi. Wyszła jasnowłosa wysoka dziewczyna w jaskrawo*niebieskiej kurtce. Kapitan zauważył, że właściciel boksera zamarł, a potem ruszył biegiem ku dziewczynie.

* Lena, poczekaj!

Chłopcu łamał się głos, przypominając śmieszne pianie koguta.

* Czego chcesz? Mówiłam ci, żebyś mnie zostawił w spokoju. Zatrzymali się obok ławeczki, na której siedział kapitan. Bokser starał się podskoczyć, żeby polizać dziewczynę po buzi.

* Obraziłaś się?

* Powiedziałałam już, żebyś się odczepił. Też się znalazł, gówniany otello. Patrząc na ciebie nie mogę * dziewczyna skandowała słowa z wyraźną złością, a jednak stała nadal i nic nie wskazywało, że ma zamiar odejść. Kapitan skonstatował, że mimo wszystko chłopak ma jeszcze szansę.

* Lena, ja naprawdę ciebie nie śledziłem. Tak wyszło, przypadkowo. Byłem wtedy na spacerze z Zorikiem. Czegoś się nażarł i całą noc go goniło, wyciągał mnie z domu dosłownie co pół godziny.

* Szpiegujesz mnie, nie dajesz mi spokojnie przejść.

* A ty myślisz, że mi było przyjemnie patrzeć, jak się całujesz z Siwym?

* Ja? Z Siwym? * Dziewczyna prychnęła. * Zgłupiałeś do reszty? Myśmy stali i rozmawiali. A w ogóle to nie twoja sprawa.

* Aha, rozmawiali. O wpół do drugiej w nocy. Lenko, on co miesiąc ma nową dziewczynę.

* To nie twoja sprawa. Chodzisz za mną, wszędzie wtykasz swój nos. Obrzydło mi

to.

* Słuchaj, potraktuj to tak, jakbym nic nie widział. Jak ten kretyn zaczął puszczać petardy, to prawie oślepiłem.

* Hej, młodzieży, stop! * wtrącił się Kosickij. * Kto zaczął puszczać petardy?

Oboje wlepili w niego zdumione i niezbyt przyjazne spojrzenia.

* To ja idę * powiedziała Lena.

* Oj nie, bardzo proszę poczekać! * Kapitan pokazał im legitymację służbową. * Jestem z milicji. W waszym domu, w drugiej bramie, zostało popełnione morderstwo. Przed chwilą mówiliście, że w tym czasie ktoś puszczał petardy. Widzieliście kto?

* Jakiś głupek * zmieszał się chłopak * ale to był dorosły facet.

* O której to było?

* Nie patrzyłem specjalnie na zegarek... Wyprowadziłem psa, miał sraczkę, pierwszy raz wyszedłem koło dwunastej, pochodziłem jakieś piętnaście minut, potem wróciliśmy do domu, ledwo zdjąłem buty, a pies znów zaczął się prosić.

* No, rzeczywiście, strasznie to wszystkich interesuje * roześmiała się Lena * trzeba umieścić w protokole, że twój Żorik miał sraczkę. Ale ja też coś widziałam. Faceta, takiego masywnego, barczystego. Wyskoczył z tej bramy i... galopem pognął przed siebie! Ten, co rzucał petardy, poleciał za nim. Skręcili za róg. Nie przyglądałam im się, bo było ciemno i za daleko. Tylko sylwetki widziałam.

* A możesz opisać tego, który rzucał petardy? * Nie.

* A ty?

* Ja też mu się specjalnie nie przyglądałem * chłopak wzruszył ramionami * ale kilka razy był silny błysk petardy i wtedy oświetliło go od stóp do głów. Nie był wysoki, chyba taki jak ja. Ale dość gruby. W ciemnej krótkiej kurtce, a nogi miał iksowate, jak to tłusciochy. Zaczął biec i od razu było widać, że sportowiec z niego żaden. Biegł ciężko, kiwał się na boki.

Kosickij zapisał w notesie nazwiska i adresy młodziaków, podziękował im, pożegnał się i zeskoczył z ławeczki.

* A może ten facet specjalnie rzucał petardy, żeby strzału nie było słychać? * dobiegł

go z tyłu głos Leny.

Zanim Natasza Anisimowa pojechała na konsultację z prawnikiem, odwiozła dziecko do mamy.

* Wcale się nie zdziwię, jeśli się okaże, że to on zabił * oświadczyła mama Nataszy, Kira Georgijewna, gdy tylko córka przestąpiła próg jej mieszkania * od samego początku wiedziałam, czym skończą się te jego ciemne sprawy.

Natasza pomyślała, że to zdanie mama przygotowała sobie znacznie wcześniej, jak tylko usłyszała, co się stało.

* Mamo, przestań * jęknęła słabym głosem, ściągając z synka kombinezon * jakie ciemne sprawy? O czym ty mówisz?

* Dobrze wiesz, o czym mówię! Kupowanie, odsprzedawanie. W normalnym języku to się nazywa spekulacja. Dawniej za takie coś wsadzali do więzienia. A teraz, proszę, wymyślili nowe słowo: biznes. Tam gdzie biznes, od razu zaczyna się kryminal. Lepiej by o dziecku pomyślał, o tobie.

* No, właśnie myślał o nas, zarabiał pieniądze.

* Ty masz tylko pieniądze w głowie! W waszym pokoleniu jest tyle cynizmu, że rozmowa z wami to coś okropnego. Kiedy byłaś młodsza, to te sprawy zupełnie cię nie obchodziły. Byłaś porządną dziewczyną, bez merkantylnego podejścia do życia, dużo czytałaś, interesowała cię muzyka, taniec towarzyski, jazda figurowa na lodzie. I po co to wszystko? Żeby rzucić uczelnię i zostać gospodynią domową, żoną nowego ruskiego?

Natasza nie miała siły zaprzeczać, temat rozmowy był stary, wstrętny, wystarczyło nawiązać do niego i od razu w ustach, nie wiadomo skąd, pojawiał się smak zjełczałej owsianki. Mama nie lubiła zięcia i nigdy tego nie ukrywała. Ostatnie wydarzenia były kolejnym dowodem na to, o czym od dawna była przekonana: Sania to ciemna postać, człowiek bez silnego kręgosłupa, pryncypiów i zasad moralnych. Zamiast pracować jako inżynier budowlaniec, zgodnie z wykształceniem, zajął się podejrzanymi sprawami, handlował nie wiadomo czym, jakimiś tabletkami na schudnięcie, środkami do depilacji, eliksirami na zwiększenie potencji, witaminami działającymi odmładzające. Mama Nataszy uczciwie przepracowała dwadzieścia pięć

lat jako lekarz higienista w stacji epidemiologicznej, rozwiodła się z mężem, kiedy córeczka miała trzy latka, i od tej pory nienawidziła mężczyzn.

Od kilku minut Natasza próbowała zdjąć Dimiczowi czapkę. Wyszła z domu bez rękawiczek, dłonie jej zmarzły i spuchnięte palce nie mogły sobie poradzić z supłem. Chłopczyk marudził, nie chciało mu się spać, nie był zadowolony, że go tak długo rozbierają, tarmoszą, a do tego bał się surowego głosu babci.

* Daj, ja rozwiążę. Ty tylko płaczesz! * Mama odsunęła córkę i przykucnęła przed Dimiczem. * Coś ty tu narobiła? Nie mogłaś normalnie zawiązać? A zjadłaś chociaż śniadanie?

* Nie chce mi się jeść.

* Chcesz zemdleć z głodu? I nie patrz tak na mnie. Idź i weź ser z lodówki. Zrób sobie kanapkę. Pieniądze, pieniądze... Jesteście wszyscy chorzy, słowo honoru. Powinnaś pomyśleć o czymś innym. Powinnaś wreszcie wyciągnąć wnioski. Masz syna.

* Mamo, jakie wnioski!? * krzyknęła Natasza z kuchni i łupnęła drzwiami lodówki.

* Bardzo poważne, Nataszo. Bardzo poważne. Z kim ty żyjesz? Jak ty żyjesz? Spójrz, jacy ludzie kręcą się koło twojego męża? Choćby tylko taki Wowa Muchin! Na czole ma wypisane, że jest prawdziwym bandytą. A, właśnie, był u nas przedwczoraj, kiedy ty poszłaś do lekarza.

* Kto? * Natasza krzyknęła i nóż jej wypadł z ręki.

* Wowa Muchin.

* Mamo, czemu nie powiedziałaś?

* Zapomniałam, przepraszam. A czy to takie ważne? Natasza wpadła do pokoju z kanapką w ręce.

* Po co przyszedł?

* Skąd mam wiedzieć, nie spowiadał mi się.

* Poczekaj, mamo. Opowiedz wszystko po kolei. Zadzwoił do drzwi, ty mu otworzyłaś...

* Nie, myśmy się spotkali na dole, w bramie. Wraciałam z Dimiczem ze spaceru, a on

nas o mało nie przewrócił drzwiami. Patrzę * twarz znajoma. Powiedziałam dzień dobry, ale się nie odezwał.

* Jesteś pewna, że to był Wowa Muchin? Widziałas go przecież nie więcej niż dwa razy i to bardzo dawno.

* Jeszcze, chwała Bogu, nie dopadła mnie skleroza i mam doskonałą pamięć do twarzy.

* Mamo, a jak wróciłaś do mieszkania, to w środku się nic nie zmieniło?

* O Boże * westchnęła ciężko kobieta * a co mogło się zmienić? Przecież nikogo w domu nie było.

* A jednak, spróbuj sobie przypomnieć. To bardzo ważne.

* Natalio, wargi ci się trzęsą, popatrz na siebie w lustrze, jak wyglądasz. Zastanów się, do czego cię doprowadził ten twój cudowny Sania! To jest ważne i o tym teraz powinnaś myśleć.

* Ale czemu się mnie czepiasz? I tak mam dosyć. Zrozum to wreszcie. Sania nikogo nie zabił, jego w to wrobili, i dlatego teraz ważny jest każdy szczegół. Zamiast warczeć, spróbuj sobie dokładnie przypomnieć wszystko na temat Muchina.

* Tak, oczywiście. Właśnie Muchin go wrobił, widziałam na własne oczy i specjalnie nie chcę ci powiedzieć. * Mama uśmiechnęła się sarkastycznie. * A czy ci nie przychodzi do głowy, moja droga panienko, że jeśli doszło do tego, to znaczy, że były ku temu przyczyny. Mnie, na przykład, nikt nigdy nie wrobi.

Natasza nie odpowiedziała, przełknęła łyżę i poszła do łazienki ściągnąć mleko z piersi na następne karmienie.

Na podeście, zegnając się i nie przejmując się obecnością sąsiadki, która czekała na windę, mama powiedziała głośno i tryumfalnie:

* Naprawdę, Nataszo, powinnaś pójść na konsultację do adwokata i poradzić się, w jaki sposób można szybko załatwić rozwód i zamienić mieszkanie. Zrozumiałaś mnie?

rozmowa z matką ofiary była tak trudna, że sprowokowała śledczego Borodina do dokładniejszego przyjrzenia się tej pani. Jelena Pietrowna Butejko trzymała się tak dzielnie, że aż trudno było uwierzyć, iż straciła jedyne syna. Mimo to na wiele pytań, bardzo zresztą prostych i niewinnych, odmawiała odpowiedzi.

* Czemu pan się pakuje w nasze życie osobiste? Jaki to ma związek z tym nieszczęściem? * wypiła kieliszek walokordinu, skrzywiła się, potrząsnęła głową i utkwiała zimne, złe oczy w twarzy Borodina.

* Prowadzę śledztwo * przypomniał.

* Po co? Morderca został zatrzymany na miejscu przestępstwa. Czego jeszcze szukać? Trzeba go postawić przed sądem. Osądzić i rozstrzelać!

Borodin siedział przy rozchwianym kuchennym stole przy oknie. Stół był nakryty wytartą ceratą i taką samą ceratą, z owocowym wzorkiem, były oklejone ściany kuchni. Na białych plastikowych drzwiczkach niewielkiej szafki widać było resztki oberwanych dziecięcych naklejek.

* Proszę tak nie krzyczeć * poprosił * prowadzimy śledztwo, a wina Anisimowa jeszcze nie została udowodniona.

* Tu nie ma co udowadniać. Powinniście sądzić mordercę, a tymczasem staracie się oszkalować rodzinę, z której już nic nie zostało. Ja znam prawo. Nie mam obowiązku odpowiadać na pańskie pytania, jeśli one mogą zaszkodzić mojej rodzinie albo mnie samej! * wypaliła Jelena Butejko, zadzierając dumnie podbródek.

* O jakiej szkodzie pani mówi? * ciężko westchnął śledczy. * Zadałem pani proste pytanie: czym poprzednio zajmował się pani mąż?

Pani Butejko wstała energicznie z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem po maleńkiej kuchni. Jej twarz zrobiła się purpurowa, oczy płonęły nienawiścią.

* Mój mąż leży w szpitalu. Ma zawał. Jak pan śmie kopać w jego przeszłości? Jego przeszłość to nie pańska sprawa. To w ogóle nie ma nic wspólnego z zabójstwem! * wykrzyknęła tak głośno, że śledczemu zadzwoniło w uszach.

* Bardzo przepraszam, ale czemu się pani tak strasznie denerwuje?

* Bo mi zabili syna! Bo mam ciężko chorego męża!

* Rozumiem i bardzo współczuję.

* Nie potrzebuję pańskiego współczucia. Te pańskie wyrazy współczucia nie są warte funta kłaków. Nikt mi nie wróci mojego chłopca! Odmawiam odpowiedzi na pańskie idiotyczne pytania.

* Odmawia pani odpowiedzi * śledczy pokiwał głową ze zrozumieniem * no cóż, to oficjalnie sformułujemy pani odmowę.

* Mój syn został zabity, mój mąż jest w szpitalu, leży na reanimacji po rozległym zawale. Czy ma pan choć odrobinę sumienia? Ja złożę skargę.

* Może pani złożyć skargę, ma pani do tego prawo. * Borodin starał się przemawiać do niej jak najłagodniej. * Potrafię zrozumieć pani stan ducha, ale reakcja na moje, jakże proste, pytania, wydaje mi się co najmniej dziwna. Ja tylko poprosiłem, żeby mi pani opowiedziała, czym się dawniej zajmował pani mąż.

Kobieta wstała i wyszła z kuchni. Po chwili wróciła i energicznie rzuciła na stół książeczkę pracy.

* Niech pan czyta!

Biografia Butejki seniora związana z pracą nie była zbyt bogata. Po ukończeniu w 1965 roku Akademii Sztuk Pięknych Wiaczesław Iwanowicz Butejko pracował jako mistrz w serwisie sprzętu domowego. W 1968 roku został zwolniony na własną prośbę i od razu został przyjęty do sklepu jubilerskiego „Bursztyn”, gdzie pracował jako mistrz artystycznego grawerunku do 1985 roku. Potem nagle zmienił zawód i zatrudnił się w fabryce obuwia „Albatros”. To była przedostatnia notatka w książeczce pracy, a dalej już tylko informacja o przejściu na emeryturę ze względu na wiek.

* Proszę mi powiedzieć, czy pani mąż zainteresował się jubilerstwem i dlatego zatrudnił się w sklepie „Bursztyn”?

* On nigdy nie miał nic wspólnego z jubilerstwem * odpowiedziała wolno, prawie cedząc sylaby.

* Anisimow przyszedł do państwa, żeby pokazać pani mężowi bardzo stary pierścionek ze szmaragdem.

* Anisimow to panu powiedział? I pan tak spokojnie powtarza słowa mordercy tutaj, w tym domu? Pan to powtarza mnie, matce zamordowanego? * Jelena Butejko

zaczęła nagle mówić tragicznym, teatralnym szeptem. * No to ja panu oficjalnie oświadczam, że to jest kłamstwo. Brudne, ohydne kłamstwo. Od pierwszego do ostatniego słowa. Ten Anisimow będzie panu teraz przeróżne rzeczy opowiadał. On przyszedł grozić mojemu synowi. Nie widziałam żadnego pierścionka, natomiast świetnie słyszałam groźby. Nasze mieszkanie jest małe, pokoje stykają się ze sobą, a ściany są cienkie. Niech się pan rozglądnie dokoła. Czy tak mieszkają ludzie mający coś wspólnego ze złotem i szlachetnymi kamieniami?

* Tak, rzeczywiście * od razu przytaknął śledczy * zazwyczaj jubilerzy są ludźmi zamożnymi. A czy pani wiedziała, że syn pożyczał duże sumy nie tylko od Anisimowa?

* Ja się nie wtrącałam w jego sprawy. Był dorosły * szybko zaterkotała w odpowiedzi i wyglądało na to, że chyba się trochę uspokoiła.

* Ale o długu u Anisimowa jednak pani wiedziała.

* Usłyszałam przypadkowo. To znaczy usłyszałam, jak Tiomoczka ostro rozmawia z kimś przez telefon. Zorientowałam się, że jest bardzo zdenerwowany i potem zapytałam, o co chodzi. I on mi wtedy powiedział.

* No więc co dokładnie powiedział?

* Poskarżył się, że Anisimow mu grozi, szantażuje.

* Szantażuje?

* Boże drogi, a jaka to różnica?

* Droga pani, czy pani wie, co to jest szantaż * spytał łagodnie Borodin, próbując pochwycić jej uciekające, przestraszone spojrzenie. * To jest groźba ujawnienia i rozgłoszenia kompromitujących, zniesławiających informacji w celu uzyskania korzyści materialnych. Jakie informacje, kompromitujące pani syna, mógł posiadać Anisimow?

* Żadne!

* No to czym chciał szantażować Artioma?

* Pan się czepia każdego słowa! Ja już jestem zmęczona.

* Proszę wybaczyć, ale zajmę pani jeszcze kilka minut. Na czym polegały te groźby?

* Mówił, że zabije Tiomoczkę.

* Tak, po prostu? Weźmie i zabije? * doprecyzował Borodin.

* No, nie tak sobie. Przez te pieniądze.

* To znaczy Artiom opowiedział pani o długu w wysokości trzech tysięcy dolarów?

Jej oczy zaczęły biegać jeszcze bardziej niespokojnie, a twarz znów zrobiła się czerwona, po czym tak, jakby gwałtownie podjęła desperacką decyzję, wypaliła:

* Nie było żadnego długu!

* O, to ciekawe * pokiwał głową śledczy, starając się zachować spokój * pani to stwierdza oficjalnie?

* Tak, ja to stwierdzam absolutnie oficjalnie. Mój syn nie był nic winien Aleksandrowi Anisimowowi. Ani kopiejki! To Anisimow żądał od niego pieniędzy, trzech tysięcy dolarów. Mój syn nie uległ szantażowi i dlatego Anisimow go zabił. Koniec. Teraz się już bardzo źle czuję i żądam, żeby pan wyszedł.

* Jeśli pani źle się czuje, to mogę wezwać lekarza.

* Nie. Niech pan da to, co mam podpisać, i proszę, żeby pan zostawił mnie w spokoju.

* Dobrze. Proszę to przeczytać i podpisać. * Śledczy podał jej protokół. Kobieta szybko przeglądnęła kartki, ale nad ostatnią jej ręka zastygła w powietrzu.

„No tak, szanowna pani, łatwiej kłamać, mówiąc, niż podpisać się na oficjalnym dokumencie pod kłamstwem”, pomyślał Borodin.

Jelena Butejko wahała się tylko przez chwilę, a on nie przypominał jej, że w protokole sporządzonym podczas pierwszego przesłuchania, zgodnie z jej słowami Anisimow pożyczył Artiomowi Butejce trzy tysiące dolarów.

Adwokat Lew Josifowicz Zyslin był tak młody i przystojny, że Natalia poczuła się pewniej. Od razu wyobraziła sobie, jak swoim niskim ak samitnym głosem przekonuje sąd, że Sania nie jest winien i nabrała wiary w pozytywny finał sprawy.

Natasza usiadła na miękkim, skórzanym fotelu w małym, przytulnym gabinecie.

* Kawa? Herbata? * padła uprzejma propozycja.

* Poproszę kawę.

* Przepraszam za osobiste pytanie, ale ile ma pani lat? * spytał adwokat z życzliwym, wyrozumiałym uśmiechem.

Natasza wiedziała, że wygląda na mniej niż dwadzieścia lat, zwłaszcza kiedy nie była umalowana. Często brali ją za niepełnoletnią.

* Dwadzieścia.

* A, to w porządku. Mówiąc szczerze, w pierwszej chwili pomyślałem, że pani ma nie więcej jak szesnaście. No więc, pani Natalio, słucham uważnie.

Wypielegnowana jasnoblond bródka nadawała jego twarzy profesorski wygląd.

Niebieskie oczy i uśmiech okraszony błyskiem śnieżnobiałych zębów dodawały nadziei. Młodziutka sekretarka w spódniczce mini przyniosła na tacy dwie filiżanki z kawą. Kawa była słaba, rozpuszczalna.

* Mój mąż został wrobiony * zaczęła Natasza, odczekawszy, aż sekretarka wyjdzie * on jest niewinny.

* Dobrze, chwileczkę * Zyslin pokręcił głową i podniósł rękę * zacznijmy po kolei.

Powiedziała pani przez telefon, że pani mąż, Aleksander Jakowlewicz Anisimow, został zatrzymany i znajduje się na komisariacie.

* Dokładnie tak. Oskarżają go o zabójstwo, ale on nie zabił.

* Po pierwsze, pani mąż na razie nie jest jeszcze aresztowany, a tylko zatrzymany. Po drugie, nie jest oskarżony, ale podejrzany. Czy pani widziała się już ze śledczym?

* Jeszcze nie. To wszystko stało się dzisiaj w nocy. Wiem, że bardzo szybko, może nawet dziś będę wezwana do śledczego, no i od tego, co powiem, dużo będzie zależało. Dlatego zdecydowałam się najpierw spotkać z panem, żeby się jakoś przygotować do przesłuchania i nie chlapnąć czegoś niepotrzebnego.

* Rozsądnie * skinął głową adwokat * a skąd takie przekonanie, że pani męża wrobiono w tę sprawę?

* Mój mąż nie mógł nikogo zabić. On nie jest do tego zdolny. Wiem, że dla pana to żaden argument, na pewno wszyscy tak mówią.

* Ależ nie, dlaczego? Nie wszyscy. Są, na przykład, takie żony, które za wszelką cenę próbują wysłać swoich ślubnych za kratki.

* No, tak, ale to jest zupełnie inny przypadek * Natalia dumnie uniosła głowę. *

Niestety, dowody świadczą przeciw niemu. Tych dowodów jest za dużo i to bez dwóch zdań świadczy o tym, że został wykorzystany. Wszystko zostało zainscenizowane tak, jakby oprócz niego nie mogło być innych podejrzanych. Gdyby on rzeczywiście zabił, to przecież nie usnąłby w sieni, obok trupa, i to jeszcze z pistoletem.

* Co, naprawdę usnął obok zwłok? * Zyslin dyskretnie się uśmiechnął. * Był pijany?

* Ależ nie! On wcale nie pije. To znaczy, czasem wypije jak każdy normalny człowiek, ale nigdy się nie upija. Proszę pana, jemu dosypali jakiegoś narkotyku do wódki albo do koniaku, albo czymś innym go napoili w tej cholernej restauracji! Po prostu go uspili. A jak się obudził, to nic nie mógł sobie przypomnieć. Zdaje się, że do tej pory nic nie pamięta. Są przecież różne preparaty, blokujące pamięć, prawda?

* Naturalnie * przytaknął Zyslin * i co było dalej?

* Co dalej? * Natasza ciężko westchnęła. * Z pewnością śpiącego załadowali do auta, zawieźli na miejsce przestępstwa i strzelili z jego pistoletu.

* A skąd mąż ma broń?

* Kupił, okazjnie * Natasza zaczerwieniła się * z głupoty, żeby samemu sobie udowodnić, jaki z niego chojrak.

* Pistolet jakiej marki?

* Walther. Ale on tę zabawkę naprawdę bardzo rzadko wynosił z domu. Tylko na początku zabierał, żeby w towarzystwie pokazać, no, pochwalić się.

* Licencję na broń mąż ma?

* Nie. Mówiłam mu, że trzeba zarejestrować, bo może mieć kłopoty. A on machał ręką, „bzdura * mówił * wszyscy znajomi mają broń i nikt nie rejestruje”.

* No, no, pani mąż ma ciekawych znajomych * chrząknął adwokat * dobrze, a znała pani tego, który został zabity?

* Nie! * zaskoczona Natasza utkwiała wzrok w adwokacie i przyłożyła dłoń do ust. * O, Boże... Ja naprawdę nie mam pojęcia, kogo zabili z tego pistoletu. Proszę wybaczyć, ale dopiero teraz zorientowałam się, że jestem zupełnie nieprzygotowana do rozmowy z panem.

* Z dotychczasowej naszej rozmowy wywnioskowałem na razie tylko jedno: sprawa

jest złożona, zagmatwana, ale nie beznadziejna. Niestety, w tej chwili muszę wyjść w sprawach służbowych. Sądzę, że nasze kolejne spotkanie będzie bardziej owocne. Proszę się teraz uspokoić. Minie szok i opowie mi pani wszystko po kolei.

* Przepraszam, jaz pewnością mówię bardzo chaotycznie, ale chcę, żeby pan zrozumiał to, co jest najważniejsze: mój mąż jest niewinny. On nie zabił.

* Ale mnie to absolutnie nie interesuje * uśmiechnął się adwokat. * Jak to? Pan odmawia obrony mojego męża? * prawie krzyknęła i nerwowo przełknęła ślinę, czując, że zaraz się rozplacze.

* Tego nie powiedziałem * pokręcił głową.

* No to jak mam rozumieć pana słowa?

* Dosłownie. Winny czy niewinny, to jest dla mnie zupełnie nieistotne. Moje zadanie polega na czymś zupełnie innym. Jestem adwokatem, a nie śledczym ani sędzią.

* To znaczy, że panu jest wszystko jedno, czy broni mordercę, czy kogoś niewinnego?

* Dokładnie tak * uśmiechnął się Zyslin * dla mnie, jako profesjonalisty, jest to zupełnie obojętne.

* To niemożliwe.

* Dlaczego?

* Ależ to proste. Po pierwsze, w sensie moralnym łatwiej jest bronić kogoś, kto jest niewinny, a po drugie... * zaczerwieniła się i urwała.

* A po drugie? * Zyslin lekko przechylił głowę i spoglądał na dziewczynę z żartobliwym zaciekawieniem. * No, proszę mówić dalej, słucham.

* Łatwiej udowodnić prawdę niż kłamstwo.

* A właśnie, że nie. Bywa odwrotnie * i prawdę znacznie trudniej udowodnić.

Prawda może być brudna, czasem całkiem nielogiczna, bywa splotem przypadkowych idiotycznych przypadków i bardzo często przeczy rozsądnemu myśleniu. Przemyślane, świadome kłamstwo, to wytwór ludzkiego intelektu. Jest bardziej pociągające i przekonujące od prawdy i dlatego łatwiej je udowodnić. Ludzie wierzą tylko w to, w co chcą wierzyć.

Nataszę zaczął trochę drażnić ten mentorski ton. Miała wrażenie, że adwokat

popisuje się przed nią lub robi sobie ćwiczenia z retoryki.

* Żebyśmy mogli przystąpić do pracy, musi pani napisać podanie, wypełnić dwa blankiety, wpłacić do kasy tysiąc rubli * poszukał w szufladzie i podał jej kilka kartek

* to jest wzór podania, a to blankiety. Moje wynagrodzenie wynosi pięć tysięcy dolarów.

* Tak, oczywiście * powiedziała machinalnie Natalia, wzięła długopis i nagle poczuła, że oblała się żarem, otworzyła torebkę i szybko ją zamknęła. * Przepraszam, zostawiłam portmonetkę w domu.

* Nic się nie stało. Przyjdzie pani jutro rano. Jeśli mnie nie będzie, to po prostu wpłaci pani pieniądze do naszej kasy, tam załatwię wszystkie formalności i pojutrze przystąpimy do pracy.

Natasza wyszła z biura adwokata cała spocona. Ledwo trzymała się na nogach. Był jasny mroźny dzień. Ostre słońce i mróz wywołały łzawienie oczu. Nic nie widziała przez drżącą tęczową mgłę i o mało nie upadła, poślizgnąwszy się na czarnym pasku lodu, ale nie poczuła bólu. Na skrzyżowaniu zapiszczały hamulce.

* No i gdzie leziesz, głupia!?! * krzyknął kierowca przez uchylone okno. * Życie ci niemiłe?

„Nie mamy pieniędzy * powtarzała sobie tępo Natasza * jakie pięć tysięcy dolarów? Załóżmy, że pięćset rubli mogłabym pożyczyć od mamy. Teściowa utrzymuje się z pensji, której miesiącami nie wypłacają. Syn często podrzucał jej sto, dwieście dolarów, ale i tak ledwo jej starczało. Jeśli chodzi o przyjaciół czy znajomych, to nie ma od kogo pożyczyć, choćby dlatego, że nie wiadomo kiedy taką sumę będziemy w stanie oddać. Nikt teraz nie ma wolnych pieniędzy. A może wynająć tańszego adwokata? Ale mnie nie stać nawet na najtańszego”.

Obiecała mamie, że przyjedzie po Dimicza zaraz po konsultacji z adwokatem, ale nim się zorientowała, przez pomyłkę dojechała do swojego domu. Nie rozbierając się, w brudnych butach poszła do kuchni. Na parapecie leżał notes telefoniczny Sanieczki. Odszukała numer Muchina. Wzięła słuchawkę, ale zaraz ją odłożyła. Jeśli Wowa w jakiś sposób jest związany z morderstwem, to w żadnym wypadku nie mogę się z nim kontaktować. Ale Sania prosił, żebym zadzwoniła właśnie do niego...

No tak, prosił, ale przecież nie wiedział, że Muchin był u nas przedwczoraj.

I w tym momencie przypomniała sobie, że już przedwczoraj pistoletu w szufladzie nie było.

Przedwczoraj przyszło zawiadomienie o zadłużeniu mieszkania. Zapłacone, stare rachunki leżały w tej samej szufladzie co pistolet i były porozrzucane. Natasza zaczęła je układać i automatycznie zarejestrowała, że nie ma broni. Chciała o to spytać męża, ale zajęła się Dimiczem i potem zapomniała.

Sania kupił pistolet w czerwcu. Natasza namawiała go, żeby schował, nikomu nie pokazywał, ale on nosił broń do znajomych i chwalił się nią jak dziecko. Szybko mu się to znudziło i schował pistolet do szuflady biurka. Ostatni raz wyjął go stamtąd bardzo dawno, chyba w sierpniu. No, tak! Dwunastego Sania miał urodziny i zaprosił dwadzieścia osób. Był też Wowa Muchin.

Natasza weszła do pokoju i usiadła przy biurku. Przymknęła oczy i wtedy, jak na taśmie filmowej, zaczęły się przesuwać obrazy z tamtego wariackiego wieczoru. Zapamiętała go dokładnie, bo to było pierwsze tak liczne przyjęcie w ich mieszkaniu po urodzeniu Dimicza.

Nie mogła się doczekać tego dnia, zawiozła dziecko do mamy, ale mama przywiozła wnuka z powrotem dosłownie po dwóch godzinach. Dimicz kategorycznie odmówił picia z butelki wcześniej ściągniętego mleka. Krzyczał tak histerycznie, że aż był siny. W rezultacie babcia siedziała z nim w małym pokoju, a w dużym odchodziła mocno zakrapiana zabawa. Natasza miotała się między dzieckiem i gośćmi. I właśnie tego wieczoru mama zwróciła uwagę na Wowę Muchina. Kiedy Natasza karmiła synka, mama mówiła do niej szeptem: „Jak można przyjaźnić się z kimś, kto ma tak bandycką mordę?”. A w nocy, kiedy prawie wszyscy goście się rozeszli, Natasza zastała męża i Wowę tu, w tym pokoju, przy biurku. Wowa oglądał pistolet z miną znawcy, a potem wycelował w czoło solenizanta i z pijackim śmiechem wykrztusił: „Paf*paf!”.

Tak więc on wiedział o broni. Czy nie dlatego przyszedł tutaj w przeddzień zabójstwa? Dopasować klucz do ich drzwi to nie problem.

* Wychodzi na to, że Sańkę naprawdę wrobili w morderstwo * powiedziała do siebie,

zrywając się z krzesła. * Tak, oczywiście, Muchin. Zaraz zadzwonię do śledczego...

Nie, najpierw chyba muszę załatwić pieniądze na adwokata.

Zaczęła krążyć po mieszkaniu, zastanawiając się, czy mają coś cennego, co można by szybko sprzedać i to za duże pieniądze. Oczywiście, pierścionek! Stary pierścionek prababci, z wielkim szmaragdem. Podbie

gła do komody, na której stała szkatułka z biżuterią i przypomniało sobie, że Sania chciała, by sprawdziła, czy w środku jest pudełeczko z nabojami do walthera. Mówił, żeby szkatułka nie dotykała i otwierała ją delikatnie, nożem.

„Dobrze, to potem. Teraz trzeba rozwiązać najważniejszy problem. Pieniądze dla adwokata. Prócz pierścionka są jeszcze kolczyki ze szmaragdami. One są bardzo drogie. Jest złoty łańcuszek, bransoletka. Pięciu tysięcy, oczywiście, nie dostanę, ale choćby ze dwa. Za sam pierścionek powinna dostać nie mniej niż tysiąc, jest przecież stary, ma duży kamień, brylanty. Przede wszystkim nie może natknąć się na oszustów; poradzi się jakiegoś znawcy, dowie się, ile to jest naprawdę warte”.

Natasza wróciła do kuchni i zaczęła znów przeglądać notes z telefonami, próbując sobie przypomnieć, kto z ich znajomych ma coś wspólnego z jubilerstwem. I przypomniała sobie. Sania wspomniał kiedyś, że ojciec Artioma Butejki pracował dawniej w sklepie jubilerskim jako grawer.

Jelena Butejko była czymś zajęta w kuchni. Zakładając w przedpokoju palto, śledczy mimo woli zaczął nucić romans Białej akacji pachnące kiście. Już był gotów do wyjścia i miał powiedzieć, że chce się pożegnać, kiedy zadzwonił telefon.

* Tak, słucham * odezwała się pani Butejko, ciężko wzdychając * kto mówi?

Natasza? Jaka Natasza?

Ilia Borodin znieruchomiał i zaczął nadśluchiwać. Przez kilka sekund była cisza i nagle rozległ się krzyk:

* Czy pani zwariowała? Czy pani zdaje sobie sprawę do kogo dzwoni? I ma pani jeszcze czelność pytać o co chodzi? Pani mąż zabił mojego syna, niech pani tu więcej nie dzwoni! * kobieta rzuciła słuchawkę z taką siłą, że widelki żałośnie stęknęły.

* Czy to dzwoniła żona Anisimowa? * śledczy z zadziwiającą dla jego wieku i tuszy lekkością znalazł się w kuchni.

* Nie mam obowiązku się panu tłumaczyć * cicho i zupełnie spokojnie odpowiedziała, ale w jej oczach był tak przeraźliwy zwierzęcy strach, że w spontanicznym odruchu Borodin zaczął współczuć tej dziwnej kobiecie.

* Czego się pani tak boi? * spytał.

* Proszę mnie zostawić w spokoju i wyjść! * krzyknęła mu prosto w twarz i odwróciła się tyłem.

* Byłoby pani o wiele lżej, gdyby zdecydowała się pani wszystko opowiedzieć.

* Ja nie mam nic do opowiedzenia.

* Nic? No dobrze * wyjął z kieszeni notes, przerzucił kartki, znalazłszy telefon domowy Anisimowa, i wykręcił numer.

Odebrano po krótkiej chwili.

* Halo! * głos był z lekka ochrypły, prawie dziecinny. * Słucham?!

* Natalia Władimirowna Anisimowa? * Tak.

* Dzień dobry, nazywam się Ilia Nikitycz Borodin. Jestem śledczym, prowadzę sprawę pani męża. Czy pani przed chwilą rozmawiała z Jeleną Pietrowną Butejko. Można wiedzieć o czym?

* Ja nie wiedziałam, że to Artiom... * w słuchawce słychać było chlipnięcie * nie wiedziałam, słowo honoru... Za nic bym nie zadzwoniła, to straszne...

* Chwileczkę, proszę nie płakać. O czym panie rozmawiały?

* Ja się tylko spytałam, czy mogłabym pokazać pierścioneł panu Butejce, żeby wycenił, bo muszę go sprzedać, żeby zapłacić adwokatowi... ja nie wiedziałam, ja tylko zapytałam...

Po drugiej stronie przewodu łzy lały się strumieniem. Obok śledczego stała pani domu i demonstracyjnie kapała do kieliszka valocordin, potrząsając ciemną buteleczką tak energicznie, jakby to ona była wszystkiemu winna.

* Dziękuję za informację. A teraz niech się pani uspokoi i proszę nie wychodzić z domu. Za pół godziny będę u pani.

W słuchawce rozlegał się miarowy sygnał, a Natasza nadal trzymała ją w ręce i patrzyła w jeden punkt.

* O matko... * powtarzała, ledwie poruszając wargami i zlizywała napływające łzy *

o matko...

Jeszcze trzy dni temu, późną nocą, piła w kuchni herbatę razem z Sanią, telewizor był włączony, na ekranie pokazała się twarz Artioma Butejki i wtedy Sania walnął pięścią w stół z taką siłą, że aż filiżanki podskoczyły i herbata się rozlała.

* Nie mogę patrzeć na tego bydlaka. Zabiłbym go, słowo honoru, nawet by mi ręka nie drgnęła.

Rozdział 8

Kryształ miał tak piękny prawidłowy kształt, że wydawało się, iż nie potrzebuje wcale szlifowania. Był czysty i przejrzysty jak powietrze w lesie, po pierwszej prawdziwej letniej ulewie. Patrząc na niego, widziałeś wszystko: i straszną, oślepiającą błyskawicę, i przelewające się jak wrząca lawa słoneczne światło, i rozbłyskujące wybuchy tysięcy iskier miniaturowych tęcz. Od niego niósł się zapach świeżego wiatru, jaki bywa przed burzą. Wiatru, który po długiej duchocie nagle się pojawia, kiedy milkną ptaki, zamierają liście na drzewach i czernieje niebo.

Pawlik Popów nosił na szyi, pod koszulą, krzyżyk i na tym samym sznureczku płócienny woreczek. Tam był schowany diament. Kiedy Pawlik biegał, kamień podskakiwał i boleśnie uderzał w jego pierś.

Wiosna na Uralu w 1830 roku była wczesna, nadeszła szybko, zaraz po majowych podtopieniach nastąpiły prawdziwe, męczące upały. Z początkiem czerwca burze przechodziły prawie każdego dnia.

Pawlik wracał z sąsiedniej wioski i burza zastała go na otwartym polu. Pioruny waliły w ziemię jak w pusty orzech. Deszcz wcale nie padał i to było jeszcze bardziej przerażające. Pawlik biegł, kamień odbijał się od ciała. Przepełniona koszula chłodziła skórę. Do swojej wsi miał już niedaleko; w białym świetle błyskawicy dostrzegł czarną jak węgiel sylwetkę opuszczonej drewnianej kapliczki i w tym momencie przeszył go okropny, przenikliwy ból. Upadł w miękki pył na drodze i stracił przytomność.

Oprzytomniał tuż po uderzeniu gromu, słysząc nad głową przeraźliwe końskie rzenie.

Lunął deszcz i przez ścianę wody chłopiec rozpoznał tuż przed sobą czarną sylwetkę, stojącą dęba i straszny pysk ze sterczącymi zębami. Końskie kopyta zawisły nad chłopcem, przebierały w powietrzu, wymieszanym z gęstymi strugami wody. Pawlik krzyknął, spróbował poderwać się z ziemi, ale nie mógł.

* Qu'est*ce que? Oh, mon Dieu, pauvre enfant! * rozległ się obok wysoki kobiecy głos.

Hrabina Olga Karlowna Paurier wracała z porannej konnej przejażdżki.

* Czo sień stało? * spytała, z trudem wymawiając słowa po rosyjsku.

* Piorun mnie zabił, Wasza Wysokość * odpowiedział Pawlik, krzywiąc się z bólu i zlizując z ust krople deszczu.

* Sabil? Oh, mon Dieu! * wykrzyknęła dama, spięła konia i ruszyła po pomoc.

Chłopca przywieziono ekwipażem hrabiny do jej domu. Piorun nie miał nic wspólnego z bólem, po prostu Pawlik potknął się o wielki kamień, upadł i stłukł kolano. Mimo to domowy lekarz hrabiostwa, Niemiec Ribbenbaum, dokładnie zbadał chłopca i oznajmił, że prócz obitego kolana widać niewątpliwe oznaki naturalnego działania elektryczności. A w takim wypadku najlepiej zakopać chłopca na kilka godzin w wilgotnej ziemi.

* Cest terrible! Cest de la barbarie! * przeraziła się hrabina. * Pauvre enfant! Je ne le permettrai pas! Nje posfalam menczycz djecka!

Krzątanina zwabiła samego pana hrabiego. Natychmiast rozpoznał Pawlika i powiedział, że to jest właśnie ten chłopiec, który rok temu znalazł w kopalni pierwszy diament.

* Oh, mon Dieu! Impossible! * krzyknęła hrabina. * Cest le garçon qui a trouve un diamant

Nie zakopali Pawlika do ziemi. Hrabina postanowiła zająć się jego kolanem; kazała przynieść sadło z nutrii, ocet winny i sole pachnące.

* Qu'est*ce que tu as? * spytała czule na widok płóciennego woreczka dyndającego na jego piersi. * Puis*je le voir }

* A, to jest... * Pawlik nie wiedział, co powiedzieć, gotów był się rozplakać, ale nagle

przypomniał sobie ładne francuskie słowo: * Souvenir!

* Oh, souvenir! * ucieszyła się hrabina. * Puisje le voir? * zahaczyła paznokciem grubą nitkę, którą był zaszyty woreczek. * Mais cest le diamant! To diamant i to jaki duszy! Ty ukradł diamant na kopalnia?

* Nie, Wasza Wysokość. Nie ukradłem. Zniosła go nasza kura! * powiedział chłopiec, pochlipując smutnie.

* Lapoule? Impossible!

Hrabia i mineralog Schmidt zostali natychmiast wezwani w charakterze ekspertów i sędziów. Ten ostatni po oglądnięciu kamienia stwierdził, że ma on nie mniej niż czterdzieści karatów, jego czystość jest zadziwiająca, brak jakichkolwiek defektów, a jeśli chodzi o historię z kurą, to wygląda na prawdziwą.

Kury żywią się twardym ziarnem. Kamienie w żołądkach pomagają w rozdrobnieniu ziaren i dlatego ptaki je dziobią, wszystko jedno jakie.

Wykorzystując tę kurzą właściwość, kopacze wynoszą z kopalni szlachetne kamienie. Pewien uczony kolega opowiedział Schmidtowni historyjkę o tym, jak kwitło „kurze” złodziejstwo w znanej kopalni szmaragdów w Chivor, w Kolumbii. Miejscowi kopacze Indianie poprosili, by im zezwolono brać ze sobą do pracy kilka kur, niby po to, żeby mogły się tam dokarmiać resztkami jedzenia. Kurki spokojnie pasły się na terenie kopalni do chwili, kiedy jeden z nadzorców zauważył, z jakim apetytem pałaszują szlachetne kamienie. Tego dnia, wracając z pracy grupę kopaczy zatrzymano, a kury wypatroszono. Ich żołądki były wypełnione cennymi szmaragdami.

* Lapoule! Cest magnifique! * wykrzyknęła hrabina.

* Czemu mnie pan wcześniej o rym nie uprzedził? * spytał rozgoryczony hrabia.

Z obwiązany kolanem i dziesięcioma rublami za pazuchą, Pawlik Popów został odesłany do domu, do wsi. Hrabina stwierdziła, że w jej kolekcji kamieni szlachetnych ten diament jest najciekawszy * ma zabawne i tajemnicze pochodzenie.

Przyjęte jest, aby takim kamieniom nadawać nazwę. Z początku dama chciała nazwać diament „La poule”, kura, ale potem doszła do wniosku, że to zbyt prostackie i lepiej będzie nadać mu imię na cześć chłopca * „Paweł”.

Hrabia wydał zarządzenie, żeby odtąd na terenie kopalni nie było ani jednej kury, a mineralog Schmidt opisał całą tę historię w swoim pamiętniku.

Natasza czekała na dzwonek do drzwi jak na strzał w plecy. Chodziła po mieszkaniu, z pokoju do pokoju, z kąta w kąt, jakby szukała miejsca, gdzie mogłaby się schować przed śledczym, który zaraz przyjdzie. Panicznie się bała, że chlapnie coś niepotrzebnego. Śledczy na pewno okaże się nędzną kreaturą, dla której priorytetem okaże się jak najszybsze skierowanie sprawy do sądu i jest absolutnie obojętne, co będzie z Sanieczką w więzieniu, co się stanie z nią i jej dzieckiem.

Nie zwróciła uwagi, że do tej pory nie zdjęła botków ani kurtki. Trzęsła się, mimo że w mieszkaniu było bardzo ciepło.

„Nie powinnam nic mówić o Muchinie * dudniło jej w głowie * może on i Sania uwikłani są razem w tę sprawę? Może dlatego Sania prosił mnie, żebym zadzwoniła, bo są współnikami? O Boże! Czyżbym naprawdę dopuszczała taką myśl, że mój mąż mógłby zabić człowieka?”

Stanęła na środku pokoju, spojrzała w lustro wiszące nad kanapą i w pierwszej chwili nie poznała siebie. Błada, z lekko szarawym odcieniem twarzy, czerwone, zupełnie nieprzytomne oczy, spuchnięty nos, potargane włosy.

Wracając do Artioma Butejki, to zawsze ją drażnił. Miał zadziwiający talent do zamieniania wszystkiego wokół siebie w ohydę. Nigdy nie rozumiała, jak Sania może z nim podtrzymywać znajomość. Wiedziała, że Artiom ma różne kontakty pomocne w interesach. Dzięki jego pomocy Sania organizował sobie jakieś sprawy reklamowe. Kiedy Artiom ich odwiedzał, zawsze mówił Nataszy coś przykrego: a to że przytyła, a to, że staro wygląda. Niby głupstwo, a od razu psuło jej humor.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Natasza wbiegła do przedpokoju, zrzuciła kurtkę i mocowała się botkami. Zamek błyskawiczny się zaciął. Szarpnąwszy z całej siły, złamała paznokiec tuż przy opuszkach, siadła na podłodze i rozplakała się, patrząc, jak sączy się krew.

„Nie, nie otworzę! Nie ma mnie w domu i już!”

Ale podniosła się z podłogi i podeszła do drzwi.

Śledczy Ilia Borodin zobaczył przed sobą przestraszoną, zapłakaną dziewczynkę w jednym bucie.

* Dzień dobry, pani Natalio * wyciągnął rękę i uściśnął jej małą lodowatą dłoń. Przy okazji zauważył krew. * Co się stało? Przecięła pani palec?

* Nie. Złamałam paznokieć. Dzień dobry. Proszę wejść. Ale ja mam niewiele czasu, bo muszę jechać do mamy, po dziecko * powiedziała szybko i, schyliwszy się, zaczęła gwałtownie szarpać zamek botka. W ząbki wszedł kawałek dzinsów.

* Proszę się nie męczyć, bo do reszty pani zepsuje * poradził śledczy * lepiej założyć drugi but, bo i tak pani musi niedługo wyjść. Ja nie zajmę pani dużo czasu.

* Pan się nazywa Ilia Nikitycz Borodin? Jest pan śledczym?

* Tak * skinął głową * ale o to należało spytać, zanim mnie pani wpuściła do mieszkania.

* Chyba tak. * Wciągnęła drugi but na nogę. * Chodźmy do pokoju. W pokoju było niewiele mebli, na środku stał dziecięcy kojec. Na jednym jego boku wisiało kilka śpioszków.

* Mam tylko kilka pytań. Czemu pani chce sprzedać pierścioneł?

* Muszę zapłacić adwokatowi. Mój mąż został wrobiony w tę sprawę. To będzie trudno udowodnić i bez adwokata się nie obejdzie * zdmuchnęła jasną grzywkę z czoła * a w ogóle, jeśli chce pan mnie przesłuchiwać, to tylko w obecności adwokata.

* Ach tak? No, dobrze. Z tym że teraz to nie jest przesłuchanie, a rozmowa. Czyja mogę z panią, ot tak, po prostu, porozmawiać?

* Może pan * burknęła i odwróciła się speszona.

* Dziękuję * uśmiechnął się śledczy * proszę mi powiedzieć, czy spotkała się już pani z adwokatem? Czy wymienił swoją cenę?

* Tak.

* Ile, jeśli to nie tajemnica?

* Dużo. Pięć tysięcy dolarów.

* To rzeczywiście dużo. Pieniądze, które był winien Butejko pani mężowi, bardzo by się teraz przydały. Prawda?

* Butejko od wielu ludzi pożyczał. W ogóle żył za pożyczone pieniądze *

zaczerwieniła się i wymruczała ledwie dosłyszalnie. Natasza miała cienką białą skórę i kiedy się czerwieniła to dostawała plamy.

* Od kogo jeszcze, prócz pani męża?

* Od kogo się dało. Mąż nie mógłby nikogo zabić, nawet Artioma.

* Dlaczego „nawet”?

* Dlatego, że Artiom o wszystkich pisał i mówił paskudztwa. Mój mąż nie ma z tym nic wspólnego * powiedziała tak szybko i cicho, że aby zrozumieć jej słowa, śledczy musiał sobie przysunąć fotel.

Zaskrzypiały kółeczka i Natasza aż podskoczyła, zdmuchnęła z czoła grzywkę i dodała, prawie krzyżąc:

* Butejko miał wielu wrogów, i wśród znanych osób też. Wszystkich oczerniał, wszystkich nienawidził, zresztą z wzajemnością. Każdy mógł wynająć zabójcę. Być może ktoś się dowiedział o długu, zwabił Sańkę w pułapkę i posłużył się nim.

* Dobrze, rozumiem. Proszę się tak nie denerwować. A czy zna pani rodziców Artioma?

* Bywaliśmy u niego w domu * jej głos znowu przeszedł w szept, poruszyła ramionami, jakby chciała strząsnąć z nich nerwowe drżenie.

* Często?

* Nie, jakieś dwa, trzy razy.

* A skąd pani wie, że ojciec Artioma zajmował się jubilerstwem?

* Sania mi mówił i sam Artiom o tym wspominał.

* Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o tym bardziej szczegółowo? Zwłaszcza to, co mówił Artiom?

* A to było takie sobie gadanie. Rozmawialiśmy o emigracji, o tym, jak pod koniec lat siedemdziesiątych Żydzi zaczęli wyjeżdżać do Izraela. Wtedy Artiom opowiedział nam w jaki sposób wywozili złoto, ile wtedy wymyślano różnych sztuczek.

Odlewano ze złota mydelniczki, ostrza do brzytw, okucia do walizek starego typu, guziki, przyciski. No i podobno jego ojciec się tym zajmował. Zarobił podobno kupę forsy. Artiom na pewno kłamał. On w ogóle lubił kłamać.

Zadzwoił telefon, Natasza zerwała się i pobiegła do kuchni.

* Przepraszam cię. Nie mogę. Teraz jest u mnie... * do Borodina dolatywał jej głośny wzburzony głos. * Nie wiem. Jak tylko wyjdzie, to zaraz przyjadę. Nie, nie mówiłam... Mamo, przestań... On mnie przesłuchuje, nie ciebie. Wowa Muchin nie ma tu nic do rzeczy... A dlatego, że możesz wszystko zepsuć. Ja ciebie bardzo proszę, nie mieszaj się. Sama będę decydować, co jest ważne, a co nie jest. To wszystko, wybacz. No, ja nie wiem, ugotuj mu kaszę... Na razie... Powiedziałam, nie!

Natalia wróciła do pokoju, usiadła w fotelu, oddychała szybko i ciężko jak po biegu na długim dystansie. Śledczy uchwycił jej skrepowane, przestraszone spojrzenie.

* Czy zdarzało się, że Butejko namawiał pani męża do udziału w jakimś programie telewizyjnym?

* Tak, ale to było bardzo dawno, chyba ze trzy lata temu. Jeszcze przed naszym ślubem. Sania mi opowiadał, że Butejko wymyślił idiotyczne talk*show, zaprosił go do odegrania w nim głównej roli. Nałożyli mu maskę i Sania miał pleść jakieś kosmiczne bzdury. Ale program się wyłożył. Tam w studiu była taka bardzo znana kobieta, która też prowadzi programy. Nie wiem, czy nie Bielajewa. Jak zaczęła zadawać pytania,

to się okazało, że cały scenariusz nie trzyma się kupy. Zresztą Butejko nigdy nic sensownego nie potrafił wymyślić. Sania o mało co się ze wstydu nie spalił. Dobrze, że był w masce.

* A czemu nie chciała pani dać mi słuchawki, kiedy pani mama o to prosiła? *

Borodin zadał pytanie, nie zmieniając intonacji.

Skrzywiła się, jakby ją coś zabolalo, przymknęła oczy i pokręciła przecząco głową.

* Ja już nie mogę... nie mogę... Podśluchiwał pan? Tak przypuszczałam!

* Ależ nic podobnego * odparł łagodnie śledczy * nie zamknęła pani drzwi, a mówiła bardzo głośno. A kto to jest Wowa Muchin?

* Nikt.

* Moja droga, przecież pani wie, że w każdej chwili mogę zadzwonić do pani mamy i dowiedzieć się, o czym chciała ze mną rozmawiać?

* Wiem * rzekła tonem skazańca * ale proszę, nie. Ona tylko wszystko popsuje.

* Proszę mi wierzyć, że nie mam najmniejszej ochoty posadzić pani męża na ławie

oskarżonych. Jeśli rzeczywiście jest niewinny * powiedział cicho.

* A pan w to wierzy? * Natasza podniosła oczy i po raz pierwszy popatrzyła mu prosto w twarz.

* Powiedzmy tak: nie wykluczam, że ktoś inny zabił Butejkę * odpowiedział z namysłem * ale to będzie bardzo trudne do udowodnienia.

* Ale po co? * spojrzenie jej zmrużonych oczu nie było przyjazne.

* Po co akurat pan ma to udowadniać?

* Racja, po co mam się męczyć? * ciężko westchnął Ilia Borodin.

* Pani męża zatrzymali na miejscu przestępstwa, strzał został oddany z jego pistoletu, jest motyw zabójstwa. No więc po co ja pani zadaję pytania? I dlaczego w ogóle do pani przyszedłem? Mogłem panią wezwać do prokuratury, mogłem przeprowadzić oficjalne przesłuchanie, a potem z czystym sumieniem przekazać sprawę do sądu.

Anisimow Aleksander Jakowlewicz będzie sądzony z paragrafu sto piątego:

„Zabójstwo umyślne”. Dadzą mu piętnaście lat. Adwokat, który żąda za swoje usługi pięć tysięcy dolarów, być może potrafi złagodzić wyrok i pani mąż dostanie dziesięć lat. Nie sądzę, by udało mu się odjąć jeszcze coś,

bo za dużo jest jednoznacznych dowodów świadczących przeciw pani mężowi.

* Tak! * przerwała mu Natasza. * O wiele za dużo! Ale wychodząc z domu, Sania nie wzięła ze sobą broni. Szedł na spotkanie w sprawie interesów, miał z kimś rozmawiać. Od sierpnia w ogóle nie dotykał pistoletu, który leżał w szufladzie...

* A strzelał kiedyś przy pani?

* Raz. Na daczcy. Do brzozy. Narysował flamastrem kółka na kartoniku i przybił do pnia. Ale w to czarne ani razu nie trafił. Proszę zrozumieć, że broń traktował jak coś w rodzaju zabawki. A najważniejsze jest to, że kiedy tego wieczoru wyszedł z domu, to pistoletu już w szufladzie nie było.

I Natasza chaotycznie, ale bardzo szczegółowo, opowiedziała śledczemu o wszystkim: o urodzinach męża, na których ostatni raz Sania demonstrował swoją broń, o Muchinie, z którym dwa dni przed zabójstwem zderzyła się mama w sieni ich domu, i nawet o tym, co wołał do niej Sania, kiedy znalazła go na komisariacie.

* I jeszcze jedno, właśnie Muchin dzwonił do niego tego ranka. Chyba z nim i

jeszcze z kimś miał się Sania spotkać wieczorem. Już wiem! * przypomniała sobie. * Z Klimem! Dlatego się pokłóciliśmy. Kiedy Sania powiedział, że idzie się spotkać z Klimem, to pomyślałam, że kłamie.

* Dlaczego?

* Wie pan, to jest jakaś mityczna figura. Wowa Muchin bez przerwy opowiada o nim tak nieprawdopodobne rzeczy, że naprawdę trudno uwierzyć, żeby mógł mieć takich znajomych.

* A Muchin powiedział, jakie nazwisko ma ten Klim?

* On chyba jest Ernest Klimow, obywatel Niemiec. Milioner, super*men, wspaniały mężczyzna. * Natasza się roześmiała. * Zawsze mi się wydawało, że Wowa po prostu opowiada o sobie, jakim sam chciałby być. Sania wiele razy go prosił, żeby go poznał z tym Klimem, ale ciągle były jakieś przeszkody i w ten sposób nikt nigdy tego Klimego nie widział. Aż tu nagle Muchin zadzwonił i powiedział, że Klim chce się z Sanią spotkać, bo ma dla niego jakieś ciekawe propozycje. Byłam pewna, że Sania mnie okłamuje. Nie ma żadnego Klimego, tylko Wowka zaprosił go na jakiś balecik, no, choćby do sauny z panienkami.

* Powiedziała mu pani, że nie ma pistoletu w szufladzie?

* Miałam powiedzieć, a potem zapomniałam.

* Czyli tak: kiedy pani przyszła na posterunek milicji, on prosił, żeby pani zadzwoniła do Muchina, a także żeby sprawdziła w szkatułce, czy jest pudełko z nabojami. Pani to zrobiła?

* Nie. Jak przyszłam, to zaraz chciałam zadzwonić do Wowy, ale potem pomyślałam, że jeśli jest w to zamieszany, to tylko wszystko popsuję. Sania przecież nic nie pamięta.

* A naboje?

* Jeszcze nie zdążyłam sprawdzić.

* A kiedy ostatni raz zaglądała pani do szkatułki?

* Oj, bardzo dawno. Trzymam tam cenną biżuterię, ale gdzie teraz mam ją nosić? Do sklepu, do przychodni dla dzieci?

* No to sprawdźmy.

* A może pan zdjąć odciski palców ze szkatułki i z tej szuflady?

* Oczywiście. Jeszcze dzisiaj kogoś przyślę. A teraz zobaczymy, czy naboje są na miejscu. Proszę się nie martwić, zrobię wszystko jak trzeba.

W szkatułce z masy perłowej naboju nie było. Pierścionka od prababci również. Zniknęły też kolczyki ze szmaragdami, złoty łańcuszek i złota bransoletka z zieloną emalią. Zostały tylko jakieś tanie srebrne drobiazgi.

Rozdział 9

W aria powoli weszła do mrocznej sali restauracyjnej, obojętnym wzrokiem prześlizgnęła się po twarzach, uśmiechnęła do kilku znajomych osób i skinęła głową właścicielowi Stasowi, czyli Stanisławowi Rusłanowiczowi Tibołowowi.

Były pięcioboista, mistrz Europy, po kontuzji najpierw został zwykłym bandytą, potem odsiedział stosunkowo niewielki wyrok, a wyszedłszy na wolność, otworzył restaurację. Nazwał ją swoim imieniem „Staś” i szybko stała się jednym z najbardziej prestiżowych miejsc w Moskwie, elitarnym klubem. Tu gotowali doskonali kucharze, był najlepszy zespół tancerki, profesjonalna ochrona.

„Jeśli teraz podejdzie, pocałuje mnie w rękę i osobiście poprowadzi do stolika, to znaczy, że wszystko jest po staremu”, to miała być dla Warii wróżba.

Spojrzała przeciągle w stronę Stasa, który siedział przy jednym ze stolików i rozmawiał ze wschodzącą gwiazdą estrady, Katią Krasną. Warię zauważył od razu, ale tylko skinął przyjaźnie, uśmiechnął się i kontynuował rozmowę z piosenkarką.

„No, cóż * pomyślała Waria * wszystko przede mną, jeszcze nie wieczór”.

Pewnego razu, siedząc samotnie przy barze, zgadała się z tutejszą tancerką.

Dziewczyna miała na imię Ella. W trakcie rozmowy nagle zamilkła w pół słowa, wlepiała wzrok w drzwi wejściowe i powiedziała cicho, klepiąc się w kolano:

* No to cześć, przegrałam do Łarisy trzysta baksów!

Waria zobaczyła, że Staś całuje w rękę jakąś rudą kobietę, z wystającymi zębami i sobolim boa na gołych ramionach. Ruda szczyrzyła wielkie jak u królika zębiska i co chwilę wybuchwała basowym niskim rechotem.

* Ona tylko z daleka wygląda młodo * szepnęła Ella * a w rzeczywistości ma już prawie pięćdziesiątka. Swoją drogą, ciekawe jak to zrobiła?

* Co?

* Wydaje się za Kirpicza.

* A kto to jest Kirpicz?

* Witalij Kirpiczow, bank „Bajkał”. No nie, to paranoja, przecież on jest młodszy od niej o trzy lata i w ogóle...

* A kiedy wesele? * ostrożnie spytała Waria.

* Skąd mam wiedzieć?

* No to skąd wiesz, że już sprawa zaklepana?

* Zapamiętaj sobie, że w taki sposób Staś wita tylko żony albo przyszłe żony.

* Ale przecież Kirpicz jeszcze się nie ożenił * zauważyła szeptem Waria.

* Ślub już postanowiony. W innym wypadku Staś nie całowałby jej w rękę. O, popatrz, prowadzi ją do stolika. Cóż, trzeba będzie Łarisie dać te trzysta baksów.

Od tej pory za każdym razem Waria z drzeniem serca czekała, że może i do niej w końcu podejdzie właściciel restauracji i pocałuje ją w rękę. Nie wiadomo czemu, ale od dawna była przekonana, że to nastąpi wcześniej, niż Dmitrij Malcew zdecyduje się powiedzieć istotne słowo.

* Cześć * mrugnął do niej młody barman * co słychać?

* W porządku. Zaparz mi kawę. * Waria pokręciła pierścionkiem z dużym rubinem, spojrzała na swój miniaturowy złoty zegareczek, nie po to, żeby sprawdzić która godzina, lecz żeby kolejny raz nacieszyć wzrok drogim cacuszkiem. Zegareczek kupiła sobie dzisiaj. Nie mając nic do roboty, podjechała do jubilera na Twerskiej.

* Waria, kawa ci stygnie * barman przysunął do niej filiżankę i pstryknął zapalniczką, widząc, że trzyma papierosa.

Jeszcze trzy miesiące temu ten młody człowiek miał wielkie trudności z zapamiętaniem, jaką Waria lubi kawę. Nie espresso, nie cappuccino, ale prawdziwą, przygotowaną tak jak na wschodzie * na gorącym piasku. Na małego rurka daje się trzy łyżki kawy i dwie cukru, no i dwa ziarenka

kardamonu. Teraz barman już się nauczył. Obok filiżanki zawsze stawiał miseczkę z prażonymi słodkimi migdałami.

Na niewielkiej scenie rozpoczął się wieczorny show. Balet tańczył do szybkiej melodii granej na fortepianie. Tym razem cały program był ułożony w stylu retro. Waria nie przesiadła się do stolika, popijała kawę, gryzła migdałki, a to, co się działo na scenie, mogła obserwować w lustrze za barem.

Dmitrij Malcew zjawił się niespodziewanie, w chwili kiedy solistka wystukiwała czeczotkę. Waria najpierw poczuła znajomy chłodek za plecami, a potem zobaczyła w lustrze czerstwą, zadbaną twarz wiceministra. Obok niego widać było pełne szacunku twarze właściciela restauracji i kierownika sali.

* Witaj słoneczko * Dmitrij nachylił się, szybko pocałował dziewczynę w policzek.

* Dzień dobry * uśmiechnęła się, zgrabnie ześlizgując się z wysokiego barowego stołka, i wzięła Dmitrija pod rękę.

* Jadłaś?

* Nie. Czekałam na ciebie.

Odprawiono ich do stolika dla ważnych osób, który był ukryty w specjalnej wnęce. Kiedy nakrywano do stołu, Waria ukradkiem obserwowała twarz Dmitrija. Miał zacisnięte usta i błyszczące oczy. Widać było, że miał ciężki dzień.

Czasami paplanie dziewczyny, jej cichy, słodki szczebiot wpływał na niego rozluźniająco, uspokajał, a innym razem na odwrót, drażnił. Waria nauczyła się już na pierwszy rzut oka odgadywać jego nastrój.

Zawsze, w każdej sytuacji, jej obecność powinna mu się kojarzyć tylko z pozytywnymi emocjami. Z nią musi mu być znacznie lepiej niż bez niej. Ale nie chodziło o to, żeby reagować pozytywnie na jego zachcianki i potrzeby.

Najważniejsze * nigdy nie może zauważyć, że dziewczyna kombinuje. Musi być przekonany, że Waria zachowuje się całkiem naturalnie, nie próbuje go tylko zadowolić, ale po prostu go kocha, czule, namiętnie dokładnie tak, jak on tego oczekuje. A przy tym ani na sekundę nie powinien podejrzewać, że chce jak najszybciej wyjść za niego za mąż. Ma być tak: bardzo go kocha, ale nie dąży do małżeństwa, ponieważ Dmitrij Malcew jest szalenie atrakcyjny jako kandydat na

męża, a prawdziwa miłość powinna być bezinteresowna.

Waria nie miała wątpliwości, że Dmitrij, mimo iż jest solidny, poważny, w dużym stopniu cyniczny, potrzebuje miłości jak każdy. Czasami, zdawkowo i skąpo, opowiadał Warii o swoich problemach z dwoma poprzednimi żonami.

Pierwsza była jego rówieśnicą, koleżanką ze studiów, która do Moskwy przyjechała z Rostowa. Była osobą bardzo zdecydowaną, nadzwyczaj szybko pozbyła się prowincjonalnego południowego akcentu, wrodzonej nadwagi i nijakiej figury. Tak samo szybko przyswoiła sobie wielkomiejski styl i w ubraniu, i w sposobie bycia. W pierwszych latach była dla Dmitrija Władimirowicza Malcewa towarzyszem walki. Wspólnie robili karierę, ale jemu brakowało tej prowincjonalnej determinacji. Nie nadążał za gwałtownie rozwijającą się karierą małżonki. Zaczęło go to denerwować, najpierw nieznacznie, a potem poważnie. W siódmym roku ich wspólnego pożycia wszystko już go drażniło. Każdy gest żyjącej z nim kobiety, każde jej spojrzenie, władcze, chamskie tony, plebejska pewność siebie, surowość sądów. Kiedy tylko podrośł syn * rozwiedli się.

* Widziała i słyszała tylko siebie * mówił Dymitr o swojej pierwszej żonie * i dlatego życie z nią było nie do wytrzymania.

Druga wybranka okazała się całkowitym przeciwieństwem pierwszej. Spokojna moskwiczanka, pulchniutka, infantylna i bez żadnych ambicji. Gotowa była zostać prawdziwym aniołem stróżem ogniska domowego. Jej ulubioną lekturą okazały się książki kucharskie i poradniki ogrodnicze. Dymitr rozplątywał się, słuchając wieczorami jej miłego szczebiotu i pochłaniając doskonale barszcze, kulebiaki, szarlotki.

Urodziła im się dziewczynka i szczęśliwy tatuś nie mógł się wprost nacieszyć swoją idealną rodziną. Żona nigdy nie podnosiła głosu. Nigdy nie okazywała, że jest z czegoś niezadowolona. Wręcz przeciwnie, bez końca powtarzała, jaka to jest szczęśliwa. Wszystko sprawiało jej radość: kasza zjedzona przez dziecko do ostatniej łyżeczki, to, że udało się ciasto na pierogi, proszek do prania, który w sklepie na sąsiedniej ulicy jest o dwa ruble tańszy...

Córeczka rosła, była tak jak mamcia * spokojna, pulchniutka, uczyła się piec pierożki

i szyć lalkom sukieneczki. Dmitrij Malcew robił karierę i stale był zajęty. Żona siedziała w domu, tyła, starzała się, wieczorami witała go smacznym ciastem i cichym szczebiotem.

* Strasznie się degradowała, prowadząc takie życie * mówił Dmitrij o swojej drugiej żonie * roztyła się nieprzyzwoicie i wyglądała na znacznie starszą niż była w rzeczywistości. A co najważniejsze, nie można się z nią było nigdzie pokazać, bo szczebiotała, nie zamykając ust i wyłącznie o tych swoich kulebiakach, o nowościach w uprawie ogródka i meksykańskich serialach telewizyjnych.

I jakby na zamówienie, pewnego pięknego poranka, przebiegając lasem swoje codzienne pięć kilometrów, Dmitrij Władimirowicz Malcew spotkał na leśnej dróżce młodą, urodziwą istotę o chabrowych oczach i jedwabistych czarnych włosach. Istota skrzyła nogę, nie mogła wstać i panu w średnim wieku nie pozostało nic innego, jak pomóc jej dojść do domu wypoczynkowego i odprowadzić aż do pokoju. Kontuzja nogi ustąpiła nadzwyczaj szybko i już po trzech dniach znów spotkali się w lesie. Ona także biegała każdego ranka i Dmitrij Malcew uznał, że uprawianie sportu we dwoje jest znacznie bardziej interesujące.

* Jakże ty masz zadziwiająco piękne oczy * usłyszała teraz Waria jego zachrypnięty, zmęczony głos i zorientowała się, że przez cały czas nie patrzył gdzieś tam, ale na nią. * To wielki dar urodzić się z takimi oczami!

* Dziękuję * uśmiechnęła się z wdzięcznością. Rzadko rozpieszczał ją komplementami. Czasem myślała, że przywykł do jej urody i przestał zwracać na nią uwagę.

* W takim oświetleniu * ciągnął dalej wolno * mają oryginalny szafirowy odcień. Wiesz, ile odcieni mają szafiry? Ponad sto. Ale mimo wszystko najpiękniejszy, błękitny odcień, mają diamenty. Jest unikalny brylant „Hope”, jeden z najbardziej zagadkowych kamieni na świecie. Wspaniałe i rzadkie, o głębokiej szafirowo*niebieskiej barwie, znakomitej czystości i szlifie. Ma idealne proporcje. Łączy w sobie kolor szafiru z blaskiem diamentu. Właśnie takiego koloru są teraz twoje oczy.

* To diamenty bywają niebieskie?

* Diamenty, Warjuszka, mogą być różowe, żółte, zielonkawe. Ale to nie jest kolor, lecz tylko odcień, który obniża wartość kamienia. Niebieskimi zwykle określa się diamenty z leciutkim odcieniem szaroniebieskim i raczej są mętne niż niebieskie.

Prawdziwy, głęboki szafirowy kolor diamentu * to istne cudo, zagadka.

* A ty widziałeś go kiedyś?

* Tak. Jest taki w Waszyngtonie, w Smithsonian Institution.

* To znaczy, że jest niczyj?

* Wielu kolekcjonerów dałoby cały swój majątek za ten kamień, ale on nie jest do sprzedania, za żadne pieniądze. Nie powinien do nikogo należeć.

* Dlaczego?

* „Hope” przynosi nieszczęście właścicielowi. W połowie szesnastego wieku przywieziono go z Indii do Europy razem z dżumą. Dżuma, oczywiście, w samym kamieniu nie było. Dżumą były zarażone szczury na statku, którym diament przyплыł. Królowa Maria Antonina pożyczyła go swojej przyjaciółce, księżniczce de Lamballe * ciągnął dalej Dmitrij, a Waria pomyślała, że tę historię opowiada raczej sobie niż jej * i wkrótce księżniczkę brutalnie zabito, a niedługo potem, sama Maria Antonina została pozbawiona głowy. Podczas rewolucji francuskiej kamień ukradziono, przechodził z rąk do rąk różnych awanturników, buntowników, dyplomatów i dopiero w tysiąc osiemset trzydziestym roku się pojawił, ale był znacznie mniejszy. Kupił go wówczas bankier Hope, po czym jego syn został otruty, a wnuk stracił cały majątek. W tysiąc dziewięćset pierwszym roku rosyjski książę Korytowski sprezentował „Hope” paryskiej tancerce, mademoiselle Ledue, którą niedługo później sam zastrzelił w szale zazdrości. Natomiast on, za kilka dni został zamordowany przez terrorystów. Następnym właścicielem „Hope” był sułtan Abdul Hamid, który podarował diament swojej kochance. W czasie przewrotu pałacowego kobieta została bestialsko uśmiercona, a sułtan zdetronizowany i wygnany z kraju. Później kamień miał pewien Hiszpan, który utonął w morzu. Kolejnymi właścicielami klejnotu była bogata amerykańska para małżeńska, i w niedługim czasie zginął w wypadku ich jedyny syn, a nieszczęśliwy ojciec zwariował.

* I ty w to wierzysz?

* To są znane fakty historyczne * uśmiechnął się Dmitrij.
* Ale czy ty wierzysz w to, że wszystkiemu winien jest kamień?
* Oczywiście.
* A dlaczego powiedziałeś, że moje oczy są takiego koloru jak ten przerażający „Hope”?
* Przestraszyłaś się, że kolor twoich oczu przyniesie nieszczęście?
* Załóżmy, że tak? * spytała całkiem serio.
* O kogo martwisz się bardziej? O siebie czy o mnie? * jego twarz była poważna, patrzył na nią bardzo uważnie i wymownie, co prawie nigdy mu się nie zdarzało.
* Boję o nas * powiedziała szybko i odwróciła głowę.
* Jaki stąd wniosek?

Czekała, aż wreszcie się roześmieje lub choćby uśmiechnie, ale nadal był poważny.

* Może powinnam nosić kolorowe szkła kontaktowe?

* W żadnym wypadku! * rozległ się obok melodyjny kobiecy głos. * Ma pani niebywały kolor oczu.

Do ich stolika podeszła blondynka w czarnym żakiecie, żona znanego polityka.

Dymitr wstał i pocałował ją w rękę.

* Za tydzień świętujemy z Markiem srebrne wesele * oznajmiła dama, siadając przy ich stoliku * będzie nam bardzo miło widzieć państwa u nas. Najpierw odbędzie się bankiet w „Pradze”, a potem niewielka lafourchette w domu, dla swoich.

* Dziękujemy, Ninoczko, z pewnością przyjdziemy * Dymitr skinął głową i jeszcze raz ucałował jej dłoń.

Waria uśmiechnęła się uprzejmie, ale uśmiech zamarł jej na ustach. Dostrzegła, w jaki sposób Dmitrij patrzy na dłoń kobiety, na jej pierścionek z ogromnym błyszczącym brylantem. Za każdym razem, kiedy widziała u niego takie spojrzenie zimnych, uważnych i zupełnie nieprzytomnych oczu, przechodził ją dreszcz.

Rozdział 10

* A jak, według pani, kryzys w Rosji wpłynął na dietność? * starsza Amerykanka w

szerokiej ludowej sukience, z dziewczęcą rudą grzywką przykrywającą grube zmarszczki na czole, świdrowała Bielajewą błyszczącymi ciemno piwnymi oczami. Liza wpatrywała się, nie odrywając wzroku, w witrynę sklepiku z pamiątkami. Jej kawa dawno ostygła, papieros tlił się na popielniczce.

* Lizo, czy pani mnie słyszy? Niedawno przyjechała na kilka dni moja znajoma z Rosji. Jane jest korespondentką gazety „Ladie's Choice” akredytowaną w Moskwie i mieszka tam już pięć lat. Przywiozła ze sobą wspomniały materiał o tym, jak niepełnoletnie dziewczyny pozbywają się niechcianej ciąży. Ponoć zdarza się, że wyrzucają noworodka do śmietnika.

* Tak, to straszne * kiwnęła głową Liza.

Ale jej rozmówczyni spodziewała się znacznie ostrzejszej reakcji, dlatego uniosła w górę brwi i zacisnęła usta.

* Proszę mi wybaczyć, jestem osobą prostolinijną i szczerą. Zawsze mówię prawdę w oczy. Wśród was, Rosjan, pojawiła się jakaś obojętność.

* Kerry, nie wszystkim można pomóc.

* Mielicie zawsze opinię narodu obdarzonego wielką empatią, a mówi się, że jesteście najbardziej bezlitośni i cyniczni. Czyżby to miało związek z demokratyzacją społeczeństwa? Czy dla słynnej rosyjskiej duszy wolność jest aż tak szkodliwa?

* Nie wiem... * Liza rzeczywiście nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Zapewne ta Amerykanka ma w pewnym stopniu rację, ale osądzać innych jest szalenie łatwo.

* A kto ma o tym wiedzieć jak nie pani? * spytała zdziwiona Kerry. * Przecież prawie każdego wieczoru ogląda panią i słucha cała Rosja.

* Ja tylko omawiam nowe informacje, fakty.

* Ale taka praca zobowiązuje do wielu rzeczy.

* Niewątpliwie.

* A propos, Jane sfilmowała jeszcze materiał reporterski na dwóch kasetach. Domy dla opóźnionych umysłowo i porzuconych dzieci gdzieś na prowincji, karne kolonie dla niepełnoletnich, w których odsiadują wyroki młodzi dzieciobójcy. Materiał jest straszny, jeszcze niezmontowany. Jane prosiła, żebym spytała, czy może chciałaby

pani wykorzystać jakieś fragmenty w jednym ze swoich programów?

* Tak, to rzeczywiście byłoby interesujące * rzekła obojętnie Liza i spojrzała na zegarek.

* Interesujące? Według mnie taki materiał powinno się koniecznie pokazać w Rosji. Dawno nie widziałam niczego podobnie wstrząsającego. Dosłownie płakałam, oglądając te straszne zdjęcia. Jako przedstawicielka ruchu feministycznego uważam, że pani obowiązkiem jest zaprezentować te kadry waszym widzom. O ile wiem, antykoncepcja do tej pory pozostaje w Rosji wyłącznie problemem kobiet. Liza w milczeniu przyglądała się umieszczonej w gablocie uroczej grupce pluszowych białych niedźwiadków i uchatek.

* Albo jest pani dzisiaj wyjątkowo zmęczona, albo mamy pierwsze symptomy nowej rosyjskiej patologicznej obojętności * Amerykanka uśmiechnęła się chłodno * mam wrażenie, że pani jest wszystko obojętne. Absolutnie wszystko.

„No i czego ona ode mnie chce? * pomyślała ospale Liza. * Bardziej gwałtownej, bardziej emocjonalnej reakcji? Trzeci wieczór z rzędu wciąga mnie w dyskusje na socjalno*psychologiczne tematy. Wczoraj omawialiśmy tragiczne położenie rosyjskich emerytów, skandaliczne warunki panujące w naszej armii, skorumpowanie urzędniczego aparatu i jego bliskie związki ze środowiskiem przestępczym. Po kolei przytaczałyśmy szokujące przykłady, ochałyśmy, achwałyśmy, byłyśmy tym przerażone, wyciągałyśmy daleko idące wnioski. Rozeszłyśmy się jak najlepsze przyja
ciółki. A dzisiaj nie potrafię się skupić na socjalnych niesprawiedliwościach i ona się czuje obrażona...”

* Przepraszam, Kerry, ale tematy, które pani teraz porusza, są bardzo poważne, a ja rzeczywiście czuję się ogromnie zmęczona i dlatego nie chcę potraktować ich po łebkach. Może przenieśmy tę rozmowę na jutro.

* Ale jutrzejszy dzień jest całkowicie wypełniony, a ja powinnam jeszcze z panią omówić całą masę spraw. Muszę się przyznać, że moja natarczywość nie jest bezzasadna. Przygotowuję duży analityczny artykuł dla tygodnika „The New Yorker” na temat sytuacji kobiet w dzisiejszej Rosji. Jane dała mi bardzo dużo materiału, ale

ona jest Amerykanką i patrzy na wasze problemy z boku. A ja chcę porozmawiać z panią, rosyjską kobietą pracującą zawodowo. Zajmę pani nie więcej niż piętnaście minut. Zgoda?

* Dobrze, Kerry.

* Po pierwsze chciałabym porozmawiać o przysłowiowej rosyjskiej cierpliwości. Kiedy mówi się, że jest to narodowa cecha charakteru, osobliwość rosyjskiej mentalności, zawsze mam ochotę dodać, że jest ona społeczno*pleciowa. Wasze kobiety, wychowane w duchu ortodoksyjnych idei, pozostają pokorne jak zwierzęta domowe, pozwalają sobie obmacywać i oceniać jak owce na rynku.

* Częściowo ma pani rację * pokiwała obojętnie głową Liza * ale jaki mają z tym związek idee ortodoksyjne?

* Mam na myśli doktrynę komunistyczną i prawosławną. Sądzę, że są to dwie strony tego samego medalu.

* O Boże, co za bzdury * mruknęła Liza w swoim języku.

* Co pani powiedziała? * poderwała się Kerry. * Przepraszam, Lizo, ale ja nie rozumiem po rosyjsku * rozciągnęła usta w uprzejmym uśmiechu. Taki uśmiech nadaje się na każdą okazję i przypomina cukierek bez cukru i śmietanę zero procentową. * Wygląda na to, że pani się nie zgadza ze mną.

* Nie zgadzam się. * Liza wreszcie wypięła troszkę kawy i energicznie zgasła papierosa w popielniczce. * Ortodoksalność rosyjskiego komunizmu nie ma najmniejszego związku z prawosławiem. To są zupełnie przeciwstawne pojęcia. Wykluczające się i wrogie sobie.

* Co pani powie! W osiemnastym roku hierarchowie Rosyjskiej Prawosławnej Cerkwi gorliwie złożyli pokłon władzy bolszewickiej. To jest fakt historyczny. Z jednej strony * masowe rozstrzeliwania duchownych, mnichów, sióstr miłosierdzia, wandalizm, niszczenie cerkiewnych świętości, a z drugiej * współpraca z katami. Wy, Rosjanie, we wszystkim dochodziliście do skrajności, a przede wszystkim w realizacji idei filozoficznych. O tym pisali wasi genialni chrześcijańscy filozofowie z początku dwudziestego wieku: Sołowiow, Bierdiajew. „Rosyjska dusza zawsze pozostawała niewyzwolona, ona nie uznaje

ograniczeń, żąda wszystko albo nic". W tym jest wasza siła, a jednocześnie niszcząca słabość. Zgadza się pani ze mną?

* Z panią czy z Bierdiajewem? * odruchowo uściśliła Liza i pomyślała, że Kerry raczej chce wygłosić swój pogląd, niż usłyszeć czyjąś opinię. No i dobrze, niech jej będzie. Na formułowanie własnej opinii Liza nie miała teraz siły.

* Z obojgiem * uśmiech Amerykanki przypominał tęczową bańkę mydlaną, lekko i płynnie wypływającą z jej cienkich warg * ale, ale... chciałabym się dowiedzieć, w jakim stopniu dla intelektualnej elity społeczeństwa nadal jest aktualna rosyjska filozofia początku ubiegłego wieku? Tam zostało sformułowanych wiele ciekawych myśli, czasem wyjątkowo precyzyjnie. Czy ta cenna spuścizna utonęła w obecnym płytkim pragmatyzmie?

„Jeśli pragmatyzm jest płytki, to jak może w nim cokolwiek utonąć?“, przemknęło Lizie przez głowę.

Patrząc nadal na sklepik z pamiątkami, „wystukała“ z pudełka papierosa i pstryknęła zapalniczką. Kerry czekała na odpowiedź i zmarszczyła nos, czując dym. W powietrzu zawisła niezręczna cisza.

* Lizo, czy z panią wszystko OK? Za dużo pani pali. Dlatego jest pani taka blada i roztargniona.

* Obawiam się, że tu chodzi o coś innego * zadudnił obok nich głęboki bas * pani Bielajewa się zakochała. Właśnie tak wyglądają zakochane kobiety. Proszę uwierzyć mojemu wieloletniemu doświadczeniu.

Miękki fotel w hotelowym barze zatrzeszczał i zakołysał się jak tandetny taboret, kiedy stukilogramowe ciało sześćdziesięcioletniego Norwega, Hansa Hansena, opadło na siedzenie. Hansen palił hebanową fajkę i nosił muszkę. Ale nie tylko do eleganckich marynarek, również do grubego sportowego swetra.

* Witam was, miłe damy. Kerry, pani zameczyła naszą Lizę swoimi feministycznymi tematami. Proszę pozwolić rosyjskiej lady choć trochę się rozluźnić. Nie jesteśmy przecież na sali konferencyjnej, no i jest już godzina jedenasta.

* Naprawdę, już jedenasta? * ożywiła się Liza, spojrzała na zegarek i podniosła się energicznie. * Przepraszam, Kerry, poruszyła pani bardzo ciekawy i ważny temat, ale

nie powinno się o nim dyskutować na śpiąco

* lekko się zarumieniła, przypomniawszy sobie, że prawie dokładnie to samo powiedziała kilka minut temu. A, niech tam! Najważniejsze, żeby jak najszybciej stąd zniknąć, znaleźć się w pokoju, zamknąć drzwi i nikogo nie widzieć.

* Dobranoc, Kerry, dobranoc, Hans.

Amerykanka majestatycznie skinęła głową. Norweg mrugnął porozumiewawczo i szepnął nieco intymnie:

* Lizo, śpij słodko. Chociaż... zakochani zazwyczaj cierpią na bezsenność * chrząknął znacząco i zaczął nabijać fajkę.

W pustej windzie Liza oparła czoło o chłodne lustro. Winda bezszelestnie pomknęła w górę. Drzwi się rozsunęły, zrobiła krok i wpadła na Krasawczenkę.

* Moment, przecież to nie pani piętro * rzekł radośnie. * Dobry wieczór.

Nacisnął guzik. Drzwi zamknęły się płynnie. Przez kilka sekund byli sami w kabinie i Lizie zrobiło się nieswojo. Potem pomyślała, że to głupie bać się tego wyliniałego kocura. Stał tuż obok, dyszał jej w twarz miętową gumą do żucia i pożerał wzrokiem. Sprawiał wrażenie, że jest gotów do bardziej aktywnego działania, ale winda zatrzymała się.

Krasawczenko przepuścił ją przodem i wyszedł za nią.

* Czy pani jest bardzo śpiąca?

* Mówiąc szczerze, tak.

* Proponuję napić się koniaczku w barze na piątym piętrze. Tylko po to, żeby się rozluźnić po długim pracowitym dniu. Po koniaku świetnie się śpi.

* Szanowny panie, koniaku nie piję, a śpię i tak bardzo mocno... * zaczęła Liza i szybko ruszyła korytarzem, gdyż z jej pokoju doleciało głośnie terkotanie telefonu. *

Pan wybaczy * powiedziała, otwierając drzwi

* dobranoc.

Sprawdziwszy, że jest sam, Krasawczenko przycisnął ucho do szpary w drzwiach.

* Tak, ja też się bardzo stęskniłam... nie, wszystko w porządku... Od razu się nie da, za jakieś dwa dni, nie wcześniej...

Krasawczenko już miał odejść i nie ryzykować stania pod drzwiami. Nic ciekawego.

Wiadomo, mąż dzwoni.

* Na razie nie wiem, w każdym razie będę musiała spędzić parę wieczorów z rodziną. W ogóle sytuacja jest coraz trudniejsza i poważniejsza, niż wyglądała na początku... Przestań. Przyjadę, to porozmawiamy... Ja też cały czas o tobie myślę, nic nie mogę poradzić... Bo to wszystko na nic. Ani dla ciebie, ani dla mnie... Nie, w żadnym wypadku. Wystarczy, że przyjechałeś mnie odprowadzić, mającyleś tam jak cień, a mnie się cały czas wydawało, że on cię widział. Jeśli zobaczę cię na lotnisku, to znów mnie zatka. On się domyśli... A ty chcesz, żeby mi było wszystko jedno, co on czuje?... Dobrze, postaram się tego z tobą nie roztrząsać... Rozumiem... Wybacz, ale tak mi źle bez ciebie... Tak... Nie... ja cię także bardzo kocham, Juroczka...

„Oho! No to mamy wierną żonę * cmoknął Krasawczenko * mamy wzorową matkę. Teraz wszystko jasne. I blask w oczach, i młodzieńczy wygląd. Jej mąż się nazywa Michaił Genrichowicz Bielajew. A kim jest

Juroczka?"

* * *

W maleńkim gabinecie śledczego zaparowały szyby. Woda w czajniku się zagotowała, gospodarz gabinetu parzył herbatę, a kapitan Kosickij przeglądał wyniki badań.

Przeprowadzono ekspertyzę poczytalności pana AJ. Anisimowa. Psychiatra ze szpitala im. Gannuszkina twierdził, że w czasie przeprowadzania badań Anisimow był poczytalny, natomiast mogło dojść do amnezji wstecznej. Pośrednio potwierdzały to również rezultaty analizy krwi.

Otóż w jego krwi znaleziono syntetyczną substancję z grupy halucynogenów, posiadającą wyraźnie narkotyczną aktywność. Substancja ta działa paraliżująco przez pewien okres czasu na funkcjonowanie mózgu. Najważniejsze w tym wszystkim było stwierdzenie, że w momencie zabójstwa narkotyki razem z alkoholem już się znajdował w organizmie Anisimowa. W tej sytuacji, nawet gdyby Anisimow bardzo chciał, to nie był w stanie oddać strzału.

* Czy to znaczy, że go wypuścimy? * spytał kapitan Iwan Kosickij, kiedy skończył czytać.

* No, jeśli z własnej kieszeni opłacisz całodobową ochronę Anisimowa, jego żony i dziecka, to możemy go wypuścić. I musi, oczywiście, pod*

pisać dokument, że nie wyjedzie. * Śledczy wyłożył pierożki na talerzyk, nalał herbatę.

Poza pierożkami miał też kanapki z wędliną. Na każdej kanapce leżał kawałeczek małosolnego ogórka i gałązka koperku.

* Słuchaj, Iwan, ja też bym bardzo chciał wypuścić faceta do żony i synka, ale na razie nie możemy tego zrobić. * Rozmieszał cukier w swojej filiżance z londyńskimi gwardzistami, wypił łyk herbaty, na chwilę zmrużył oczy, zastanawiając się, od którego pierożka zacząć: z kapustą czy drobiową wątróbką. * Nie daj Boże, żeby ten ciężarowiec z szerokimi ramionami i krótką szyją, no ten, co tak świetnie biega, zabił Anisimowa i jego żonę. Wiesz, tak w emocjach, z poczucia krzywdy. A z czym lubisz pierożki? Z kapustą, czy z wątróbką?

* Z kapustą.

* Niech będzie. Bierz tego okrągłego.

* Jeśli jest pan przekonany, że on spróbuje... To może by puścić za nim ogon i spróbować go zdjąć tuż przed.

* Jestem tylko o tym przekonany, mój drogi, że nie pozwolę użyć rodziny Anisimowych w charakterze „żywca” * powiedział gwałtownie rozdrażniony Borodin. * Ja pracuję w prokuraturze, a nie w klubie sportowym „Wędkarze*Myśliwi”. Anisimow posiedzi sobie, nic mu się nie stanie, tym bardziej że teraz nie jest w więzieniu, a w szpitalu psychiatrycznym. Tam mu robili ekspertyzę i poprosiłem, żeby go potrzymali w boksie dla rozrabiaków.

* A co, awanturuje się? * Kapitana uniósł brwi.

* Nie. Wszystko w porządku. Po prostu, tak po znajomości, zadysponowałem mu wypoczynek. Ordynator to mój stary znajomy. Mimo wszystko temu biedakowi będzie tam wygodniej niż w celi. Szczególnie, jeśli go nie będą leczyć.

* Jest pan przekonany, że morderca poszedłby na takie ryzyko? Logiczniej by było, gdyby teraz zniknął, przyczaił się. Przecież nie jest głupi.

* No co ty, jasne, że nie jest głupi. Wszystko znakomicie wykombinował. Jak się

zorientuje, że jego genialna konstrukcja ma spore pęknięcie, to wścieknie się i może w nerwach narobić sporo głupot. Przecież mógł sam poczekać na Butejkę i zastrzelić go, jak to zwykle bywa. Ale jemu była potrzebna sprytna inscenizacja. Wiesz, o czym to świadczy?

* Wcześniej przewidział, że mógłby się stać jednym z pierwszych podejrzanych?

* Nie, Wania. Z tego wynika, że potrzebował zrobić właśnie Anisimowa. Dlaczego? Tego jeszcze nie wiem. Butejko i Anisimow chodzili do jednej klasy, znali się od lat, wiele ich łączyło, więc, być może, w jakimś momencie mogły się przeciąć interesy wszystkich trzech, włączając w to ciężarowca. W każdym razie, jeśli teraz wypuścimy Anisimowa, to natychmiast stanie się bardzo niebezpiecznym świadkiem.

* Ale przecież jest jeszcze jeden świadek. Wspólnik, ten, który puszczał petardy, a przedtem ukradł Anisimowowi pistolet.

* A, to zupełnie co innego. Zaczniemy po kolei. Anisimowa zaprosili do restauracji, dodali mu do wódki albo do wina narkotyku, potem śpiącego zawlekli do auta, przywieźli do domu Butejki, położyli koło schodów, odcisnęli jego palce na pistolecie. Ciężarowiec wiedział, o której Butejko kończy audycję i prawie dokładnie wszystko rozplanował, jeśli chodzi o czas. Ale nie wiedział, co zrobić ze strzałem. Broń nie ma nacięcia do zamocowania tłumika. Na klatce schodowej jest świetna akustyka i mimo że to była noc, ktoś mógł nie spać i natychmiast zareagować na huk; wyrzecz, jeśli nie przez drzwi, to przez wizjer. I tu zaczyna się najciekawsza część planu * trik z petardami. Jeśli na podwórku, pod oknami, słyhać kanonadę, to raczej nikt na klatce schodowej nie usłyszy huku wystrzału. Choć pomysł był oryginalny, właśnie on stał się niteczką, za którą można było pociągnąć, by rozplatać cały kłębek. Nawiasem mówiąc, każda inscenizacja ma swoje słabe strony. Trzeba obmyślić i wziąć pod uwagę zbyt wiele szczegółów. Wspólnik, który wystrzeliwał petardy na podwórku, bez kłopotu został zapamiętany przez trzech świadków. Gdyby nie te petardy, to może pan Anisimow byłby naszym jedynym podejrzany.

Iwan wypił chłodną herbatę i zabrał się do samotnie leżącego na talerzyku pierożka. Mimo że śledczy mówił teraz więcej od Iwana, to zdążył i wypić herbatę, i zjeść pierożek oraz dwie kanapki.

* Chwileczkę, szefie. Powiedział pan, że być może Anisimow i zabójca się znali? Wiadomo, że do restauracji zaprosił go Muchin. Drugą osobą był ciężarowiec. Jeśli wcześniej się spotykali, to Anisimow powinien znać zabójcę.

* Na pewno zna.

* No to jak?

* Anisimow szedł do restauracji na rozmowę o interesach z nieznanym. Był nastawiony na to, że powinien spodobać się niemieckiemu biznesmenowi, Ernestowi Klimowi, i dogadać się z nim na temat współpracy, a nie po to, żeby się zastanawiać, gdzie to go widział wcześniej. Poza tym mogli się spotkać przelotnie, dawno temu. W sali restauracyjnej światło na pewno nie było za jasne, a morderca prawdopodobnie zmienił swój wygląd i tak dalej.

* Czy to znaczy, że według pana od Anisimowa nie dowiemy się nic konkretnego o tym Klimowie ciężarowcu? No dobrze, a Muchin? Przecież jego możemy nawet teraz zatrzymać. A potem, jak będziemy mieć jego odciski, to się okaże, że na pewno będą pasowały do tych, które zostały w mieszkaniu Anisimowych na szkatułce i na szufladzie biurka, w której był pistolet.

* Słuchajcie no, kapitanie, z kim chcecie się bawić w chowanego? * roześmiał się śledczy.

* A czemu by nie? Przecież sam pan powiedział, że to jest słabeusz, ten Muchin. On się natychmiast wycofa z układu i wyprowadzi nas na zabójcę...

* .. którego będziemy szukać dziesięć lat. Nie zdziwię się, jeśli ten Ernest Klim nazywa się zupełnie inaczej i nie jest żadnym niemieckim biznesmenem.

Rozdział 11

Liza przyszła na świat w 1959 roku. Jej rodzice studiowali w Instytucie Geologiczno*Poszukiwawczym, byli na drugim roku. Oboje mieli po osiemnaście lat i najbardziej na świecie cenili swoją przyszłą, modną w tym okresie, profesję, a raczej jej zewnętrzne filmowo*romantyczne atrybuty. Plecak, gitara, wagon bez przedziałów w pociągu dalekobieżnym * to było prawdziwe życie, a cała reszta

godną pożałowania „mieszkańską egzystencją”.

Później mama Lizy wpadała w depresję na widok balii z pieluszkami, a ojciec dostawał drgawek na myśl o spacerze z wózkiem po parku. Oboje strasznie się kłócili i młoda rodzina rozpadłaby się po dwóch miesiącach życia Lizy, gdyby z pomocą nie pospieszyła babcia Nadieżda, mama mamy, która miała wtedy nie więcej niż czterdzieści lat. Wspólnym wysiłkiem jakoś dociągnęli do dnia, kiedy Liza skończyła pół roku, i mogli ją oddać do żłobka. Ostatecznie do siódmego roku życia wnuczka mieszkała ze swoją młodą energiczną babcią Nadieżda, doktorem chemii, wykładowczynią na uniwersytecie.

Babcia owdowiała rok przed urodzeniem się Lizy. Jej mąż, specjalista w zakresie fizyki atomowej, szef dużego tajnego laboratorium, dostał sporą dawkę promieniowania podczas próby wywołania reakcji atomowej i zmarł na raka tarczycy. Fotografia dziadka wisiała u babci nad tapczanem. Liza otwierała czasem szufladę biurka wyjmowała czarny aksamitny futerał z dziadkowymi orderami i bawiła się w piratów, którzy ukrywają skarby na wyspie. Wiedziała, że oberwie za to, ale zawsze zdążyła wszystko

schować na czas, zamknąć szufladę i wsadzić klucz do jednej z porcelanowych miseczek w serwantce. W ten sposób babcia nigdy nic nie zauważyła. Ona w ogóle i tak nic dokoła siebie nie widziała: pisała artykuły naukowe, współpracowała z wieloma asystentami i gnała przez życie ze sprinterską szybkością, wlokąc za sobą za rączkę malutką senną Lizę, z dwoma warkoczykami, które zawsze się rozplatały po drodze do przedszkola.

* Następnym razem sama się uczesziesz * mówiła babcia, zawiązując w biegu kapronowe kokardy * i w ogóle człowiek w życiu musi wszystko robić samodzielnie. W wieku czterech lat Liza umiała już zaścielić swoje łóżko, ubierała się i rozbierała bez niczyjej pomocy, przy czym wiedziała, gdzie leżą jej koszulki, skarpetki, chusteczki do nosa i nie zanudzała babci pytaniami. Bez niczyjej pomocy czyściła pastą swoje bućki, a proszkiem do zębów białe płócienne pantofelki.

Latem, ciocia Kława, siostra nieżyjącego już dziadka, zabierała ją czasem na daczę. Liza lubiła ten stary, drewniany, piętrowy dom z dużą oszkloną werandą. Parcela

wielkości tysiąca metrów kwadratowych wydawała się jej ogromnym światem. Tam trzepotały skrzydełka motyli, bzyczały komary, grały polne koniki, w maliniaku pod płotem zła pokrzywa broniła matoworubinowych delikatnych jagódek. W końcu czerwca, nad gęstą ciemną zielenią krzaków, krążył szary dmuchawcowy śnieg. Liza wiedziała, że przed rewolucją w tym miejscu był majątek ziemski Baturino. Tam, koło bagna, gdzie działka daczy przechodziła w dębowy las, zachował się jeszcze okrągły kamienny fundament altanki.

Babcia Nadieżda rzadko przyjeżdżała na daczę, a rodzice Lizy jeszcze rzadziej. Od maja do września w tym bajkowym miejscu mieszkali z ciotką Klawą jej syn Walery i synowa Zoja. Nie mieli dzieci i nie potrafili z malutką Lizą znaleźć wspólnego języka. Albo szczebiotali po dziecięcemu, albo złościли się z powodu głupstwa i zaczynali ją na siłę wychowywać. Właściwie większość dnia Liza spędzała sama. Dziewczynka wyczuwała, że między dorosłymi są jakieś niedobre i skomplikowane wzajemne stosunki, ale tak lubiła dom, ogród, dębowe zarośla, srebrzyste żabie bagienko w głębi ogrodu, że starała się nie dostrzegać rodzinnych konfliktów i nalegała, żeby ją brano na daczę. A że coś tam mówią na babcię, to nieważne, bo ona i tak jest najładniejsza i najmądrzejsza na świecie.

Babcia * zgrabna, zwinna, z gładkimi, błyszczącymi włosami koloru cytrynowego karmelu, w jasnych wąskich sukienkach, pantofelkach na cienkich szpilkach, owiana zapachem drogich perfum * przywoziła ją do przedszkola przed wszystkimi, czasem nawet zanim nadeszły wychowawczynie, a zabierała najpóźniej.

* Jesteś mądrą dziewczynką i rozumiesz, że musiałam zostać w pracy * mawiała. Swoich rodziców Liza widywała rzadko i raczej nie traktowała poważnie. W babcinym pokoju, wymuskany i elegancki, pojawiały się hałaśliwe, nieciekawie ubrane istoty, od których zalatywało dymem, a twarze miały ciemne od wiatru i słońca.

Tata miał zmierzwioną jasną brodę, która nieprzyjemnie się ruszała, kiedy mówił lub jadł. Kiedyś opowiadał w kuchni o kolejnych przygodach w tajdze, a mama wyjęła z kieszeni sztormiaka składany nóż, otworzyła nim puszkę mielonki, odłamała piętę od bochenka pszennego chleba i zaczęła jeść prosto z puszki, wkładając do ust kawałki

mięsa nadziane na koniec noża.

* Oleńko, już nie jesteś w tajdze * powiedziała cicho babcia i Liza na całe życie zapamiętała wyraz jej twarzy.

Rodzice nigdy nie zatrzymywali się w Moskwie na dłuższy czas, a jeśli już tak się zdarzyło, to niewielkie, dwupokojowe mieszkanie na Nowych Czeriomuszkach w ciągu kilku dni zamieniało się w filię ekspedycji geologicznej. Na środku pokoju był rozstawiony namiot i mama, siedząc na podłodze, łątała go i zszywała. W sąsiednim pokoju tata naprawiał kajak. Przychodzili brodaci młodzi mężczyźni w grubych swetrach, a dziewczyny, o wyglądzie sportsmenek czy turystek, paliły papierosy na balkonie. Przez cały czas ktoś grał na gitarze i śpiewał piosenki o tajdze. Malutka Liza prosiła na ogół, żeby ją odwiedzić z powrotem do babci.

Rodzice bez problemu dawali sobie radę w warunkach polowych. Tam, na stepach Kazachstanu, na Kamczatce i Kuryłach, we wschodniosyberyjskiej tajdze potrafili rozpaść ognisko jedną zapalką, podczas ulewnego deszczu rozbić namiot w dziesięć minut, budować nieprzemakalne szałas z gałęzi świerkowych albo skrócić kociołek z kory brzoźowej. Natomiast w mieście źle się czuli. Problemem było choćby mycie naczyń, a pójście na zakupy do sklepu spożywczego graniczyło z bohaterskim wyczynem.

Kiedy Liza skończyła siedem lat, babcia z czystym sumieniem oddała dziewczynkę rodzicom. Dziecko powinno chodzić do szkoły położonej najbliżej miejsca zamieszkania, a u babci zmieniała się sytuacja * wychodziła za mąż za swojego asystenta. Poza tym była w trakcie pisania pracy habilitacyjnej, wkrótce miała zostać kierownikiem katedry i nie mogła już poświęcać wnuczce wolnego czasu, a dziewczynka była już duża i całkiem samodzielna.

Z wiekiem Liza coraz bardziej upodobniała się do babci Nadzieży. Plan zajęć w ciągu dnia miała rozpisany co do minuty, kołnierzyki i mankiety u szkolnej brązowej sukienki lśniły bielą, czerwona chusta była idealnie wyprasowana, buty wyczyszczone do połysku, wyszczotkowane jasne włosy z popielatym odcieniem błyszcząły jedwabście i były starannie zaplecione w ciasny warkocz.

Patrząc z boku, wydawało się, że nic nie sprawia jej kłopotów i wszystko osiąga bez

wysiłku. Nikt się nie domyślał, że mądra, pedantyczna i uśmiechnięta dziewczynka żyje tak, jakby szła po linie nad przepaścią i każdy nerwowy krok jest śmiertelnie niebezpieczny. Liza nie umiała wybaczyć sobie najmniejszego błędu. Złościła się, nienawidziła samej siebie i przez to zmieniała swoje życie w koszmar. Z powodu głupstwa, przez czwórkę na okres, zaczynała gorączkować.

Na uniwersytet dostała się za pierwszym razem. Egzaminy zdała na bardzo dobry, ale nie uważała tego za osiągnięcie. Inaczej przecież być nie mogło. Na uczelni, jak i przedtem w szkole, nie miała bliskich przyjaciół. Rówieśnicy z roku odnosili się do niej tak, jakby była od nich starsza co najmniej dwadzieścia lat. Szanowali ją, słuchali, była liderem, ponieważ nigdy się nie myliła i nie cieszyły ją cudze błędy. Zawsze znajdowała wyjście z najbardziej skomplikowanej sytuacji i to nie tylko dla siebie, ale dla innych, przy czym zupełnie bezinteresownie. Do wszystkich odnosiła się przyjaźnie i życzliwie, ale nikogo nie dopuszczała do siebie bliżej niż na odległość wyciągniętej ręki.

Idealna figura, gładka skóra, regularne rysy twarzy, popielate gęste włosy, wielkie niebieskie oczy * przy takich atrybutach mogła śmiało stać się znaną i uznaną piękną, prawdziwą femme fatale, ale nie interesowało ją to.

* Jesteś ładna nawet bez malowania się. Nie ma w tym żadnej twojej zasługi i niczego nie zmienia w twoim życiu * mawiała babcia Nadież*

da. * To, co dostajemy za darmo, bez wysiłku, nie powinniśmy traktować jako coś ekstra. Kobieta, która liczy na sukces dzięki swojej aparycji, z reguły przegrywa i to sporo. Jak nie dziś, to jutro.

Na zakochanych kolegów z roku Liza spoglądała ze współczuciem. Szalejące wokół namiętności, romanse, zdrady, plotki, skrobanki, wczesne małżeństwa i rozwody dotykały ją o tyle, o ile jakiś cierpiący delikwent przyszedł się wypłakać w jej kamizelkę. Im więcej było cudzych łez, tym bardziej Liza utwierdzała się w przekonaniu, że nie dopuści do tego, by kogoś pokochać. Za błyszczącymi, zakochanymi oczami widziała mrok nierozwiązywalnych, poniżających spraw. Wędrowała więc dalej po linie nad przepaścią, obmyślając dokładnie każdy kolejny krok, ponieważ błąd mógł mieć tragiczne konsekwencje.

Nic dziwnego, że w swoim mężu Liza również, ani przez chwilę, nie była zakochana. Po prostu okazał się najmądrzejszym i najsolidniejszym z wszystkich pretendentów do jej ręki i serca.

Michaiła Genrykowicza Bielajewa Liza poznała w archiwum Muzeum Rewolucji.

Miała dwadzieścia lat, kończyła właśnie trzeci rok, pisała pracę na koniec roku i, za radą wykładowcy, zwróciła się o pomoc do specjalisty, Michaiła Bielajewa.

Trzydziestoletni intelektualista był małomówny, szeroki w barach, patrzył na studentkę w sposób wyrozumiały, delikatny i traktował ją jak małe rozpieszczone dziecko. Nikt dotąd, włączając mamę, tatę i babcię, nigdy, nawet w bardzo wczesnym dzieciństwie, nie widział w niej dziecka.

Po kilku dniach znajomości zasiedzieli się w archiwum aż do jego zamknięcia. W pustych salach nie było żywej duszy.

* Teraz zjemy coś i popracujemy dalej * powiedział i wyjął z teczki zawiniątko z kanapkami. Zawsze miał ich cztery i zawsze z serem salami, którego Liza od dzieciństwa nie cierpiała. Michaił Bielajew natychmiast się zorientował, chociaż dziewczyna była przekonana, że nie dała tego po sobie poznać.

* Nie lubi pani salami? * spytał tak poważnym tonem, jakby chodziło o szalenie istotną sprawę.

* Nie * przyznała * nie lubię.

* A jaki pani lubi?

* Szwajcarski. Taki z dużymi dziurkami, ale on bywa tylko w bufetach za „żółtymi firankami”.

Pan Bielajew wyciął cienkim nożykiem kilka równiutkich okrągłych dziurek w plasterku sera i podał Lizie kanapkę.

* Proszę. Ma pani szwajcarski ser.

Liza zrozumiała, że w ciągu najbliższych kilku lat raczej nie spotka kogoś lepszego niż on i wcale ją nie zdziwiło, gdy się oświadczył.

Dla wszystkich stanowili idealną parę. Oboje nie znosili konfliktowych sytuacji i łatwo rozwiązywali wszystkie problemy, które zawsze powstają, w czasie wspólnego życia. Byli zrównoważonymi, mądrymi, odpowiedzialnymi ludźmi i szanowali się

nawzajem, ponieważ wiedzieli, jak mało jest na świecie takich jak oni.

Liza skończyła uniwersytet z czerwonym dyplomem, a po kilku miesiącach urodził im się duży silny chłopczyk, Witia. Michaił nadal pracował w muzeum, zarabiał coraz mniej, ale to nie stanowiło problemu. Lizie udało się bowiem połączyć studia doktoranckie z pracą i wychowaniem maleństwa. Nocami pisała cięte, analityczne artykuły do modnych dzienników i tygodników, udzielała konsultacji reżyserom, którzy kręcili filmy historyczne, a przy okazji zbierała materiały do swojej pracy naukowej. Wystarczało jej pięć godzin snu i bez względu na zmęczenie, nigdy nie wybuchła i nie podniosła głosu na męża.

Im była starsza, tym bardziej czuła, że niewidoczna lina pod jej nogami jest coraz mniej naprężona. Umarła babcia Nadieżda. Ojciec odmroził sobie kończyny w kazachskim stepie i w małym rejonowym szpitaliku amputowano mu prawą dłoń i lewą stopę. W Moskwie udało się zrobić protezy, ale dla niego prawdziwe życie się skończyło, zestarzał się i zaczął strasznie pić. Mama, wiedzona miłością, z początku dokonywała heroicznych działań, opiekowała się nim, ratując przed głęboką depresją i majaczącym na horyzoncie alkoholizmem, lecz poddała się w końcu. Spróbowała odejść do innego mężczyzny, jednak wkrótce wróciła i zaczęła pić razem z mężem. Liza odwiedziła wszystkich moskiewskich znanych i nieznanymi specjalistów zajmujących się leczeniem alkoholików, przeczytała tomy literatury związanej z tym tematem, lecz z ogromnej liczby informacji wyciągnęła jedyny wniosek: nie może rodzicom pomóc! Człowiek może przestać pić tylko wtedy, kiedy sam tego zechce. Mieszkanie na Czeriomuszkach przemieniło się w cuchnącą norę. Liza zostawiała tam torby z zakupami i bez słowa wychodziła. Wszystko się waliło, niewidoczna lina pod jej nogami pękała. Spadała w przepaść i nie było nikogo, kto by ją podtrzymał. Michaił traktował ją jak „towarzysza rodzinnego życia”, istotę równą sobie, oddaną, samodzielną, która nigdy nie odważy się obarczyć go swoimi problemami. A bliskich przyjaciół, przed którymi nie wstydziłaby się rozplakać, nie miała, jako że nigdy jej na tym nie zależało. Żyła jakby sterowana autopilotem, ani przez chwilę nie pozwalała sobie na brak kontroli. Pozornie nic się nie zmieniło, nadal była bardzo pracowita, obowiązkowa, przyjazna w stosunku do

ludzi. Tylko czasami jej wzrok nieruchomiał, lodowaciał. Niebieskie oczy robiły się prawie białe, wpatrzone w jeden punkt, ale nie widzące niczego poza chaosem i mrokiem.

Witia wyrósł na mądrego i rozgarniętego chłopca. Mając rok, znał wszystkie litery, a w wieku czterech lat czytał, sylabizując. W 1988 roku Michaił Bielajew zwolnił się z muzeum i bez problemu opanował komputer. Świetnie znał angielski i niemiecki, zatrudnił się w rosyjsko*austriackiej firmie komputerowej, zaczął zarabiać przyzwoite pieniądze, wyjeżdżać za granicę.

Liza nadal pisała artykuły, wyrobiła sobie nazwisko jako komentator polityczny. Zaczęto ją coraz częściej zapraszać do telewizyjnych programów publicystycznych. Akurat nastąpiła moda na gorące dyskusje na żywo i Jelizawieta Pawłowna Bielajewa stała się ulubienicą publiczności. Mówiła przekonująco, błyskotliwie, zachowywała się swobodnie przed kamerą i bardzo dobrze wypadła na ekranie. Niedługo potem została zaproszona w charakterze eksperta do jednego z popularniejszych talk*show.

Pewnego razu znany polityk nazwał ją w jakimś wywiadzie „najsympatyczniejszą twarzą współczesnego małego ekranu”. Później, w trakcie pewnego festiwalu, na pytanie dziennikarza, co sądzi o obecnych prowadzących programy telewizyjne, popularny aktor filmowy odparł, że najbardziej podoba mu się Jelizawieta Bielajewa i żeby ją zobaczyć, w każdy czwartek ogląda jakiś głupi program młodzieżowy. Krzywił się przy tym, strzelał niecierpliwie palcami, chcąc sobie przypomnieć nazwę tej audycji.

* Ale Bielajewa nie prowadzi niczego dla młodzieży * zauważył dziennikarz * ona jest komentatorem politycznym, konsultantem.

* A jaka to różnica * aktor wyszczerzył zęby do kamery. * Poza nią tam nie ma ani na kogo patrzeć, ani kogo słuchać.

Koniec sprawy wyglądał tak, że Lizę z hukiem wywalili z programu, oświadczając, że nieprawidłowo rozumie jego koncepcję.

Wtedy przyrzekła sobie, że nie będzie cierpieć z tego powodu. Była wtedy w czwartym miesiącu ciąży i należało oszczędzać nerwy. A poza tym znany reżyser

planował przygotowania do serialu historycznego i zaprosił ją do współpracy w charakterze konsultantki.

Na cześć babci dziewczynkę nazwano * Nadieżda. O narodzinach córeczki znanej i lubianej redaktor Bielajewej obwieściło kilka cienkich ilustrowanych gazet, okraszając tekst ładnymi kolorowymi zdjęciami.

W tym akurat czasie ojciec Lizy miał zawał. Znalazł się na reanimacji. Mama na krótko rzuciła picie, pozbierała się, założyła adidas, dzinsy, zaczęła przyjeżdżać do wnuków. Przed każdą jej wizytą chowano alkohol, jaki był w domu. Mama piła mocną kawę, paliła papierosy na balkonie, czasem rwała się do prania pieluszek, zapominając, że mąż Lizy kupuje w supermarkecie dolarowym to, co można nazwać jednym z największych osiągnięć zachodniej cywilizacji * pampersy!

Ze szpitala przewieziono ojca Lizy do drogiego podmoskiewskiego sanatorium.

Właściwie prawie całkiem wyzdrowiał, ale wystarczyło, by znalazł się w swoim domu, a nawyki z przeszłości wracały. Należało oczywiście oblać powrót do zdrowia, ale ciąg alkoholowy, w towarzystwie matki, trwał przez tydzień i skończył się drugim zawałem. Tym razem nie udało się go uratować. Mama weszła w fazę samotnego picia.

Nadjusza podrosła, a Liza wróciła do telewizji. W pierwszym programie kolejny raz zmieniło się kierownictwo; Jelizawieta Bielajewa została jedną z prowadzących codzienne wiadomości i pojawiała się na ekranie dwa razy w tygodniu. Oprócz tego w każdy poniedziałek miała dwudziestominutowy program „Osobowość”. Przy filiżance kawy, w nieskrępowanej atmosferze, prowadziła rozmowy ze znanymi politykami, ekonomistami, prawnikami.

Jej popularność rosła, miała problem z wyjściem na ulicę, pójściem do sklepu.

Rozpoznawano ją, gapiono się, proszono o autografy. Kilku zwariowanych wielbicieli stale dyżurowało koło jej domu lub przed budynkiem telewizji w „Ostankino”. Wystarczyło, żeby mignęła na jakimś przyjęciu, a już zaczynały błyskać flesze i w brukowcach pojawiały się jej zdjęcia ze złośliwymi komentarzami.

„Wzór przyzwoitości, Jelizawieta Bielajewa, nigdy nie obnaża ramion i nóg, wielu podejrzewa, że nasza gwiazda telewizji ma co ukrywać”.

„Jeśli myślicie, że w kieliszku Bielajewej znajduje się francuski koniak, to jesteście w błędzie. Tam jest sok winogronowy. Bielajewa nie pije alkoholu, nie je mięsa i nigdy nie kłóci się z mężem, z którym żyje od dwudziestu lat”.

Któregoś ranka dziesięcioletnia Nadjusza wyszła na spacer z suczką Lotą, niosąc worek ze śmieciami, by go wyrzucić. Nagle z krzaków wyskoczył rozczochrany młodzian, wyrwał dziewczynce worek, wyrzucił z niego śmieci i zaczął je fotografować. Lota rzuciła się na niego, broniąc swoich skarbów, z nie do końca obgryzioną kością na czele, i wczepiła się młodzianowi w nogawkę. Później wyjaśniło się, że był to nieetatowy korespondent jakiegoś żółtego piśmidła.

Wykombinował sobie zrobienie oryginalnego reportażu na temat: co wyrzucają na śmietnik gwiazdy telewizji i show*biznesu?

Miliony ludzi interesowały się, w jakiej szkole uczą się dzieci Bielajewej, gdzie kupuje żywność, jakich używa perfum, co jada na śniadanie, które tabletki pomagają jej na ból głowy.

Można żyć pod taką presją, czasem jest to nawet przyjemne, ale wtedy, kiedy nie masz nic do ukrycia.

Rozdział 12

to, ile chcesz za te żalosne fanty * spytał z pogardą brodaty facet, podrzucając na dłoni garstkę biżuterii.

* Pocałuj się w dupę! Żalosne! * obraził się Wowa Muchin. * Oddawaj wszystko! Na Arbacie za sam pierścionek wezmę półtora kawałka zielonych.

* Ale się rozmarzył! Za wszystko więcej niż pięćset nigdzie ci nie dadzą.

Tak naprawdę Wowa był już na Arbacie. Obszedł kilku ulicznych handlarzy i rzeczywiście, nigdzie mu nie proponowali więcej niż pięćset. Był szczerze oburzony. W sklepie jubilerskim dokładnie takie same kolczyki ze szmaragdami kosztowały siedemset pięćdziesiąt kawałków. Tym bardziej martwi sprawa pierścionka. Jest bardzo stary, kamień solidny, prawdziwy szmaragd, a dokoła diamenty. Jeśli do tego dodać złotą bransoletkę z emalią i złoty łańcuszek, to pięćset za wszystko jest

stanowczo za mało.

Ale bieganie z tym po mieście też nie jest bezpieczne. Trzeba się tego jak najszybciej pozbyć.

* No, dawaj z powrotem moje błyskotki i spadam * burknął Wowa, mając nadzieję, że facet dorzuci jeszcze choćby pięćdziesiątka.

* Twoje? * brodacz przymrużył oczy.

* A czyje, do cholery? * zdziwił się Wowa.

* Dobra, pięćset, bez kłótni.

* Sześćset.

* A to spójrz tam, pod daszkiem przy metro stoją dwaj lejtnanci i jedzą czebureki? czeburek (ros.) * pierożek z ostrym baranym nadzieniem smażony na tłuszczu.

Zawołajmy ich i spytajmy, jak oceniają twoje fanty. W sensie wyroku.

Brodaty, milcząc, pokazał mu pięć studolarowych banknotów. Wowa instynktownie wyciągnął rękę po pieniądze. Na widok nawet niewielkiej sumy nie był w stanie się opanować.

Kiedy miał pustki w kieszeni, był rozdrażniony, bolała go głowa i zęby. Wpadał w depresję. Cały czas był głodny. Wtedy gotował sobie makaron i zjadał go w nieprawdopodobnych ilościach * dwie paczki dziennie! Męczyły go zgaga, niestrawność żołądka i nienawiść do całego otaczającego go świata.

Pieniądze były dla Wowy Muchina czymś mistycznym. Wiedział doskonale, że pojawienie się ich zarówno w jego kieszeni, jak i w kieszeniach innych osób, nie ma żadnego związku z mało ciekawymi pojęciami jak wykształcenie, profesjonalizm, praca. Pieniądzy się nie zarabia. Pieniądze się „kombinuje”.

Ludzkość, biorąc pod uwagę jej nieskończoną różnorodność, według Wowy dzieliła się na dwie kategorie: tych, którzy potrafią kombinować i innych. Siebie, ma się rozumieć, Wowa zaliczał do grupy pierwszej, ponieważ żyć, będąc członkiem drugiej grupy, nie ma najmniejszego sensu.

Po „czarnym sierpniu” Wowa nie mógł wyjść z depresji. Praca masażysty w Centrum Odnowy nie dawała mu wielkich pieniędzy. Wystarczało na makaron i kwaśny majonez.

Centrum miało stałych klientów, wśród których byli wysoko postawieni urzędnicy, biznesmeni i inni ludzie przy forsie. Ale ci, którzy przedtem, hojną ręką dawali duże napiwki, teraz zaczęli skrupulatnie przeliczać każdy grosz. Prócz tego w ogóle klientów było znacznie mniej. Jediną nadzieję wiązał z Klimem. Tajemniczy, wielkoduszny i wszechmocny Klim.

Osiem miesięcy temu pierwszy raz przyszedł do centrum. Poćwiczył na różnych przyrządach, wyparzył się w saunie, a potem poszedł na masaż. Okazał się gadatliwym facetem. Opowiedział, że jest w Moskwie przejazdem, mieszka w Niemczech, zajmuje się biznesem. Wowa był przeświadczony o tym, że świetnie zna się na ludziach. Według niego jedną z cech charakteryzujących człowieka była wysokość i sposób da-

wania napiwku. Biznesmen z Niemiec, o pięknym imieniu Ernest, dawał dużo i z taką nonszalancją, jakby sto dolarów nie miało żadnej wartości. Od tej chwili dla Wowy było jasne, że interesy biznesmena kwitną, a z kolei w jego interesie jest podtrzymać tę znajomość. Wowa dał Niemcowi poznać, że ma szerokie znajomości wśród osób znanych, takich jak Artiom Butejko, więc gdyby potrzebował reklamy, to można ją będzie niedrogo umieścić w różnych gazetach czy periodykach.

Rzecz jasna, Wowa nie miał bladego pojęcia na temat gazetowej reklamy i jakimi możliwościami dysponuje Artiom Butejko, ale czy to istotne? Najważniejsze, by zainteresować ważnego człowieka swoją skromną osobą.

I ważna osoba, niemiecki biznesmen Ernest Klimow, zainteresował się Wową. Za każdym razem, przyjeżdżając z Niemiec do Moskwy, przychodził do niego na masaż w Centrum Odnowy, dawał mu hojne napiwki, zapraszał do drogich knajp, żeby posiedzieć i się rozluźnić. Płacił naturalnie on i nie skąpił opowieści o swoim kwitnym biznesie, o tym, jak zaczął od zera, od kilku kartonów papierosów, a skończył na milionie na bankowym koncie. Wowa bardzo chętnie też by opowiedział coś o sobie w tym stylu, ale, niestety, mógł niemieckiego biznesmena zabawiać jedynie opowieściami o swoich przyjaciółach, znajomych, o Sani Anisimowie, Artyomie Butejce. Klim słuchał bardzo uważnie i nigdy mu nie przerywał.

Kiedy w sierpniu wiadomo było, że w Rosji jest kryzys, Klima akurat nie było.

Wowa obawiał się, że więcej się już nie pokaże. Wiele zagranicznych firm zwijało wówczas swoje interesy, a Wowa nie wiedział, jakie dokładnie sprawy wiążą Klima z Rosją, jednak na pewno bardzo poważne. Klim jeździł nie dżipem, nie „mercem”, ale najzwyklejszym żiguli, i to na moskiewskich numerach. Dał Wowie do zrozumienia, że to pewien rodzaj kamuflażu. Jeśli chodzi natomiast o wytatuowane dwa pierścienie: na środkowym i serdecznym palcu, to zrobił to za młodu, z głupoty. Kiedy miał trzynaście lat zgrywał się na gieroja. Powinien to usunąć, ale nigdy nie ma kiedy.

Ernest Klimow pojawił się w końcu października i podzielił się swoimi planami na najbliższą przyszłość. Zaczynały się dziać tak nieprawdopodobne sprawy, że Wowie Muchinowi dech zapało. Mimo to nie stracił głowy, wizja wielkich pieniędzy na horyzoncie nie zaślepiła go. W szkatułce, gdzie leżały naboje, znalazł sporo cennych wyrobów jubilerskich i nie zapomniał je ze sobą zabrać. Nie jest głupi. Szkoda, że dostał za nie tak mało, ale i to się przyda.

* * *

* Boże, zrób coś, żeby się to jak najszybciej skończyło! * mówiła do siebie Jelizaweta Pawłowna Bielajewa, odłożywszy słuchawkę. * Po co do mnie zadzwoniłeś? Jakim prawem wszedłeś w moje życie? Mam rodzinę, nie jestem już młoda.

Poznali się tego lata, kiedy zachorował pies Lizy. Dobermanka Lota była w ich domu już dziesięć lat. Miała paskudny charakter, pozwalala się głaskać tylko właścicielom, a i to nie zawsze. Na obcych nie szczekała, ale groźnie szczyrzyła zęby, a jeśli ktoś zachowywał się zbyt familiarnie, mogła capnąć. Do późnej starości obgryzała buty, oczywiście zawsze te najdroższe, a gdy chciano ją ukarać wchodziła pod stół i warczała, obwieszczala głódówkę, nie piła, nawet nie domagała się wyjścia na spacer. Nawet kiedy była mała, nie miała w sobie szczenięcej radości, a już na starość zrobiła się całkiem ponura. Dawniej można ją było zostawić na kilka tygodni ze Świetlaną, pomocą domową, i całą rodziną pojechać na urlop, ale od trzech lat Świetlana za żadne skarby nie chciała zostać sam na sam z „tym potworem”.

To uparte, niesympatyczne stworzenie było przywiązane tylko do Lizy. Pozostałych członków rodziny Lota prawie nie zauważała, była w stosunku do nich chłodna i wyniosła, jak lokaj w angielskim domu, wobec niechcianych gości. Jedynie Lizie kładła łapy na ramiona, lizała po twarzy, tylko przy niej przewracała się na grzbiet i pozwalała podrapać brzuch, co, jak wiadomo, u psów jest dowodem największego zaufania i bezinteresownego oddania.

I właśnie tego lata Liza spostrzegła na różowym brzuchu Loty dużą opuchliznę. Znajomy kynolog dał jej adres weterynarza, najlepszego psiego onkologa, który powiedział, że suce trzeba zrobić operację jamy brzusznej i to pod całkowitą narkozą.

* A nie prościej byłoby ją uspić? * spytał Lizę mąż, kiedy siedzieli w nocy w kuchni.

* Ma już dziesięć lat, a rzadko doberman żyją więcej niż dwanaście. Czy warto męczyć ją i siebie?

Napotkawszy spokojne i uważne oczy Lizy bardzo się zmieszał. Suka, cicho i żałośnie skowycząc, podeszła do Lizy, położyła przednie łapy na jej kolanach polizowała ją w policzek, a potem ułożyła się przy niej i nie odrywała wzroku od pana.

* Zrozum! Jeśli to jest taka operacja jak u człowieka, to będzie wymagała takiej samej opieki. A kto to będzie robił? * ciągnął, starając się nie patrzeć żonie w oczy. *

Dalej, za dziesięć dni lecimy wszyscy na Krete. Włożyłem tyle wysiłku, żeby namówić Świetlane, aby została z psem, dzieci tak czekają na ten wyjazd.

* Nic wielkiego. Polecisz z dziećmi.

* Lizo już trzy lata nie byliśmy razem na urlopie.

Mąż zamilkł, wstał, głośniejszym niż zwykle odsunął krzesło i zatrzasnął za sobą drzwi, aż Liza podskoczyła.

Szesnastoletni Witia, dowiedziawszy się o smutnej nowinie, poklepał Lotę po karku i powiedział:

* To nic, staruszko, zwyciężymy! Jedenastoletnia Nadjusza rozplakała się:

* Tylko jej nie usypiajcie! Może wszystko będzie dobrze?

Doszli do wniosku, że to naprawdę ma sens, żeby mama została w Moskwie z biedną, chorą suczką, a tata poleci z dziećmi do Grecji. Za dziesięć dni Liza odprowadziła rodzinę na lotnisko, a potem zawiozła psa do lecznicy.

Operacja trwała ponad trzy godziny.

* Usunąłem guz, na razie nie widać przerzutów, ale nie mogę gwarantować, że w najbliższym czasie się nie pojawią. Nie mamy pomieszczeń, żeby po zabiegu pacjent mógł tu zostać. Musi pani wziąć psa do domu. Przez pierwszych dziesięć dni będzie bardzo ciężko, codziennie trzeba zmieniać opatrunek, czyścić szwy. Ona będzie się załatwiała pod siebie. A potrafi pani robić zastrzyki?

* Jak mnie pan nauczy, to potrafię.

* To nie jest skomplikowane. Czyli pani zabiera sukę do domu? * spytał, nie patrząc na Lizę.

* Tak, oczywiście. Czy mam ją wziąć zaraz?

* Nie, jutro. Dzisiaj muszę ją poobserwować, po narkozie mogą być komplikacje.

* To ma pan zamiar siedzieć tu z nią przez całą noc? * zdziwiła się Liza.

* Po tak ciężkiej operacji zawsze zostaję sam ze zwierzakiem.

* To zostaję z panem * oznajmiła.

* Nie mam nic przeciw temu, pomoc zawsze się przyda.

Narkoza mijała powoli, suka miała silne dreszcze, próbowała wstawać, zerwać opatrunek. W jej oczach zastygło tak głębokie cierpienie, że Liza nagle zrozumiała:

Lota tego nie przetrzyma! Pomęczą się jeszcze tydzień, może miesiąc i koniec.

Chyba mąż miał rację. Uczciwiej i bardziej po ludzku byłoby od razu ją uspić.

Locie udało się zerwać opatrunek i zaczęła szaleńczo, z chrapliwym jękiem, wylizywać i kąsać szwy. Lekarz zrobił jej zastrzyk uspokajający, zmienił opatrunek.

Suka zawarczała bez przekonania. Liza z lekarzem przeszli do gabinetu i pili kawę.

* Może bardziej humanitarnie byłoby ją uspić? * Liza powiedziała głośno to, co ją męczyło przez cały czas.

* Nie * lekarz pokręcił przecząco głową * zwierzęta zawsze czują, kiedy właściciele przywożą je uspić, a taka zdrada jest dla nich straszniejsza niż fizyczne cierpienie.

* Tak, wiem, że one wszystko czują, ale jeśli nie rozmawiać o tym przy nich, spróbować oszukać?

* Człowieka może pani oszukać. Psa nigdy.

* To ile jej zostało?

* Jeśli nie pojawią się przerzuty, to może pożyć jeszcze rok, przy dobrej opiece *
dwa. Ale to będzie przez cały czas chory pies, należy poświęcić suce znacznie więcej
czasu niż dotychczas * zapalił papierosa, przez chwilę milczał, patrząc w okno, a
następnie powiedział bezbarwnym, obojętnym głosem: * Jeśli będzie gorzej, to
proszę zadzwonić. Przyjadę i zrobię zastrzyk.

* Ale pan powiedział, że mogę sama jej robić zastrzyki.

* Nie, akurat tego zastrzyku nie potrafi pani zrobić.

W lecznicy oprócz nich i suki nie było nikogo, panowała głucha cisza i nagle rozległ
się dziwny stukot. Weterynarz pobiegł korytarzem. W jego stronę, na rozjeżdżających
się łapach, szła bardzo wolno Lota. Zataczała się, wlokąc za sobą rozbitą butelkę od
kroplówki. Kiedy udało im się ułożyć ją z powrotem na miejsce, lekarz podłączył
sukę do nowej kroplówki. Liza się rozplakała. Pierwszy raz w życiu nie potrafiła
pohamować łez przy obcej osobie, a mimo to nie czuła się niezręcznie i później,
kiedy już całkiem się uspokoiła, też nie wstydziła się swojego zachowania.

Weterynarz, Jurij Iwanowicz Zacharow, przyjeżdżał każdego wieczoru. Nie prosiła, a
mimo to sam dzwonił i się zjawiał, czyścił szwy, podłą
czał kroplówkę. Wyglądało na to, że w jego obecności Lota czuje się lepiej. Na
dźwięk dzwonka do drzwi kuśtykała do przedpokoju i nawet próbowała pomachać z
radości kikutkiem obciętego ogona. Liza chciała płacić weterynarzowi, ale odmówił.
A kiedy sprezentowała mu butelkę francuskiego koniaku, okazało się, że w ogóle nie
pije.

* Stawia mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji * powiedziała.

* Dlaczego? Za operację i lekarstwa zapłaciła pani w kasie lecznicy.

* Ale pan traci tyle czasu i sił, przyjeżdżając do nas codziennie. Poza tym wiem, że
taka operacja kosztuje znacznie więcej.

* Mam pomysł, teraz zrobię Locie zastrzyk, a panią proszę o zaparzenie kawy.

Następnego dnia Liza zadzwoniła do znajomego kynologa i spytała, jak może się
zrewanżować weterynarzowi.

* Nie chce wziąć pieniędzy? To dziwne. Jest bardzo drogim lekarzem. Tak, alkoholu
rzeczywiście nie pije. No, nie wiem, ale jeśli panią tak to niepokoi, to proszę mu

kupić dobrą wodę kolońską.

Liza kupiła drogą wodę toaletową. Weterynarz przyjął prezent, ale następnego wieczoru wyjął z teczki pudełeczko Chanel nr 19 i postawił na nocnym stoliku.

* A to co? * zmieszała się Liza.

* To chyba pani zapach. I na tym kończymy sprawę.

Lota czuła się coraz lepiej, nos zrobił się wilgotny, chłodny, odzyskała apetyt, prosiła, żeby wyjść z nią na spacer i rzeczywiście Liza zaczęła z nią wychodzić jak dawniej, dwa razy dziennie. Pomoc lekarska już nie była potrzebna, ale kiedy Jurij Iwanowicz Zacharow zadzwonił i spytał, czy ma przyjechać, Liza, nieoczekiwanie dla samej siebie, odparła:

* Tak, proszę, jeśli pan może...

Przesiedzieli w kuchni do świtu. Słowa właściwie nie miały znaczenia. To była miła rozmowa dwojga zmęczonych, niemłodych ludzi, którzy świetnie się rozumieją. Ale w trakcie pauz zawisała ciężka, duszna cisza, którą oboje czuli jak klucie w koniuszkach palców.

* Oj, przepraszam, Juriju Iwanowiczu, zupełnie pana zagadałam * powiedziała zaskoczona Liza, widząc, że za oknem robi się jasno.

Nie potrafili przejść na ty. Powietrze wokół nich było tak gęste, że gdyby doszło do tej zmiany, wszystko mogło wybuchnąć.

* Nikt na mnie nie czeka * powiedział niskim, zmęczonym głosem.

* Wszystko jedno. Jeszcze raz przepraszam. Późno już, a właściwie wcześniej. Świt. Pora spać.

* Tak, rzeczywiście. * Podniósł się. * Jadę. Wszystkiego dobrego.

W wąskim przejściu niezgrabnie zderzyli się i zastygli, patrząc sobie w oczy. Jakieś mroczne, dzikie, całkiem obce uczucie zaczynało powoli wrzeć i zapełniać każde miejsce w jej wnętrzu, nie pozostawiając miejsca dla odrobiny światła.

„Czyś ty zgłupiała, stara debilko?“, otrzeźwił ją wewnętrzny głos rozsądku.

Kręciło się jej w głowie, nogi były jak z waty, ale miała jeszcze dość siły, by usunąć się w bok od jego natarczywych ust, strącić z siebie jego twarde ciepłe dłonie.

* Lizo, ja już tak dłużej nie mogę. Nie jestem z żelaza. Rozumiem, że masz męża, ale

ja jestem sam, nie jestem żonaty, jedźmy do mnie * nadal wpatrywał się w nią i dopiero teraz zauważyła, że ma ciemnoszare oczy, a nie czarne, jak jej się wcześniej wydawało.

* Dobranoc, Juriju Iwanowiczu. Przepraszam, że pana tak zagadałam. Wszystkiego dobrego * wychrypiała, patrząc w podłogę.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Liza upadła na łóżko i rozplakała się gorzko, żałośnie, jak w dzieciństwie, kiedy rozpaczała z powodu złej oceny. „Boże drogi, no dlaczego? Co on ma w sobie takiego? Właściwie, taki pierwszy lepszy, przypadkowo spotkany, niczym niewyróżniający się człowiek. Po co mi to?“, myślała, nie przestając dygotać.

Przykuśtykała Lota, zaczęła zlizywać łzy z jej twarzy, patrzyła badawczo w jej oczy, jakby pytała: „Co z tobą?“.

* Złe ze mną, Lota. Nie wiem, co mam teraz robić. Nigdy do tej pory nic takiego się ze mną nie działo i dziać nie mogło.

Komentator polityczny, doktor nauk historycznych, matka dwojga dzieci, wierna żona, wzór surowości i przyzwoitości, Jelizawieta Pawłowna Bielajewa zwariowała, zakochała się jak szesnastoletnia dziewczyna. Po raz pierwszy w życiu.

Następnego dnia Liza pojechała na lotnisko po męża i dzieci. Skończył się urlop.

Kłopoty związane z Lotą wzięła teraz na siebie pomoc domowa, Świetlana. Po bolesnych przeżyciach suka zrobiła się wyjątkowo spokojna i łagodna.

Jurij dzwonił każdego wieczoru, ale już nie na domowy numer, ale na jej komórkę, i drobiazgowo rozpytywał o zdrowie psa. Liza dziękowała mu uprzejmie i opowiadała, jak Lota się zachowuje, co je, jak sypia. Pies czuł się bardzo dobrze i wydawało się, że nie istnieje powód, żeby mogli się znów spotkać.

Po tygodniu Jurij Iwanowicz oznajmił zdecydowanie przez telefon:

* Muszę koniecznie zbadać Lotę. Kiedy mogę przyjechać, żeby dla pani było najdogodniej? Lizo, nie mogę bez ciebie wytrzymać * dodał szybko, na jednym oddechu, zupełnie innym głosem.

„Nigdy! * krzyknęła w myślach. * Nigdy, za nic!“

* Nie chcę pana fatygować. Właściwie, to wszystko jest w porządku... Chociaż jeśli

nie ma pan nic przeciwko temu, to po programie skoczę do domu po Lotę i przywiozę ją panu do lecznicy.

„Co ty pleciesz? Program kończy się o pierwszej w nocy...”

* Dzisiaj pani ma nocny program?

* Tak, rzeczywiście, no to jutro rano. Chociaż... rano mam nagranie... Proszę wybaczyć, że zwracam panu głowę.

* Doprawdy, jak długo można zwracać głowę sobie i mnie? Proszę zanotować mój adres domowy i przyjechać dzisiaj po programie. Razem z Lorą.

Liza zapisała adres w notesie i znów dopadło ją to dziwne uczucie, zakręciło się jej w głowie, zrobiło słabo, jakieś mdłości. Bała się wejść na wizję w takim stanie. Z lustra w charakterystycznej patrzyła na nią odmłodniała, pełna zachwytu idiotka. Oczy błyszczały, łuki brwi wygięły się, wyrażając zdziwienie, linia ust zmięknęła, rzęsy trzepotały jak skrzydła motyli, a twarz wyrażała jakąś bezradność.

Dwadzieścia minut programu nie miało końca. Liza czuła, że oczy jej błyszczą, usta same rozciągają się w kretyńskim zagadkowo*szczęśliwym uśmiechu, który był teraz kompletnie nie na miejscu, jako że rozmowa dotyczyła niestabilnego rubla i deficytu budżetowego.

* Lizo, była dziś pani czarująca * powiedział po programie finansista, gość jej programu, i ceremonialnie pocałował ją w rękę. * A wie pani, że zauważyłem w pani twarzy coś nowego. Pani oczy błyszczą w szczególny sposób.

Po raz pierwszy od wielu lat zwrócił się do niej po imieniu zupełnie obcy człowiek, po raz pierwszy w intonacji zabrzmiało kokieteryjne po błażanie. To jest sposób, w jaki panowie odnoszą się do młodziutkich sekretarek. Poza tym, Liza miała wrażenie, że wszyscy obecni teraz w studio * kierownik planu, kamerzyści, oświetleniowcy * obserwują ją z niezbyt sympatycznym zainteresowaniem.

Gdyby była lekkomyślną młódką, potrafiłaby ten dziwny okres swojego życia potraktować jak krótkotrwałą przygodę, tak jak to robi tysiące kobiet. No tak, miłość, namiętność, komu się to nie przytrafia? Po co robić z tego tragedię? Żyj i ciesz się, tylko naucz się zgrabnie lawirować. Okłamuj męża, dzieci, kochankę, samą siebie.

Wszedłszy do mieszkania, nie zdejmując płaszcza, powiedziała mężowi, że właśnie teraz jedzie z Lotą do lecznicy, żeby pokazać ją weterynarzowi. Mąż zapytał raczej obojętnie:

* W nocy?

* W ciągu dnia jest kolejka * odparła szybko i zarumieniła się.

* Wydawało mi się, że nawiązałaś z tym lekarzem tak bliskie kontakty, że może przyjąć Lotę bez kolejki.

* Misza, jakie mogą być bliskie kontakty z weterynarzem? * Ręce jej drżały tak, że nie mogła zaczepić smyczy na obroży suki.

* Nie obchodzą mnie stosunki między wami, ale po prostu nie rozumiem, dlaczego nie można zawieźć psa w ciągu dnia?

* Jutro mam nagranie programu.

* No to ja mogę pojechać z Lotą.

* Ale on jutro nie przyjmuje.

* Dobrze, Lizo, rób jak uważasz * wziął z jej rąk smycz i przyczepił ją do obroży. * Tylko nie zapomnij wziąć kluczy. Jak wrócisz, to już będę spał.

Pocałowała go na pożegnanie. Od jego gładko wygolonych policzków wyraźnie wiało chłodem.

Jurij czekał na nią na ulicy, przy wjeździe na podwórko. Liza z daleka zobaczyła jego niewysoką przysadzistą postać i ostatni raz pomyślała: „Boże drogi, no i co w nim jest takiego nadzwyczajnego? Dlaczego właśnie on?”.

Kiedy objął ją, koło auta, i bez słowa zaczął szybko, namiętnie całować jej twarz, nagle Lizie wydało się, że w krzakach, za pagórkiem dla dzieci, błysnęło białe światło lampy błyskowej.

Rozdział 13

Na starość hrabina Olga Karlowna Paurier nauczyła się wreszcie mówić po rosyjsku. Język, który przedtem wydawał się jej barbarzyński, oczarował ją bogactwem znaczeniowych i zmysłowych odcieni. Słowa przepływały i skrzyły się tęczowymi

barwami jak drogocenne kamienie, które hrabina tak lubiła.

* Stary. Starzec. Staruch. Staruszek. Staruszczyk. Starowina * powtarzała hrabina, wymawiając twardo literę „r”, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie jak dziecko.

W 1880 roku stuknęła jej osiemdziesiątka. Była rówieśnicą wieku. Starcem nazywała swojego świętej pamięci męża, hrabiego Jurija Michajłowicza, i często, siedząc w fotelu przed kominkiem, prowadziła z nim dialog po rosyjsku.

* Powinnaś oszlifować diament „Paweł”, duszyczko, zamów u Le Villona broszę w kształcie kwiatu orchidei, niech dokoła kamienia będą cienkie platynowe płateczki, na nich jasnoniebieskie topazyjak kropelki porannej rosy, a między nimi owalne szmaragdy jak listki.

* To jest manijigue, mon amour, to jest wspaniałe! * Hrabina kokieteryjnie mrużyła oczy i w uśmiechu obnażała sztuczne szczęki. * Ale do jakiej sukni będę nosić tę broszę?

* Do niebieskiej, aksamitnej. Albo do białej, z chińskiego jedwabiu, z koronkami flamandzkimi. Bardzo ci w niej do twarzy, duszyczko.

* Ależ, hrabio * Olga Karlowna kapryśnie wydymała usta * tych sukienek już nawet garderobiana Łusza nie założy. Rękawów dla gigot już dawno się nie nosi.

* Czyżby? To co się nosi?

* Oh, moje złoto, wszystko się bardzo zmieniło. Zwyciężyła tiurniura, zniknęły fałdy, modny jest teraz costume collant.

* Quest*ce que ést tiurniura, mój aniele?

* To jest taka wypukłość z tyłu, niżej pleców, podtrzymuje ją specjalne rusztowanie z wielorybich fiszbinów.

Drzwi otwarły się gwałtownie i do pokoju wjechał drewniany koń na kółeczkach, a za koniem wbiegł pięcioletni ciemnowłosy chłopczyk i, przyłożywszy paluszek do ust, schował się za fotelem hrabiny.

* Co się dzieje, Michel?

* Babciu, schowaj mnie, miss Clark chce, żebym posmarował włosy pomadą.

Do pokoju wpłynęła tęga starsza kobieta w kraciastej sukni.

* O co chodzi, miss Clark? * spytała surowo hrabina po angielsku.

* Zaraz zjawią się goście, Wasza Wysokość, księżna Zawadskaja z córkami, i chciałam, żeby Jego Wysokość wyglądał tak, jak powinien wyglądać mały dżentelmen * Angielka przysiadła w głębokim, pełnym uszanowania ukłonie.

* Proszę odejść, Mary * powiedziała hrabina * wyłaź, psotniaczku * wyciągnęła rękę i pogłaskała ciemne miękkie loki ulubionego prawnika.

* Psotniku, babciu, a nie psotniaczku * pięcioletni Michel wyskoczył zza fotela dopiero wtedy, kiedy za surową miss zamknęły się cicho drzwi.

* No więc dlaczego nie chcesz być dżentelmenem, psotniku?

* Nie podoba mi się ta lepka pomada, ja nie chce pachnąć jak cyrulik. A prócz tego nie lubię, kiedy przyjeżdża księżna ze swoimi córkami. Mogę posiedzieć tu z tobą, babciu?

* Maman będzie niezadowolona. Powinieneś wyjść do gości. Będą małe księżniczki.

* Ale z nimi jest nudno * westchnął Michel * to komediantki. Ja chcę pobyć z tobą, babciu. Opowiedz mi o kurzym kamyczku.

* Opowiadałam to już tyle razy, że znasz tę historię na pamięć. Jutro wezwę jubilera, najlepszego, najbardziej znanego w całej Moskwie. Oszlifuje diament, zrobi z niego broszę w kształcie kwiatu orchidei z delikatnymi płatkami z platyny. Na każdym płatkach, jak kropelki rosy, będą się świecić przezroczyste bladoniebieskie topazy, a między płateczkami

* listki, malutkie, podłużne szmaragdy. Płateczki będą umocowane tak, żeby się ruszały na cienkich sprężynkach, tak jak w wielkim brylantowym bukietcie Jej Wysokości Imperatorowej.

* Przypniesz sobie tę broszę i pójdziesz na bal?

* Nie, mój aniołku. Jestem za stara na taką broszę.

* Podarujesz ją mamam?

* Nie, twoja maman jest zbyt lekkomyślna. A zresztą, dlaczego ja muszę ją koniecznie komuś podarować? Minie dużo lat, nastanie nowy wiek, dwudziesty wiek, Michel. Mnie już wtedy nie będzie na świecie, a ty staniesz się dorosłym mężczyzną. Ożenisz się.

* Z Dolly Zaslawską? Nigdy! Ona piszczy jak mysz i o byle co biegnie na skargę do

księżnej, a księżna syczy jak węgiel w kominku, gdy się chluśnie wodą. Babciu, ja się nigdy nie ożenię!

* Oprócz Dolly jest jeszcze dużo innych pań, któraś ci się spodoba. A teraz słuchaj mnie uważnie, słuchaj i zapamiętaj. * Zbliżyła do prawnuka zmarszczoną, mocno wypudrowaną na biało twarz i zaczęła szeptać: * To będzie szczęśliwy i rozumny wiek. Ludzie wreszcie nauczą się najpierw myśleć, a dopiero potem działać. Niegodziwcy zaczną się wstydzić, okrutni będą współczuć bliźniemu, ręka mordercy zamieni się w kamień, a z ust kłamcy zamiast słów będzie słycać psie szczekanie. * Oj, babciu, to znaczy, że nasz kredensowy Fiodor będzie tylko szczekał i nic nie będzie mógł powiedzieć? Przecież on cały czas kłamie; a to konfitury spleśniały, a to ser wysechł, a to zimna cielecina się zepsuła.

* Michel, a co ma do tego kredensowy? * zmarszczyła się staruszka i z jej twarzy na aksamitne obicie fotela posypało się wysuszone bielidło. * Ja mówię o dwudziestym wieku, o tym cudownym, mądrym wieku, w którym, mój aniołku, przyjdzie ci żyć. Będiesz dorosłym mężczyzną, w twoim szlachetnym serduszku zapłonie miłość i mam nadzieję, że obiekt twojego ubóstwiania okaże się godny twojego tytułu i miejsca w społeczeństwie.

* Babciu, a co to jest obiekt ubóstwiania? * wyszeptał przestraszony chłopiec.

* Bądź tak dobry i nie przerywaj mi. Po ślubie przypniesz do sukni twojej pięknej żony tę broszę, orchideę.

Liza wzięła prysznic, owinęła się ciepłym hotelowym szlafrokiem i wreszcie zrobiło się jej ciepło. Włączyła radio, znalazła spokojną klasyczną muzykę, rozczesała włosy i nie od razu usłyszała stuk do drzwi.

* Jelizawieto Pawłowna, przepraszam, proszę otworzyć na minutkę * zza drzwi dobiegł głos Krasawczenki.

* Pan wybaczy, ale już śpię.

* Ja tylko na minutkę. To bardzo ważne. Muszę pani coś podać, bo jutro wcześniej rano wylatuję.

„Właściwie czemu ja się go boję?”, Liza była rozdrażniona. Założyła dżinsy, sportową koszulkę, bosą podeszła do drzwi i otworzyła je.

* Jeszcze raz przepraszam * Krasawczenko wszedł do pokoju * kiedy wracałem do windy, zauważyłem na podłodze coś takiego * podał Lizie sztywny biały prostokąt * i pomyślałem, że być może zgubiła to pani, biegnąc do telefonu?

Była to wizytówka antykwariatu, w którym wczoraj kupiła mężowi pozytywkę.

* Nie, to mi jest niepotrzebne. Nie warto się było przejmować. Dziękuję i życzę dobrej nocy.

* To bardzo przyzwoity antykwariat * Krasawczenko wyjął z jej rąk kartonik. * Maja wielki wybór starej biżuterii. Panią interesuje biżuteria?

* Niespecjalnie.

* Odniosłem wrażenie, że interesuje. Pani ma śliczne kolczyki. Już dawno zwróciłem na nie uwagę. Ametysty, jeśli się nie mylę?

* Brazylijskie topazy.

* Co pani mówi! Mogę zobaczyć? * Mówiąc to, Krasawczenko zaczął tak manewrować, że Liza przesuwiała się w głąb pokoju, gdzie światło było jaśniejsze. Nagle bezceremonialnie sięgnął do jej ucha. * Rzeczywiście, to niebieski brazylijski topaz. Bardzo rzadki i cenny kamień. Szlif „markiza”, wyjątkowo precyzyjna robota. Styl modern z początku dwudziestego wieku. Pani je kupiła, czy dostała w spadku?

* Pan wybaczy, ale naprawdę nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać teraz o moich kolczykach. Jestem bardzo zmęczona i chcę spać * wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi, ale chwycił jej dłoń.

* O, a pierścionka do tej pory nie zauważyłem. To przecież komplet. Czy pani kamieniem jest niebieski topaz? Odpowiada pani znakowi zodiaku? To Skorpion? A może prababka była Skorpionem?

Liza wyrwała gwałtownie rękę i odeszła ku oknu. Krasawczenko usiadł w fotelu, zakładając niedbale nogę na nogę.

* Jelizawieto Pawłowna, no przecież jest pani dorosłą, opanowaną, dobrze wychowaną osobą. Dlaczego od razu taki ton? Czy ja panią obraziłem? Posiedźmy spokojnie piętnaście minut, nie więcej, napijemy się czegoś i potem zaraz sobie pójdę. Daję słowo.

* Dobrze * westchnęła Liza * jeśli panu tak bardzo na tym zależy, to możemy zjechać

do baru na siódmym piętrze. Jest otwarty całą dobę.

* Ale po co? Wszystko, czego potrzebujemy, jest w pokojach. Pozwoli pani? * nie czekając na odpowiedź, Krasawczenko wstał z fotela i uniósł klapę baru. * Co pani nalać? Koniak, whisky, wytrawne białe reńskie...

* Przecież już mówiłam, że nie piję i jak na dyplomatę, zachowuje się pan dość nietypowo. Poza tym bar jest płatny.

* Proszę się nie martwić, zapłacę za to, że skorzystała pani z barku. No to co, będziemy pić? Za szczęśliwą gwiazdę, pod którą się pani urodziła. Gdybym wczoraj, przez przypadek, nie znalazł się w tym samym miejscu, to spacer mógłby się zakończyć nieciekawie. I zamiast mi podziękować * pani mnie obraża, odsuwa się ode mnie jak od trędowatego.

* Przepraszam, naprawdę jestem panu ogromnie wdzięczna i absolutnie nie miałam zamiaru pana obrazić. * Liza poczuła się niezręcznie. * Proszę sobie nalać, na co ma pan ochotę, a ja się dołączę w wyobraźni.

* Dobrze sobie! * Roześmiał się. * Sam, to mogę wypić u siebie w pokoju. Jakiś czas temu nalewano szklankę wódki hydraulikowi, czy elektrykowi, i w ten sposób wyrażano swoją wdzięczność za wykonaną robotę. Może jeszcze pani zaproponuje mi pieniądze za wyprowadzenie z niebezpiecznej dzielnicy! Mam prawo, by się choć kieliszkiem z panią trącić! Napijmy się białego wina. Ono jest słabe jak sok winogronowy.

Odkorkował butelkę i nalał wino do dużych, kryształowych kielichów.

* Oj, chwileczkę, zaraz pani rzęsa wpadnie do oka. * Krasawczenko wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

* Dzięki, dam sobie radę * wstała i szybko poszła do łazienki. Światło tam było bardzo jasne, ale mimo uporczywego wpatrywania się, Liza nie znalazła żadnej rzęsy. Poprawiła włosy i wróciła do pokoju.

* No, to wypijmy za panią. Za pani urodę i za pani szczęśliwą gwiazdę! *

Wyrecytował uroczystym szeptem.

Liza wypięła.

* Ale nie odpowiedziała mi pani na pytanie, czy ten komplet biżuterii kupiła pani w

antykwaracie, czy dostała go w spadku?

* A czemu to pana tak bardzo interesuje? Jest pan pasjonatem astrologii i jubilerstwa?

* Nie. Na serio to ja się pasjonuję panią. Wiem, że zachowuję się głupio i być może nie całkiem taktownie, ale na pani widok coś się ze mną dzieje. Tracę głowę. Czy pani się już coś takiego przytrafiało?

* Ja pana bardzo proszę, żeby pan sobie już poszedł. W naszym wieku takie podchody są mało frapujące.

* Lizo, to są podchody. Ja pytam całkiem poważnie, czy nigdy pani nie straciła dla kogoś głowy? Nigdy nie była pani tak zakochana, żeby zapomnieć o wszystkim, o przyzwoitości, o rozsądku?

* Czy pan się przypadkiem nie upił? * spytała ostrożnie.

* Jestem wprost nieprzyzwoicie trzeźwy. Ale co to z panią się dzieje? Policzki zaczerwienione, błyszczące oczy. Czyżby potajemny romans, głębokie późne uczucie? Zgadłem? Może pani nie odpowiadać, po oczach poznaję, że mam rację. Ale problem w tym, że ten romans wcale panią nie cieszy. Źle się pani z tym czuje, jest pani wstyd. Pani się boi, że wcześniej czy później dowiedzą się o tym znajomi, rodzina. Pani nie należy do tej licznej grupy kobiet, które z satysfakcją dzielą się wszystkimi detalami swojego prywatnego życia i przy każdej okazji kłapią dziobem o swoich sukcesach, próbując w ten sposób podnieść swoją wartość w oczach otoczenia. Pani nie musi udowadniać swojej wartości. Ta wartość i tak jest bardzo duża. Pani jest naprawdę zakochana i tego się pani wstydzi, boi rozgłosu. Zamiast szczęścia i zadowolenia toczy pani wewnętrzną walkę, a pani sumienie przeżywa męczarnie.

* Nie, no z panem naprawdę coś jest nie w porządku * oznajmiła Liza nienaturalnym głosem. * Co za bzdury pan plecie?

* No tak * Krasawczenko rozłożył bezradnie ręce i westchnął * wiedziałem, że pani będzie zaprzeczać. Mówiąc między nami, bardzo pani do twarzy z tym uczuciem. Wypiękniała pani.

* Nie mam zamiaru się z panem sprzeczać i dyskutować na temat mojego prywatnego życia * oświadczyła dobitnie Liza, starając się zachować spokój * to nie

jest pańska sprawa.

* Ach, więc jest o czym dyskutować? * Uśmiechnął się chytrze. * A więc udało mi się panią sprowokować do szczerości. Przysięgam, że nic nie wiedziałem o pani romansie. Czyli, między panią a mną nawiązała się już nie zaufania. Wypijmy za to!

Liza machinalnie stuknęła się z nim kieliszkiem i wypła kilka łyków. Miała bardzo suche gardło.

* Za naszą subtelną przyjaźń. * Krasawczenko uśmiechnął się. * Będąc teraz na prawach przyjaciela, podpowiem pani świetny sposób, jak się uwolnić od niepotrzebnego uczucia. Wie pani, co powinna pani zrobić? Przespać się ze mną. Od razu będzie lepiej.

* Z panem? * Liza przyjrzała mu się krytycznie i odpowiedziała z łagodnym uśmiechem: * Właściwie pomysł nie jest tak zły, jakby się wydawał. Pomyślę o tym.

* O tym się nie myśli. To się robi. * Spokojnie podniósł się z fotela i zdjął marynarkę.

* Zaraz znikną pani kompleksy i problemy rozwiążą się same.

* Jest jeden, którego chyba nie da się rozwiązać. Mianowicie pan mi się wcale nie podoba. Jest pan chamem i prostakiem. Myślę, że nic z tego nie będzie. A teraz, niech pan będzie tak dobry i się wyniesie.

Krasawczenko chrząknął, przesunął ręką po włosach.

* No cóż, szkoda. Dobranoc. Dzięki za wino. O rachunek proszę się nie martwić.

Zapłacę jutro rano * podszedł do drzwi i chwycił za klamkę.

* Zapomniał pan o marynarce.

* Ach tak, dziękuję * wrócił, wziął marynarkę, ale nie założył na siebie, tylko wyjął z wewnętrznej kieszeni niewielką kopertę i powiedział cicho: * Zapomniałem jeszcze o tym. Proszę spojrzeć.

Na stoliku rozsypały się kolorowe fotografie, przypominając wachlarz. Liza zobaczyła siebie obok męskiej prostytutki na tle reklamy świetlnej „Niezapomniane przeżycia z oralnym seksem”.

* Czytelnicy brukowców na pewno uwierzą podpisom, że targujecie się o cenę * westchnął Krasawczenko. * A oto uroki lesbijskich namiętności. Proszę

spojrzeć, jak delikatnie trzyma panią za rękę ta obfita tleniona Murzynka. Takie to rozrywki funduje sobie wzór przyzwoitości, Jelizawieta Pawłowna Bielajewa poza granicami kraju. Smutne, ale żadna ekspertyza nie udowodni, że zdjęcia są nieprawdziwe, nie doszuka się fotomontażu. Oboje wiemy, że są prawdziwe.

Czytelnicy będą usatysfakcjonowani

i cała Moskwa będzie miała o czym mówić. Zapewne znajdzie się ktoś, kto przytaszczy to świństwo do szkoły, w której uczą się pani dzieci.

* Co pan chce tym osiągnąć, panie Krasawczenko?

* Odrobinę życzliwości w stosunku do mojej skromnej osoby. Życzliwości i szacunku.

Jelizawieta Bielajewa podniosła się gwałtownie z fotela i podeszła do okna. Strasznie kręciło się jej w głowie i dostała takich dreszczy, jakby temperatura skoczyła jej co najmniej do czterdziestu stopni. Bardzo nie chciała, żeby Krasawczenko zobaczył, jak w tej chwili zmienił się wyraz jej twarzy.

Rozdział 14

Śledczy Borodin długo i uporczywie dzwonił do drzwi Butejków. W końcu rozległy się szybkie kroki i zapanowała cisza. Właścicielka mieszkania przylepiła oko do wizjera. Wydawało się, że metalowe drzwi rozgrzały się od emocji, które targaly osobą stojącą za nimi. Hm, dziwne, przy takiej biedzie metalowe drzwi jawią się jako ekstrawagancja. Pytanie: „Kto tam?” rozległo się po dobrych trzech minutach.

* Śledczy Borodin * padła szybka odpowiedź * proszę, z łaski swojej, otworzyć.

* A o co chodzi? Ma pan nakaz prokuratorski?

* Nie zamierzam ani pani teraz przesłuchiwać, ani robić rewizji. Muszę, za pani zgodą, zabrać na pewien czas kasety z nagraniami wywiadów, jakie przeprowadzał Artiom. Wszystko zwrócę za kilka dni.

Zazgrzytały zamki, brzęknął łańcuch. Drzwi powoli się uchyliły. Trzy drogie, skomplikowane włoskie zamki, do tego łańcuch i stalowa zasuwka.

* Dopiero co wstałam * oznajmiła matka Artioma * mógłby pan mnie wcześniej

uprzedzić o swoim przyjściu.

* Proszę wybaczyć * śledczy uśmiechnął się z zażenowaniem * byłem po prostu w okolicy i postanowiłem wpaść do pani na minutkę. Jeszcze raz przepraszam, że panią niepokoję. Muszę przesłuchać kasety z wywiadami nagrane przez pani syna.

* Z wywiadami? * spytała obojętnie kobieta. * Niech pan robi co chce. Poprawiła włosy i demonstracyjnie odwróciła się plecami do śledczego, poszła do kuchni, wzięła szmatkę i zaczęła dokładnie wycierać plastikową powierzchnię bufetu, która i tak była czysta. Śledczy wytarł buty i poszedł za nią.

* Jeleno Pietrowna, może jednak zaprowadzi mnie pani do pokoju syna? Ja przecież nie wiem, gdzie leżą kasety.

Zastygła ze szmatką w ręku i gwałtownie się odwróciła. Jej twarz wyglądała zupełnie inaczej niż przed chwilą. Była uśmiechnięta. Borodin po raz pierwszy zauważył, jakie pani Butejko ma wspaniałe zęby. Równe, duże, śnieżnobiałe. Czyżby aż do dziś zachowały się w tak znakomitym stanie? A jeśli to proteza, to tak promienny uśmiech kosztuje nie mniej niż pięć tysięcy dolarów. Poza tym, jeśli się dobrze przyjrzeć, to ta pani wcale nie wygląda na zabiedzoną staruszkę, która wszystko już ma za sobą. Twarz gładka, prawie bez zmarszczek. I włosy tym razem jakby podfarbowane, ufryzowane. Kiedy się uśmiecha i prostuje plecy, to można jej śmiało dać czterdziestkę. A jeśli jeszcze modnie ubrać, dodać makijaż * to mamy bardzo interesującą kobietę.

* Tak, oczywiście, przepraszam. Pan się nazywa Ilia Nikitycz Borodin? Jeszcze raz przepraszam. Podczas naszego pierwszego spotkania zachowywałam się w stosunku do pana okropnie, ale pan musi zrozumieć mój stan ducha. Ma pan dzieci?

* Nie.

* To na pewno jest pan szczęśliwym człowiekiem. Teraz, po tym, co się stało, myślę, że lepiej wcale nie mieć dzieci. Chce pan herbaty?

* Proszę * odparł zaskoczony śledczy * nie odmówię.

* Chodźmy, zaprowadzę pana do pokoju Artioma. Pokażę, gdzie leżą kasety, pan sobie wybierze, co panu potrzeba, a ja w tym czasie zaparzę świeżą herbatkę.

Borodin miał wrażenie, że mu podmieniono rozmówczynię. Co tu było grane? Ze wszystkich sił starała się ukryć, że jej mąż miał coś wspólnego z jubilerstwem. Nie ma się co dziwić. Nielegalnie zajmował się wyrobem różnych rzeczy ze złota i kamieni szlachetnych u siebie w mieszkaniu. Teraz ona się boi, że w trakcie tego śledztwa wyjdą na wierzch jakieś stare sprawy. Natomiast niezrozumiałe jest coś innego. Dlaczego całkowicie zmieniła zeznania? Najpierw, tuż po morderstwie, powiedziała o trzech tysiącach, a potem, nagle * nie było żadnego długu!

* Proszę wejść, niech się pan nie krępuje. Przepraszam, ale tu jest bałagan.

Poprzednim razem zaprosiła go do kuchni, a drzwi do pokoju starannie zamknęła. Pokoje były przechodnie. Obok rozkładanej wersalki śledczy zauważył starą maszynę do szycia. Na krześle wisiał bardzo duży kawałek taniej, pstrej tkaniny. Wszystko w tym mieszkaniu wyglądało tak, jakby było pokryte szarym nalotem, ogólna bieda, jakaś demonstracyjna mizéria, a nawet skąpstwo. Trudno było nie zwrócić uwagi na wielką łąkę, starannie naszytą na wytartym obiciu fotela, wypłowiałe lniane zasłony, stojącą lampę z przepalonym na wylot abażurem.

Malutki przechodni pokój, w którym jeszcze niedawno mieszkał Artiom, lew salonowy, imprezowicz, miłośnik ubrań od Versace, niczym się nie różnił od pokoju rodziców. Nowiutki japoński telewizor z wideomagnetofonem i dość drogi sprzęt muzyczny od razu rzucały się w oczy na tle nędznej szarzyzny pozostałych przedmiotów.

Kasety z wywiadami leżały w specjalnych pudełkach. Wszystkie podpisane, na każdej była data i nazwisko osoby, z którą dziennikarz przeprowadzał rozmowę.

* Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że je zabiorę na kilka dni? * spytał Borodin.

* Proszę bardzo, chociaż zupełnie nie rozumiem, do czego to panu potrzebne.

* Co dokładnie?

* A te wszystkie przesłuchania, rewizje, zabieranie kaset z wywiadami. Jest tyle niewyjaśnionych spraw, tylu przestępców spokojnie chodzi sobie na wolności, a pan traci czas na to, co jest od początku wiadome. Nie rozumiem tego * poruszyła pełnymi ramionami prawie kokieteryjnie i znów w uśmiechu błysnęły śnieżnobiałe

zęby.

* Szanowna pani, gdy chodzi o tak poważną sprawę jak umyślne zabójstwo, to nie można niczego przeoczyć * wyjaśnił śledczy.

Przekładając kasety do swojej teczki, przy okazji czytał napisy. Było tu wiele znanych nazwisk. Butejko przeprowadzał wywiady ze znanymi gwiazdami estrady, piosenkarzami, producentami, skandalizującymi deputowanymi Dumy Państwowej, liderami jakichś kanapowych partii. Jednej kasecie przyjrzał się dłużej niż innym.

Napis był wykonany nie granatowym długopisem, lecz czerwonym flamastrem.

Grubymi, bardzo starannie drukowanymi literami napisano: „Bielajewa”. Dokładnie taki

sam napis śledczy znalazł jeszcze na dwóch kasetach audio i na jednej wideo.

* Bielajewa * to, chyba, komentatorka polityczna w ORT?

* Tak, Jelizawieta Bielajewa, to ta sama * nie bez dumy oznajmiła pani Butejko * kiedyś pracowała razem z Tiomoczka w telewizji.

Krasawczenko siedział rozwalony niedbale w fotelu. Liza odeszła od okna, usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Szok minął.

„To co on robi jest zbyt głupie i banalne, żeby naprawdę kogoś móc zaszantażować * pomyślała. * I, w ogóle, z tym adorowaniem, aluzjami, filozofowaniem jest jakiś taki nienaturalny. Ale z jakiegoś powodu się do mnie przyczepił. Dobrze byłoby wiedzieć z jakiego?”

* No to, słucham pana.

* Już mówiłem, muszę z panią porozmawiać. Chciałbym, żeby zechciała pani zwrócić na mnie uwagę i mnie wysłuchała.

* No więc proszę mówić, zamieniam się w słuch.

* W obecnych czasach ludziom coraz trudniej się porozumieć, nikt nie chce słuchać bliźniego, tylko samego siebie. * Westchnął i wzniósł oczy do góry.

„Wygląda na to, że zwleka, udaje głupiego * nagle ją olśniło * tak, jakby na coś czekał. O Boże, czemu mi tak słabo? Może to ciśnienie? Albo burze magnetyczne?”

* Mówi pan jak filozof* uśmiechnęła się słabo * można się zasłuchać, takie to wszystko głębokie, pełne treści.

* Niech pani przestanie! * po raz pierwszy podniósł głos i twarz mu się zaczerwieniła. * Niech pani nie mówi do mnie takim tonem!

* Jak na szantażystę to jest pan zbyt nerwowy i obraźliwy * zauważyła ze współczuciem.

Przez kilka sekund milczał, Liza obserwowała, jak gorączkowo stara się opanować rozdrażnienie.

* Czy pan się źle czuje? * spytała cicho i poważnie, bez cienia ironii.

* Skąd taki pomysł? * Wzdrygnął się i Liza pogratulowała sobie pierwszego maleńkiego zwycięstwa tego wieczoru.

* Bo jest pan na przemian to biały, to czerwony, ręce się panu trzęsą. Zaniepokojony spojrzał na swoje dłonie. Tak naprawdę nie było w nim żadnej zmiany. Natomiast Liza czuła się z minuty na minutę gorzej. Za częła mieć coraz silniejsze dreszcze. Chociaż zawsze miała dreszcze, kiedy bardzo jej się chciało spać.

Patrząc mu spokojnie w oczy, zaczęła mówić obojętnym głosem:

* Wie pan co, niech pan sprzeda te nieszczęsne fotografie komu pan chce. Mnie to jest obojętne. Co więcej, mogę w programie na żywo opowiedzieć śmieszna historię o tym, jak będąc w Montrealu, nieoczekiwanie znalazłam się w dzielnicy domów publicznych i klubów porno. Coś takiego mogło się przytrafić każdemu i prawie wszędzie. W Paryżu jest plac Pigalle, w Nowym Jorku Czterdziesta Siódma ulica i tam także łapią za ręce, demonstrują swój towar. Uciekając z tego ponurego miejsca, ogromnie się ucieszyłam, spotkawszy rodaka, uprzejmego dyplomata, pana Krasawczenkę. On, jako prawdziwy dżentelmen, wyprowadził mnie stamtąd, uspokoił, zafundował sałatkę owocową. Okazuje się jednak, że zanim mnie uratował, postanowił dla potomności zachować na fotografiach unikalne sceny.

* Być może * powiedział spokojnie Krasawczenko * fotografie nie są bardzo kompromitujące, ale musi pani przyznać, że niezbyt przyjemne. A jeśli jeszcze dodać tajemnicze sprawy związane z pani życiem osobistym...

* Wie pan, ja chyba jednak oskarżę pana o szantaż. I najlepiej na tym się pożegnajmy. Jest trzecia w nocy. Jestem bardzo śpiąca.

Rzeczywiście tak bardzo chciało jej się spać, że język zaczął się plątać, kończyny były jak z waty, a przed oczami wszystko płynęło. Liza zmusiła się do wstania z fotela, zrobiła krok ku drzwiom i o mało nie upadła, bo nogi się pod nią ugięły. Całe szczęście, że zdążyła chwycić się framugi, zamknęła oczy, próbując w ten sposób odzyskać równowagę, ale to nic nie dało * było jeszcze gorzej. Z trudem znalazła klamkę, otworzyła drzwi na oścież i powiedziała:

* Dobranoc panu.

Ale jej głos zabrzmiał nienaturalnie głucho.

Krasawczenko niewzruszenie tkwił w fotelu, wpatrzony w podłogę, i nerwowo skubał rożek koronkowej serwetki leżącej na stoliku.

* Jeśli pan teraz nie wyjdzie, wezwę nocnego portiera * wymamrotała Liza, czując, że traci świadomość.

* Zęby to zrobić, musiałyby pani najpierw założyć buty. Przecież nie pójdzie pani boso? Poza tym nie przypuszczam, żeby potrafiła pani zrobić teraz choć kilka kroków. Pani jest słabo, to widać.

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł w gardle. Ciało stało się jakieś obce. Czują, że wolno osuwa się na podłogę, ale nie mogła nic na to poradzić. Krasawczenko podskoczył ku niej, zamykając bezszelestnie drzwi, wziął ją pod pachy i jak lalkę powlókł na fotel. Liza wszystko widziała, słyszała, rozumiała, ale nie mogła się poruszyć. Jeszcze raz spróbowała krzyknąć, ale z gardła wydostał się tylko słaby chrypliwy dźwięk.

* Będzie pani mogła mówić * wyjaśnił Krasawczenko, układając ją w fotelu * ale szeptem, bardzo cicho, tak, że tylko ja panią będę słyszał i nikt więcej. Niech pani nie próbuje się ruszać. Szkoda tracić energię. Do pani wina dodałem dziesięć miligramów substancji, która nazywa się ASz siedemset dziewięć. To jest trucizna.

Mam przy sobie antidotum i dam je pani, jak tylko dostanę odpowiedź na kilka pytań.

* Niech pan nie plecie bzdur * wychrypiała Liza * w większości otruć, potrzebne jest płukanie żołądka, a nie jakieś antidotum... Pan nie mógł mi nic dodać, bo bym zauważyła.

* Rzęsa * przypomniał jej Krasawczenko.

* Aresztują pana...

* Lizo, czas biegnie. Jeśli się zorientuję, że mnie pani oszukuje, to jutro pokojówka znajdzie pani ciało. Sekcja wykaże, że przyczyną śmierci była ostra niewydolność serca. Nikt nie widział, jak tu wchodziłem i nikt nie zobaczy, jak wyjdę. Czy do pani rodziny należała działka letniskowa w osadzie „Bolszewik”, przy drodze Sawiełowskiej?

* Baturino...

* No tak, racja, osada do rewolucji nazywała się Baturino, a potem zmienili nazwę na „Bolszewik”. Czy ktoś z pani krewnych przekopywał tam ziemię?

* Tak.

* Całą działkę, czy w jakichś konkretnych miejscach?

* Babcia Klawa sadziła maliny wzdłuż płotu. Wujek Walery kopał w ogrodzie. Na działce był niewielki strumyczek... bagienko... zupełnie z tyłu, koło dębowego lasu.

* Zgadza się. Tam była pozostałość po ogrodowej altance, okrągły kamienny fundament

* Wygodnie się na nim drwa rąbało.

* Czy ktoś tam kopał ziemię?

* Nie. Tam rąbali drwa do pieca i rosły pokrzywy... Ja się źle czuję, nie mogę oddychać...

* Jest pani przekonana, że koło strumyka i koło lasu nikt z pani rodziny nie kopał?

* Mogli kopać przed moim urodzeniem albo jak byłem całkiem mała. A po co chce pan to wiedzieć?

* Kamień.

* Jaki kamień? Nie mogę oddychać...

* Może pani. Proszę otworzyć oczy. Proszę patrzeć na mnie. Gdzie jest kamień?

* Nie wiem, o co chodzi... Co ma do rzeczy nasza działka? Zresztą już dawno do nas nie należy. Kiedy babcia umarła, dacza przeszła na krewnych.

* Lizo, trzymam w ręce strzykawkę. W strzykawce jest antidotum. Zostały dwie minuty. Gdzie jest kamień? Brosza, w kształcie kwiatu orchidei z dużym brylantem w środku, z platynowymi płatkami ozdobionymi małymi, okrągłymi topazami, które

wyglądają jak krople rosy i z podłużnymi szmaragdami w kształcie listków.

* Potrzebuję lekarza, ze mną jest coraz gorzej.

* Czy pani, albo ktoś z rodziny, znajdował coś w ziemi, na działce? * Tak.

* Co dokładnie?

* Dżdżownice.

Rozdział 15

W ostatnim pięćdziesięcioleciu dziewiętnastego wieku wśród moskiewskich bogaczy rozpowszechniła się petersburska moda. Przegraną w makao regulowano diamentami.

makao * karciana gra, mająca wiele odmian. Wersja hazardowa, m.in. popularna w Rosji, jest obecnie prawnie zabroniona. W opisywanej wersji najwyższą kartą jest 9 i ten, kto ją posiada, wygrywa potrójną stawkę.

Stoły do gry były nakryte czarnym aksamitem, obok każdego gracza stała nieduża cedrowa skrzyneczka. Za każdą dziewiątkę czerpali złotą łyżeczką po jednym kamyku. Ta arystokratyczna zabawa była wymyślona jeszcze w czasach Katarzyny Drugiej.

Hrabia Iwan Jurewicz Paurier był w młodości zapalonym graczem i jak każdy gracz, który nie potrafi, się wycofać w odpowiedniej chwili, znacznie więcej przegrywał, niż wygrywał. „Diamentowe” makao definitywnie zniszczyło nie tylko jego, lecz przyszłość jego rodziny. Przy aksamitnym stole zapominał, że Krestowodwizeńskaja kopalnia diamentów od dawna nie przynosi dochodów, bo już nie ma ani złota, ani diamentów. Z dwóch majątków ziemskich * jeden zastawiony, drugi doprowadzony do kompletnej ruiny przez zarządcę złodzieja.

W ciągu miesiąca hrabia nie tylko wpadł w ogromne długi, ale przegrał unikalną kolekcję rodzinnych diamentów. Zobaczywszy, że nie ma już co wsypać do cedrowej skrzyneczki, nieszczęśnik wpadł w czarną melancholię, potem zaczął szaleć, bez namysłu drzeć papiery ze swojego sekretarzyka, wrzucił w ogień kominka ubranie i bieliznę i o mało nie spalił domu. Pierwszego stycznia 1900 roku hrabia Iwan

Jurewicz Paurier zmarł w szpitalu dla umysłowo chorych.

Jego syn, Michaił Iwanowicz Paurier, zorientował się, że długi stanowią cały spadek po ojcu i nigdy nie będzie w stanie ich spłacić. A na litość nie ma co liczyć. Jedynym sensownym wyjściem mógł być szybki bogaty ożenek.

Hrabiowski tytuł był wiele wart, Michaił był przystojny, jednak wyboru wielkiego nie miał. Poza tym cała Moskwa wiedziała, że sprawy finansowe arystokratycznego kawalera stoją gorzej niż marnie.

W przystojnym młodzieńcu dawno i beznadziejnie kochała się córka kupca Boliakina, handlującego złotem, niejaka Irina Tichonowna. Trzydziestoletnia panna była dorodną osobą z imponującym biustem i ciemnymi wąsikami, zawsze lekko zaspana.

Interes został ubity bardzo szybko, kupcówna na nieśmiało oświadczyły hrabiego zareagowała płomiennie wyrażoną zgodą.

Z początku tatuś odniósł się do swatania z obawą. Nawet posprzeczał się z córką, ale ona dowiodła mu bezsporne uczucia do hrabiego, mdlejąc na kilka chwil i obiecując, że jeśli tatko odmówi, to popelni samobójstwo. A ponieważ we wczesnej młodości próbowała się otruć morfiną przez jakiegoś kadeta, petersburskiego hulakę, i lekarze orzekli, że jej psychika nie jest zrównoważona, więc papcio więcej się nie sprzeciwiał.

Zaprosił hrabiego do swego gabinetu i przeprowadził z nim niezbyt długą rozmowę.

* Wasza Wysokość * powiedział * uważam za swój obowiązek uprzedzić pana, że moja córka nie jest całkiem zdrowa.

* Co też pan mówi * zdziwił się szczerze hrabia * pańska córka wygląda kwitnąco.

* Mam na myśli nie fizyczny, lecz psychiczny mankament. Zdarzają jej się okresy melancholii i ciężkiej podejrzliwości.

* Śmiem pana zapewnić, Tichonie Tichonowiczu, że moje szczerze uczucie przezwycięży ten mankament * odparł hrabia * ja kocham Irinę.

* Daj pan spokój, hrabio * kupiec z wyrzutem pokręcił głową * przecież pan się żeni z moją córką dlatego, że nie ma pan pieniędzy. Irina już od pewnego czasu sieje pietruszkę, lekarze mówią, że powinna jak najszybciej wyjść za męża, bo inaczej

całkiem zbzikuje. Ale za kupca ona nie pójdzie, a prócz pana nikt utytułowany dotąd swatów nie przysłał, i chyba nie przyśle. Poza tym wbiła sobie do głowy, że jest w panu zakochana na śmierć.

Mam jedną jedyną córkę i dla jej szczęścia jestem gotów pokryć wszystkie długi pańskiego świętej pamięci tatusia, hrabiego Iwana Jurewicza, niech mu ziemia lekka będzie * kupiec wstał, skłonił się w pas i przeżegnał, zwróciwszy się w stronę kącika z ikonami, a potem usiadł, utkwiał wzrok w hrabim i ciągnął dalej: * Jestem gotów uratować pana przed więzieniem za długi, ale niech i pan nas uszanuje, Wasza Wysokość. Bądź pan dobrym mężem dla mojej Iriny, żyj z nią uczciwie, po chrześcijańsku.

* No, jakżeby inaczej, drogi Tichonie Tichonowiczu? * uśmiechnął się hrabia. * Oczywiście, że po chrześcijańsku.

Kupiec zmierzył go długim uważnym spojrzeniem i rzekł dobitnie:

* No, Wasza Wysokość, niech pan uważa. Pan obiecał.

Nie minął tydzień, a cała Moskwa huczała, że kupiec Boliakin wyrównał u kredytodawców długi hrabiego Paurier.

22 kwietnia 1900 roku w cerkwi Świętego Pimena Wielkiego, hrabia Michaił Iwanowicz Paurier zawarł związek małżeński z kupcówną pierwszej gildii, panną Boliakiną.

gildia (niem.) * kupiecka organizacja w carskiej Rosji z podziałem na trzy kategorie, w zależności od posiadanego kapitału.

W moskiewskim towarzystwie ten związek uznano za szczególnie pikantny, gdyż prababka panny młodej była pokojówką u prababki hrabiny Olgi Karłowny Paurier, a złe języki, wieściły, że darmozjad, hrabia Michaił, urządził się u dworskiej dziewczki.

W noc poprzedzającą ślub, narzeczony otworzył kluczykiem, który zawsze nosił przy sobie, szufladkę sekretarzyka i wyjął niewielką srebrną szkatułkę starej roboty.

Wnętrze jej było obite czerwonym aksamitem. Na aksamitnej poduszeczce leżała broszka w kształcie kwiatu orchidei.

Platynowe listki były umocowane ruchomo i lekko drgały. W półmroku topazy lśniły jak zmoczone, szmaragdy były prawie czarne, a brylant „Paweł” skrzył się

promieniami cieniutkimi i ostrymi jak igły. Wydawało się, że kryształ pochłania całe światło, które jest w pokoju. Tak jak w dzieciństwie, hrabia przysunął sobie brylant blisko do oczu i zobaczył mnóstwo delikatnych malutkich tęczy. Hrabia w wyobraźni zobaczył ciemne wąsiki i obfity biust przyszłej małżonki * ciężko westchnął, włożył z powrotem broszkę do szkatułki i zamknął w szufladce sekretarzyka.

Zaraz po ślubie młoda para wyjechała w podróż zagraniczną. Ostatnie dziesięciolecie przed wybuchem pierwszej wojny światowej, było chyba najspokojniejszym i najszczęśliwszym okresem w całej historii Europy. Dwu

dziesty wiek rzeczywiście dawał nadzieję, że będzie epoką mądrości, miłosierdzia i postępu. Skrócił odległości między państwami i obywatelami. Rower, samochód, zelektryfikowane drogi ułatwiły podróżowanie. Przeciętny Europejczyk miał teraz nowe poczucie przestrzeni i siebie w niej. Ludzie stali się zdrowsi i ładniejsi, stał się modny sport, damy odrzuciły gorsety, parasolki przeciwsłoneczne i woalki, przestały się obawiać słońca i wiatru, skróciły spódnice, pokazały swoją sprawność na kortach tenisowych, nauczyły się pływać, jeździć na nartach, prowadzić samochody.

Irina Tichonowna nie przestawała utyskiwać, że fascynacja sportem jest nieprzyzwoita i szkodzi kobiecemu zdrowiu.

W Paryżu dawał występy Siergiej Diagilew z rosyjskim baletem. Hrabia Michaił Paurier był miłośnikiem baletu, ale po raz pierwszy spektakl nie sprawił mu żadnej przyjemności. Irina bez najmniejszego wstydu, głośnym szeptem przywoływała męża do porządku, ponieważ wydawało jej się, że jego binokle cały czas są ustawione nie na scenę, lecz na sąsiednią łożę, w której białe w półmroku obnażone ramiona znanej paryskiej kokoty, mademoiselle de Pougier.

W Rzymie Irina urządziła scenę, ponieważ była przekonana, że apetyczna pokojówka w hotelu przekazała jej mężowi jakiś bilecik i dotknęła policzkiem policzka hrabiego, stawiając przed nim filiżankę czekolady. W poszukiwaniu bileciku Irina przekopała wszystkie jego osobiste rzeczy, a nie znalazłszy nic, wpadła w jeszcze większą wściekłość i naciskała na przeprowadzkę do prywatnego pensjonatu. Ale tam, tuż pod balkonem, był kort tenisowy, na którym biegały dwie młode Angielki w nieprzyzwoicie krótkich spódniczkach i hrabia zbyt długo przebywał na balkonie,

obserwując ich grę.

W Wenecji największe wrażenie wywarło na niej zbyt długie spojrzenie hrabiego utkwione na odsłoniętych powyżej kolan nogach pewnej smagłej piękności, która siedziała w gondoli z zamkniętymi oczami i wystawiła twarz na słońce.

* Michel, pan się zachowuje niemoralnie! * powtarzała bez końca małżonka. * Na co pan sobie pozwala? Pan mnie kompromituje za moje pieniądze!

Hrabia Michaił Iwanowicz Paurier zrozumiał, że wpadł. Sprytny papcio wszystkie dokumenty związane z majątkiem sporządził w ten sposób, że w przypadku rozwodu, hrabia zostanie biedny jak mysz kościelna.

Rozdział 16

Jelizawieta Bielajewa bardzo zmarzła, ale nie mogła się obudzić. Zimno weszło w sen razem z wyciem wiatru i miarowym stukaniem kropli o szybę. Wiatr wył już nie za hotelowym oknem, nie w Montrealu, a w dębowym lasku, w podmoskiewskiej osadzie Baturino.

Kończył się deszczowy wrzesień i opadłe liście szybko traciły odświeżone żółtopomarańczowe barwy, paskudnie ciemniały, gniły, deszcz i gumowe buty nielicznych mieszkańców dacz wdeptywały je w miękkie gliniano*piaskowe podłoże. Piętrowy domek koło lasku już dawno zajmowali obcy ludzie.

Dużą, dwudziestojednoarową działkę w elitarniej podmoskiewskiej osadzie Baturino otrzymał dziadek, jeszcze w czasach stalinowskich, za szczególne zasługi w rozwoju sowieckiej nauki. Dziadek przekazał ją w spadku po połowie: żonie i siostrze. Przed śmiercią prosił, żeby dom i działka nie zostały podzielone, mieli mieszkać wszyscy razem jak prawdziwa rodzina. Naiwnie sądził, że skomplikowane stosunki między jego ukochaną żoną i niemniej ukochaną siostrą, na świeżym powietrzu, przy okrągłym rodzinnym stole, jakoś się uładzą. Ale nic się nie uładziło. Babcia Nadieżda bardzo rzadko przyjeżdżała na daczę, była osobą „miastową”, którą denerwowały komary, wspólna lodówka i umywalka za domem, zaciśnięte usta Kławdii, szybkie, drapieżne oczka Zoi, kaśliwe aluzje dotyczące jakiejś domniemanej winy w stosunku

do zmarłego męża.

Im Liza była starsza, tym bardziej nieswojo czuła się na daczce, w obcej i przejawiającej wrogość rodzinie. Wymawiali jej, że zamiast pomagać w kopaniu grządek, cały czas czyta książki. Dlatego z upływem czasu coraz rzadziej przyjeżdżała. W pokoju, w którym zwykle mieszkała, zrobiono coś w rodzaju składowiska, zmienili zamki w furtce i w drzwiach wejściowych, ale nowych kluczy jej nie dali.

Babcia Nadieżda nie zdążyła, napisać testamentu, więc Walery i Zoja, zapewne dając w łapę notariuszowi, szybko załatwili przepisanie domu i działki na ciotkę Kławę, po której jedynym spadkobiercą miał być jej syn.

Od tej pory minęło piętnaście lat, podczas których Liza nigdy nie była w Baturino.

Ale tej jesieni przyjechała, żeby swoją Lotę zakopać w dębowym lasku.

Po operacji suka żyła jeszcze dwa miesiące. Na początku września sparaliżowało jej tylne łapy. Odchodziła długo i w cierpieniach. Do ostatniej chwili starała się wstawać, patrzyła na Lizę pokornymi i zupełnie ludzkimi oczami i jeśli ktoś w rodzinie zaczynał rozmowę, że już dość męczącego zwierzęcia, trzeba psa uspić, Lota zaczynała się trząść.

* Wygląda na to, że pies jest dla ciebie ważniejszy od nas * mawiał mąż Lizy * czy ty nie widzisz, jak dzieci to przeżywają? Nie można zamieniać mieszkania w lecznicę dla zwierząt.

Liza łapała się na tym, że przy mężu i dzieciach wstydzi się płakać, wstydzi się okazywać psu swego współczucia.

* Nigdy nie myślałam, że ty, mamciu, jesteś taka sentymentalna * powiedział kiedyś syn Witia, słysząc, jak matka rozmawia w nocy z Lotą, uspokaja ją jak płaczącego niemowlaka.

Po raz pierwszy w życiu Liza pozwoliła sobie na wyjście z roli spokojnej, godnej zaufania, żelaznej prymuski, wolnej od sentymentów, bezspornie panującej nad swymi emocjami. W pracy, między obcymi jeszcze się jakoś trzymała, ale w otoczeniu bliskich nerwy puszczały, a to ich niepokoiło i drażniło. Nawet córka, Nadjusza, obojętnie wzruszała ramionami na widok maminych łez i rozsądnie

deklarowała, że pies to nie człowiek.

Tylko w towarzystwie Jury Liza nie czuła się winna. Jura nie uważał, że tak silne współczucie w stosunku do zwierzęcia jest nienormalne czy nieprzyzwoite. Przy nim nie wstydziła się płakać z żalu i bezsilności. Rozumiał ją bez zbędnych wyjaśnień. Z nim dobrze było milczeć, siedząc w samochodzie, słuchając, jak wrześniey deszcz stuka w dach. Wystarczyło wtulić nos w ramię Jury, poczuć zapach przesiąkniętego papierosami swetra i już było ciepło, i ogarniał ją spokój.

Lota odeszła nocą, po długich, męczących drgawkach. Liza siedziała na podłodze, trzymała jej łeb na kolanach i czuła, jak żywe stworzenie rozpaczliwie walczy o życie.

Być może rację miał mąż, mówiąc, że zachowuje się jak pozbawiona rozumu płaczliwa stara panna. Na świecie jest tyle tragedii, prawdziwego ludzkiego nieszczęścia, a tu tylko pies, do tego kapryśny, niedobry. W ostatnim czasie Lota sprawiała tyle kłopotu, załatwiała się pod siebie i tego smrodu żadnymi środkami myjącymi nie dało się usunąć. Jęczała po nocach, nieustannie próbowała stanąć na czterech łapach i padała z hałasem, który budził męża i dzieci, a oni przecież musieli wcześniej wstawać.

* Posłuchaj, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że to jest nienormalne? * Liza usłyszała głos męża i wtedy zobaczyła, że Lota już nie oddycha. Liza zalała się łzami. Od tej pory minęło niewiele czasu i często powracał sen o deszczowym, zasnutym prawie czarnymi chmurami pochmurnym dniu, w którym pojechała z Jurą do osady „Bolszewik”, którą teraz znowu przemianowali na Baturino, żeby tam, w dębowym lasku zakopać Lotę.

Spod kół wiśniowej skody leciały bryzgi, deszcz zalewał przednią szybę.

Zostawili samochód koło niewielkiej polany, gdzie dawniej było boisko do siatkówki. Do lasu doszli z drugiej strony. Liza już z daleka zobaczyła, że w oknie starego drewnianego domu pali się światło i odwróciła się tyłem.

Łopata lekko wchodziła w mokrą ziemię. Po chwili zrobiło się całkiem ciemno. Liza zapaliła latarkę. Kiedy nad psią mogiłą wyrósł niewielki kopczyk, usłyszeli w pobliżu czyjeś kroki. Ktoś w ciemności zbliżał się w ich stronę i ochryple pokasływał. Wąski

strumień światła latarki wyłowił z mroku kaptur wysłużonej wojskowej peleryny i pomarszczoną twarz starego człowieka.

* Znajdzie się coś do palenia? * spytał zachrypnięty głos.

Jura wyjął z kieszeni paczkę papierosów, błysnął ogień zapalniczki. Stary człowiek zaciągnął się, zakaszłał z trudem i spytał:

* Kto wy jesteście?

* Jesteśmy przejazdem * odparła Liza.

* A czemu tu kopaliście?

* Psa zakopaliśmy.

* A czemu tutaj?

* No a gdzie? Przecież nie na cmentarzu, a na śmietnik też nie wyrzucę * odparł Jura i też zapalił papierosa.

* To ja rozumiem, ale dlaczego właśnie tutaj? A macie dokumenty? * Jakie dokumenty?

* A może wcale psa nie zakopaliście, ale trupa? Wiadomo, jakie teraz są czasy. Lizie przez chwilę wydawało się, że w głosie starego, w jego przepitej pomarszczonej twarzy dostrzega coś znajomego.

* Dawajcie no dokumenty, bo jak nie, to zaraz pójde po milicję.

* Mikołaj Piotrowicz? * Liza nagle sobie przypomniała. * No tak, wujek Kola... Pan tu nadal pracuje jako stróż?

* Zgadza się, jako stróż. A ty skąd wiesz?

* Można powiedzieć, że ja tu wyrosłam. W dzieciństwie każdego lata tu przyjeżdżałam.

* Coś ja nie mogę ciebie poznać.

* Piętnaście lat tutaj nie byłam * Liza skierowała światło latarki na swoją twarz * a teraz mnie pan poznaje?

* Lizawieta! No, popatrzcie jaka to ona teraz! Słuchaj, czy to ty w telewizorze wiadomości prowadzisz?

* Ja*

* Patrzcie ludzie! A ja wciąż patrzę i myślę: ty, nie ty? A to kto, twój mąż?

* Mąż * odparł bez namysłu Jura.

Anatolij Grigoriewicz Krasawczenko, idąc ulicą Świętej Katarzyny, bardzo się spieszył. Minał kilka przecznic, skręcił, szedł wzdłuż słabo oświetlonych wystaw centrów handlowych i po dziesięciu minutach znalazł się na zalanej neonowym martwym światłem ulicy. Właśnie tutaj dotarła przez gapiostwo Jelizawieta Pawłowna Bielajewa.

Krasawczenko zwolnił i szedł powoli oblodzonym trotuarem, wpatrując się w twarze sennych dziewcząt, które nawet w tak psią pogodę nie porzucają swoich miejsc pracy. To był towar najniższej jakości. Bezmyślne twarze, pokryte wieloma warstwami najtańszych kosmetyków, przekrzywione peruki, zepsute zęby. Istoty przeżarte narkotykami i alkoholem,

którym wszystko na świecie zubożało prócz pieniędzy, za które można będzie kupić kolejną działkę czy alkohol. Krasawczenko doszedł do wniosku, że tu nie warto tracić czasu. Zaoszczędzić pieniędzy i tak mu się nie uda i, prawdę mówiąc, specjalnie na to nie liczył. Przyspieszył kroku, skręcił w przecznicę i znalazł się na równoległej ulicy. Fasady domów wyglądały czyściej, szyldy mrugały kolorowymi światłami. Tutaj towar nie marzył na chodniku, lecz znajdował się wewnątrz.

Krasawczenko wybrał miejsce, które nazywało się „Galeria Maleńki Amsterdam”. To rzeczywiście była galeria, przypominająca podziemne centrum handlowe. Wstęp kosztował dwadzieścia kanadyjskich dolarów. Przy schodach stali krzepcy ochroniarze. Po zejściu na dół Krasawczenko znalazł się między dwoma rzędami błyszczących, szklanych witryn. Za szybami widać było pokoje mieszkalne, ładnie urządzone. Toczyło się tam normalne codzienne życie.

Dziewczyny w bikini, w przezroczystych peniuarach i koronkowej bieliźnie siedziały przy stolikach, popijały colę z aluminiowych puszek, przeglądały kolorowe tygodniki, paliły papierosy, niektóre leżały na kozetkach w stylu retro lub po prostu na dywanie. Wyglądało to tak, jakby wcale ich nie obchodzili nieliczni „kupcy” gapiący się przez szybę.

Krasawczenko wpatrywał się uważnie w ich twarze, przy niektórych witrynach zatrzymywał się, pokazywał na migi dziewczynie, żeby stanęła profilem lub podeszła

bliżej do okna. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

Wysoka, około trzydziestoletnia blondynka, z popielatym odcieniem włosów, w dżinsowych szortach, prostej trykotowej bluzeczce siedziała na bujaku obok okrągłego stolika na prasę i była pochłonięta czytaniem gazety. W głębi pokoju widać było wielkie, solidne łóżko i plastikową kabinę prysznicową. Krasawczenko cicho postukał paznokciem w szybę. Kobieta uniosła głowę. Długo i wnikliwie wpatrywał się w jej twarz. Wielkie niebieskie oczy, wysokie czoło, wystające kości policzkowe, prosty krótki nos, blade duże usta. Kobieta wstała. Przeszła bosą po dywanie, obróciła się, demonstrując swoją figurę ze wszystkich stron. Zadowolony Krasawczenko skinął głową, a ona z uśmiechem pokazała mu, że wejście jest z drugiej strony.

Przy drzwiach stał ochroniarz.

* Proszę się zaznajomić z naszym regulaminem i cennikiem * podał mu plik papierów. Krasawczenko przebiegł oczami wykaz usług oferowanych przez tę kobietę i cicho gwizdnął na widok wygórowanych cen.

„Wpłata awansem * pięćdziesiąt dolarów gotówką. Karty kredytowe jak i czeki nie są honorowane. Zabronione jest całowanie pani w usta, dotykanie jej włosów.

Sprawianie bólu lub wyrządzanie krzywd cielesnych będzie ścigane zgodnie z prawem...”

* Czy przeczytał pan do końca, sir? * spytał ochroniarz. * Odpowiadają panu warunki?

* Tak.

* To proszę o pieniądze i podpis.

* Najpierw muszę porozmawiać z tą panią.

* Ma pan jakieś szczególne wymagania, nie wchodzące w zakres usług?

* Tak.

* Wobec tego musi pan o tym porozmawiać z menedżerem. Zaprowadzę pana do biura.

Nie było wyjścia i Krasawczenko udał się za ochroniarzem. W głębi galerii znajdował się prosty, przytulny gabinet urządony kosztownie i ze smakiem. Zza

stołu wyszedł ku niemu niewysoki pulchny starszy mężczyzna ze śnieżnobiałą okrągłą bródką i błyszczącą różową łysiną.

* Proszę siadać, sir. Słucham uprzejmie.

* Chciałbym jedną z pań sfilmować na wideo.

* Nie ma problemu, sir * uśmiechnął się uprzejmie menedżer * zapewnimy panu operatora ze sprzętem. Trzydzieści minut filmowania kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów plus cena podstawowych usług. Kasetę dostanie pan w godzinę po zakończeniu filmowania.

* Czy mogę jeszcze poprosić o zrobienie kilku zdjęć polaroidem?

* Ależ oczywiście.

Ochroniarz odprowadził go do jasnowłosej kobiety. Kiedy szklaną witrynę zasłoniły szczelne metalowe żaluzje, Krasawczenko wyjął z torby niewielkie pudełko z teatralnymi kosmetykami.

* Przed zdjęciami, muszę cię, dziecino, troszkę podmalować.

Rozdział 17

Paweł Władimirowicz Malcew zdążył zjeść swój ulubiony omlet z tartym serem i wypić drugą szklanekę pomarańczowego soku, a Krasawczenki nadal nie było.

Zamówił filiżankę kawy bez kofeiny i spojrzął na zegarek.

Malutka restauracja, w której się umówili, znajdowała się o dwa kroki od hotelu Quine Elisabeth. Ze swojego miejsca Malcew świetnie widział główne wejście do hotelu i plac przed nim. Krasawczenko powinien był przemierzyć ten plac już dwadzieścia minut temu. Malcew był poważnie zaniepokojony.

Punktualność była jedyną cenną i pozytywną cechą Krasawczenki. Jeśli się spóźnia, to znaczy, że coś się stało. Skoro zadajesz się z człowiekiem bez zasad, to na miłe niespodzianki nie możesz liczyć.

A co będzie, jeśli zdobywszy długo oczekiwaną informację, postanowił zmyć się cichaczem? A może to nie żaden Krasawczenko i jego paszport jest podrobiony? Tylu różnych aferzystów włóczy się po świecie i żadne wypełniane ankiety, kontrole

graniczne nie przeszkadzają im w sfalszowaniu danych osobowych, zniknąć, pojawiać na drugim końcu świata, otrzymywać nowe obywatelstwo, kupować nieruchomości, otwierać rachunki w bankach? Wczoraj był Mahmudem Ibrahimowiczem, czeczeńskim terrorystą, a dziś * obywatelem Niemiec, Herr Schtolzem, właścicielem stadniny, kasyna i zamku na malowniczym brzegu Renu. Wczoraj nazywano go Waśką Czerep, dowodził bandą oprychów w Lubercach, a jutro to jest Amerykanin rosyjskiego pochodzenia, Wasilij Wasilierf, właściciel restauracji w Brayton, willi na Hawajach; w niedzielę popija bezalkoholowe piwo z szefostwem policji. Angielskiego nie zna, ale rozumieją się doskonale.

Paweł Malcew dopił chłodną kawę i zrobiło mu się żal, że nie pali papierosów. Minęło jeszcze dziesięć minut. Już miał zapłacić i wrócić do hotelu, ale za plecami usłyszał znajomy głos.

* Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie.

Krasawczenko był w czarnych dżinsach, w rozpiętej czarnej skórzanej kurtce.

Ciemne okulary, na ramieniu droga, sportowa torba. Cienkie wargi drgały w zupełnie niezwykłym dla niego uśmiešku. Malcew demonstracyjnie spojrzał na zegarek.

* No cóż, zasnęłam. Każdemu może się zdarzyć * Krasawczenko rozłożył bezradnie ręce i usiadł przy stoliku. * Miałem trudną i nerwową noc * strzelił palcami, przywołując kelnera, i ten gest wydał się Malcewowi tak prostacki, że skrzywił się z niesmakiem.

Krasawczenko zdjął kurtkę i został w czarnym ciepłym swetrze, spod którego wystawała biała koszula. Paweł Malcew dostrzegł na kołnierzyku różowobeżowy ślad pudru.

* Tak, widzę, że noc miałaś rzeczywiście trudną i nerwową. Podszedł kelner i

Krasawczenko zamówił sobie dwa żulieny*, krwistą

południcę, dofinki**, dużą porcję sałaty ze świeżych warzyw i sok pomidorowy.

żulien (Julienne, franc.) * sposób krojenia warzyw, mięsa w drobne, prawie

przezroczyste słupki. W kuchni francuskiej tą nazwą określa się również zupy z warzywami pokrojonymi w ten sposób.

dofinki (dauphine, franc.) * kulki z puree ziemniaczanego smażone w oleju jak frytki.

* Od wczorajszego wieczoru nic nie jadłem * wyjaśnił * po nocnych zajęciach mam zawsze wilczy apetyt. No więc tak, ona nic nie wie o błyskotce. Przepytałem ją prawidłowo, bez rezultatu. W ogóle cała sprawa wygląda absurdalnie. Mam takie uczucie, jakbyśmy obaj zwariowali. Ale, ale, już dawno chciałem pana spytać, jak dobrze zna pan naszego zleceniodawcę?

* Już trzykrotnie zadawałeś mi to pytanie.

* Naprawdę? No dobrze, zadam jeszcze raz. Zwłaszcza że teraz jest to szczególnie aktualne.

* Dlaczego?

* Dlatego, że jesteśmy w ślepych zaułku. Robota skończona, w każdym razie moja część.

* Skąd ci to przyszło do głowy?

* Bo już nie ma kogo pytać. Bielajewa była ostatnim ogniwem łańcuszka.

* Są jeszcze potomkowie tych ludzi, którzy osiedli w Baturino zaraz po rewolucji, a myśmy przecież zaczęli od pięćdziesiątego roku, czyli opuściliśmy ponad dwadzieścia lat.

* Tak, racja. Szukaniem tej broszy można się zajmować do końca życia. Przodkowie, potomkowie, jubilerzy, ogródki... Niech pan zrozumie, że nie można działać, licząc tylko na szczęśliwy przypadek.

Krasawczenko umilkł, czekając, aż kelner ustawi przed nim talerze. Zdjął ciemne okulary, żeby lepiej obejrzeć przyniesioną krwistą polędwicę. Paweł Malcew zauważył, że jego towarzysz je bardzo nieapetycznie. Każdy kawałek podnosi blisko do oczu, ogląda, kręci widelcem, potem zdecydowanym ruchem wkłada do ust i gryzie szybko, łakomie, rzucając spojrzenia dokoła, jak pies który ukradł cudzą kość.

* Nie wolno liczyć na szczęśliwy przypadek * powtórzył Krasawczenko, przełknąwszy pierwszy kawałek mięsa * ale nie powiedział mi pan, jak dobrze pan zna tego co nadał tę robotę.

* Widziałem go kilka razy.

* I jakie zrobił wrażenie?

* A co ma do rzeczy moje wrażenie?

* Ma, bo... * Krasawczenko wsadził do ust drugi kawałek mięsa i popił wodą mineralną * wydaje mi się, że to chory człowiek. Niech pan pomyśli, czy normalny człowiek wyrzuca taką wielką forszę na wiatr? Ile on już stracił przez tę nieszczęsną broszkę? Pan i ja, normalni ludzie, profesjonaliści, idziemy na smyczy wariata, szukamy igły w stogu siana. Ja nie mogę bezsensownie ryzykować dla jakiejś broszki, choćby była warta i milion dolarów. To z resztą i tak nie mój milion.

* Mam rozumieć, że chcesz się wycofać z gry?

* W żadnym wypadku. Dlaczego mam się rozstawać z kimś, kto lubi szastać pieniędzmi? * Krasawczenko rozprawił się z poledwicą, dojadł ostatnie, najbardziej spieczone frytki, a nie mogąc ich nabić na widelec, brał je z talerza palcami. * Ile on wydał na sam nasz wyjazd do Kanady? W imię czego, pytam?

* Moment * przerwał mu Malcew * nie rozumiem, u licha, czemu to nagle zacząłeś liczyć pieniądze zleceniodawcy?

* Jeśli on ich nie liczy, to czemu by się nie wtrącić? * Krasawczenko porozumiewawczo mrugnął okiem. Dopił jednym haustem resztki soku pomidorowego i zabrał się do sałaty.

Malcew skinął na kelnera i poprosił o szklankę wody mineralnej. Zaszło mu w gardle.

* I jak to zamierzasz zrobić?

* Powinniśmy wykorzystać te możliwości, które stworzyły się podczas tej operacji. Wykorzystać dla własnej korzyści, żeby potem nie wyjść na durniów.

* A jakie, według ciebie, otwierają się przed nami możliwości?

* Na razie tylko jedna. Nazywa się Jelizawieta Bielajewa. Teraz pan zrozumiał?

* Nie.

* No przecież to proste! * Krasawczenko pokręcił głową. * Przecież pan jest mądry facet, Pawle Władimirowiczu. Bielajewa to bezpośrednie wejście na wizję, a wie pan, ile kosztuje bezpośrednie wejście na wizję?

* Bardzo dużo. I co dalej?

Krasawczenko przez kilka chwil nic nie mówił, zrobił tajemniczą pauzę i wreszcie, znizywszy głos, obwieścił:

* Mam szansę mieć kasetę wideo, na której wzór czystości i dobrego obyczaju zdradza męża, przy czym z wyraźną przyjemnością.

* I kto jest tym szczęśliwcem? * wzrok Malcewa powędrował na biały kołnierzyk koszuli wysmarowany pudrem.

* Przecież mówiłem panu, że do tej damy potrzebne jest indywidualne podejście * na twarzy Krasawczenki znów pojawił się uśmiezek * czterdziestka, to poważny wiek.

* Chcesz przez to powiedzieć, że mimo wszystko udało ci się... * Malcew chrząknął * czy jednak pomógł ci preparat?

* Obraża mnie pan z tym preparatem. Najpierw, że tak powiem, porozumieliśmy się, a potem wypiliśmy po kieliszku wina.

* I co, masz zamiar ją szantażować? * Malcew jednym haustem wypił wodę. * Boże drogi, co za trywialne pomysły! Teraz tylko skończony leń nie próbuje zarabiać na kompromitujących łóżkowych materiałach. Nie sądzę, by kogoś można było tym zaskoczyć lub postraszyć. Poza tym

zapominasz o najważniejszym: żeby wepchnąć do programu pornosu, to trzeba mieć takie znajomości, o jakich ci się nawet nie śniło. A Bielajewa wie o tym jeszcze lepiej. Nie przestraszy się.

* Poza milionami widzów Bielajewa ma jeszcze rodzinę. Nie potrzeba żadnych specjalnych znajomości, żeby jej mężowi podrzucić kasetę.

* Założmy, że ci się to uda. Ile potrafisz od niej wyciągnąć? Jeśli już szantażować, to lepiej znaleźć kogoś bardziej zamożnego.

* Racja. I już wybrałem. Nasz dobrodziej jest człowiekiem bardzo bogatym, ale zupełnie nie umie korzystać ze swoich pieniędzy.

* Ciekawe. Ale co ma z tym wspólnego Bielajewa?

* Przecież mówiłem. Bielajewa to najprostszy dostęp na wizję. Zorientowałem się, że nasz zleceniodawca starannie ukrywa swoją słabość do kamieni szlachetnych. Można więc przypuszczać, że to ani bankier, ani przemysłowiec, ale urzędnik państwowy i to na wysokim szczeblu. Zgadza się?

* Nie mam pojęcia. * Paweł Malcew obojętnie wzruszył ramionami i poczuł, że pod koszulą, między łopatkami, spływa mu zimny pot.

* Żeby kasetą z pornosem w jej wykonaniu nie wpadła w ręce męża i dzieci, Lizawieta Bielajewa będzie, od czasu do czasu, spełniać moje prośby. I najpierw na żywo ja wystąpię, a mam co opowiadać, bo moja biografia jest rzeczywiście interesująca. Do rozmowy wybierzemy dowolny temat, a w swój monolog wstawię kilka czytelnych aluzji, które nasz zleceniodawca bez trudu zrozumie. Jeśli nie zareaguje, to w kolejnym wejściu na żywo ogłoszę już bardziej konkretną informację o hobby urzędnika państwowego i o metodach, jakie stosuje, aby zaspokoić swoje zamięłowanie do kamieni szlacheckich.

* Wspaniale! * Malcew roześmiał się, ale tak szczerze, że aż się sam zdziwił. * Podwójny szantaż! Ale to ci się nie uda. Nie wierzę, żeby Bielajewa, będąc przy zdrowych zmysłach, dobrowolnie zgodziła się z tobą przespać. Nie sądzę, że ci się uda nagrać to na kasecie. Bo jeszcze jej nie masz, prawda?

* Mam, ale to musi zostać między nami.

* Jak to? Nie zauważyła, że wyjmujesz kamerę? Raczej najpierw napiłeś ją swoim świństwem, a dopiero potem zacząłeś filmować. Nie ma innych możliwości. A za to, mój kochany, jest paragraf. Jak tylko wystąpisz do Bielajewej z szantażem, to ona cię po prostu oskarży i cię posadzą.

* Ale o co? * Zdziwiony Krasawczenko uniósł brwi do góry. * O miłość? To prawda, że od dawna pociągała mnie fizycznie, i tego nie ukrywam. Okazało się, że moje uczucie zostało odwzajemnione i jestem bardzo szczęśliwy i dumny. Ale to nie moja wina, że jakaś gnida sfilmowała nas z ukrycia. Trudno, żyjemy w obrzydliwych i cynicznych czasach. Żeby skończyć: wszystko, co dotyczy Jelizawiey Bielajewej, to już mój problem. Od pana potrzebuję informacji na temat naszego zleceniodawcy. Chcąc przekazać mu moje warunki, muszę się z nim jakoś skontaktować. Na razie mogę to zrobić tylko przez pana.

* Cały czas się zastanawiam, czemu tak szczerze dzielisz się ze mną swoją napoleońską strategią dotyczącą tej sprawy?

* Do rzeczy. Czy zgadza się pan mi pomóc? Proponuję piętnaście procent od każdej

wpłaty. Zgadza się pan?

* A ile chcesz od niego wziąć?

* Na początek sto tysięcy. A potem zobaczymy.

* Tegoa.. Pomysł, przy całym swoim obrzydlistwie, w sumie nie jest taki zły. Ale nie piętnaście, ale dwadzieścia pięć.

* Dwadzieścia.

* Dwadzieścia pięć albo sam się z nim kontaktuj.

* Szlag by pana trafił! Zgodą.

Zapłacili i opuścili restaurację. Malcew wszedł do antykwariatu, który był tuż obok, w sąsiednich drzwiach. Oglądając stołowe osiemnastowieczne srebro, co chwilę spoglądał w ogromne nachylone lustro. Było tak ustawione, że odbijał się na nim plac przed hotelem. Począł, aż wysoka barczysta postać zniknie za hotelowymi drzwiami i dopiero wówczas wyskoczył z antykwariatu, skręcił za róg i pobiegł do płatnego postoj, gdzie zostawił swój samochód.

Ręce mu drżały i nie był w stanie trafić kluczem do zamka. Biały ford, wynajęty w dniu przyjazdu, zaczął okropnie wyć. Malcew poczuł, że coś się dzieje z jego sercem. „Jeszcze tego brakowało, żeby mnie teraz dopadł zawał”, pomyślał.

Znalazł w kieszeni opakowanie nitrogliceryny, wsadził tabletkę pod język, wyłączył sygnalizację, opadł na aksamitne siedzenie, z zamkniętymi oczami policzył do pięćdziesięciu i zadzwonił do brata, do Moskwy.

Rozdział 18

Telefon zadzwonił, kiedy Dmitrij Władimirowicz Malcew pluskał się w swoim lodowatym basenie. Podpłynął do brzegu i prychając, poprosił:

* Podaj mi słuchawkę.

Temperatura powietrza wynosiła minus dziesięć. Waria siedziała na ławce, szczelnie otulona futrem, a on, zaróżowiony i rześki, wysunawszy się z wody do pasa, rozmawiał z bratem, Pawłem, który znajdował się teraz w Montrealu. Bracia byli bardzo podobni do siebie i dosłownie żyć bez siebie nie mogli. Zawodowo nic ich nie

łączyło: Dmitrij zajmował się finansami i polityką, a Paweł mineralogią i sztuką jubilerską. Był jednym z lepszych specjalistów w dziedzinie wyrobów firmy Faberge i ekspertem antykwarycznych wyrobów jubilerskich.

* Co? Słuchaj Paszula, może on żartował? Nie zrozumiałem, w końcu jest już ta kaseta, czy dopiero on to planuje? No, bracie, aleś sobie znalazł pomocnika! Dobra, przepraszam, nie będę. Rozumiem. Najważniejsze * uspokój się. O której godzinie masz samolot?... Tak, powtórz jeszcze raz numer lotu. Przyślę po ciebie auto na Szeremietjewo. Przywiozą cię do mnie i wszystko spokojnie obgadamy. Cześć. Dmitrij oddał Warii telefon i lekko wyskoczył z basenu. Bryzgi lodowatej wody zmoczyły jej twarz.

* Masz pozdrowienia od Pawła. Słuchaj, kocie, jesteś wysportowaną dziewczynką, a nie umiesz pływać. Czas, by się nauczyć. Podaj mi mój ręcznik. Dzięki. * Wytarł energicznie plecy, potem zrobił kilka przysiadów i skłonów. * A poza tym czemu przestałaś biegać rano, co, mały le niuszku? * Objął Warię i pocałował w zimny policzek. * Dobrze, chodźmy na śniadanie.

Przy stole Dmitrij pograżył się w czytaniu gazet, jego oczy szybko przebiegały po liniijkach, starannie zaznaczonych żółtym markerem przez osobistego sekretarza prasowego. Waria popijała sok pomarańczowy i patrzyła w okno. Zapewne jutro trzeba będzie wstać razem z nim o siódmej rano, założyć adidas i przebiec tych pięć kilometrów.

* Jakie masz plany na dziś? * spytał, nie odrywając oczu od gazety.

* Koło drugiej muszę skoczyć na uniwersytet, a potem chcę pojechać do mamy.

* Jak ona się czuje?

* Normalnie.

* A jak twoje sprawy na uniwersytecie?

* Wszystko w porządku.

* Dobrze. Pora na mnie * odłożył gazetę, wstał, dopił zieloną herbatę * chodźmy, odprowadzisz mnie.

Kiedy za opancerzonym dżipem zamknęła się żelazna brama, Waria odetchnęła z

ulgą, wróciła do domu, zapaliła papierosa i siadła na fotelu z podkurczonymi nogami. Żeby tak można było całymi dniami nie wychodzić nigdzie z ciepłego, przytulnego salonu, nikogo nie widzieć i nie słyszeć.

Ostatnio coraz częściej ogarniała ją apatia, nie chciało się jej nic robić ani mówić, mogłaby godzinami siedzieć nieruchomo jak lalka.

Pewnego razu Dmitrij zaszedł ją zniecacka przy basenie i zobaczył, z jak wielkim strachem na twarzy patrzyła w głąb lodowatej wody. Tak go to zaniepokoiło, że spytał, czy przypadkiem nie jest chora?

* Nie, wszystko w porządku. Jestem absolutnie zdrowa * odparła * wiesz, niedawno oglądałam horror i tam z basenu wyłaziły trupy.

* Nie powinnaś tracić czasu na takie głupoty. Jesteś już dużą dziewczynką. Ale prawdą było, że horrory ją uspokajały. Dzięki nim udawało się okłamywać samą siebie i przekonywać, że to, co zdarzyło się cztery lata temu, też było filmem, w którym zagrała główną rolę. Zawsze chciała być aktorką filmową. Zwłaszcza kiedy miała siedemnaście lat.

Kończyła wtedy szkołę i chciała zdawać na WGIK [WGIK (ros.) *

Wszechzwiązkowy Państwowy Instytut Kinematografii im. S. Gierasimowa w Moskwie. Założony w 1919 roku, obecnie przekształcony w Uniwersytet Kinematografii.], na wydział aktorski. Po długotrwałych chłodach, wreszcie w środku marca pocieplało,

wyjrzało pierwsze wiosenne słońce. Waria wybrała się na spacer po mieście, wstąpiła do sklepu „Dietskij mir” i kupiła niedrogie czeskie sandały na niewysokim obcasie. Była w świetnym nastroju, uśmiechnęła się do własnego odbicia w ogromnym lustrze, między dwoma szklanymi drzwiami do sklepu, i zobaczyła tak zachwycone męskie spojrzenie, że uśmiechnęła się powtórnie, ale tym razem nie do siebie, a do przystojnego bruneta z wąsikami.

* Jeszcze porcję lodów, Warjusza?

* Nie, już wystarczy. Po lodach się tyje.

* Racja. Jeśli ma pani zamiar zostać aktorką, to trzeba uważać na figurę. Teraz ma pani świetne proporcje. Proszę rozpuścić włosy.

Posłusznie odpięła klamrę i potrząsnęła włosami. Wcale jej nie krępowało drobniawego i „obmacujące” spojrzenie Garika. Jest przecież profesjonalistą, reżyserem filmowym. Zauważył ją, wybrał z tłumu i zaproponował główną rolę w rosyjsko*francuskim filmie.

Robiła wszystko, żeby mu się przypodobać, uśmiechała, chcąc, by zauważył jakie ma śliczne białe ząbki, odrzucała głowę do tyłu, pokazując długą szyję.

* Zdjęcia będą kręcone w Paryżu i w Rzymie. Ma pani paszport? * Nie.

* To nie problem. Francuzi wzięli na siebie wszystkie sprawy organizacyjne, tak więc paszport oni załatwią i to bardzo szybko. Najważniejsze, żeby pani przeszła przez konkurs. Kandydatek do roli jest bardzo dużo.

* A jaki to będzie konkurs? Co trzeba robić?

* Jak zwykle. Próby zdjęciowe, potem kamerowe, potem próba roli. Nic nie trzeba robić, najważniejsze, żeby być jak najbardziej naturalną. Jak mawiał wielki Stanisławski, aktor powinien być istotą wyzwoloną. Rozumie to pani?

* Tak, oczywiście * Waria z zapalem przytaknęła głową. * A kiedy będzie pierwsza próba?

Spojrzał na zegarek, przez chwilę się namyślał, potem porozumiewawczo mrugnął i położył rękę na jej ramieniu.

* To teraz wszystkich przechytrzymy. Złożymy wizytę najlepszej fotografce w Moskwie, Zojeckce Iwanowej. Na pewno słyszała pani o niej.

Fotografuje najważniejsze osoby, pracuje dla zagranicznych pism. Będziemy mieć takie zdjęcia, że Francuzi padną na kolana. Przejdzie pani poza konkursem. Ale nie możemy tracić czasu. Jutro rano Zojecka leci do Nowego Jorku, ma kontrakt na zdjęcia z konkursu Miss Universe.

Gdyby wtedy choć przez moment miała jakieś wątpliwości, ale nie w stosunku do zamiarów młodego człowieka o imieniu Garik, czy do tego, że Zojecka jest naprawdę tak znakomitym fotografem, ale wątpliwości, jeśli chodzi o nią samą, że jest taką szczęściarą i tak jej się udało! No nie, nie było żadnych wątpliwości, wręcz przeciwnie, miała poczucie zasłużonego zwycięstwa. A nad kim? Z pewnością nad wszystkimi innymi dziewczynami, które tłumnie okupują komisje do szkół

teatralnych, przysyłają swoje fotografie do różnych czasopism, stoją w kolejkach na casting, żeby wziąć udział w konkursach piękności, atakują agencje reklamowe i szkoły fotomodelek. Jest ich dużo, strasznie dużo, ale ona jest jedyna, najpiękniejsza. Ma wielkie błyszczące oczy, błękitne jak chabry, jak czystej wody szafiry, ma ałłasową białą skórę, czarne mocne, jedwabiście błyszczące włosy. Rzadkie połączenie niebieskich oczu z czarnymi włosami. Do tego wysokie czoło, cienki, prosty nosek, błyszczące, wypukłe usta, delikatny, lekko wydłużony owal twarzy, wysoko osadzone kości policzkowe. Do tego idealna figura, wzrost sto siedemdziesiąt pięć, wszystkie wymiary jak na zamówienie: dziewięćdziesiąt * sześćdziesiąt * dziewięćdziesiąt. I pytanie: jak długo z taką fantastyczną figurą i z wykształconą, bezrobotną mamą, można handlować kwiatami na placu dworcowym, gnieździć się w wielorodzinnym mieszkaniu i cieszyć, że udało się kupić za niewielką sumę porządne sandaalki? To niesprawiedliwe.

Od trzynastego roku życia., każdego ranka, patrząc w lustro, marzyła o tym, żeby zobaczyć swoją twarz na filmowym ekranie. Waria Bogdanowa od zawsze wiedziała, że jej sądzone zostać gwiazdą i dlatego spokojnie, z wysoko uniesioną głową, wyruszyła niewiadomo dokąd, razem z pierwszym napotkanym seksualnym maniakiem, który przedstawił się jako reżyser filmowy. Jedyne, co jej pokazał, to granatową karteczkę, na której było napisane „Mosfilm”.

Pojechali metrem, potem trolejbusem. W bramie czteropiętrowego budynku w nos uderzył zapach moczu, a w jednopokojowym mieszkaniu śmierdziało jeszcze bardziej. Później zrozumiała dlaczego. Garik ładował w swoim ofiarom psychotropy, żeby nie robiły hałas, a one traciły kontrolę nad sobą i załatwiały się pod siebie. Głuchoniema współniczka, Zoja, do której należało mieszkanie i jej czternastoletnia debilna córka, Raisa, nie nadały z praniem bielizny pościelowej.

W pierwszej chwili smród i brud panujący w mieszkaniu trochę zaniepokoił Warię, ale Garik jej wytłumaczył, że to normalny artystyczny nieład. Z kuchni wyszła pulchna kobieta w brudnym kretonowym szlafroku i z obrzękłą po przepiciu twarzą.

* A to jest Zojeczka, poznajcie się.

Kobieta wymamrotała coś w odpowiedzi.

Znacznie później składane przez Warię zeznania wyglądały tak, jakby opowiadała treść filmu, i od tej pory lepiej pamiętała to opowiadanie niż samo wydarzenie.

„Kiedy przyjechaliśmy do mieszkania, reżyser poczęstował mnie mocną kawą, a potem dał mi skąpe bikini i kazał się przebrać. Czułam, że poruszam się znacznie ospalej, ale nie mogłam tego przeczucić. Reżyser rozebrał się do naga i powiedział, żebym się z nim położyła do łóżka. Kiedy odmówiłam, wyjaśnił, że musi się przekonać, czy potrafię być naturalna. Zaproponował wypicie szampana, żeby się całkiem wyluzować i pozbyć kompleksów. Kieliszek przyniosła jego Zojecka. Smak wydał mi się dziwny”.

Potem czas jakby się dla niej zatrzymał. Kiedy momentami odzyskiwała świadomość i próbowała wstać, znów poili ją jakimś świństwem. Nie wiedziała, jak długo już jest w tym śmierdzącym mieszkaniu, na tym łóżku z pogniecioną, wilgotną pościelą.

Kilka godzin, kilka dni? W którymś momencie dotarło do niej, że właściwie jest jej to obojętne i się przestraszyła. Jeśli jest jej wszystko jedno, to znaczy, że niedługo umrze. Skupiła się na tyle, by zrozumieć, że nie wolno jej pokornie łykać mikstury, którą raczy ją głuchonieme babsko. Udała, że pije, i wylała zawartość szklanki w szparę między łóżkiem a ścianą.

Powoli w głowie zaczęło się jej rozjaśniać, ale była okropnie słaba. Najbardziej obawiała się, że Garik albo jego przyjaciółka zauważą, że przytomnieje, wobec tego grała, że mdleje. Ubrali ją w jakieś szmaty i wyprowadzili na ulicę.

Był wczesny chłodny poranek. Seksualny maniak prowadził ją jakimiś pustymi, przechodnimi podwórkami. Waria ledwo powłóczyła nogami, kręciło się jej w głowie, ale na siłę starała się zapamiętać drogę. Po dwu dziesięciu minutach znaleźli się na stacji kolejowej. Chciała przeczytać nazwę, ale litery tańczyły przed oczami.

Kiedy nadjechała kolejka, maniak wtaszczył dziewczynę do pustego wagonu, posadził na ławce i z płaskiej butelki po koniaku próbował jej nalać do ust coś białego, gęstego jak kefir, lecz nie zdążył. Rozległ się komunikat, że zaraz się zamkną drzwi, więc rzucił jej butelkę na kolana i pobiegł do wyjścia. Waria na tyle

była świadoma, że postawiła butelkę obok siebie, żeby jej zawartość się nie wylała, i w tym momencie straciła przytomność.

Znacznie później się wyjaśniło, że pseudoreżyser przygotował jej na pożegnanie koktajl z osiemdziesięciu tabletek. Lekarze z przychodni zdrowia psychicznego zapisywali w dużych ilościach upośledzonej Raisie psychotropy i środki nasenne. Obudziła się, czując, że ktoś ją szarpie za ramię.

* Hej, dziewczyno, coś się tak nawaliła od rana! Pokaż bilet!

Po raz pierwszy Waria zobaczyła się w lustrze na posterunku milicji, na stacji Okružnaja, dokąd przywlekli ją, trzymając pod ręce, dwaj krzepcy kontrolerzy. W brudnej ubikacji, nad umywalką, wisiało pęknięte zmatowiałe lustro, z którego patrzyła na nią chyba czterdziestoletnia, pijana, nienormalna bezdomna kobieta. Waria nie od razu zorientowała się, że w uszach nie ma złotych kolczyków z turkusami, a na palcu takiego samego z turkusem pierścionka. Zniknął złoty krzyżyk, który dostała na chrzcie. Zamiast kurtki, dżinsów i swetra miała na sobie obdarty, uświniony płaszcz, założony na gołe ciało, zamiast skórkowych modnych pantofelków * wojłokowe, dziurawe buciska.

Z posterunku milicji karetka pogotowia przewiozła ją do szpitala, dokąd przyszła jej mama i po raz pierwszy niewysoki, grubiotki śledczy, Ilja Nikitycz Borodin.

Kiedy lekarze pozwolili już jej opuścić szpital, doprowadziła grupę dochodzeniową do cuchnącej nory w pięciopiętrowym domu.

Okazało się, że cała trójka była w mieszkaniu i została aresztowana. Oprócz nich znajdowały się tam jeszcze dwie dziewczynki w wieku piętnastu i siedemnastu lat. Obie były nieprzytomne.

Śledztwo nie trwało długo. Maniak, który nazywał się nie Garik, lecz RaflkTenajan, szczerze przyznał się do pięciu morderstw i siedmiu gwałtów ze szczególnym okrucieństwem. Większość jego ofiar to były osoby niepełnoletnie. Trzy zostały uduszone, dwie zmarły z powodu przedawkowania psychotropów i środków nasennych. Kiedy sprawa została przekazana do sądu, znalezione w mieszkaniu dziewczyny zmarły, nie odzyskując przytomności.

Waria zeznawała na rozprawie. Adwokat Tenajana, w płomiennej mowie wielokrotnie

podkreślał, że wszystkie ofiary, co do jednej, poszły do mieszkania jego klienta absolutnie z własnej woli i mogły stamtąd w każdej chwili wyjść. Wyraziły zgodę na pozowanie nago do fotografii. Adwokat mówił z takim zapałem i tak przekonująco, że w pewnym momencie nawet Warii zaczęło się wydawać, że ofiary są bardziej winne od zbrodniarza. I nagle wszyscy na sali sądowej spojrzeli na nią jakoś inaczej. Współczucie, które było widać w ich oczach, zmieniło się w chłodną ciekawość.

* Czyli pani sama, bez przymusu, poszła z nieznanym mężczyzną do jego mieszkania, znała pani winnego niecałą godzinę?

* Sama * spokojnie odpowiedziała Waria.

* I sama, na prośbę Tenajana, zdjęła z siebie ubranie? * Tak.

Starła się nie patrzeć w stronę metalowej klatki, gdzie siedział i uśmiechał się cynicznie oskarżony.

Kiedy ogłoszono wyrok, tylko piętnaście lat, zamiast oczekiwanej kary śmierci, przez salę przebiegł szmer zdziwienia. Waria zerwała się i wybiegła z gmachu sądu.

A kilka dni po rozprawie, z krzaków rosnących na podwórku koło jej domu, wyskoczył młodzian z długimi tłustymi włosami, w zielonej skórzanej kurtce. Razem z nim był operator, który szybko wycelował na jej twarz kamerę i mikrofon.

* Proszę powiedzieć, czy Rafik Tenajan był pani pierwszym mężczyzną? Co pani czuła, kiedy pozbawiał panią dziewictwa? Przecież pani dobrowolnie weszła do tego mieszkania, rozebrała się i poszła z nim do łóżka.

Waria zaczęła krzyczeć i uciekać. Miała wrażenie, że traci rozum, a świat składa się z okropnych, nachalnych potworów. Jeszcze przez długi czas wydawało jej się, że dziennikarz i operator ją prześladują. A później, idąc ulicami, była przekonana, że wszyscy na nią patrzą i wiedzą, że ona sama, bez przymusu rozebrała się w cuchnącym mieszkaniu Rafika Tenajana.

Nie wiadomo jak długo błąkała się po mieście, nie mając pojęcia, dokąd idzie, straciwszy poczucie czasu, nie czując chłodu ani padającego mokrego śniegu.

Oprzytomniała w nieznannej jej części miasta, na bulwarze nad rzeką. Zaczynało ciemnieć, padał coraz gęstszy śnieg, tworząc nieprzenikloną ścianę. Waria stanęła i zaczęła się wpatrywać w czarną wodę. Po powierzchni płynęły brudne, cienkie

kawałki lodu. I im dłużej patrzyła, tym spokojniej i wolniej biło jej serce.

Rozglądając się, dostrzegła schody biegnące w dół, ku wodzie. Wystarczyło tylko zejść i zrobić kolejny krok do przodu. To nie było ani trudne, ani straszne. Dopiero potem, gdy lodowata woda, przypominająca rozpuszczony ołów, zaczęła ją wchłaniać, a ziać, jak tysiące piranii kąsał łakomie jej ciało, naprawdę się przestraszyła i po raz pierwszy w życiu poczuła, jak bardzo chce żyć...

Po czterech latach, całkiem niedawno, może dziesięć dni temu, włączywszy w nocy telewizor, Waria długo przyglądała się twarzy dziennikarza, prowadzącego program. Bardzo się zmienił. Ostrzygł włosy, trochę przytył, ale oczy pozostały takie same, wypłowiałe, martwe jak brudny lód na rzece Moskwie. Chociaż, czy to był on? Ma tak nijaką twarz, że można koło niego przejść dwadzieścia razy i jej nie zapamiętać.

* Co za idiotyzmy oglądasz, Warjusza? * zdziwił się Dmitrij, zajrzawszy do salonu.

* Nie wiesz czasem, kto to jest? * spytała, nie odrywając oczu od ekranu.

* Nie mam pojęcia. Zapewne jakiś kolejny ścierwojad * wyciągnął rękę, by wyłączyć telewizor, ale zanim ekran zgasł, program się skończył i Waria zdążyła przeczytać: „Prowadzący Artiom Butejko”.

Rozdział 19

Jelizawietę zbudził uporczywy dzwonek telefonu. Nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę. W pokojach hotelowych telefony stały na nocnych stolikach, ale tym razem ręka trafiła w próżnię.

Głowa pękała, a telefon terkotał jak oszalały. Liza zorientowała się, że leży w poprzek łóżka, w trykotowej sportowej koszulce. Prześcieradło zmięte, poduszki rozrzucone, kapa na podłodze, a obok niej dzinsy. Za oknem jasno, a na zegarku godzina jedenasta. W końcu podniosła słuchawkę.

* Dzień dobry madame Bielajewa, czy wszystko w porządku? * usłyszała. * Ma pani dziś wziąć udział w dyskusji po wykładzie...

„O Boże, zasnęłam! Jak to się mogło stać? Posiedzenie zaczęło się o dziewiątej, teraz jest przerwa...”

* Przepraszam bardzo, niezbyt dobrze się czuję * odpowiedziała słabym głosem.

* Co się stało? Potrzebny pani jest lekarz?

* Nie, dziękuję. Chyba się trochę przeziębiam. Za pół godziny będę na dole.

I natychmiast pożałowała złożonej obietnicy. Czuła się rzeczywiście okropnie. Bolała ją nie tylko głowa, ale całe ciało tak, jakby ją w nocy ktoś zbił. Biorąc gorący prysznic, poczuła się troszkę lepiej. Dokładnie pamiętała, że w jej pokoju był Krasawczenko, chociaż go nie zapraszała. Zjawił się pod jakimś absurdalnym pretekstem, który jakoby miał związek z jej biżuterią. Interesował się jej kolczykami i pierścieniem, plótł coś o znakach zodiaku.

Spojrząwszy w lustro stwierdziła, że wygląda okropnie. Włosy skołtunione, twarz blada, opuchnięta, pod oczami szare worki. Kolczyki były w uszach, a pierścionek na palcu.

„W końcu, czemu nie miałyby być? * Krasawczenko jest chamem i draniem, ale nie złodziejem. Jest pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oficjalnym uczestnikiem konferencji”.

I w tym momencie poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Przypomniała sobie, że przez cały czas konferencji Krasawczenko kręcił się po hotelu, po barach, korytarzach, ciągle miała go przed oczami, ale nigdy go nie widziała w sali konferencyjnej.

* Kto mnie z nim poznał? * spytała samą siebie. * Nikt! Nikt mi go nie przedstawił.

Sam do mnie podszedł w barze owocowym na siódmym piętrze, kiedy jadłam śniadanie. Przedstawił się, a mnie, oczywiście, nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy jest tym, za kogo się podaje. Tutaj dziesiątki ludzi stale się ze sobą poznają, ale ani razu nie widziałam, żeby Krasawczenko rozmawiał z jakimś uczestnikiem konferencji. Czyli jak się nazywa i gdzie pracuje, wiem tylko od niego. Skąd się wziął i czego ode mnie chce?

Mgliste uczucie niesmaku powoli zaczynało obrastać całkiem konkretnymi szczegółami. W nocy doszło do bardzo niesmacznej rozmowy. Najpierw Krasawczenko nachalnie i nieudolnie kleił się do niej, a potem się okazało, że zrobił jej zdjęcia w dzielnicy „czerwonych latarni” na tle prostytutek obu płci i

pornograficznych szyldów. Pokazał jej te zdjęcia i próbował szantażować. Co było dalej? Próbowała go wyrzucić z pokoju, ale nie wyszedł. Dlaczego?

Im więcej słów i wydarzeń wypływało z pamięci, tym chłodniej jej się robiło pod gorącym prysznicem.

„On wie! * dotarło do niej. * To koniec, on wie wszystko”.

Wycierała się energicznie ciepłym ręcznikiem, póki skóra się nie zaczerwieniła.

Suszyła suszarką włosy, na przemian ubierając się i malując. Ból głowy nie mijał.

Wyrzuciła zawartość torebki na stolik. Na dnie leżało opakowanie analginu z chininą.

* Lekarstwo * powiedziała i znów przebłysk pamięci * trucizna, antidotum...

„Piliśmy wino. Stop, a gdzie kieliszki? Wszystko dokładnie posprzątał po sobie,

butelkę też. Bardzo nalegał, żebym z nim wypła * przypo

mniała sobie * no tak, przecież ja w ogóle nie piję, a tym bardziej z własnej

nieprzymuszonej woli nigdy bym w nocy nie piła, będąc z nim sam na sam. Ale on

musiał się napić ze mną po to, żeby mi dosypać coś do wina... Ale co? Coś, co

osłabia wolę? Wyłącza pamięć? W takim stopniu, że nie mogę sobie przypomnieć,

czy sama zdjęłam dzinsy, czy on to zrobił? A może mnie zgwałcił, a ja nic nie

pamiętam? Muszę to szybko zgłosić na policję. No dobrze, ale co mam zgłosić? I jak

mam udowodniać coś, czego nie wiem? Poza tym teraz już na pewno nie ma go w

hotelu”.

Otworzyła drzwiczki płatnego barku. Tam była karta win. Brakowało jednej butelki białego reńskiego.

W sali konferencyjnej trwał jeszcze „brunch”, czyli przerwa na przekąskę. Z

restauracji przyniesiono do sali tace z kanapkami, sałatkami i owocami. Liza

pomyślała, że dobrze byłoby teraz napić się kawy i zjeść co nieco. Tymczasem

podbiegł do niej organizator i wręczył plastikową cienką teczkę z papierami.

* Madame Bielajewa, proszę się zapoznać z materiałami na dzisiejsze posiedzenie grupy tematycznej.

Kawa była po amerykańsku i nalewało się ją z ogromnych automatów. Liza mogła

pić tę lurę tylko ze śmietanką. Ręce jej się trzęsły, teczkę z papierami wsunęła pod

pachę, co było strasznie niewygodne. Odrywając wieczko od kubeczka, rozlała

śmietankę i kilka kropel spadło na spódniczkę. Wzięła serwetkę, schyliła się, by strącić tłuste białe krople. Kiedy uniosła głowę, tuż przed sobą zobaczyła uśmiechniętą twarz Amerykanki Kerry.

* Witaj Lizo. Proszę się nie denerwować, ta śmietana nie zostawia tłustych plam. Ma zero tłuszczu. Proszę mi to dać, potrzynam * wzięła od Lizy teczkę z papierami. * Jak się pani czuje?

* Kiepsko, jeśli mam być szczerą. * Liza wykrzywiła lekko twarz * głowa mnie boli.

* Och, pani też cierpi na migrenę? * Amerykanka położyła na swój talerzyk kilka kawałków pomarańczowego melona.

* Tak, miewam bardzo ciężkie ataki, prócz tego do tej pory nie mogę się przyzwyczaić do różnicy w czasie. Kiedy tu jest noc, to w Moskwie dzień.

* Wiem. Dzisiejszej nocy nie mogła pani spać. Chyba nawet poszła się pani przejść? Radzę teraz wzmocnić się jak należy, bo następna przerwa jest dopiero za cztery godziny. Niech pani weźmie sandwicze z kurczakiem. Dzisiaj są bardzo smaczne.

Mimo zażytych dwóch tabletek analginu głowa nadal pękała z bólu i Liza nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje.

* Przepraszam, Kerry, nie zrozumiałam, o czym pani mówi? Gdzie przejść?

Przy szwedzkim stole tłoczyło się wiele osób. Niewysoki starszy Hindus w białym turbanie niechętny trącił Lizę łokciem tak mocno, że mało brakowało i wylałaby całą kawę. Hindus składał się w przeprosinach, przyciskając do piersi niewielką dłoń.

* Chodźmy lepiej stąd, tylko proszę nie zapomnieć o sandwiczach z kurczakiem, bo naprawdę są pyszne * zdecydowała Kerry i skierowała się ku wyjściu.

Liza posłusznie ruszyła za nią z sandwiczem na talerzu i kubkiem stygnącej kawy. Szła przez tłum, machinalnie kiwając komuś głową lub uśmiechając się, a myślała tylko o tym, że nie może wylać kawy i żeby nikt nie zauważył jej trzęsących się rąk. Tymczasem Kerry już zdążyła zająć wolny stolik w holu i Liza usiadła naprzeciw niej.

* Pani zapomniała, że mieszkamy w sąsiednich pokojach. Między drugą a trzecią w nocy w pani pokoju było słycać jakiś hałas, kroki, kilka razy otwierały się i

zamykały drzwi. Nie zażyłam lekarstwa na sen i nie mogłam usnąć. * Odgryzła ostrożnie maleńki kawałek melona. * Nie wydaje się pani, że zimą owoce mają zupełnie inny smak?

Przez jakąś chwilę Kerry była jakby roztargniona, prawie nieobecna, wpatrywała się w jeden punkt, nagle zdecydowanie zatrzepotawszy białawymi rzęsami i wyszeptała:

* Lizo, przypadkowo zobaczyłam, że w nocy wychodził z pani pokoju ten dziwny człowiek. Chyba ma na nazwisko Krasawczik? * ostatnie słowo wysylabizowała z lekkim obrzydzeniem, które poprawiła sobie smakiem kolejnego kawałka melona.

* Pani go zna, Kerry?

* Nie. Nie poznaliśmy się, ale wiem o nim co nieco.

* To jest dyplomata, pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. * Taki on dyplomata jak ja chiński cesarz.

* Ależ, Kerry, skąd pani to wie?

* Przepraszam, że wtykam nos w nieswoje sprawy, ale polubiłam panią i uważam za swój obowiązek panią ostrzec * szeptała, przechylając się ku niej przez stół * wiem z absolutną pewnością, że ten pan...

* Lizo, pani to zgubiła * zza pleców doleciał znajomy głos mówiący po rosyjsku.

Oglądając się, zobaczyła Krasawczenkę, który kładł na stole jej klamrę do włosów.

Rozdział 20

Hrabina Irina Tichonowna Paurrier nie chciała nikogo przyjmować, wszędzie widziała szpiegów podkupionych przez kochanki męża. W towarzystwie zaczęto sobie żartować z hrabiego, opowiadano anegdoty na temat jego życia rodzinnego. Chodził nachmurzony i rozdrażniony.

* Moja droga, dlaczego mi nie wierzysz? * pytał smętnym głosem. * Przecież wiesz, że cię kocham.

* Nie umknęło mi, jak patrzyłeś na tę pannę w parku i jak ona na ciebie patrzyła. Tyją znasz, masz z nią umówione spotkanie!

* Daj spokój, pierwszy raz ją widziałem.

* Nie waż się mnie oszukiwać! * Podniosła głos na tyle, że przechodnie zaczęli się oglądać.

* Irene, na Boga, a po cóż miałbym kłamać? Z jakiego powodu? Czy z powodu wątpliwych wdzięków tej chuderlawej baby? Przypatrz się jej dokładnie: ma długi nos, wielkie usta, chude ramiona, nie ma w niej nic interesującego, po co mi ona? * szeptał pieszczotliwie hrabia, ściskając masywny łokieć małżonki. * Czy można ją porównać z tobą? Częściej spoglądaj do lustra, moje szczęście, to będzie dla ciebie najlepszym lekarstwem na zazdrość.

Ta metoda czasami była skuteczna. Irina robiła obrażoną minę, ale tym razem na niby i z kokieterią. Jej pełne policzki oblewały się rumieńcem dziewiczego zawstydzenia. W tym tanim melodramacie, w jaki powoli zamieniało się jego życie, hrabia znajdował prawie chorobliwą satysfakcję. Starał się przekonać siebie i otoczenie, że życie to farsa, warta jedynie lodowatej ironii.

Tymczasem jego małżonka pozwalała wszystkim pokojówki, które miały mniej niż pięćdziesiąt lat, i zaczęła odwiedzać departament, w którym pracował hrabia, przy czym preteksty, jakie wymyślała, były tak naiwne, że nawet lokaje w przedpokojach pozwalali sobie na uśmiešky pod wąsem. Sztuczki hrabiego już nie działały jak przedtem.

* Pan ze mnie drwi, Michel! * wykrzykiwała z melodramatycznym przydechem, nie zwracając uwagi na komplementy pod swoim adresem. * Rozgryzłam wszystkie pańskie podstępne działania. Jeśli to będzie dalej trwało, to będzie pan musiał pożegnać się ze służbą państwową i przenieść się na wieś.

* Przestań kaprysić jak dziecko, moja droga * skrzywił się hrabia * jestem urzędnikiem państwowym i nie mogę porzucić służby. Ale właśnie pani przydałoby się odetchnąć wiejskim powietrzem.

Tego rodzaju sceny mogłyby ciągnąć się bez końca, gdyby nie to, że wreszcie hrabina była w błogosławionym stanie, który znosiła bardzo źle i to trochę przytępiło jej czujność oraz złagodziło sposób bycia. Hrabina urodziła chorowitego,

niedonoszonego chłopczyka, który po tygodniu umarł. To wywołało u niej taki wstrząs, że hrabiemu udało się namówić żonę, aby na jakiś czas przeniosła się do podmoskiewskiego majątku. Doktorzy przekonali ją, że mieszkanie w mieście szkodzi jej i czyste powietrze poprawi jej stan zdrowia.

I rzeczywiście, życie na wsi podziałało na nią nadzwyczaj zbawiennie. Dobrowolnie pograżyła się w skomplikowany, pełen kłopotów i intryg świat związany z zarządzaniem gospodarstwem domowym. Jej żarliwa podejrzliwość skupiła się teraz na zarządcy; oborowych, którzy, jej zdaniem, chrzczą mleko; na architekcie, który miał się zajmować remontem kapitalnym domu; na cieślach i malarzach, którzy kradną farbę i gwoździe. Cała jej niespożyta energia zużywała się podczas kłótni z kucharką, praczką, pokojówkami.

Różnorodne zajęcia związane z zarządzaniem domem w pewnym stopniu pogodziły małżeńską parę. Teraz hrabia z wroga zmienił się w sojusznika. Mieszkał w Moskwie, w swoim domu na ulicy Nieglinnej, w dni robocze pracował w Departamencie Szkolnictwa, a do Boliakino przyjeżdżał na sobotę, niedzielę i na święta. Demonstrował, jak jest zmęczony pracą, narzekał na miejski zgiełk i kurz, zachwycił się pięknem podmoskiewskiej przyrody i gospodarskimi osiągnięciami małżonki. Z poważną miną wysłuchiwał rozwlekłych opowieści o tym, że wszyscy w majątku to złodzieje, od kucharki po zarządcę, i tylko czujność Iriny Tichonowny ratuje majątek przed upadkiem.

Zachowując maksymalną ostrożność, hrabia przygruchał sobie pracującą w cukierni schludną młodziutką Niemkę o imieniu Gretchen. Wynajął dla niej niewielkie mieszkanie na Preczistience i dwa razy w tygodniu Gretchen go pocieszała. Wkrótce jednak mu się znudziła. Po miesiącu zastąpiła ją artystka dramatyczna, ognisto ruda Margarita Krestowskaja. Hrabia naprawdę się w niej zakochał, drobne białe rączki, delikatny profil i przezroczyste zielone oczy omal nie doprowadziły go do szaleństwa, co byłoby absolutnie niewybaczalne w jego sytuacji. W mieszkanku na Preczistience hrabia coraz częściej natykał się na zapoznanych geniuszy, poetów, artystów. Margo, ubrana w czarny jedwabny szlafrok w zielone lilie, spoczywała na kozetce, paliła papierosy, przymykała szmaragdowe oczy i melodyjnie recytowała

wiersze modnych symbolistów. Goście, rozsiadłszy się na podłodze, sączyli słodkie likiery i wódkę.

Hrabia Michaił nie lubił liczyć pieniędzy, jednak zorientował się, że za każdym razem, po czułym spotkaniu, jego portfel chudnie o kilka grubych banknotów.

Pewnego razu w szufladce z przyborami toaletowymi Margo, znalazł pudełko ze strzykawką i puste szklane opakowanie po morfinie.

Okazało się, że rozstanie z artystką dramatyczną wcale nie jest proste. Dobrze wiedziała, jak bardzo kochanek boi się rozgłosu i milczenie musiał wynagrodzić nadzwyczaj szczodrze.

Hrabia postanowił, że następnym razem będzie znacznie ostrożniejszy. W mieszkaniu na Preczistience osadził osiemnastoletnią modystkę, Francuzkę * Claire, z którą wcześniej omówił wszystkie detale związane z ich sekretną miłością. Claire, pomimo młodego wieku i zagadkowych czarnych oczu, okazała się osobką rozsądną i praktyczną. Można było się z nią dogadać w każdej sprawie. Prezenty woląla otrzymywać w formie pieniężnej, otworzyła sobie konto w banku, ale też ze swoich obowiązków wywiązywała się uczciwie. Hrabia doszedł do wniosku, że niczego lepszego w najbliższym czasie nie znajdzie, a spokój i gwarancja utrzymania tajemnicy, kompensowały mu niedostatek pożaru namiętności.

Któregoś pochmurnego październikowego wieczoru, leżał na kozetce w malutkim eleganckim saloniku na Preczistience. Miał na sobie szlafrok, palił fajkę i leniwie kartkował tomik Balmonta. * Balmont Konstantin (1867*1942) * rosyjski poeta, symbolista, znany z licznych przekładów poezji z języków zachodnich, w tym zj. polskiego. (J. Słowackiego i J. Kasprowicza).

Mademoiselle rozczesywała kasztanowe loki i, radośnie szczebiocząc, opowiadała mu treść nowego filmu, w którym grała Wiera Chołodnaja. Chołodnaja Wiera Wasiliewna (1893*1919) * znakomita rosyjska aktorka kina niemego.

Zadzwoniono do drzwi. Claire, nie przestając mówić, poszła, do przedpokoju.

* O, merci! Jakie piękne! * usłyszał hrabia jej zdziwiony głos. * Chwileczkę, proszę poczekać.

Claire wpadła do salonu, podskoczyła do kozetki i pocałowała hrabiego w policzek:

* Mon chere, tam jest posłaniec z kwiaciarni z całym koszem białych chryzantem, moich ulubionych. Trzeba mu dać napiwek. Jesteś cudowny, mon amie, nie zapomniałeś o moich urodzinach!

Hrabia po raz pierwszy usłyszał o urodzinach Claire i żadnych chryzantem nie zamawiał, ale, na wszelki wypadek, postarał się ukryć zaskoczenie. Dziewczyna pocałowała go jeszcze raz, tym razem w usta, i w tym momencie rozległo się ciche pochrząkiwanie.

* O co chodzi, dobry człowieku? * Hrabia odsunął się troszeczkę od Claire i ujrzał w drzwiach salonu barczystego uśmiechniętego dryblasa, którego natychmiast rozpoznał. To był Andriucha, osobisty szofer kupca Boliakina.

* Dopraszam się uprzejmie, żeby Wasza Wysokość się odziała. Tichon Tichonowicz kazali mi dostarczyć Waszą Wysokość do jego biura * powiedział szofer, nie patrząc na nikogo. * Proszę wybaczyć * zasalutował po wojskowemu, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

* Jutro zwalniasz się z pracy i jedziesz do Boliakino * oznajmił hrabiemu Tichon Tichonowicz, nie witając się, ani nie proponując, aby zięć usiadł. * Chcę mieć następców, a jak ty się będziesz w Moskwie zabawiał z panienkami, to zobaczę moje wnuki jak własne uszy.

* Proszę wybaczyć, ale co to znaczy?! * wybuchnął hrabia, lecz udało mu się zapanować nad sobą, usiadł w fotelu i zapalił papierosa. * Gotów jestem rozmawiać z panem, Tichonie Tichonowiczu, ale nie tutaj i nie takim tonem * dodał już troszkę ciszej.

* Będziemy mówić tutaj, a jakim tonem * to moja sprawa, a papierosa raczy pan zgasić. Nie cierpię dymu * podsunął hrabiemu pusty marmurowy kałamarz zamiast popielniczki.

Hrabia dosłownie rozgniółł papierosa na proszek.

* Tak więc, Wasza Wysokość * kiwnął głową Tichon Tichonowicz * teraz spróbuj wysłuchać uważnie tego, co powiem. Wyrównałem długi twojego świętej pamięci ojca i utrzymuję cię w dobrobycie nie tylko z powodu kaprysu mojej córki. Ja myślę o przyszłości, o przedłużeniu mojego rodu. Chcę, żeby moje wnuki i prawnuki były

hrabiami, osobami szlacheckiego pochodzenia * ostatnie słowa prawie krzyknął, uderzając pięścią w stół, a twarz zrobiła mu się purpurowa.

* Jestem rosyjskim szlachcicem, drogi panie * odparł hrabia z wielką powagą * i nie pozwolę panu...

* O wybaczenie prosim! * przerwał mu kupiec z błazeńskim ukłonem. * Nie jesteśmy aż tak dumni, żeby się z Waszą Wysokością nie rozwieść. Proszę wracać do swojej pannicy, tyle że będzie musiała się wyprowadzić z tamtego mieszkania, ponieważ nie mam zamiaru opłacać pańskiego lupanaru swoimi pieniędzmi. I dom na Nieglinnej też trzeba będzie opuścić.

* O, przepraszam, ale to mój dom... * zaprotestował hrabia ledwie dosłyszalnie.

* Był. A teraz jest zapisany na pańską małżonkę i pan o tym doskonale wie. A jeśli myślisz, że będziesz żył ze swojej pensji, to weź pod uwagę, że jesteś mi winien czterysta tysięcy asygnatami. asygnata (ros. assignacja) * nazwa papierowego pieniądza emitowanego w Rosji w latach 1769*1848.

Tak, więc * Tichon Tichonowicz rozłożył bezradnie ręce * trudno, Wasza Wysokość, ja myślę po kupiecku i muszę wszystko wcześniej przeliczać.

* Ale dlaczego czterysta? * zdziwił się hrabia. * Przecież długów ojczulka nie było więcej niż trzysta dwadzieścia!

* Ale osiemdziesiąt już zdążyłeś na siebie wydać. Na zagranicę, na artystki i inne bzdury.

* O, przepraszam, za granicę pojechałem razem z Iriną! * protestował hrabia, płonąc ze wstydu i obrzydzenia, bardziej do siebie niż do teścia.

* Pomysł był twój. Irina jest domatorką, wdała się we mnie. Wcale jej się tam nie spodobało. W Italii gorąco, w Anglii chłodno, a w Paryżu pełno kurzu i gdzie spojrzysz * kokoty.

* Mimo wszystko... * wtrącił hrabia i zaczął gorączkowo liczyć w pamięci, ile pieniędzy rzeczywiście wydał przez ten czas, ale okazało się to niemożliwe.

* Teraz możesz już iść. Zastanów się do jutra * zakończył rozmowę teść.

Hrabia podszedł do drzwi i już je otwierał, żeby jak najszybciej opuścić ten wspaniały kupiecki gabinet, lecz teść go zatrzymał:

* Poczekaj. Zamknij drzwi. Hrabia posłuchał i wrócił do stołu.

* Jeśli liczysz na to, że sprzedasz broszę z diamentem i w ten sposób poprawisz swoją sytuację finansową, to się mylisz. * Tichon Tichonowicz nachylił się do jego ucha i zaczął mówić sugestywnym szeptem: * Życzę sobie, żeby ta rzecz została dla moich wnuków. Nie bój się, Irina nic nie wie. Poza mną nikt nie wie. To jest piękna rzecz, jest wiele warta, ja tego nie ruszę. Radzę lepiej ją schować, ale sprzedać nie dam. Takie rzeczy powinny pozostawać w rodzinie. To wszystko, Misza. A teraz idź i zastanów się, kim jesteś: hrabią Paurier, uczciwym mężem czy więźniem z numerem i długoletnim wyrokiem. Trzeciej możliwości nie ma, Wasza Wysokość * mrugnął okiem porozumiewawczo, nałożył pincenez na mięsisty nos i zagłębił się w papierach.

W nocy hrabia próbował strzelić do siebie, ale pistolet się zaciął. Rankiem zwolnił się z pracy w departamencie, a po tygodniu przeprowadził do żony na wieś.

Rozdział 21

Rzeczywiście, podczas swojego niezbyt długiego życia, Artiom Butejko zdążył naopowiadać mnóstwo paskudnych rzeczy. Śledczy Ilia Nikitycz Borodin przesłuchiwał kasety z wywiadami i był w szoku, słysząc zdecydowanie nietaktowne pytania, a co najważniejsze, nie rozumiał, dla kogo to mogło być interesujące?

* Czyli pierwszy orgazm miałeś w przedszkolu? * z taśmy dobiegał monotony głos Butejki.

* Tak. Wychowawczynie myła podłogę, była poobiednia cisza, ona się nachyliła i zobaczyłem tuż przed sobą wielki, kobiecy tyłek, ciasno opięty cienkim fartuchem * głos należał do znanego piosenkarza estradowego.

Do pokoju zajrzała mama.

* Iljuszka, chodź jeść!

* Już, mamciu, zaraz * skinął głową, kontynuując przesłuchiwanie taśm.

* Czy twój pierwszy stosunek płciowy miał później jakiś wpływ na ciebie, na twoją osobowość? * Głos Butejki był donośny.

* Tak, bo nic z tego nie wyszło. Tak się podnieciłem, że skończyłem, nie zdążywszy zdjąć spodni. Miałem wtedy dwanaście lat, a ona dwadzieścia trzy * odparł piosenkarz.

Borodin wyłączył magnetofon.

* Iljuszka, jeśli znowu masz maniaka, to najpierw zjedz, a potem pracuj * zezłościła się mama * inaczej nie będziesz miał apetytu. Usmażyłam kotleciki z kurczaka. Idź i umyj ręce.

Lidia Nikołajewna Borodina skończyła siedemdziesiąt trzy lata. Całe życie pracowała w Muzeum Puszkina w Moskwie jako historyk sztuki, zajmowała się rosyjskim portretem przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Od pięciu lat była na emeryturze, ale wciąż traktowano ją jako „rezerwowego” specjalistę. Brała udział w badaniach naukowych, pisała kolejną książkę. Poza tym kolekcjonerzy i „nowi Rosjanie”, lokujący pieniądze w dziełach sztuki, stale prosili ją o konsultacje. Również śledczy z Pietrowki, celnicy * jednym słowem wszyscy, komu była potrzebna opinia specjalisty w dziedzinie portretu zwracali się do niej o pomoc. Bardzo lubiła ponarzekać na swoje słabe zdrowie i na pytanie: „Jak się pani czuje?”, odpowiadała: „Oh, lepiej nie pytać. Okropnie! Wczoraj ledwo dokuśtykałam do konserwatorium. Kisin grał Skriabina. No co miałam zrobić? Trzeba było pójść! Nie wolno czegoś takiego opuścić!”.

* Czyli, Iljuszka, kolejny seksualny maniak? * zapytała, kiedy syn usiadł przy stole.

* Nie. Tym razem mam zabójstwo dziennikarza.

* No, to rozumiem, dlaczego słyszałam medyczne terminy. Teraz można publicznie ogłosić najbardziej intymne szczegóły. Ile ci nałożyć kotlecików?

* Trzy. Małe są.

* Jak się nazywał? Ten dziennikarz.

* Artiom Butejko.

* Pierwszy raz słyszę.

* Mięsko jest kapitalne. Powiedz, a gdzie jest pieprz?

* Nie potrzeba ci pieprzu, synku. Po ostrych potrawach masz zgagę. Wydaje mi się, że tego twojego dziennikarza mogli zabić, bo za bardzo wdepnął w czyjeś życie

osobiste.

* Ci ludzie, mamó, którym Butejko zadawał tak nietaktowne pytania, mogli odmówić rozmowy z nim.

* Tym bardziej! Każdy człowiek bardziej przeżywa swoje głupie zachowanie niż brak taktu lub czyjeś chamstwo.

* Oj, mamciu, przesadzasz * mruknął śledczy, wstał i otworzył kredens.

* Iljuszka, jeśli szukasz pieprzu, to przyjmij do wiadomości, że go wyrzuciłam. I wcale nie przesadzam. Przypomnij sobie sprawę tego reżysera, maniaka seksualnego, którą prowadziłeś cztery lata temu. Przypomnij

sobie Warię Bogdanową, dziewczynę, która pomogła wam w śledztwie, zeznawała w sądzie, a potem próbowała popełnić samobójstwo. * Starsza pani ciężko westchnęła.

* Razem odwiedzaliśmy ją w szpitalu. Przyznała wtedy, że dla niej nie gwałt był najgorszy i wszystko, co musiała potem przeżyć, ale świadomość, że sama, dobrowolnie, poszła razem z tym człowiekiem, zgodziła się wejść do tego mieszkania i rozebrać się. Właśnie tego nie mogła sobie wybaczyć i dlatego chciała się utopić. Ze wstydu, a wstyd, Iljuszka, to jedno z najsilniejszych ludzkich uczuć.

* Nie widzę związku * mruknął * co ma do tego zabity dziennikarz?

* Związek jest prosty. Któraś z wpływowych, znanych osób nie mogła sobie wybaczyć, że pozwoliła twojemu dziennikarzowi wciągnąć się w niestosowną rozmowę. Ale, w odróżnieniu od Bogdanowej, ta osoba nie miała zamiaru skończyć ze sobą, ale z dziennikarzem, ponieważ on, ten dziennikarz, był chodzącą retrospekcją żenującego i głupiego zachowania rozmówcy. Iljuszka, nie spróbowałeś kapusty, a dzisiaj jest wyjątko*

wo smaczna.

Syn skinął głową, wsadził do ust trochę kiszzonej kapusty z żurawiną i zaczął jeść, ale prawie nie czuł żadnego smaku.

„Mama, jak zwykle, przesadza i wszystko komplikuje. Nie ma związku między tamtym reżyserem a tym dziennikarzem”, myślał.

Trzeba przyznać, że Rafik Tenajan przez dość długi czas był ulubieńcem prasy, dziennikarze latali robić mu zdjęcia, przeprowadzać wywiady. Możliwe, że wśród

nich był także Butejko.

Śledczy nie miał wątpliwości, że obie sprawy nie mają ze sobą żadnego związku, ale przy okazji, historia sprzed czterech lat odżyła ze szczegółami w jego pamięci.

Rafik Tenajan, Ormianin, urodzony w Moskwie, z zawodu reżyser filmowy, wylądował na ulicach ładne, niepełnoletnie dziewczynki, proponował im rolę w filmie i nawet pokazywał legitymację członkowską Związku Filmowców. Na pierwszą próbę zdjęciową zapraszał do siebie do domu, poił środkami nasennymi i gwałcił. Okazało się potem, że Tenajan miał na sumieniu trzynaście ofiar. Dwie dziewczyny zmarły po przedawkowaniu środka nasennego. Jedna zwariowała. Tylko siedemnastoletnia Warwara Bogdanowa cudem przeżyła i przyprowadziła śledczych prosto do tamtego mieszkania. Później bez wahania zgodziła się wziąć udział w rozprawie.

Zachowywała się nadzwyczaj spokojnie i mężnie, nie uroniła jednej łzy i ani razu nie okazała wście

kłości. Mówiąc szczerze, to dzięki niej potwór został aresztowany, a jego winy udowodnione.

Dwa dni po ogłoszeniu wyroku Waria rzuciła się do wody. Chwała Bogu, że w pobliżu zatrzymał się samochód patrolowy i młody milicjant uratował dziewczynę.

* Uia, ty mnie słuchasz, czy udajesz? * mama groźnie spojrzała znad okularów na syna. * Powiedziałeś: „nie widzę związku”. A właśnie ostatnią kroplą dla Warii stało się spotkanie z kolegą twojego ostatniego nieboszczyka.

* Poczekaj, mamó, nie rozumiem...

* A co tu jest niezrozumiałe? Pamiętasz, jak koło tej brudnej sprawy kręciła się prasa? Seksualny potwór stał się prawdziwym bohaterem, było kilka programów telewizyjnych na jego temat, potem jeszcze nakręcili film dokumentalny, a ile było artykułów w gazetach! Dlaczego ludzi tak przyciąga wszystko co wulgarne?

* Oj, mamó, znów przesadzasz * niezdecydowanie zaprotestował syn * zgadzam się, że patologiczne okrucieństwo wywołuje szczególne zainteresowanie, ale jednak nie u wszystkich, tylko tych z obniżonym poziomem rozwoju intelektualnego.

* Drogi chłopcze, jeśli codziennie będą w telewizorze pokazywać talk*show poświęcone masturbacji, prostytutce, erekcji i pozostałych najprymitywniejszych

radościach istnienia, to w niedługim czasie ludziska definitywnie zwariują. Choćby o takim Czikałło napisano do dziś na pewno znacznie więcej niż o Fiodorze Michajłowiczu Dostojewskim.

Czikałło Andrej (1936*1994) * ukraiński seryjny morderca, zwany Rzeźnikiem z Rostowa. Za udowodnione 53 morderstwa na tle seksualnym został skazany na śmierć.

* Mamo, zaczęłaś mówić, że ostatnią kroplą goryczy dla Warii Bogdanowej było spotkanie z jakimś dziennikarzem * przypomniał delikatnie śledczy * dokończ, proszę. To rzeczywiście ciekawe.

* Cztery lata temu jakiś łajdak z kamerą telewizyjną zaczął prześladować to nieszczęsne stworzenie. Starał się wyciągnąć z niej pikantne szczegóły dotyczące sprawy, która była dla niej tragedią. Później również nie dawał jej spokoju, próbował dopaść ją w szpitalu. Wszystko dla jednego wywiadu.

* Nie mówiłaś mi o tym.

* Opowiadałam ci, ale ty, jak Sherlock Holmes, trzymasz w głowie tylko te informacje, które uważasz za ważne dla danej sprawy. Oszczędzasz miejsce w pamięci, tak jakby twoja głowa była czymś w rodzaju szafy na książki.

* Sherlock Holmes porównywał pamięć do strychu, a nie do szafy na książki.

* Wszystko jedno. Czasem to, co dziś wydaje ci się mało znaczące, jutro może okazać się ważnym ogniwiem w łańcuchu śledztwa. Ale ja nie mówię teraz o tym. Robisz się nieczuły i bezduszny, mój synu. Zaczynasz sortować nie tylko wydarzenia, ale i żywych ludzi, zgodnie z przydatnością dla kolejnego śledztwa.

* Ale o łajdaku z kamerą, który prześladował Warię Bogdanową, nic mi, mamciu, nie mówiłaś * szybko wtrącił Ilja.

* Mówiłam, Iljuszka, ale tak się złożyło, że akurat wtedy nie prowadziłaś śledztwa w sprawie zabójstwa dziennikarza.

Rozdział 22

to się stało, panie Krasawczenko? Miał pan przecież lecieć * iza zwróciła się do

niego po angielsku, obrzucając lodowatym spojrzeniem.

* Jak się pani czuje? * padło pytanie, również po angielsku i, nie czekając na zaproszenie, Krasawczenko przysiadł się do ich stolika. * Tak się martwiłem, bo wczoraj wyglądała pani bardzo źle. Była pani blada, rozkojarzona. Czy nie uważa pani * zwrócił się do Amerykanki * że rosyjskie kobiety za bardzo przeciążają się pracą i w ogóle nie myślą o odpoczynku?

* Chyba ma pan rację * odrzekła chłodno Kerry i wstała. * Za pięć minut kończy się przerwa. Lizo, czekam na panią na sali. * Patrzyła na nią długo, znacząco i odeszła, zostawiając ich samych.

* Zgłosiłam sprawę na policji * odezwała się Liza po rosyjsku * zrobili mi już analizę krwi i za kilka godzin będzie wiadomo, co mi pan dosypał do wina. * Podniosła się i chciała odejść.

* Proszę usiąść i się uspokoić * w jego oczach nie było śladu strachu. Patrzył na nią z zimnym zainteresowaniem jak na mysz w laboratorium. * Proszę nie blefować, bo to nie leży w pani interesie. Nie zgłosiła pani na policji żadnej sprawy, i nie zgłosi, po prostu nie ma czego zgłaszać. Poza tym za dwa dni wraca pani do domu. Czeka praca, rodzina i jeszcze ktoś, za kim pani się stęskniła. A tu, na policji, jak wszędzie zresztą, sami biurokraci. Jeśli założyć jednak sytuację niemożliwą i pani zgłoszenie zostanie przyjęte, to zacznie się przeciąganie sprawy, będzie musiała się pani zatrzymać w Kanadzie, naturalnie na własny koszt, a to sporo wydatek, rzecz kłopotliwa i, co najważniejsze, zupełnie bez sensu. Nie ma dowodów przestępstwa. Jest pani żywa, zdrowa, wygląda pani świetnie, nic pani nie zginęło.

* Dosypał mi pan do wina jakąś substancję psychotropową.

* Na Boga, co też pani mówi, Jelizawieto Pawłowna * roześmiał się Krasawczenko.

* Za kogo mnie pani uważa?

Liza nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ale nie musiała. Już trzeci raz proszono uczestników konferencji do sali. Przerwa dobiegła końca. Przy ich stoliku wyrosła potężna figura norweskiego profesora, Hansa Hansena, który wziął Lizę za łokieć.

* Spóźnimy się, lady.

Przy wejściu do sali dogonił ich Krasawczenko.

* Ależ pani jest roztargniona! Stale pani czegoś zapomina. * Teatralnie wzniosł oczy do góry i powiedział szybko po angielsku: * Oto, co miłość robi z kobietą!

* Won! * syknęła Liza po rosyjsku.

* Jelizawieto Pawłowna, proszę się tak nie wyrażać * odparł również szeptem * proszę, oto pani teczka, zostawiła pani dokumenty na stole. Po konferencji czekam na panią w barze na dwunastym piętrze.

* Długo będzie pan czekał.

* Nie sądzę. Przyjdzie pani od razu. Przybiegnie! * I z czarującym uśmiechem rozpląnął się w tłumie.

W sali Liza odszukała Amerykankę, która była zajęta przeglądaniem papierów, podkreślała jakieś fragmenty kolorowymi flamastrami, wstawiała pytajniki, wykrzykniki na marginesach.

* Kerry, pani nie skończyła mówić * szepnęła Liza, siadając obok niej * skąd pani zna tego człowieka? Kto to jest?

* To aferzysta * odparła Amerykanka również szeptem, nie odrywając oczu od skserowanych kartek. * On się cały czas kręci koło pani. Jego nazwisko nie figuruje w spisie członków delegacji rosyjskiej. Nie zna go ani jeden z przedstawicieli rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest zameldowany w hotelu jako osoba prywatna. Być może rzeczywiście pracuje w ministerstwie, ale na jakim stanowisku i w jakim charakterze * nie wiadomo. Myślę, że to agent KGB.

* Pani się specjalnie nim zainteresowała? Pytała naszych dyplomatów i w administracji hotelu? * zdziwiła się Liza.

* Tak.

* Dlaczego?

* Bo mi się nie spodobał. To bardzo śliski typ. W osiemdziesiątym roku byłam w ZSRR na olimpiadzie. Przed wyjazdem mieliśmy specjalne szkolenie, uczono nas, w jaki sposób rozpoznać agenta KGB.

* Kerry, ale od tej pory minęło dwadzieścia lat.

* Tak, oczywiście. W Rosji już nie ma takiej instytucji, chociaż zmiana szyldu o

niczym nie świadczy. Niech pani będzie ostrożna, Lizo.

Na mównicę wyszedł mnich buddyjski, ogolony na łyso, owinięty w czerwoną szatę. Mówił po mongolsku, wobec tego wszyscy założyli słuchawki. Kerry wyłączyła dźwięk i pograżyła się w czytaniu dokumentów. Liza poszła za jej przykładem, wyjęła papiery z plastikowej teczki i nagle zemdlilo ją, ale tak strasznie, że instynktownie zasłoniła dłonią usta.

Między kartkami papieru leżało kilka maleńkich polaroidowych fotografii. To były zdjęcia pornograficzne. Przez sekundę patrzyła na nie i natychmiast przykryła kartką papieru. Ale wystarczyła sekunda, by rozpoznać, kto jest na zdjęciach. Ona i Krasawczenko.

* Zdarzało się, że czasem pracowałem z dziennikarzami z gazet jako fotograf, a w telewizji jestem zatrudniony już od piętnastu lat. Jeśli nie ma roboty dla operatora, to idę pochałturzyć w gazecie. Wracając do Butejki, to wyróżniał się on szczególną perfidią, ale nie dlatego będziemy o nim pamiętać. Natomiast jeśli chce pan znać moje zdanie, to on się doigrał. Wiele osób go ostrzegało.

Starszy pan, operator telewizyjny Jegor Łabuch, był tak gadatliwy, że nawet cierpliwy i ciekawy informacji Borodin zaczął odczuwać zmęczenie.

* Czy może mi pan powiedzieć, kto konkretnie go uprzedzał i w jakiej sytuacji to było? * spytał śledczy, kiedy wreszcie udało mu się przerwać monolog operatora i spróbował skierować rozmowę w bardziej pożądanym kierunku.

* O, przepraszam. Nazwisk nie będę wymieniał * uśmiechnął się kwaśno Łabuch. * Jakby nie było, pan wyjaśnia sprawę zabójstwa. Jeśli chlapnę jakieś nazwisko, to, nie daj Bóg, przeze mnie człowiek może stać się podejrzanym. To może być koło setki ludzi, a do tego wszyscy ważni, wpływowi, mający ogromne możliwości.

* Czyli blisko stu ludzi mogło, według pana, mieć motyw, żeby zabić Butejkę? * ostrożnie sprecyzował Borodin.

* No, z pewnością trochę przesadziłem, ale można założyć, że każdy z jego rozmówców, choć przez moment, miał na to ochotę. A jeśli do tego dodać, że żył za pożyczane pieniądze, to ja mogę panu, jako śledczemu, tylko współczuć.

* Czy od pana też pożyczał pieniądze?

* Dwa razy, ale wszystko zwrócił. Długi zwracał skrupulatnie, przynajmniej kolegom. A jeśli chodzi o ludzi, z którymi miał styczność jako reporter, to mogę opowiedzieć, co wyrabiał. Śledził, podsłuchiwał, szpiegował. Bywało tak, że przez niego się małżeństwa rozpadały.

* I nikt go ani raz nie podał do sądu? * wtrącił pytanie śledczy.

* A czy normalny człowiek może się publicznie przyznać, że to dla niego ważne?

Jedni nie chcieli się upaćkać w tym brudzie, stracić czas i nerwy, inni rozumieli, że on właśnie czekał na taką reakcję, bo skandal jest najlepszą reklamą. A po co taką gniądę reklamować? Oj, przepraszam, źle to zabrzmiało, mówię przecież o zmarłym. Ale niech pan sam osądzi: on nikogo nie oszczędzał, absolutnie nikogo, przy czym wybierał na zwierzynę łowną zwykłego, przyzwoitego człowieka, któremu taka popularność do niczego nie była potrzebna. Weźmy, na przykład, jedną bardzo znaną i lubianą panią, prowadzącą programy telewizyjne. Nie będę wymieniał jej nazwiska. Artiom kręcił się koło niej jak pies tropiący. Wyniuchał, że jej matka jest nałogową alkoholiczką. Ja z nim nie pojechałem, ale znalazł się inny operator, który wszystko ma gdzieś. Nagrali starą kobietę w chwili, kiedy była mocno „sponiewierana”. I, naturalnie, zaraz to puścił w swoim nocnym programie jako reportaż dnia: przepita twarz, syf w mieszkaniu, a na przebitkach * fotografie dziennikarki, prowadzącej programy, żeby widz ani przez chwilę nie zapomniał, czyją jest córką.

* Kiedy to było?

* Niecały miesiąc temu.

* I jak zareagowała ta pani?

* Mówiąc szczerze, nie wiem. Słyszałam taką plotkę, że podobno dała mu w pysk w holu budynku telewizji, w Ostankino, na pierwszym piętrze, ale nie tak po prostu * wcześniej założyła rękawiczkę. Podobno on jej oddał i niewiele brakowało, a doszłoby do bójki, ale być może sam Artiom puścił taką „kaczkę”. To dokładnie w jego stylu.

Borodin od razu się zorientował, że chodzi o Bielajewą.

W domu zwrócił uwagę, że na wszystkich kasetach opisanych „Bielajewa”, nie ma głosu Butejki. Pytania zadawały jakieś młode dziewczyny: „Jelizawieto Pawłowna,

jak się pani zachowa, kiedy się pani dowie, że mąż panią zdradza?", „Czy chcąc zachować młody wygląd, skorzysta pani z usług chirurgów plastycznych?”.

Oczywiście tego rodzaju pytań nie zadawano na początku wywiadu. Rozmowa zaczynała się całkiem przyzwoicie, dziewczyny zapewne komplementowały Bielajewą. Podkreślały jej wdzięk, urodę, rozsądek i dopiero później strzelały jej w twarz jakimś paskudztwem, na przykład: „* A taka sprawa. Od dwudziestu lat żyje pani z jednym mężczyzną. Czy dlatego, że nie było więcej wielbicieli?”.

Na papierowej wkładce do kasety śledczy odczytał kilka słów napisany malutkimi literami, zwykłym ołówkiem: „«Sto Pudów» 20.03.98". Zadzwoił do Kosickiego i poprosił, żeby mu wyjaśnił, co to znaczy. W odpowiedzi usłyszał, że to tytuł popularnego brukowca.

* Poszukaj mi numeru z dwudziestego marca ubiegłego roku i dowiedz się, kto robił wywiad z Jelizawietą Bielajewą.

* Z kim? Z Bielajewą? * Iwan był wyraźnie zaskoczony. * Czyżby pojawiała nam się nowa osoba?

* Czemu pytasz?

* Dlatego, że cała telewizja wie o tej miłej parce. Bielajewą i Butejko byli śmiertelnymi wrogami, serdecznie się nie znosili. Był kiedyś skandaliczny talk*show, po którym Butejko wyleciał z młodzieżowego kanału, długo nie było go na ekranie, pracował tylko w gazetach i w radiu. Jedni mówili, że to Bielajewą go wrobiła w tym programie, a to szło na żywo. Inni uważają, że jej wypowiedź stała się pretekstem dla kierownictwa kanału, żeby się pozbyć dziennikarza.

* A to bardzo ciekawe. Dowiedz się szczegółów i spróbuj znaleźć tego, kto zrobił ten wywiad dla „Stu Pudów", ale pospiesz się.

* To ja od razu panu powiem, że Bielajewą jest teraz w Montrealu, na międzynarodowej konferencji dotyczącej praw człowieka. Wyleciała w noc przed zabójstwem, a wraca w sobotę * zaraportował Iwan.

Odłożywszy słuchawkę, Ilia Borodin włączył magnetowid i od razu się zorientował, że ogląda nagranie tego właśnie talk*show, które stało się pechowym dla Butejki.

Pośrodku okrągłego pomieszczenia siedział chłopak w czarnych dżinsach i w

czarnym swetrze. Jego twarz była zasłonięta maską.

„* W moim życiu był ciężki okres * mówił głuchym głosem * chciałem skończyć ze sobą. Próbowałem kilka razy, ale mi się nie udało. Nie mogłem... przepraszam, ale ciężko mi o tym mówić.

* Proszę się nie denerwować * prowadzący, Artiom Butejko, dodał mu otuchy * proszę mówić, ulży panu. Być może potrafimy pomóc, spróbujemy razem zorientować się w pańskim problemie. Po to się tutaj zebraliśmy, żeby sobie nawzajem pomagać w trudnych sytuacjach i nieszczęściach, wesprzeć kiedy jest ciężko.

* Dziękuję... Tak... dobrze... spróbuję".

Kamera przejechała po widowni. Napięcie na twarzach widzów, współczucie w oczach.

„* Zakochałem się, ale ona mnie porzuciła, odeszła do innego. Nie chciałem dalej żyć, próbowałem różnymi sposobami się zabić, ale zrozumiałem, że sam nie potrafię tego zrobić. Miałem znajomego, z którym chodziliśmy kiedyś do szkoły. Wiedziałem, że ma powiązania z bandytami. Zadzzwoniłem do niego i powiedziałem, że mam zamówienie. Trzeba kogoś zabić".

Kilka starszych pań na widowni miało łzy w oczach, jedna już płakała, nie ukrywając tego. Kamera zatrzymała się na kilka sekund na jej twarzy.

„* To znaczy chciał pan zamówić swoje zabójstwo? * uściślił ze współczuciem prowadzący.

* Tak * głos spod maski był stłumiony. * Powiedziałem, że człowiek, o którego chodzi, będzie w takim a takim miejscu, i poszedłem tam.

* Co było dalej?

* Zobaczyłem ich i się przeraziłem. Włączył się instynkt samozachowawczy i uciekłem. No i od ponad roku się przed nimi ukrywam. Każdego dnia mogą mnie zabić. Siedzą mnie, prześladują. Dopiero teraz zrozumiałem, co to znaczy żyć i ja bardzo chcę żyć, ale wiem, że i tak, wcześniej czy później, mnie zabiją.

* Ale jak to? * chlipnęła staruszka z widowni w podstawiony mikrofon. * Przecież jesteś taki jeszcze młodziutki! Towarzysze, musimy coś zrobić, trzeba pomóc

chłopcu.

* A nie próbował pan odwołać zlecenia? * zainteresował się solidnie wyglądający mężczyzna z wąsikami.

* To na nic * pokręcił głową nieszczęsny bohater * maszyna już ruszyła. Odbywa się prawdziwe polowanie na mnie. Choćby teraz, przyszedłem tutaj, a nie wiem, co może mi się przytrafić, jak stąd wyjdę".

Publiczność w studiu szczerze współczuła chłopcu w masce. Proponowali wynająć ochronę, pytali, czy nie trzeba mu pomóc materialnie, bo przecież ukrywając się przed zabójcami, nie może mieć stałej pracy. Jasnowłosa, niebieskooka, może piętnastoletnia dziewczyna, piskliwym głosikiem zaproponowała, żeby ukrywał się w jej domu.

„* Dziękuję, dziękuję * powtarzał Butejko w odpowiedzi na każdą propozycję".

Chłopak w masce milczał. Widocznie ze zdenerwowania i wdzięczności odjęło mu mowę.

„* A mówi się, że wśród naszych obywateli jest coraz mniej współczucia! * krzyknął Butejko. * Dziękuję państwu na widowni. A teraz posłuchamy, co powiedzą nasi eksperci?"

Podszedł ku grupie ludzi, która siedziała oddzielnie.

To było dwóch mężczyzn, na oko „nowych" biznesmenów, między nimi Jełizawieta Bielajewa. Mężczyźni byli przedstawicielami firmy sponsorującej program.

Bielajewą widownia powitała głośnymi brawami. Ona pierwsza wzięła mikrofon.

„* Zanim cokolwiek powiem, chciałabym zadać naszemu bohaterowi kilka pytań. Jak się pan przedstawił przez telefon swojemu przyjacielowi? Własnym imieniem?

* Tak, oczywiście.

* Jeśli dobrze zrozumiałam, pan i ten przyjaciel pośrednik, który przyjął zlecenie i pieniądze, uczyliście się w jednej szkole i dobrze się znacie?

* Tak.

* A jak pan opisał mu osobę, która ma być zabita? Czyją fotografię mu pan pokazał? Jaki pan dał mu adres, numer telefonu, nazwisko?"

Przez widownię przeleciał szmer. Artiom Butejko energicznie wyrwał mikrofon z rąk

Bielajewej.

„* My tu nie prowadzimy śledztwa, to nie jest przesłuchanie. To tylko dyskusja na określony temat. Przedstawiamy problem, poważny, aktualny i wspólnie staramy się go rozwiązać, pomóc, a pani napada na człowieka, który znalazł się w tak

przedziwnej sytuacji. Kontynuujemy dys

kusję. Co pan nam powie na ten temat? * oddał mikrofon jednemu ze sponsorów.

* Nic nie powiem * burknął mężczyzna * nie mam zwyczaju nikomu przerywać, a pani Bielajewa jeszcze nie skończyła * i oddał jej mikrofon.

* Właściwie już skończyłam * rzekła Jelizawieta * ale może ostatnie pytanie. Czy przez rok «polowania» pośrednik nie zorientował się, że pan, to pan?

* Nie. Jeśli się zdemaskuję, to mnie zaraz zabiją. Powiedziałem, że nie jestem pewien, co będzie jutro. To jest tak: pieniądze zostały zapłacone, maszyna ruszyła, zadanie wykonują profesjonaliści i zamówienie będzie wykonane tak czy siak.

Niestety, nie zna pani praw, jakimi się rządzi świat przestępczy".

Chłopak bardzo się denerwował, mówił szybko, z emfazą i w pewnej chwili śledczemu zaczęło się wydawać, że w głosie mówiącego, w intonacji, w całej postaci, jest coś dziwnie znajomego.

„* Tak, chyba rzeczywiście słabo znam te prawa * zgodziła się Bielajewa. * W każdym razie pierwszy raz słyszę o zawodowych mordercach, którzy przyjęli zlecenie, ale szukając «wystawionego» przez cały rok, nie odkryli, kogo mają zabić * zakończyła, i oddała mikrofon prowadzącemu program".

Na widowni huczało, ludzie śmiali się, tupali nogami, klaskali w dłonie. Jeszcze przed chwilą płaczące staruszki szeptały coś między sobą, kręciły głowami.

Jasnowłosa dziewczynka, która miała zamiar ukrywać nieszczęśnika w swoim mieszkaniu, wsadziła cztery palce do ust i gwizdała jak chłopak.

„* Chwileczkę, drodzy państwo * Butejko chrząknął * przed chwilą usłyszeliśmy opinię naszego pierwszego eksperta w osobie Jelizawiety Pawłownej Bielajewej, ale to jest tylko jej zdanie. W dalszej części dyskusji zabierze głos przedstawiciel naszych szczodrych sponsorów. Powitajmy gościa, zastępcę dyrektora prywatnego banku Nadzieja. Prosimy, oklaski!"

Niestety, zamiast oklasków nadal było tupanie i gwizdy. Przedstawiciel banku z kwaśną miną pokręcił przecząco głową i odsunął od siebie rękę z mikrofonem. Jeszcze przez kilka minut Butejko próbował uratować program, coś tam bąkał górnolotnie o współczuciu, czym jeszcze bardziej rozochocił publiczność. Chłopak w masce wstał i, garbiąc się, jakby go ktoś pobił, przemknął do wyjścia. Kamera prześlizgnęła się po nim.

Borodin starał się zobaczyć choćby kawałek twarzy, nacisnął przycisk „pauza”, ale mignął mu tylko fragment policzka i podbródka.

* No dobrze, to można sprawdzić * mruknął do siebie i ponownie uruchomił kasetę. Ale już nie było na co patrzeć. Na ekranie pokazał się przerywnik, a potem reklama sponsorów.

Rumiana, wyglancowana rodzinka: mama, tata, dwójka dzieci, wzięwszy się za ręce, podskakiwali po błyszczącym parkiecie pustego pokoju. Z rogu pokoju spoglądała na nich babcia, którą grała znana aktorka. Odwróciwszy się do kamery powiedziała:

„* Moje dzieci czekały na mieszkanie przez wiele lat. Pomogła im Nadzieja.

* Ale jeszcze meble są nam potrzebne! * krzyknął synek.

* Jest Nadzieja, to będą i meble! * mrugnął do kamery ojciec szczęśliwej rodziny i włączył babcię do korowodu".

Krażyli z radosnym śmiechem po pustym pokoju. Następnie pojawiło się logo banku i głos „babci” zabrzmiał przekonująco:

„* Mam już dużo lat, zdarzały się różne rzeczy, ale wiem, że najważniejsza w życiu jest nadzieja. Nadzieja was nie zawiedzie".

Tu się kończyło nagranie. Na ekranie tańczyły biało*czarne kreseczki. Nim przewinął taśmę i sprawdził, czy tam jeszcze coś jest, wyjął notes i odszukał numer telefonu operatora Łabucha. Była już wprawdzie dwunasta w nocy, ale dając numer, operator powiedział, że można do niego dzwonić do drugiej w nocy.

* Dobry wieczór, Jegorze Wiktorowiczu. Mówi śledczy Borodin. Przepraszam, że tak późno. Przed chwilą oglądałem zapis talk*show, które prowadził Butejko...

* A to * ożywił się operator * jego pierwsze i ostatnie. Przepraszam, że spytam, ale w jaki sposób zdobył pan tę kasetę? Myślałem, że już tego nagrania nie ma.

* Znalazłem ją w mieszkaniu Butejki. Powiedział pan: pierwsze i ostatnie. Czyżby dla szefostwa telewizji blamaż programu był tak ważny, że aż na trzy lata odsunęli Butejkę od programów na żywo?

* Konkretnie, w trybie urzędowym, nikt go nie odsuwał, ale od tego czasu stale miał jakieś kłopoty. Zaczęło się pasmo porażek. Sponsorzy się wściekli. Powiedzieli, że nie będą płacić za ewidentną chałturę. Oświadczyli, że skompromitował bank, wystawił na pośmiewisko. Prócz tego oberwało mu się za to, że przez jego beznadziejny talk*show rozwalił cały grafik. Program skończył się o siedem minut wcześniej, powstała dziura, a to jest bardzo poważny kłopot. Zresztą od tej pory prawie wszystkie tego typu programy są wcześniej nagrywane.

* A dlaczego Butejko jako eksperta zaprosił właśnie Bielajewą?

* Ona wtedy była już bardzo popularna, a do takich programów musi się zapraszać ludzi z „górnej półki”. Zgodziła się bez problemu, bo akurat miała dwie wolne godziny, oprócz tego Butejko ją prosił, namawiał.

* Dziwne, że nikomu z publiczności nie przyszło do głowy zadać bohaterowi programu choćby jednego z tych prostych pytań, które ona zadała.

* Publiczność to ludzie wzięci z ulicy. Na nich działa magia studia, że są na wizji. Butejko właśnie na to liczył. I nie chodzi o to, że przyprowadził przyjaciela i wymyślił kiepski scenariusz, także nie o to, że tego scenariusza nie dopracował jak należy. Sęk w tym, że wszystko rozsypało się przez trzy proste pytania. A wie pan, że za rok bank Nadzieja upadł, zniknął razem z pieniędzmi klientów? Tych panów, których pan widział na kasecie, szukają do dziś.

* Chwileczkę, powiedział pan, że Butejko przyprowadził do programu swojego przyjaciela, który wystąpił jako człowiek w masce. Nie pamięta pan przypadkiem jak on się nazywa?

* Co pan, to było trzy lata temu.

Rozdział 23

Dmitrij Władimirowicz Malcew wyjechał na cały dzień, Warwarę bolała głowa,

miała niewielką temperaturę i została w domu. Kiedy pokojówka zaczęła hałasować odkurzaczem, Warwara narzuciła futro i wyszła do ogrodu. Wzięła ze sobą podręcznik historii średniowiecza. Trzeba było się przygotować do sesji zimowej, chociaż jakiegoś szczególnego wysiłku nikt od niej nie wymagał. Nawet za milczenie na egzaminach dostawała pozytywne oceny. Wykładowcy gotowi byli pisać za nią referaty, natomiast ona miała tylko, od czasu do czasu, pokazać się na zajęciach. Malcew płacił za jej naukę bardzo duże pieniądze, a prócz tego pomagał zarządowi uniwersytetu w nawiązywaniu kontaktów ze sponsorami, załatwianiu różnych spraw w merostwie czy w Ministerstwie Kultury.

Dzień był jasny, wietrzny. Na błękitnej powierzchni basenu pojawiły się zmarszczki. Waria usiadła na ławce i, nie odrywając oczu, wpatrywała się w wodę. Im dłużej patrzyła, tym bardziej marzły jej ręce. Chłód przenikał, przewiercał ją na wylot jak ławica niewidzialnych, głodnych piranii. Powinna była wrócić do domu, ale zdrewniała i, objawszy rękami ramiona, siedziała jak kamienna postać.

„Te straszne wspomnienia działają na mnie jak narkotyk * pomyślała * nie mogę zapomnieć, jak ryzykując życiem, uratowałeś mnie. To był chyba w ciągu twojego trzydziestodwuletniego życia jedyny ludzki uczynek”.

W zimny marcowy wieczór 1995 roku, samochód patrolowy zatrzymał się na bulwarze, ponieważ kapitan Sokołów wypił za dużo coli. Wyskoczył z auta, zbiegł po schodach wiodących ku rzece. Wiadomo, jak mało jest w Moskwie publicznych toalet.

Trzy minuty później radio nadało komunikat, że z sąsiedniej ulicy zgłoszono włamanie do sklepu jubilerskiego. Młodziutki lejtnant wyszedł z auta, żeby ponaglić Sokołowa, podszedł do balustrady i spojrzał w dół.

* Towarzyszu kapitanie! * krzyknął i w tym samym momencie zobaczył, że ktoś chlapie rękami w lodowatej wodzie, a Sokołów już zdejmuje buty.

Uratowana dziewczyna była nieprzytomna i nim przyjechała karetka, Sokołów udzielił jej pierwszej pomocy. Tę wzruszającą scenę sfilmowała ekipa telewizyjna, która przyjechała na miejsce zdarzenia dziesięć minut przed pogotowiem.

Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna chciała popełnić samobójstwo. Później

wyjaśniło się, że była jedną z ofiar słynnego maniaka seksualnego Rafika Tenajana, którego proces skończył się dwa tygodnie temu.

Kapitan Sokołów otrzymał podziękowanie, z wpisaniem do akt osobowych, oraz premię pieniężną...

„Przyszedłeś odwiedzić mnie w szpitalu, przyniosłeś kiść bananów i karton soku. Towarzyszył ci młodziutki lejtnant Kola. Patrzył na mnie tymi swoimi jasnymi szarymi oczami i powtarzał, że jestem taka piękna. A ty się zagadkowo uśmiechnąłeś. Właściwie nie pamiętam, żebyś się radośnie uśmiechał. Chyba nie umiałeś i nie chciałeś. Zamiast uśmiechu jakoś tak dziwnie i nieprzyjemnie wykrzywiały ci się usta. Na pożegnanie lejtnant Kola pocałował mnie w rękę, a ty protekcjonalnie poklepałeś mnie po policzku. Kiedy drzwi się za wami zamknęły, wcisnęłam ten policzek w poduszkę, bo płonął”.

* Już skończyłam, może pani pójdzie do domu. Lepiej żeby się pani położyła. Pan mówił, że rano miała pani gorączkę.

* Co? * Waria wzdrygnęła się tak mocno, że pokojówka się zdziwiła.

* Przepraszam, jeśli panią wystraszyłam. Chodźmy, zaparzę pani maliny. Pani naprawdę jest chora.

* Tak, dziękuję * Waria wykonała duży wysiłek, żeby wstać. Kręciło się jej w głowie. Rzeczywiście, musi się położyć, przykryć robionym na drutach ciepłym pledem, wypić malinową herbatę i wreszcie, choć przez chwilę, przejrzeć podręcznik. Już niedługo sesja. Wstyd kompletnie nic nie umieć, nawet jeśli za moją naukę płaci się duże pieniądze.

* Pan Malcew przykazał, żeby pani koniecznie jeszcze raz zmierzyła temperaturę. Jeśli będzie pani miała ponad trzydzieści siedem, to mam wezwać lekarza.

* Dzwonił?

* Tak, dwadzieścia minut temu.

* To czemu nikt mnie nie zawołał?

* Powiedziałam, że pani się uczy, no to on, żeby pani nie przeszkadzać.

„Mój Boże, jakie to wzruszające * uśmiechnęła się do siebie dziewczyna * gdybyś widział, jak mnie kochają, w jakim domu mieszkam, jakim jeżdżę samochodem, do

jakich restauracji chadzam. I to wszystko zupełnie bezinteresownie, po prostu dlatego, że jestem taka, jaka jestem. Tak, śpię z nim i nie jestem tym zachwycona, ale poza tym wszystko inne między nami układa się wspaniale. Na pewno się ze mną ożeni, być może jeszcze urodzę mu dziecko. A ty tłukłeś mi do głowy, że miłość to łązawe kłamstwo i normalny człowiek może kochać tylko samego siebie. Lubiłeś powtarzać, że każdy mężczyzna w głębi duszy jest takim samym bydlakiem, takim samym maniakiem seksualnym jak Rafik Tenajan. Rafikowi puściły hamulce i dlatego wpadł. Gdyby był troszkę sprytniejszy, to mógłby bez psychotropów przejechać co najmniej setkę małoletnich idiotek takich jak ja. Lubiłeś robić mi przykrość, mój płacz sprawiał ci przyjemność. Wyglądało tak, jakbyś się mścił za ten jedyny szlachetny uczynek, który zrobiłeś, ratując mi życie. Teraz chyba jesteście kwita. Dawniej, przypominałam sobie, jak powiedziałeś, że dla ciebie więzienie jest gorsze od śmierci i chyba żywy stamtąd nie wyjdiesz, to chciało mi się płakać. Potem mi zobojętniało. A teraz boję się tylko jednego: że wrócisz".

* Zaparzyłam już maliny, ale muszą jeszcze z pół godziny naciągać. To może na razie gorącej herbatki przyniosę?

Otulona pledem Waria ścisnęła pod pachą termometr, czuła się uspokojona i rozgrzana serdecznymi słowami pokojówki. Fala wspomnień powoli odpływała. Żeby jeszcze można było wszystko całkiem zapomnieć i nie oglądać się za siebie. Pokojówka postawiła tacę z herbatą na stoliku obok Warii. Wszystkie filiżanki w domu Dmitrija Władimirowicza Malcewa były antykami i jako takie miały dużą wartość. Na początku dziewczyna strasznie się bała, że rozbije jedno z tych porcelanowych cudeniek, lecz potem się przyzwyczaiła i odkryła, że picie herbaty czy kawy z porcelany „Kuźniecowa”* sprawia większą przyjemność.

porcelana „Kuźniecowa" * słynna i popularna w Rosji zastawa stołowa wyrabiana (1832* 1917) w fabryce Jemieljana Kuźniecowa. Wyróżniała się śnieżną bielą i prostymi kształtami.

* Oj, a ja obrazy zapominałam odkurzyć * zawołała pokojówka. * Za każdym razem, jak patrzę, to się dziwię, że ta panienka jest do pani tak podobna, jakby to panią

namalowali. A nie interesowała się pani, czy to niejaka krewna?

* Nie, żadna krewna.

* Aha, no tak. To chyba już wszystko wytarłam. A ten środek do czyszczenia, to jest bardzo dobry. Co zagraniczne, to zagraniczne, nie da się porównać z naszymi. A gdzie termometr?

Temperatura była normalna, po mocnej, słodkiej herbacie ból głowy minął.

Pokojówka poszła do kuchni i od razu zrobiło się niezwykle cicho. Warwara zsunęła się z kanapy i podeszła do portretu.

Z dużego płótna oprawionego w prostą drewnianą ramę patrzyła na nią dziewczyna w wieku może siedemnastu lat. Jej spojrzenie było spokojne, nostalgiczne, ogromna brosza w formie kwiatka wyglądała dość osobliwie na prościutkiej białej bluzce.

Takie ozdoby przypina się tylko do wytwornych wieczorowych toalet. Tak, ta panna uwieczniona na obrazie rok przed rewolucją, była bardzo podobna do Warii.

Wydawało się, że kamień w środku broszy żyje swoim własnym życiem. Błyszczał, skrzył się, chłonał światło i stąd tło obrazu wyglądało szaro, choć niebo z tyłu było jasne, z letnimi, lekkimi obłoczkami. I panna też była smutna, troszkę spięta.

Zapewne wyczuwała, że artystę bardziej fascynuje brosza przypięta pod szyją jej bluzeczki niż ona sama, jej błękitne oczy i gibka szyja.

Obraz pojawił się w domu rok temu. Podobieństwo tak bardzo rzucało się w oczy, że Waria w pierwszej chwili nawet się przestraszyła. Po jakimś czasie strach zmienił się w zadowolenie. Myślała sobie, że być może portret został kupiony właśnie z powodu tego podobieństwa? Brat Dmitrija. Paweł, wygrzebał go w niewielkim muzeum krajoznawczym, gdzieś pod Moskwą.

Niestety, szybko się przekonała, że obraz kupiono z całkiem innego powodu. Paweł w ogóle nie spostrzegł podobieństwa, zresztą i Warii nie poświęcał uwagi. Witając się, mawiał:

* Witaj, piękna. Co słyhać?

I natychmiast zapominał ojej istnieniu.

Przykre było to, że i Dmitrij nie zauważył podobieństwa. Któregoś dnia, bracia siedzieli w gabinecie, a Waria w sąsiednim pokoju oglądała coś w telewizorze.

Przyciszyła dźwięk, żeby słyszeć ich rozmowę.

* No, co ty, wyobrażasz sobie, że nieznany Wrubel mógłby gnić w magazynie muzeum krajoznawczego miasta Łysowo! * śmiał się donośnie Paweł. * Popatrz, jaka tu jest data. Tysiąc dziewięćset siedemnasty rok. A kiedy umarł Wrubel? W tysiąc dziewięćset dziesiątym. Ale nie chodzi o to. Przyjrzyj się dokładnie, jaka to prymitywna robota!

* Ale brosza z „Pawłem” jest skopiowana idealnie, skrzy się każdy detal.

* To fotograficzna precyzja, którą posiada każdy absolwent Akademii Sztuk Pięknych

* No, dobrze, a kim jest ta panna?

* Na początku trzeba wyjaśnić, kto jest autorem obrazu. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że zabrnęliśmy w ślepą uliczkę. Gdyby portret był autorstwa choć ciut znanego malarza, to można by szybko stwierdzić, kim jest ta panna. Ale nie ma podpisu, tylko jakiś zawijas, a majątków i dacz wokół Łysowa była co najmniej setka, no i panien z błękitnymi oczami mogło być dokładnie tyle samo. Nie, nie, droga bez wyjścia.

Zgodnie z wszystkimi światowymi katalogami uważa się, że diament „Paweł” zaginął bez wieści. Broszy w kształcie orchidei nikt nie widział i nie miał w rękach.

* Jak to nikt? A jubiler Le Villon? Wszędzie w katalogach masz dokładny opis kamienia, są szkice, rysunki i fotografie już gotowej broszy. Popatrz.

* Ależ widziałem to już ze sto razy. I powiem ci jedno, mimo że przypadkowo natknąłem się w magazynie muzeum krajoznawczego na portret nieznajomej, to szansę znalezienia broszy wcale się przez to nie zwiększyły.

Tak jak wtedy, rok temu, przysłuchując się rozmowie, tak i teraz, przyglądając się portretowi, Waria poczuła lekki żal.

* No i widzisz, koleżanko? Wszystkich interesuje jubilerskie cacuszko i artysta, który ciebie namalował, a my, choć obie śliczne, psu na budę jesteśmy potrzebne.

Waria siadła na kanapie, dopiła chłodną herbatę, szybko jak wiewiórka zaczęła chrupać palone migdały i wreszcie skupiła się na historii wczesnego średniowiecza.

Irina Tichonowna Paurier tak była zajęta przebudową domu i tropieniem służby, bezczelnie okradającej swoich dobrodziei, i tak głęboko ugrzęzła w domowych problemach, że chyba zapomniała o zazdrości. Zmiany, jakie nastąpiły w życiu małżonka, nie bardzo ją zainteresowały, a o moskiewskich ekscesach rozsądny ojciec jej nie poinformował. Odejście męża ze służby akceptowała, ale jakoś bez entuzjazmu.:

* No i chwała Bogu, Miszeńka. Nie ma sensu wycierać spodni na stołkach departamentu, kiedy w gospodarstwie jest tyle do zrobienia, a ja sama już nie daję rady.

Od rana do wieczora była zajęta niesłychanie poważnymi sprawami. Liczyła bieliznę pościelową, srebrne łyżki, sprawdzała stan chińskiego serwisu do kawy. Godzinami omawiała szczegóły obiadowego menu, sprawdzała smak barszczu czy surowego farszu.

Hrabia był świadom, że jego życie się skończyło i każdego ranka miał tego niezbity dowód w postaci małżonki w szlafroku i papilotach, która hałaśliwie ziewała, stękała, szurała nogami po pokojach oficyny.

* No, no, ja bardzo dobrze pamiętam, że w młynku została jeszcze zmielona kawa, a już sypiesz nowe ziarna! * krzyczała do kucharki. * Ty to nazywasz śmietaną?

Przecież to jest ciecz w kolorze niebieskim, sama woda!

Jej wysoki, zadziwiająco donośny głos, odbijał się w świadomości hrabiego bolesnym echem.

Na śniadanie hrabina pochłaniała gotowane jajka, kielbasę wieprzową i słodkie bułeczki z masłem. W specyficzny dla siebie sposób siorba

ła herbatę ze spodeczka, odstawiając przy tym tłusty mały palec. Jej twarz przybierała purpurową barwę, a nad górną wargą, między czarnymi wąsikami, perliły się kropelki potu. Hrabia miedlił w ustach suchy kołacz, zapijał go słabą kawą i starał się nie podnosić oczu znad gazety, ale i tak, zamiast druku, widział przed sobą wielką, czerwoną, spoconą twarz Iriny.

Bywało, że wyjeżdżali we dwoje do Moskwy, ale wyłącznie w sprawach ważnych

zakupów związanych z majątkiem. O teatrach, kinematografie czy wystawach Irina nie chciała nawet słyszeć. Natychmiast zaczynało się utyskiwanie na temat upadku obyczajów, ogólnej bezbożności i rozpusty. Już sam dźwięk jej głosu sprawiał, że hrabia był w stanie zaakceptować każdy idiotyzm, który wygłaszała, mógł zrezygnować z wszystkiego na świecie, byleby tylko zamilkła.

Jedynym jego przyjacielem stał się właściciel sąsiedniego majątku, Konstantin Wasiljewicz Baturin, zubożały czterdziestopięcioletni ziemianin, lekarz, mrukliwy i małomówny, wielki miłośnik gry w szachy i nalewki wiśniowej.

Przez wiele lat pan doktor nigdzie nie wyjeżdżał. Poza starą matką, Jeleną Michajłówną Baturiną i wiernym pomocnikiem, felczerem Siemionem Kuźniecowem, z którym kurował chłopstwo w okolicznych wioskach, z nikim nie utrzymywał kontaktów.

Żona doktora zmarła na gorączkę połogową, pozostawiając mu córeczkę Sofię. Obecnie dziewczynka uczyła się w moskiewskim gimnazjum i mieszkała u dalekiej krewnej, a do domu przyjeżdżała tylko na wakacje. Wystarczyło, że się pojawiła, a ojciec natychmiast rozkwitał.

* Trzeba mieć jakieś zajęcie, Misza, wszystkie choroby biorą się z nic*nirobienia. Mówię ci to jako lekarz * pouczał hrabiego, kiedy siedzieli po obiedzie w starej altance, stojącej w dębczaku, i grali w szachy.

* Jakie zajęcie, Kostia? Mam leczyć chłopskie dzieci chorujące na zołzy? zołzy (skrofuloza) * przewlekła gruźlica węzłów chłonnych szyi, spotykana u dzieci żyjących w złych warunkach.

Nie potrafię.

* Nie leczyć, ale uczyć czytania i pisania, bo jeśli nadal będą ciemni i żyć jak bydłeta, to w krótkim czasie wydarzenia dziewięćset piątego roku, będą się nam wydawać operetką. Wiesz, w historii wszystko się powtarza. Najpierw jako tragedia, potem jako farsa, ale u nas, w Rosji, czasem bywa na odwrót.

* U nas każde pokolenie żyje z taką świadomością, że jest ostatnim, i jutro będzie koniec świata. To jest przyjemne, może i daje jakieś zadowolenie. .. Szach, Kostia.

* A to jeszcze się zobaczy... * Baturin bezmyślnie ruszył koniem, stracił królową i ze

złości rąbnął pięścią w kolano. * Misza, wiesz, przykro patrzeć, jak sam siebie gubisz. Twoja kupczycha umrze z obżarstwa, a ty się zapijesz. Wstyd i hańba.

* Obojgu nam droga w tę stronę * uśmiechnął się hrabia * im prędzej, tym lepiej.

* W tobie po prostu tęsknica siedzi, nasza przeklęta ziemiańska chandra, a jej korzenie tkwią w próżniactwie.

* Kostia, moje wykształcenie sprawia, że mam sporą wiedzę, ale nie potrafię tego wykorzystać. Nie umiem.

* Wiesz co? Weź szkicownik Sonieczki, skrzynkę z farbami i maluj pejzaże.

* Po co?

* Pokazywałeś mi swoje albumy, nieźle ci to wychodzi.

* To było w dzieciństwie, w młodości, kiedy wszystko wychodzi i wszystko się chce.

A teraz? Po co?

* A tak, po prostu. Dla siebie, żeby się nie rozpić i nie zwariować.

Teść hrabiego przyjeżdżał do Boliakino regularnie, dwa razy w tygodniu, i próbował dyskutować z zięciem o polityce, wojnie na Bałkanach, strajkach robotników i o socjaldemokratkach, których uważał za najbardziej niebezpiecznych ze wszystkich politycznych gęgaczy. Niestety hrabia tylko coś mrucał pod nosem lub wzruszał ramionami i na tym się kończyło.

Po obiedzie starszy pan spał przez dwie godziny, potem siadał z córką do gry w durnia. W czasie gry potrafili schrupać wielki półmisek słodkich precelków i wypić samowar herbaty.

Za każdym razem, siadając do swego błyszczącego auta, teść mrugał porozumiewawczo do hrabiego i mówił:

* Widzę, że moja Irina przytyła, brzuszek wypięty. Ciekawe, z jakiego powodu? Jak długo mam jeszcze czekać na wnuka?

* Nie wiem * twarz hrabiego była nieprzenikniona.

* A kto ma wiedzieć, jak nie ty? Uważaj, bo siwizna przebłyскуje w jej włosach.

Babski wiek nie trwa długo, a czas leci jak zwariowany.

Czas rzeczywiście biegł jak zwariowany. Był rok czternasty. Koniec czerwca.

Dwudziestego ósmego w Sarajewie, Serb, Gawriło Princip, zastrzelił arcyksięcia

Franciszka Ferdynanda, który przybył do Bośni, żeby obserwować manewry armii austro*węgierskiej.

Każdego ranka hrabia z trudem otwierał oczy, po śniadaniu kładł się na kozetce z gazetą lub czasopiśmie, ale nie zdawał sobie sprawy, że często przez godzinę wpatrywał się w jedną linijkę, bo głowę miał zajęta marzeniami. Wyobrażał sobie na przykład, że idzie nocą na stację, przez pole, z daleka słysząc donośny basowy gwizd parowozu. Jego bagaż składa się tylko ze zmiany bielizny, przyborów do golenia, tomiku Balmonta, paczki papierosów i szkatułki z broszą. Wsiada do wagonu drugiej klasy. Świta. Przed nim dworzec kolejowy, Moskwa, wolność. A dalej do wyboru * Warszawa, Paryż, katorga, kruchta, śmierć.

Zaczynał drzemać i tym razem widział, jak się skrada do kuchni i z dolnej szuflady wyjmuje paczuszkę z proszkiem, którym kucharka truje myszy. W trakcie obiadu wsypuje zawartość do talerza z kurą w makaronie. Irina podnosił do ust łyżkę za łyżką, a potem skórka od chleba wybiera resztki.

Budził go cichy skrzypiący głos starej pokojówki:

* Proszę pozwolić na obiad, Wasza Wysokość. Podano do stołu.

Przed jedzeniem hrabia wypijał kieliszek koniaku. Najpierw tylko jeden, potem dwa. Z czasem, będąc u sąsiada na partii szachów lub pogawędce, tak między obiadem a kolacją zaczął sobie sam nalewać.

Po kolacji oczywiście należało wypić i od razu trzy kieliszki. Po koniaku kręciło się w głowie i, zamknawszy oczy, znacznie łatwiej można było sobie wyobrazić, że obok niego nie leży Irina, ale wiarołomna ruda Margot lub szczebiotliwa Claire.

Mimo bogatej wyobraźni jaśnie oświeconych następców nie było widać. Irina nie zachodziła w ciążę. Jej otyłość stała się chorobliwą, pojawiła się zadyszka. Lekarze straszili zawilými łacińskimi nazwami różnorodnych chorób, przepisali surową dietę z zsiadłego mleka, żytniego chleba i gotowanych jarzyn. Ale ona zamiast diety wolała proszki i pigułki. Lekarze chętnie wystawiali recepty, chora leczyła się z zapalem, ale wcale nie czuła się lepiej. Ojciec jeszcze częściej zaczął ich odwiedzać, gdyż bardzo niepokoił się o swą jedynaczkę. Jej matka w czterdziestym roku życia zmarła na chorobę serca spowodowaną otyłością.

* Lekarze to oszuści * mówiła Irina przy kolacji, nakładając sobie na talerz trzecią porcję pieczeni wieprzowej.

* Irino, wystarczy * rzekł obojętnie hrabia * będzie ci niedobrze.

* Rzeczywiście, Iruszko * przyłączył się ojciec * za dużo jesz. Spójrz, już się spociłaś.

Wieczór był gorący. Jedli kolację w ogrodzie, za którym zaczynał się dębowy las. Szesnastoletnia gimnazjalistka Sonia Baturina, szczuplutka, błękitnooka dziewczyna z długim, czarnym warkoczem, przejeżdżała tamtędy na rowerze. Koła podskakiwały miękko na wystających korzeniach, między grubymi burymi pniami błyskała jasnoniebieska sukienka.

Z lasku doleciał dźwięczny trel dzwonka przy rowerze. Ostry promień zachodzącego słońca przemknął po twarzy hrabiego, który uchylił się i zmrużył oczy. Zrobił to tak gwałtownie, że łokciem przewrócił pucharek z gęstym, czerwonym jak krew, malinowym kisielem. Gęsta plama rozpełzła się po białej serwecie.

Rozdział 25

Kapitan milicji, Wasilij Sokołow miał przedziwne, hipnotyzujące spojrzenie. Niby małe oczy, nieokreślonego, zielonkawego koloru, wcale nie wyraziste, ale wystarczyło, że długo i badawczo spojrzał na kogoś, a ta osoba milkła, zaczynała się kręcić, czasem się czerwieniła, czyli zachowywała tak, jakby ją przyłapano na działaniu, jeśli nie niezgodnym z prawem, to na pewno nieprzyzwoitym.

W dzieciństwie Sokołow albo obrywał od starszych kolegów, albo musiał spełniać ich różne drobne polecenia. Nie cierpiał swoich rówieśników, nie przyjaźnił się z żadnym chłopcem ze swojej klasy. Wolał kręcić się koło dorosłych żuli, nawet jeśli był traktowany jak mała, zwinna szestjorka.

szestjorka (ros. szóstka) * potocznie o osobie, która jest całkowicie komuś podporządkowana i wypełnia wszystkie jego polecenia.

Wychował się w niewielkiej dzielnicy „Maljuszinka”, od dawna uważanej za niebezpieczną i bandycką. Rósł bez ojca, z mamą i babcią. Mama pracowała jako

stewardesa. Po powrocie z podróży najpierw odsypiała, a potem głównie zajmowała się sobą, swoim burzliwym życiem osobistym. Z kolei babcia pozwalała wnukowi na wszystko i główną jej troską było, „żeby chłopiec dobrze się odżywiał”.

Kiedy skończył trzynaście lat po raz pierwszy spróbował prawdziwy czifir i wziął udział w czymś, co nazywa się „wint”.

czifir (ros.) * (czaj, czajura) w polskiej gwarze więziennej nazwa bardzo mocnego naparu herbaty (np. pół szklanki liści czarnej herbaty zalanej niewielką ilością wrzącej wody).

"Puścić na wint" znaczyło odbyć, po kolei, stosunek płciowy z nową prostytutką, zanim pójdzie zapracować na całe uczciwe towarzystwo. Uczciwym towarzystwem była grupa młodziaków w wieku poborowym, pod dowództwem dorosłego recydywisty Pnyry, i mająca pod kontrolą całą „Maljuszinkę”, z prostytutkami włącznie.

Tę dziewczynę nazywano Gałka Glukoza. Uczyła się w szkole pedagogicznej, ale nie pociągał jej ani zawód wychowawczynie, ani nauczycielki niższych klas. Wołała spędzać czas na ulicy. Spacerowała po „Maljuszince” w spódniczce do pępka i z dekoltem do kolan, a za uróżowanym puciołowatym policzkiem zawsze miała tabletkę glukozy.

Waśkę Sokołowa zawołali na „wint”, bo tak sobie zażyczył Pnyra. Lubił się przyglądać, jak tracą niewinność nie tylko dziewczyny, ale i chłopcy. Ze złotymi zębami, prawie całkiem łysy recydywista był w ogóle naturą twórczą. Pokój, z obdartymi tapetami i dwoma brudnymi materacami w opustoszałym domu komunalnym, przyozdobił zdjęciami gołych kobitek w zachęcających pozach, zdjęciami wydartymi ze starych zagranicznych kalendarzy. Podobnego typu obrazki były na rewersach jego kart do gry. Nawet miał oryginalny długopis: w przezroczystej rurce wypełnionej gliceryną pływała niewiasta. Jak się długopis obróciło, to spadał z niej kostium kąpielowy.

Tego dnia matka Waśki akurat była w domu, ale zupełnie nie zainteresowała się, dokąd jej syn się wybiera o dziesiątej wieczorem. Oczekiwała wizyty swojego przyjaciela, majora milicji, nazwiskiem Topotko, i usłyszawszy z przedpokoju:

„mamo, pójdę się przejść”, zawołała: „Dobrze, idź, jest ładna pogoda!”, choć w rzeczywistości za oknem wiało i lał zimny deszcz.

W opustoszałym starym domu było ciepło i przytulnie. Czifir okazał się tak gorzki, że chłopcu zdrętwiały wargi. Mieli jeszcze jakąś trawkę. trawka * marihuana.

Mieszali ją z tytoniem, wytrzepanym z bielomorów, potem mieszanką z powrotem nabijali gilzę i palili to, głęboko się zaciągając.

bielomory (właściwa nazwa Bielomorkanał) * najtańsze i najbardziej smoliste papierosy w czasach ZSRR. Nazwa pochodzi od Kanału Białomorsko*Bałtyckiego, łączącego Bałtyk z Morzem Białym, zbudowanego (1931*1933) przez więźniów politycznych. Budowa pochłonęła około 200 tys. istnień ludzkich.

Po pierwszym sztachnięciu chłopcu strasznie zakręciło się w głowie. Postanowił więcej nie palić, żeby być przytomnym i nie zepsuć sobie wrażeń.

Przed „wintem” napojono Gałkę Glukozę wódką, czifirem, dali wypalić całego skręta trawki. Pnyra mrugnął do chłopaków i napomknął, że do wódki jeszcze coś dodał.

Cyganki, kręcące się koło rynku, handlowały małymi buteleczkami, zawierającymi „Środek podniecający dla kobiet”.

Pnyra włączył muzykę. Z nowego odtwarzacza kaset „Elektronika” popłynął chrapliwy głos Dalidy. Gałka chichotała jak pomyłona, zaczęła się rozbierać na środku pokoju, rozrzucała części garderoby na wszystkie strony, wyginała się przy tym jak te kobitki na zdjęciach z kalendarzy. Wasia patrzył i myślał sobie, że tak wygląda, prawdziwe życie, dorosła ostra balanga. Dla czegoś takiego frajerstwo pracuje, a ferajna idzie na robotę. A cel jest jeden: ten pokój w kolorowych obrazkach, ta goła Gałka z ogromnymi białymi cycami i krągłym, miękkim jak poducha, zadem.

„Wint” nie wywarł na nim bulwersującego wrażenia, a nawet rozczarował.

Przypomniała mu się lekcja gimnastyki, na której pocąc się z wysiłku, wszyscy po kolei robią pompki, a nauczyciel liczy, spoglądając na stoper. Kiedy przyszła jego kolej, szybko i dokładnie uwinął się z postawionym przed nim zadaniem, ale sama czynność nie sprawiła mu żadnej przyjemności. Spodobało mu się coś innego.

Świadomość absolutnej władzy nad żywą istotą. Wczoraj Glukoza pobłażliwie

klepała go po policzku, a teraz leży rozwalona na materacu i można z nią robić, co się chce. Teraz jest niczym.

Kiedy ruszyła druga runda i znów była jego kolejka, by rozpiąć spodnie, spostrzegł, że ciało Gałki zrobiło się jakieś takie bardziej wiotkie i pokorne.

Minał pierwszy zapal, młodziaki zapomnieli o dziewczynie, grali w karty. Z magnetofonu na pełny regulator ryczała ABBA. Wasia spojrzał na twarz Glukozy. Miała oczy szeroko otwarte, które patrzyły prosto na niego. Przesunął palcem po jej ustach i zorientował się, że nie oddycha.

Szybko się podniósł, ubrał, zapiął spodnie. Impreza rozkręciła się na całego. Oprócz niego jeszcze nikt nie wiedział, co się stało. Skupił się, musiał podjąć jakąś decyzję. Był chłopcem spostrzegawczym i nieźle znał kodeks przestępczy. Migiem zorientował się, że Pnyra załatwienie dziewczyny zwali na niego, małolata, bo mu nic nie robią. I zaraz mignęły w wyobraźni chłopca dwa warianty dalszego rozwoju sytuacji.

Wariant pierwszy. Wasia mówi Pnyrze, że Glukoza strzeliła kopytami. Panika, inni dają nogę, a Pnyra organizuje wszystko tak, że winnym śmierci studentki szkoły pedagogicznej jest mały, bezbronny Wasia Sokołów. Nieważne, w jaki sposób uda się Pnyrze to załatwić. Znany jest ze smykałki i na Maljuszince mówi się, że małych kaptuje nie tylko po to, żeby wypełniali drobne polecenia, ale głównie, żeby mieć pod ręką winnego, którego w razie czego, rzuci się mentom na pożarcie.

* menty (ros.) * milicjanci (żargon).

Pnyra potrafił namówić, zastraszyć, zrobić z mózgu wodę, naobiecować złote góry.

Wariant drugi. Wasia nikomu nic nie mówi, wychodzi ukradkiem, pędzi do domu, gdzie jeszcze w tej chwili powinien być major milicji, opowiada, że właśnie przebiegał teraz koło opuszczonego domu i słyszał stamtąd okropne krzyki kobiety i męskie głosy. Wydaje mu się, że przez oświetloną szybę wyraźnie widział tego straszego chłopca ze złotymi zębami, no, tego łysego, którego chyba nazywają Pnyra. Towarzysz Topotko w imieniu milicji podziękuje chłopcu, natychmiast wezwie patrol i wreszcie złapią Pnyrę na gorącym uczynku i to nie takim zwykłym, ale bardzo śmierzącym, bo tam oprócz trupa jest jeszcze zbiorowy gwałt.

Drugi wariant bardziej spodobał się chłopcu niż pierwszy. Pierwszy groził mu karnym obozem dla dzieci, drugi * niczym, tym bardziej że jeśli wsadzą Pnyrę, to nie ma się kogo bać.

* A ty dokąd? * zainteresował się Pnyra, widząc, jak Wasia przemyka ku drzwiom.

* Odlać się * padła szybka odpowiedź.

Po dziesięciu minutach już był w domu, a po kolejnych dwudziestu zdjęto Pnyrę i jego bandę, napitą i najaraną.

Znacznie później wyjaśniło się, że cygański „podniecacz”, który dolano do wódki nieszczęsnej Glukozie, to było lekarstwo, które weterynarze dają upartym kobyłom przed kryciem, a dla człowieka ten preparat, w dodatku połączony z alkoholem, jest śmiertelnie niebezpieczny. Buteleczkę znaleziono w kieszeni kurtki Pnyry. Groziła mu jeśli nie czapa, to piętnastak kolonii karnej o zastrzonym rygorze.

Major Topotko poradził mamie, aby przeprowadzili się do odległej dzielnicy. Po co kusić diabła? Był szczerze wdzięczny chłopcu, gdyż za

ujęcie szczególnie niebezpiecznego przestępcy awansował na podpułkownika.

Rodzina Wasi przeprowadziła się z Maljuszinki do nowego domu koło stacji metro Wojkowskaja. Tu Wasia już się nie kolegował z bandytami. Był teraz dobrym chłopcem. Po wojsku zapisał się do szkoły milicyjnej. Dostawał różne odznaczenia i dyplomy. Potrafił żyć w zgodzie z szefostwem. Był rzetelny, obowiązkowy, zdyscyplinowany. Jego uważny, przenikliwy wzrok, który tak drażnił kolegów, zwierzchnikom wydawał się oznaką rozwagi, solidności i bezwzględności oddania. Stosunkowo szybko awansował na starszego lejtnanta i dostał stanowisko zastępcy naczelnika wydziału kryminalnego. Pewnego razu przesłuchiwał jako świadka młodą, ładną dziewczynę. Kiedy zostali sami w jego gabinecie, dziewczyna nagłym szybkim ruchem podarła na sobie bluzkę, rzuciła się na podłogę i zaczęła krzyknąć:

* Na pomoc!

* Czyś ty dziewczyno zgłupiała? * Wasia starał się podnieść ją z podłogi.

* Masz pozdrowienia od Pnyry * szepnęła mu do ucha z beczelnym uśmiechem i, nabrawszy powietrza do płuc, zaczęła się znowu drzeć: * Ratunku! Gwałcą mnie! * przy czym zręcznie wczepiła się obiema rękami w mundur Wasi, i to tak mocno, że

nie miał żadnej możliwości się wyrwać.

* Puść, głupia babo! Ciekawe, kto ci uwierzy? * Próbował oderwać jej rękę, ale stracił równowagę i upadł prosto na nią.

* Pnyra kazał ci powiedzieć, że cię wszędzie, skurwysynu, dopadnie. Wypuścisz Syzara, będziesz żyć. Kapujesz?

W drzwiach stanął dyżurny.

* Gwałcą mnie! Ratunku! * darła się.

* Sokołów, czyś ty zwariował? * dyżurny pomógł mu się podnieść, a dziewczyna nadal wrzeszczała, pokazując wszystkim podartą bluzkę.

Dziewczyna, Kuskowa Natalja Siergiejewna, była przesłuchiwana w sprawie kradzieży w mieszkaniu. Recydywista, niejaki Syzar, został zatrzymany jako główny podejrzany. Kapitan Sokołów wiedział, że w tej sprawie wiele zależy od tego, w jaki sposób zredagowane papiery zostaną przekazane do prokuratury, mało tego, nikt go nie złapie za rękę, jeśli wszystko zaaranżuje tak, że podejrzany Syzar stanie się świadkiem w sprawie.

Wieczorem w jego domu zadzwonił telefon.

* No i co, namyśliłeś się? * spytał miły kobiecy głos.

* Kto mówi? Z kim rozmawiam?

* Ale głupek. * W słuchawce rozległ się chichot. * Pnyra mówił, żeś mądry, a tu okazuje się * kompletny dureń! No więc jak? Namyśliłeś się czy nie?

* A idź ty... * warknął ze złością i przerwał rozmowę.

Rankiem wezwał go szef wydziału i zakomunikował, że od niejakiej Kuskowej N.S. wpłynęła skarga. Kuskowa oskarża go, starszego lejtnanta Sokołowa, o to, że grożąc aresztem, nakłaniał ją do intymnego zbliżenia, a słysząc odmowę, próbował ją zgwałcić w swoim biurze. Do skargi dołączone jest świadectwo obdukcji z przychodni, potwierdzające, że na ciele Kuskowej N.S. znajdują się siniaki, zadrapania i inne charakterystyczne ślady.

Wasia zwrócił się do dyżurnego, który zaglądał wtedy do jego gabinetu:

* Przecież ty wszystko widziałeś...

* Widziałem, że na niej leżałeś * dyżurny odwrócił wzrok. Kapitan zamknął się w

swoim biurze i zajął pisaniną, sporządzeniem dokumentów w sprawie kradzieży w mieszkaniu. W niedługim czasie recydywista Syzar został zwolniony z aresztu, a szef wydziału kolejny raz wezwał Sokołowa, by mu zakomunikować, że Kuskowa N.S. wycofała swoją skargę.

* Następnym razem w żadnym wypadku nie zbliżaj się do kobiety, tylko zaraz dzwoń i proś o wsparcie * poradził mu.

Od tej pory dwa, trzy razy do roku Sokołów dostawał pozdrowienia od Pnyry i spełniał wszystko, o co go proszono. Powoli strach złagodniał, a sumienie przestało go męczyć.

Mając dwadzieścia pięć lat Sokołów dostał pagony kapitana.

Współpracownicy go nie lubili, ale szanowali. To znaczy on sądził, że go szanują, w rzeczywistości schodzili mu z drogi i nie chcieli nawiązywać bliższych kontaktów.

Po pierwsze, Sokołów był patologicznie pozbawiony poczucia humoru i w kompanii było z nim nudno. Po drugie, miał niesympatyczne przenikliwe spojrzenie, a po trzecie * utrzymywał zbyt serdeczne i lojalne stosunki z szefostwem. Jemu to nie przeszkadzało i dążył do zaprzyjaźnienia się z kolegami. Tak jak w dzieciństwie, ciągnęło go ku starszym wiekiem i stanowiskiem. Liczba gwiazd na pagonach była główną i decydującą oceną człowieka.

Wszystko w jego życiu układało się prawidłowo. Łapówki brał rozsądne i czasami nieźle mu płacono za wykonanie polecenia Pnyry. Dowiedział się, że Pnyra został w kolonii „koronowany”, posiedzi jeszcze długo, ale nie narzeka i nadal aktywnie działa na swojej niwie.

Sam Wasilij Sokołów też pracował aktywnie. Za sumienne wywiązywanie się z zadań dostawał premie pieniężne. Umiał oszczędzać, nie tracił pieniędzy na głupstwa.

Wydawał tylko na poważne zakupy, na przykład na samochód. Kolejnym punktem jego programu życiowego było mieszkanie, niewielkie, ale własne, bo już miał dosyć dzielenia kąta z mamą i babką.

Kobietom się podobał. Zwracały na niego uwagę naprawdę bardzo ładne i pewne siebie. Brało się to stąd, że jego nieruchome świdrujące spojrzenie traktowały jako dowód tajemniczości i uczuciowości. Badawczy wzrok silnego, zgrabnego,

przystojnego mężczyzny działał na nie hipnotyzująco.

Sokołów nie umiał zabawiać kobiet opowieściami o trudnym, codziennym życiu milicjanta, natomiast potrafił dwuznacznie milczeć; komunikował się ze słuchaczem za pomocą mglistych aluzji, co w połączeniu z jego spojrzeniem tworzyło iluzję jakiejś tajemniczej przeszłości, bogatej w sukcesy i ryzyko. Jednak tej iluzji nie na długo starczało. Kapitan nie przynosił kwiatów, nie zapraszał do restauracji, w ogóle nie zabiegał o damę. Kiedy dochodziło do intymnego zbliżenia, stawał się brutalny jak jakiś maniackalny gwałciciel.

Każdą kobietę starał się doprowadzić do stanu zwierzęcej pokorności; miały się zachowywać zupełnie jak rzucona na materac Gałka Glukoza. Tylko wówczas odczuwał prawdziwą przyjemność. Równocześnie gardził płatną miłością, która daje możliwość zaspokojenia najbardziej wyszukanych potrzeb.

Właściwie to chciał mieć jedną stałą partnerkę, oczywiście śliczną, niegłupią, wierną, skromną, żeby nie wyciągała od niego pieniędzy, nie łamała prawa, nie żądała, aby się z nią ożenił i nie rodziła dzieci, bo on dzieci totalnie nie znosi.

I oto pewnego dnia niebywale mu się poszczęściło. Wyciągnął z lodowatej rzeki Moskwy Warię Bogdanową. To była młoda, niezwykle urodziwa, nieszczęśliwa i bezbronna dziewczyna.

Dla niej badawczy wzrok kapitana stał się symbolem ratunku. Koszmar, jaki przeżyła, całkowicie pozbawił ją rozsądku. Bała się nie tylko wody i zimna, ale ludzi, choć sama nie uważała siebie za brudną, zdeptaną, nikczemną. Mimo to, po wyjściu ze szpitala, nie mogła chodzić po ulicach. Cały czas miała wrażenie, że przechodnie dziwnie się jej przyglądają, rozpoznają tę debilkę, która sama zdjęła z siebie ubranie w mieszkaniu maniaka seksualnego, a potem próbowała się utopić.

* Tak, rzeczywiście * powiedział Sokołów, kiedy podzieliła się z nim swoim strachem * ty masz wszystko wypisane na twarzy. To jest tak jak z prostytutkami. Ty też masz coś takiego w oczach.

Pod przykrywką szczerzej prawdy, mówił jej wiele podłych rzeczy, które tylko potęgowały strach dziewczyny, sprawiały, że czuła się jeszcze bardziej bezbronna. Udało mu się doprowadzić ją do całkowitej uległości, była mu podporządkowana. W

tym samym czasie jej matka, chora nerwowo, znalazła się w szpitalu. Dziewczyna nie mogła zostać sama w ich mieszkaniu. Nie miała pieniędzy, nigdzie nie pracowała i nie uczyła się. W tej sytuacji Sokołów zabrał ją do siebie. Wreszcie nabył dwupokojowe mieszkanie.

Dwa puste, nieumeblowane pokoje na peryferiach miasta, z gołymi oknami, wychodzącymi na rozległe pole, stały się dla Warii jedynym bezpiecznym miejscem na świecie. Powoli zmieniała się w zastraszone zwierzątko. W mieszkaniu nie było ani radia, ani telewizora. Sokołów jadał obiady w pracy, w powrotnej drodze zazwyczaj sam kupował jedzenie i dlatego dziewczyna mogła całymi tygodniami nie wychodzić z domu. Czasem jechała do szpitala odwiedzić mamę, a wtedy droga była dla niej torturą. Miała uczucie, że w autobusie wszyscy tylko na nią patrzą.

Skończyło się lato, pusta przestrzeń za domem poczerniała od jesiennych deszczy i brudu, a później pobielała śniegiem. Waria owijała się wacianą kołdrą i godzinami patrzyła przez okno na śnieg. Pewnego dnia Sokołów przyniósł do domu maleńkiego szczeniaczka, owczarka niemieckiego, i dziewczyna bardzo się ucieszyła.

Szczeniaczek śmiesznie kuśtykał po pustych pokojach, przysiadł, zostawiał niewielkie kałuże, wlaził na materac, szczekał piskliwym głosikiem, jak dziecko domagał się, żeby go wziąć na ręce i łakomie pił mleko z miseczki.

* Wiesz co, nazwijmy ją Warwarka * zaproponował Sokołów i złośliwie, brutalnie, bez cienia uśmiechu wymówił: * Suka Warwarka. Fajnie brzmi, nie?

Rozdział 26

W swoich nocnych programach typu talk*show Jelizawieta Bielajewa spotykała się z różnymi osobami. Wśród nich bywali skrajnie cyniczni karierowicze, bezbarwni urzędnicy, notoryczni złodzieje, genialni łowcy przygód, partyjne papugi.

Pewnego razu jej gościem był lider plugawej parlamentarnej frakcji, postać szokująca, nieobliczalna. Do tej pory Liza nigdy się z nim nie spotkała, znała go tylko z ekranu telewizora i z gazet, dlatego była szalenie zdziwiona, ujrawszy zmęczonego, spokojnego starszego pana o smutnych, pustych oczach i całkiem

sympatycznej twarzy. Konkretnie, rzeczowo omówił z nią, jak będzie przebiegać rozmowa w programie, który za chwilę się zacznie. Polityk był dobrze wychowany, małowówny, a co najważniejsze, zupełnie normalny, rzekłbyś * nieco nudnawy.

„Kiedy awanturnictwo staje się w nabytą profesję, to przestaje sprawiać przyjemność i zaczyna nużyć”, skostatowała Liza.

W momencie włączenia kamery twarz partyjnego lidera uległa zdumiewającej przemianie: mięśnie twarzy stężały, łuki brwiowe napęczniały i jakby opadły, na czole wystąpił pot, gałki oczne się niemal wywróciły, ukazując białka. Mężczyzna patrzył w kamerę spode łba zupełnie obłąkanym wzrokiem. Groźnie ruszał gęstymi zmierzwionymi rudymi brwiami, nadymał policzki i mówił szybko, ochryplym głosem tak, jakby bredził. Sens jego wypowiedzi był jeden * pełny absurd.

Po programie Liza i jej gość pili kawę w jej niezbyt obszernym gabinecie. Ochrona pozostała za drzwiami. Lider zdjął marynarkę, z ulgą rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa. Przykro było na niego pa

trzeć. Oczy straciły blask i wpadły w głąb oczodołów, policzki obwisły, widać było, że jest stary, chory i śmiertelnie zmęczony. Chusteczką do nosa wytarł spoconą twarz i wtedy Liza zdecydowała się zadać mu proste pytanie: po co to wszystko?

* W imię naszej wspólnej sprawy. W imię rozkwitu naszej umęczonej Rosji * odpowiedział z tak pogardliwym uśmiechem, że zrobiło jej się głupio.

* Rozumiem * skinęła głową i wstała, nie dopiwszy swojej kawy * dziękuję za interesująca rozmowę. Wszystkiego dobrego.

Mężczyzna również się podniósł, obszedł stół i z galanterią pocałował ją w rękę.

* Nie żegnam się, Jelizawieto Pawłowna. Mam zamiar jeszcze nie raz pojawić się w pani programie. Przed nami walka przedwyborcza, trzeba się często pokazywać.

Mam już kilka przygotowanych skandali, zrobiłem sobie sesję zdjęciową w burdelu, z gołymi dziwkami, pojechałem do więzienia odwiedzić „bratwę”. Lubią mnie i dziwki i kryminali. Dużo ich jest w Rosji, bardzo dużo, znacznie więcej, niż się pani wydaje. I wszyscy są moi. Aha, jeśli ktoś panią skrzywdzi, to proszę się nie krepować i zadzwonić. Pomożemy. Pani mi się podoba, Jelizawieto Pawłowna.

* Dziękuję * powtórzyła * jakoś sama sobie dam radę.

* Ja mówię poważnie. Moi ludzie zawsze są gotowi stanąć w obronie porządnego człowieka, a tym bardziej kobiety, i to całkiem bezinteresownie, w odróżnieniu od porządných ludzi, którzy nie przeszli przez żonę. Kryminaliści i dziwki to najwierniejsi ludzie. I wszyscy są moi. To już jest dziesięć procent na wyborach. A dla tych, którzy jeszcze wątpią w moje doniosłe posłannictwo, napisałem wiersze o patriotycznej treści. Chce pani, to przeczytam?

* Bardzo to miłe, ale wolę posłuchać z ekranu. Niech to będzie dla mnie przyjemna niespodzianka, tak jak i dla milionów Rosjan.

* Racja, zwłaszcza że wiersze są do niczego. Ale to wielki sekret. A wie pani, kto wygra wybory?

* Pan oczywiście * uśmiechnęła się Liza.

* Ma się rozumieć. Im bardziej kłamstwo jest absurdalne, tym ludzie chętniej w nie wierzą. Kto to powiedział? Goebbels!

Liza nie od razu zrozumiała, dlaczego siedząc teraz w sali konferencyjnej, patrząc na plastikową teczkę, w której między papierami leżały zdjęcia pornograficzne, przypomniawszy sobie tamtą rozmowę z partyjnym liderem, znakomitym aktorem, państwowym błaznem z jego łotrowskimi minami. Być może dlatego, że ten człowiek był naprawdę związany ze światem przestępczym i przysłała jej do głowy szalona myśl, aby teraz skorzystać z jego propozycji i poprosić o pomoc. Obecnie jednak nie mogła się skupić, zorientować, jaka jest jej sytuacja i co należy zrobić. Po głowie przewalały się głupie myśli.

„Czy to naprawdę ja jestem na tych fotografiach? Przecież powinnam cokolwiek zapamiętać, coś czuć. Gdyby to był stan głębokiego zamroczenia, to na zdjęciach musi być widać, że partnerka zachowuje się jak kukła”.

Wyobraziła sobie, z jaką rozkoszą zacznie ją szarpać brukowa i nie tylko brukowa prasa, jakie spojrzenia będą rzucać koledzy, jak ruszy nawałnica plotek i jeśli nawet uda się potem udowodnić fotomontaż albo że była otumaniona, to i tak wstyd zostanie do końca życia.

Kiedy podobne historie zdarzają się mężczyznom, to wywołują jeśli nie współczucie, to w każdym razie zrozumienie. Natomiast kobiecie czegoś takiego się po prostu nie

wybacza. A jeśli pod czujnym okiem paparazzich wypłynie na wierzch jej prawdziwy romans?

Na samą myśl Liza oblała się pąsem. Oh, ale numer! Okazuje się, że nasza skromnisia, która w każdym wywiadzie opowiada o swojej stabilnej, wzorowej rodzinie, o miłości do męża i dzieci, puszcza się na boku i to nie z jednym, ale z dwoma facetami!

„Im bardziej kłamstwo jest absurdalne, tym ludzie chętniej w nie wierzą”.

Krasawczenko wszystko doskonale zaplanował. Zostawił Lizę ze zdjęciami w wielkiej sali, w tłumie. To cztery godziny paniki i niewiadomej. W koło ludzie i żadnej szansy, aby wyjąć te plugawe zdjęcia i oglądać je. Nie trzeba być doktorem psychologii, żeby zrozumieć, jak strasznie działa na człowieka coś, co jest niewiadome, widmo zagrożenia.

Wstać i wyjść, usprawiedliwiając się bólem głowy? Przestrzeń między rzędami jest wąska jak w kinie. Po czterech godzinach Liza „dojrzeje” w takim stopniu, że sama galopem pomknie do baru na dwunastym piętrze. Byle jak najprędzej się dowiedzieć, czego Krasawczenko od niej chce.

Właściwie istnieją tylko dwie możliwości: pieniądze albo wejście na wizję. Jeśli pieniądze, to oczywiście zawrotna suma, bo dla kilku tysięcy nie opłacałoby się szantażyć lecieć do Montrealu, mieszkać w tym samym hotelu co ona, odgrywać skomplikowany wieloaktowy spektakl, z śledzeniem jej, miłosnymi zalotami, sesją fotograficzną doprawioną zatrutym winem. Przygotowując się do tak skomplikowanej operacji, Krasawczenko musiał sprawdzić jej status materialny. Są ludzie, o wiele bogatsi od Lizy, którzy na równi z nią cenią swoją reputację.

A więc chce mieć dostęp do programów na żywo. Po co? Może jest tylko wykonawcą, a za nim stoją ważniejsze osoby?

Nagle przypomniała sobie niedawną rozmowę z generałem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Chodziło o porwanie zakładników. Czeczeńcy więzili u siebie trzech oficerów i żądali za nich ogromnego okupu. Przysłali do ministerstwa taśmę wideo, na której sfilmowano zakładników. Przetrzytywali ich w okropnych warunkach,

jednemu, w trakcie filmowania, obcięli palec. Chodziło o to, by przyspieszyć przekazanie okupu.

* Chcę uprzedzić tych wszystkich, którzy pastwią się nad naszymi oficerami, że znamy ich nazwiska, a także imiona i nazwiska ich krewnych w Moskwie. Jeśli sprawa dotyczy naszych kolegów, naszych oficerów milicji, to nic nie jest w stanie nas powstrzymać * generał wygłosił te słowa w bezpośrednim przekazie telewizyjnym.

Później, w barze, przy filiżance kawy, złośliwy kolega zauważył:

* Ale pięknie cię wykorzystali w pertraktacjach z bandytami. A teraz wyobraź sobie, że oni postanowią odpowiedzieć mu również w twoim programie?

Program z generałem był jednym z ostatnich przed odlotem do Kanady. Jakiś tydzień temu. Wtedy, w barze telewizji, Liza potraktowała słowa kolegi jako niezbyt udany dowcip, a teraz przyszła refleksja: czy to nie była przypadkiem aluzja

„Właśnie w taki sposób ludzie dostają bzika * pomyślała o sobie. * Jeśli teraz przypominam sobie dowolną wcześniejszą rozmowę, dowolny program, przypadkową replikę, to wszędzie można się doszukać ukrytej aluzji i odkryć związek czegoś z czymś. Najprawdopodobniej o to chodzi Krasawczence, czeka, żebym dojrzała i zaakceptowała każdy jego warunek”.

* Lizo, czy pani mnie słucha? * Kerry patrzyła ze strachem na nią i potrząsała za ramię. * Niech pani zdejmie słuchawki. Tłumaczenie już nie jest potrzebne.

* Tak, rzeczywiście * Liza aż podskoczyła i rozejrzała nieprzytomnie, jak ktoś, kogo przed chwilą obudzono. Metalowy pałak słuchawek zaplątał się we włosach. Szarpnęła tak mocno, że wyrwała pęk włosów. Z trudem powstrzymała łzy.

* Cały czas boli panią głowa? * w słowach Kerry słyhać było współczucie. * A może ten Krasawczenkoff tak panią zdenerwował? Bardzo się pani zmieniła na buzi.

* Oj, tak, ciągle mnie boli głowa. Chyba pójdę * szepnęła Liza. Poczekwała, aż kolejny mówca zakończy swoje wystąpienie, i w trakcie mdłych oklasków dotarła do wyjścia. Trzymała w ręce plastikową teczkę i panicznie się bała, że fotografie wyślizgną się i upadną komuś na kolana.

Nie musiała jechać na dwunaste piętro. Krasawczenko siedział w holu i czytał rosyjską gazetę.

* Czułem, że więcej niż godzinę pani nie wytrzyma i postanowiłem tu poczekać. Okazuje się, że mają tutaj rosyjską prasę. Choćby ta, świeży numer, z przedwczoraj. Proszę spojrzeć, jakie ciekawe informacje. Pani kolega został zabity, dziennikarz Butejko. Zastrzelony w nocy, w bramie swojego domu. Chyba na początku razem pracowaliście w telewizji, nawet brała pani udział w jego talk*show? A czemu pani tak zbladła? Żal pani kolegi?

Liza, milcząc, wzięła z jego rąk gazetę i z trudem przeczytała krótką informację na ostatniej stronie, gdzie drukowano wiadomości kryminalne. Przed oczami miała czerwonawą mgłę.

W całym „Ostankino”, ba, chyba na całym świecie nie można byłoby znaleźć drugiej osoby, z którą wiązałaby ją tak wieloletnia, obopólna nienawiść „Ja tego nie chciałam...”, przemknęło jej przez głowę.

* No to co, idziemy? * spytał Krasawczenko.

* Dokąd? * Liza, ledwie poruszając wargami, rzuciła gazetę na stół.

* Do mojego pokoju, oglądnąć film. Tam już na pewno podłączyli magnetowid do telewizora. Tutaj można je wypożyczać. Ogromna wygoda.

* O czym pan mówi? Jaki film?

* Myślę, że już pani wie, jaki. Erotyczny melodramat z życia naszej ulubionej gwiazdy telewizyjnej, Jelizawiey Pawłowny Bieliajewej.

* Niech pan posłucha, Krasawczenko, czy jak się pan w rzeczywistości nazywa *

Liza ciężko usiadła w fotelu i zapaliła papierosa. * Nie zamierzam nigdzie iść z panem. Mam pana po dziurki w nosie. * Odłożyła pa

łącego się papierosa na popielniczkę i wytrząsnęła zdjęcia z teczki. Było ich trzy. Nie patrząc, zaczęła je rwać na drobniutkie kawałeczki. Po kilku minutach leżały przed nią malutkie, różnokolorowe, błyszczące papierki. Zsunęła je na dłoń, wstała i wyrzuciła do kosza na śmieci. Krasawczenko obserwował ją bez słowa. Liza wróciła do stolika, zgasła papierosa, wzięła teczkę i skierowała się do windy.

Rozdział 27

Hrabia starał się nie dostrzegać, jak w sytym, sennym próżniactwie bezpowrotnie mija ostatnia cenna resztką jego młodości. Irina ledwie się mieściła w drzwiach i teraz całkowicie była skupiona na swoich licznych i skomplikowanych chorobach wywołanych tuszą. Zaczęła czytać książki, czego dawniej nie miała w zwyczaju. W domu pokazały się przeróżne senniki, poradniki ziołolecznictwa, leksykony receptur z dziedziny medycyny ludowej. Po jakimś czasie hrabia zauważył na toalecie małżonki samouczek praktycznej magii.

* Ktoś rzucił na mnie urok * oznajmiła któregoś dnia przy śniadaniu * i ja wiem kto.

* Daj spokój, Irinko * próbował uspokoić ją ojciec, który akurat u nich gościł. *

Przestań bredzić jak prosta baba! Jedz mniej. Spróbuj się opanować.

* Ja i tak nie mam sił. Mnie jest potrzebne zupełnie coś innego.

* Czyli? * zainteresował się hrabia.

* Tobie, Misza, nie powiem * czarne oczka popatrzyły na niego tak, że zrobiło mu się nieswojo. Ostatnio prawie w ogóle z nim nie rozmawiała, zerkała spod oka w sposób niemiły i podejrzliwy.

Hrabina pasjonowała się teraz zaklęciami, czarami, wszelkiego rodzaju praktykami magicznymi i szamańskimi. O północy, podczas odpowiedniej fazy Księżyca, wychodziła do lasu, zrywała jakąś trawę, potem moczyła ją we krwi czarnego koguta, któremu przedtem własnoręcznie poderżnęła gardło. Razem ze starą pokojówką Kławdią zajmowała się spirytyzmem. Jej działalność sprowadzała się nie tyle do uzdrawiania, co do szukania winnego.

Była gotowa każdą osobę obwinie o swoje niepowodzenia. To ukazywał się przed nią duch rozpustnej królowej Kleopatry i śmiał się jej w twarz, to znów przychodziła nieboszczka popadia z sąsiedniej wioski i pluła do barszczu.

popadia (ros.) * żona popa.

Ale główną i najbardziej interesującą ją personą było śledzenie w półsennyh wizjach własnego męża. On chciał ją zadręczyć na śmierć i ożenić się z młódką.

Być może hrabia rozpiłby się, jak to często bywa z mieszkańcami Rosji, kiedy znajdują

się w trudnej życiowej sytuacji, ale znalazło się zajęcie, które pochłonęło go, a nawet zainspirowało.

Posłuchał rady doktora Baturina i zajął się malarstwem. We wczesnej młodości szkicował sceny uliczne, studenckie wieczorki, przyjęcia na salonach. Czasem wyławiał z tłumu jakąś charakterystyczną twarz i malował. Ale wyjątkowo dobrze wychodziły mu karykatury.

Teraz z przyjemnością malował najzwyczajniejsze pejzaże. Chodził ze szkicownikiem do lasu, w pola, nad bystrą rzeczkę Obieszczajkę, która płynęła w sporej odległości od Boliakina.

Pewnego upalnego lipcowego wieczoru tak się zachwycił kolorami zachodzącego słońca za wierzchołkami sosen, że nie usłyszał za plecami szumu kół roweru.

* Wasza Wysokość robi postępy * niski piersiowy głos rozległ się tuż koło jego ucha. Odwrócił się gwałtownie i napotkał jasnoblękitne kpiące oczy.

* Dobry wieczór, Soniu Konstantinowna. * Hrabia nie potrafił malować, gdy ktoś patrzył mu na ręce, wobec tego odłożył pędzel i sięgnął po papierosa. * Czy zajęcia w gimnazjum już się skończyły? * spytał i chrząknął speszony.

* Jak to możliwe, że pejzażysta nie pamięta, jaki mamy teraz miesiąc? * śmiała się Sonia. * Lipiec, środek lata, a ja w tym roku skończyłam gimnazjum.

Oстрыm noskiem białego pantofelka narysowała na wilgotnym piasku długi łuk.

Hrabia gorączkowo myślał, co by tu jeszcze powiedzieć. Twarz dziewczyny oświetlona głęboką czerwienią słońca wydawała się przezroczysta, jakby to delikatne światło szło z wewnątrz.

* I jakie ma pani plany na przyszłość?

* Pójdę na front jako pielęgniarka * padła szybka i poważna odpowiedź.

* Soniu, skąd taki pomysł? Po co to pani? * hrabia był wyraźnie zmieszany. *

Przecież tam strzelają, tam jest ordynarne, pijane sołdactwo, dezernerzy, karabiny maszynowe, gaz trujący. Ojciec pani nigdy nie puści.

* Na razie on nic nie wie. I pan mu też nie powie, hrabio * w jej oczach pojawił się taki zimny zdecydowany błysk, że poczuł się naprawdę zaskoczony.

* Ależ, powiem, i to jeszcze dzisiaj, zaraz.

* Niech pan będzie tak dobry i wstrzyma się do jutra. Rano już mnie tu nie będzie. Ale nie chcę, żeby ojciec myślał, że zginęłam, dlatego przekaże mu pan ten list * podała mu małą, niezaklejoną kopertę.

* Soniu, przecież pani go zabije * rzekł cicho hrabia, starając się zachować spokój. * Zresztą wojna niedługo się skończy.

* Ona się nigdy nie skończy. * Dziewczyna oparła ręce na kierownicy roweru. * Zegnam, Wasza Wysokość. A papie proszę nic nie mówić, po prostu da mu pan list. Papa zrozumie i wybaczy.

* Nie, Soniu * hrabia przykrył dłońmi jej małe rączki * nigdzie panią nie puszcze.

* Ależ to nie ma sensu. Pan dobrze wie, że nie potrafi mnie zatrzymać. Też mi się znalazł żandarm * skrzywiła się lekceważąco * proszę mnie puścić. * Próbowała wyswobodzić ręce spod jego gorących dłoni, ale mocno je trzymał.

* Zgoda, jestem gotów być żandarmem. Jeśli będzie trzeba, to panią zwiążę, zamknę w mieszkaniu na klucz i nie pozwolę wyjechać. To jest głupota, dziecinada, pani kocha ojca i nie dopuści do tego, żeby przez panią się wykończył, a tak się stanie, pani wie o tym, ale po prostu teraz nie chce pani o tym myśleć. Pani się kieruje emocjami, jakimś bezsensownym heroizmem, egzaltacją, wszystkim, tylko nie zdrowym rozsądkiem. Może pani robić co chce, ale ja i tak pani nie puszcze. To jest takie niemądre i okrutne, że później pani sobie tego nigdy nie wybaczy.

* No, dobrze * powiedziała spokojnie Sonia * żeby pan zrozumiał, że to nie emocje, nie egzaltacja, może pan przeczytać list.

* Proszę puścić kierownicę, to usiadziemy * hrabia był tak zdenerwowany, że nie mógł wyjąć karteczki z koperty.

Zeszli z mokrego piasku i usiedli na trawie pod brzozą.

List był napisany zdecydowanym charakterem pisma. Hrabia zaczął czytać, ale na wszelki wypadek, trzymał dziewczynę za rękę.

„Papciu, wybac mi i nic się nie bój, wszystko będzie dobrze, wytrzymam, choćby dlatego że teraz już nic nie jest mi straszne. Tydzień temu otrzymałam wiadomość, że porucznik Daniłow został zabity przez pijanych dezertersów. Już nic gorszego mnie spotkać nie może. Tacy porucznicy, tacy korneci jak Wanieczka, właściwie jeszcze

chłopcy, leżą w szpitalach, gniją w okopach i tylko mogąc złagodzić ich cierpienia, będę mogła żyć dalej.

kornet (ros.) * w Rosji carskiej najniższy stopień oficerski w kawalerii.

Będę się modlić za Ciebie i za babcię, bardzo Was kocham, nic jej nie mów, wymyśl coś. Wybacz i zrozum mnie, jeśli potrafisz. Twoja Sonia".

* Soniu Konstantinowna... Sonieczko, dziewczynko * hrabia schował list do kieszeni i szybko pocałował jej chłodne palce * wszystko zrozumiałem. Ja panią puszczę, to oczywiste, ale wcześniej porozmawiajmy.

* O czym?

* Czy porucznik Daniłow był pani narzeczonym?

* A jaka to teraz różnica?

* Ja i pani ojciec jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i on nie ma przede mną sekretów. Gdyby pani miała narzeczonego, to na pewno by mi o tym powiedział. Ojciec żyje pani życiem, a prócz mnie nie ma nikogo, z kim mógłby się podzielić wiadomościami. A więc, czy była pani zaręczona z porucznikiem Daniłowem?

* Nie.

* Proszę mi o nim opowiedzieć. Pani ojciec przecież o nim nie słyszał i to będzie nazbyt okrutne, jeśli pani zniknie, wyjedzie na front, a on nie będzie wiedział z czyjego powodu.

* Iwan Daniłow to starszy brat mojej przyjaciółki z gimnazjum. Poznaliśmy się rok temu, w Moskwie, na balu charytatywnym dla młodzieży. Tańczyliśmy razem przez cały wieczór i wtedy zrozumiałam, że go kocham. On to poczuł jeszcze wcześniej, zaraz, jak tylko mnie zobaczył. Rzadko się spotykaliśmy, ponieważ prawie natychmiast wrócił na front. Pisał do mnie. Listy przekazywała mi Natasza, jego siostra. Kiedyś przyjechał na urlop, tylko na jedną dobę. Cały dzień spacerowaliśmy po Mo

skwie. Było zimno, więc grzaliśmy się w cukierniach i w kinematografie.

Przysięgliśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy, nawet jeśli mu sądzone zginąć, to ja go nigdy nie zdradzę i za nikogo innego nie wyjdę za mąż, pójdę na front jako siostra miłosierdzia albo do klasztoru.

* Ile on miał lat? * spytał szeptem hrabia.

* Dwadzieścia.

* I przyjął od pani tę przysięgę?

* Tak. Potem wyjechał i pisał, że tylko moja miłość go tam chroni przed brudem i tymi okropnościami, przed kulą, szaleństwem, przed pijaństwem. No i teraz... * łzy, które od dłuższej chwili wzbierały pod powiekami, popłynęły obficie * on zginął w tak okrutny sposób, haniebny. .. nie kula, nie bomba, nie gaz, nawet nie bagnet, ale brudne buciory oszalałej bandy dezertków. Zdeptali go na śmierć. W pułku zjawili się jacyś ludzie, kręcili się koło żołnierzy, namawiali, żeby zabijać oficerów, rzucać broń, bratać się z Niemcami. Iwan złapał jednego takiego z całym plikiem ulotek, ulotki wrzucił do ogniska, a prowokatora wychłostał rękawiczką po policzkach i rozkazał złożyć mu porządnie skórę. A potem, wieczorem, napadła na niego cała banda. Tak się złożyło, że pomoc przybyła zbyt późno. Natasza wszystko bardzo dokładnie mi opisała w liście. Do koperty włożyła także list od porucznika Sokownina, kolegi Iwana, i dzięki temu miałam wrażenie, jakbym na własne oczy widziała, co się stało. Nie, nie tylko widziałam * ja czułam jego ból, jego strach. Jak po tym wszystkim mogę dalej żyć? Jeździć na rowerze, jeść poziomki, grać nokturny Szopena? * Ze złością roztarła pięściami łzy po policzkach. * A teraz, hrabio, proszę mnie puścić.

* Nigdzie pani nie puszcę. Może pani krzyczeć, bić się ze mną. Nie puszcę, dopóki się pani nie uspokoi.

Chciała coś powiedzieć, wargi jej drżały, łzy ciekły po policzkach. Hrabia nie dał jej dojść do słowa, energicznym ruchem przyciągnął jej głowę do swojej piersi i, wtulając usta w nagrzane słońcem włosy, zaczął szeptać szybko i desperacko:

* Ja nie chcę, żeby pani upodobniła się do tych pijanych dezertków, którzy buciorami stratowali na śmierć żywego człowieka. To, co pani chce zrobić, jest dokładnie tym samym. Pani zabije, zniszczy swojego ojca, babcię, zdepta ich pani. Oni nie umrą normalną śmiercią, ale dokładnie w takich samych cierpieniach jak ten biedny porucznik, przy czym ich ból będzie o wiele silniejszy, ponieważ cierpienie duszy jest straszniejsze niż cierpienie ciała. Ja nie mówię o sobie, to nie jest akurat

teraz ważne, ale niech pani wie, że zabije trzy osoby. Ja się zapiję na śmierć, zwariuję jeśli już nie usłyszę szumu kół, dzwonka przy pani rowerze. Umrę, jeśli nigdy więcej nie zobaczę, jak pani siedzi z książką na werandzie, nie usłyszę pani gry na fortepianie. Jestem stary, godny pogardy, wypalony człowiek, właściwie mnie już nie ma, ale ja pani nigdzie nie puszczę, po prostu dlatego, że ja panią kocham, Soniu. Jej ramiona przestały drgać. Wtulając twarz w jego pierś, zamarła, wydawało się, że przestała oddychać. Siedzieli, milcząc, na trawie wilgotnej od wieczornej rosy i słyszeć było, jak we wsi pieją koguty, wykrzykują swą przedwieczorną pieśń, jak ryba z pluskiem skacze w rzeczce Obieszczajce.

Hrabia łagodnie gładził czarne błyszczące włosy Soni i zdawało mu się, że jego ręka jest ciężka i niezdarna. Po chwili dziewczyna wyswobodziła się z jego objęć, uniosła ku niemu twarz i szepnęła cicho:

* Serce pana tak mocno bije, Michaile Iwanowiczu.

Rozdział 2

A jednak szczeniaczka nie nazwali Warwarka, lecz Frida. Waria spędzała z nim całe dnie i bardzo sobie chwaliła jego towarzystwo. Do kapitana Sokołowa nigdy żadni goście nie przychodzili i mogło się wydawać, że nie tylko nie ma przyjaciół, ale nawet rodziny. Właściwie nic nie opowiadał o swoim dzieciństwie, o służbie w wojsku, na czym polega obecnie jego praca. Fascynowało go, że nadając swojej biografii tajemniczość, zagadkowość, stwarzał wrażenie, jakby nie miał ani przeszłości, ani teraźniejszości. O dziewczynie można by powiedzieć to samo. Czasem łapała się na tym, że chyba istnieje poza czasem i poza przestrzenią, na dziewiątym piętrze białego jak śnieg nowo wybudowanego domu, ze śnieżną połacią za oknem. Materac na podłodze, stół kuchenny, dwa taborety, lodówka, jakieś naczynia na suszarce nad zlewem.

Kiedy zapytała, dlaczego Wasia nie kupi mebli, choćby łóżka, mruknął:

* Jeśli kupować, to od razu porządne, a na porządne meble na razie mnie nie stać. I tak się wykosztowałem na samo mieszkanie.

Waria, oczywiście, nie miała pojęcia, że właśnie o to mu chodzi, by spać z nią na materacu, a pusty pokój przypomina mu opuszczony komunalny dom na Maljuszince.

Gdy wracał do domu i słyhać było zgrzyt klucza, Waria czuła, jak zamiera w niej serce. Miała wrażenie, że jego ręce, brutalne, silne, za każdym razem znów wyciągają ją z lodowatej, śmiercionośnej wody. Dziewczyna przytulała się do niego, grzała się jego ciepłem. Często sprawiał jej

ból, ale nie zwracała na to uwagi, ponieważ każda komórka jej ciała dokładnie zapamiętała inny przerażający ból, kiedy lodowata woda rozrywa ciało na kawałki. Mówił jej wiele złych, plugawych słów, a równocześnie w jego oczach był spokój, spojrzenie wnikliwe, skupione, dlatego Waria sądziła, że Wasia mówi zupełnie nie to, co myśli, a słowa są konsekwencją całego dnia paskudnej, niewdzięcznej pracy, która go stresuje. Nigdy się nie uśmiechał i na pewno za jego niedomówieniami i powagą kryło się męstwo, tajemnice, niebezpieczeństwa, a być może i czyny bohaterskie.

Ona miała tylko siedemnaście lat.

Któregoś wieczoru posłyszała hałas przy drzwiach, spojrzała na zegarek i pomyślała, że Wasia dziś wcześniej niż zwykle wraca z pracy. Pobiegła do przedpokoju. Frida ujadła dyszkantem i machała ogonem. Zamiast Wasi do mieszkania weszło dwóch zupełnie obcych mężczyzn, starszy i młodszy. Waria krzyknęła, ale nie tyle ze strachu, co ze zdziwienia, na co młodszy powiedział z uśmiechem:

* Witaj, piękna.

* Dobry wieczór * Waria podała mu rękę i zapaliła światło w przedpokoju.

Frida cieszyła się z przybycia gości, skakała, kręciła się jak bąk. Suczka była zbyt młoda, żeby odróżniać swoich od obcych.

Ten młodszy wyglądał całkiem normalnie. Wysoki, dobrze zbudowany z okrągłą, lekko prostacką i dobroduszną twarzą. Miał na sobie kanadyjską kurtkę i nowiutkie czarne dżinsy. Natomiast starszy przypominał pokrakę. Niziutki, chudy jak szkielet, zupełnie łysy. Oczy małe, a ponieważ miał bardzo wypukłe łuki brwiowe, wydawało się, że to nie jest ludzka głowa, ale czerep z pustymi czarnymi oczodołami.

* Ktoś ty jest? Jak się nazywasz? * spytał łysy.

* Warwara. A panowie?

* Koledzy z pracy twojego Wasi.

* Służyliśmy razem w wojsku * dorzucił młody, pomagając łysemu zdjąć kozuch. *

Ja się nazywam Piotr Piotrowicz, ale można mówić po prostu Pietia.

Łysy się nie przedstawił. Waria zwróciła uwagę, że jego kozuch jest nowy i bardzo drogi. Pod kozuchem miał szykowny garnitur w kolorze kawy z mlekiem.

* Pojechaliśmy do Wasi, do pracy * tłumaczył młody * powiedział, że później kończy pracę i dał nam klucze. Jak nie masz nic naprzeciw, to poczekamy tu na niego.

* Proszę wejść. Czy zrobić herbatę?

* Jak dasz, to nie odmówimy. * Pietia zdjął kurtkę. * Gdzie mamy wejść? Widzę, że tu nie ma na czym siedzieć. Nie ma mebli.

* Proszę do kuchni, siadajcie panowie.

Panowie usiedli na taboretach. Waria włączyła elektryczny czajnik, postawiła na stole filiżanki, cukierniczkę, zajrzała do lodówki. Poza ćwiartką żytniego chleba, wyschniętego kawałka sera, puszki sardynek i opakowania mleka dla Fridy nic więcej nie było. Waria wszystko wyjęła i zabrała się do krojenia chleba i sera.

* Od dawna mieszkasz z Wasią? * spytał łysy, świdrując ją oczami.

* Pół roku.

* No i jak? Nie krzywdzi cię? * Nie.

* Uczysz się gdzieś? Pracujesz?

* Tak w ogóle, to na razie nigdzie. Nie uczę się i nie pracuję.

* To co robisz?

* No * Waria spieszyła się * siedzę w domu i czekam na Wasię.

* A jak go poznałaś? * pytał łysy.

* To długa historia * powiedziała zawstydzona. Nie chciała kłamać, a prawdy nie miała zamiaru zdradzić.

* No to on nam teraz sam opowie * stwierdził Pietia. Rzeczywiście, trzasnął zamek w przedpokoju. Waria chciała zeskoczyć

z parapetu, na którym siedziała, ale łysy pokręcił przecząco głową i przyłożył palec do ust, a Pietia, cicho jak kot, skoczył do kąta i stanął między ścianą a drzwiami i

również przyłożył palec do ust. Dziewczyna ze zrozumieniem pokiwała głową, myśląc, że koledzy przygotowują dla Wasi jakąś miłą niespodziankę, ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, to już jej nie było do śmiechu.

* Dziadowsko mieszkasz! * zaskrzypiał w ciszy głos łysiego * kutwisz. Wasia zastygł w przejściu. Pietia stał za jego plecami, przystawiając mu pistolet do tyłu głowy.

* Pnyra, powiedz swojemu osiłkowi, żeby zabrał gnata. Ja nie mogę tak rozmawiać.

* A skąd wiesz, że przyszedliśmy pogadać? * roześmiał się łysy.

* Bo do tej pory umieliśmy się dogadać. Wprawdzie przez pośredników. .. * Wasia mówił jakimś wysokim, nie swoim głosem.

* Na podłogę * rozkazał Pietia. * Jak to?

* No, nie ma krzeseł * wyjaśnił Pnyra * czyli, gospodarzu, musisz siedzieć na podłodze.

Wyglądało tak, jakby o Warii zupełnie zapomnieli, a ona zamarła i prawie nie oddychała. Tylko serce jej kołatało.

Wasia pokornie kucnął w kącie, koło zmywaka.

* Tak, dobrze * skinął głową łysy.

Pietia usiadł na taborecie i zapalił papierosa

* A ja mogę? * spytał nie swoim głosem Wasia.

* Często się * Pnyra rzucił mu paczkę i zapalniczkę. * Nie masz swoich? Aleś ty sknera, Waśka. Patrzcie, jaką sobie laseczkę podłapał, jaką ślicznotę, a karmisz ją beznadziejnie, ubierasz jeszcze gorzej, chyba z domu też jej nie wypuszczasz. Boisz się, że ci ją ktoś sprzątnie. Masz rację, że się boisz. O, jakie to ma oczyska, zgłupieć można * odwrócił się w stronę Warii, uśmiechnął i puścił oko. * Nie bój nic, laleczko, wujek Pnyra nie da cię skrzywdzić.

Dziewczyna poczuła, jak między łopatkami, pod starą flanelową bluzką w kratkę cieknie wolno strużka zimnego potu. W absolutnej ciszy, jaka zapadła, taksowały ją oczy*dziury, obmacywały. Wasia siedział w kucki w swoim kącie, wzrok wbił w podłogę.

* Dobrze, mała, to teraz wyjdź * odezwał się wreszcie Pnyra. Waria ześlizgnęła się z

parapetu, pobiegła do pokoju, cicho zamknęła

za sobą drzwi, wsunęła z głową pod kołdrę i zaczęła płakać. Nic nie rozumiała, ale wiedziała jedno, że stało się coś strasznego.

Z kuchni dolatywały przytłumione głosy, w nowym budownictwie ściany są cienkie. Przyszło jej do głowy, że może lepiej jednak podsłuchać i zorientować się, o co chodzi.

* Nie ma się co spieszyć * to mówił Pnyra * czas pracuje na mnie. Niech sobie żyje, kosi sałatę i powiększa tę swoją kolekcję. Ty będziesz tylko lukać i meldować, jak tam jego sprawy. Najlepiej jakbyś wcisnął się do jego ochrony. Potrzebuję, żeby mój człowiek był z nim blisko i gościu miał do niego stuprocentowe zaufanie.

* Ale on ma swoich ochroniarzy, no to jak ja, tak prosto z ulicy? Trzeba mieć jakieś rekomendacje... * zaprotestował Wasia, wciąż tym wysokim głosem.

* Niekoniecznie od razu ty. Twoja Waria to niegłupia lala, czyściutka, świeżutka. Takiej żaden normalny facet nie odpuści. A jak mu już pięćdziesiątak minie i ma w domu tłustą, głupią babę, to zaraz wymicka. Później, kiedy wszystko będzie git, to ona cię zarekomenduje.

* A jeśli się nie zgodzi? * spytał przestraszony Wasia.

* A to już twoja broszka.

Wkrótce goście zaczęli się zbierać do wyjścia, rozległy się kroki w przedpokoju. Trzasnęły drzwi. Waria wskoczyła na materac i pod kołdrę. Usłyszała, że Wasia cicho, na palcach zbliża się do niej.

* Spisz? * zapytał, siadając obok niej i objął ją za ramiona. Obróciła się twarzą ku niemu. Jego oczy patrzyły jak zawsze spokojnie i uważnie.

* Warjusza, jest taka sprawa * zaczął * ci dwaj, co tu byli, to bandyci, a sam Pnyra to „wor w zakonie”.

wory w zakonie (ros.) * grupa przestępców, specyficzna dla Rosji i byłych krajów ZSRR, nie mająca odpowiedników w światowej kryminologii. Powstała w 30. latach XX w. i charakteryzuje się bardzo surowymi zasadami. Zgodnie z tradycją „worem w zakonie” może zostać tylko recydywista, cieszący się szacunkiem w świecie przestępczym. Wprowadzenie do grupy następuje przez rekomendację szanowanego

innego „wora” podczas procedury zwanej „koronacją”.

Podpadłem mu, jak miałem trzynaście lat, byłem wtedy gówniarzem. Tak wyszło. I teraz jestem od niego zależny.

* Ale ty nie jesteś bandytą, tylko milicjantem.

* Dobrze, dobrze * skrzywił się Wasia * nie udawaj głupiej. Na każdego milicjanta przypada „swoj” bandyta, i to niejeden. Ale teraz nie o to chodzi. A o to, że w każdej chwili oni mogą mnie zabić albo tak zadziałać, że mnie zamkną i to na długo. Nie wiem co gorsze.

* Gorzej jak zabijają. Z więzienia się wychodzi.

* Inni tak, a ja raczej nie. Właśnie dlatego, że jestem milicjantem. No i teraz wszystko zależy od ciebie. Rozumiesz? Moje życie zależy od ciebie. * Objął ją jeszcze mocniej, przycisnął głowę do swojej piersi, gładził po włosach i ciągnął dalej desperackim szeptem: * Będziemy musieli się rozstać na jakiś czas. Poznasz jednego gościa. Przecież chciałaś być aktorką? No to zagrasz teraz rolę, ale nie w filmie, tylko w życiu.

* Jaką rolę?

* No co, nie rozumiesz? * odsunął się zdecydowanie od niej i spojrzał prosto w oczy.

* Zostaniesz jego kochanką.

* Czy to bandyta?

* Nie. To normalny człowiek, bardzo bogaty, wykształcony.

* Widziałeś go?

* Tylko na fotografii.

* Dali ci ją?

* Tak. Chcesz zobaczyć?

* Nie, Wasia. Nie chcę.

* Czemu?

* Idź na ulicę, weź prostytutkę, zapłać jej i niech ona śpi z tym urzędnikiem. Ja nie mogę * głos jej drżał, odwróciła się do ściany, nakryła się kołdrą i zaczęła płakać. Sokołów wyszedł z pokoju, strzeliwszy drzwiami. Słyszała, jak chodzi po kuchni z kąta w kąt. Aż tutaj dolatywała woń papierosów. Tak minęło może z piętnaście minut.

Wasia wrócił do pokoju, zerwał gwałtownie kołdrę, rzucił się na Warię i przygniótł ją całym ciałem. Całował jej twarz, szyję i powtarzając stłumionym głosem:

* Warjuszko, dziecinko moja, pomóż mi, kocham cię, uratowałem ci życie, teraz ty mnie ratuj, przecież oni zabijają nie tylko mnie, ale i ciebie, i twoją mamę. Zrozum, kochanie, nie mamy wyboru. Pnyra nie toleruje odmowy. To on zdecydował, nie ja. Ja bym za nic, za nic na świecie...

Po kilku dniach pojechali jego starym żiguli na zakupy, do dzielnicy eleganckich sklepów. Waria była zaszokowana * w głowie jej się nie mieściło, że Wasia ma aż tyle pieniędzy. Teraz kupował jej ubrania, kosmetyki, długo i z namaszczeniem wybierał dla niej perfumy.

* Powiedz, czemu nie robiłeś tego, kiedy byłem z tobą? * spytała po powrocie do domu, kiedy już rozłożyli na materacu górę szykownych firmowych opakowań.

* Dlatego, że cię kocham i jest mi wszystko jedno, jak jesteś ubrana * rzekł i delikatnie pocałował ją w czoło. W ogóle był teraz w stosunku do niej zadziwiająco łagodny i dbały.

Za tydzień odwiózł ją do podmoskiewskiego domu wypoczynkowego. Miała tam mieszkać w jedyńce przez cały miesiąc i codziennie rano, między siódmą i dziewiątą, biegać dla zdrowia określoną trasą.

* No, a jeśli go poznam, to co dalej?

* Postaraj się mu spodobać. Twoim najważniejszym zadaniem teraz jest zdobyć jego zaufanie, stać się najbliższą mu osobą.

Rozdział 29

NA oddziale kardiologicznym byłego zamkniętego szpitala wojskowego doba kosztuje pięćdziesiąt dolarów, bez leczenia, bez zabiegów i lekarstw. Jelena Pietrowna Butejko opłaciła awansem dziesięciodniowy pobyt męża wraz z leczeniem.

Pracownik operacyjny MSW, kapitan Kosickij, kupił pudełko cukierków „Mozart”, trzy białe róże, wszedł do działu księgowości szpitala, uśmiechnął się, powiedział

kilka miłych słów przywiedłej, ale zadbanej księgowej i otrzymał wyczerpującą informację, błogosławiąc w duchu dziką mieszanekę komercji i biurokracji postradzieckiego tumiwisizmu.

Lekarz oddziałowy, Pieremyszliw, przywitał go z dość ponurą miną, zaprosił do gabinetu ordynatora, żeby przeprowadzić rozmowę wyjaśniającą.

* Cały czas powtarza, że nie wyjdzie stąd, nawet na pogrzeb syna * oznajmił * boi się. Mówi, że chcą go zabić. Śpi tylko po lekarstwach nasennych, z tym, że dawkę musi mieć zwiększoną. Jego żona była u mnie. Twierdzi, że to niemożliwe, żeby był przyzwyczajony do środków nasennych, ponieważ nigdy ich dotąd nie brał, ja natomiast widzę silne uzależnienie. Prawie jak od narkotyków. Sprawdziłem, że nie figuruje w spisie przychodni psychiatrycznych, żadnych problemów z tej strony nie odnotowano. Ale trudno mi w to uwierzyć.

* Czyli pan sugeruje, że odchyły psychiczne pojawiły się u niego jeszcze przed śmiercią syna? * doprecyzował kapitan.

* Nic nie chcę sugerować * lekarz pokręcił przecząco głową * wiem na pewno, że przeszedł * niewielki zawał mięśnia sercowego, natomiast jak tam z jego psychiką * nie mam pojęcia. Widzi pan, to wygląda jak psychoza, urojenia, mania prześladowcza.

„Ciekawe, skąd Jelena Butejko ma tyle pieniędzy? * przyszło nagle kapitanowi do głowy. * Chociaż, mogła uruchomić wszystkie swoje oszczędności, byle tylko wyleczyć męża. Mogła się nawet zadłużyć. Nic w tym dziwnego”.

* Dla jego dobra powinno się go przenieść do szpitala psychiatrycznego * ciągnął lekarz * ale z drugiej strony, on nie jest niebezpieczny, nie szaleje.

* No to ja już nie bardzo rozumiem: on jest poczytalny czy nie?

* Czasem zachowuje się jak całkiem normalny człowiek, reakcje są adekwatne, mowa sensowna. Inna sprawa, że ja jestem kardiologiem, a nie psychiatrą.

Śledczy Borodin uprzedził kapitana, że rozmowa ze starym Butejką nie będzie prosta.

* Postaraj się ostrożnie zahaczyć o jego przeszłość, pogadaj o pracy jubilera, ale go nie wystrasz i jeśli reakcja będzie zbyt gwałtowna, to nie naciskaj i nie przedłużaj rozmowy * radził * najważniejsze, to spróbuj wyjaśnić, dlaczego tak gwałtownie

zmienił zawód, ze sklepu jubilerskiego przeszedł do fabryki obuwia.

Nim kapitan zdażył przestąpić próg szpitalnej sali, rozległ się głośny szept:

* Stać! Pokazać ręce!

Kosickij nie od razu zorientował się, kto szepcze i skąd dochodzi głos. Łóżko było puste, kołdra zwinięta. Chory siedział za nocnym stolikiem na podłodze, z kolanami pod brodą.

„Faktycznie, chłop całkiem zbzikował * pomyślał ze współczuciem kapitan * w końcu jak się traci jedyne syna...”

* Hej, panie Butejko, a to co znowu! * wykrzyknął lekarz. * No, już, szybko do łóżka. Ktoś z milicji przyszedł do pana.

W odpowiedzi rozległ się hałas, jakby falującej blachy. Niewysoki, chudy starzec, z wielką, zupełnie łysą głową, wychynął zza nocnego stolika. W ręce trzymał niklowany szpitalny basen i zasłaniał się nim jak tarczą.

* Z milicji? * spojrzał podejrzliwie na Kosickiego. * A czemu nie w mundurze? Sprawdził pan jego dokumenty? Zrewidował go? Czy on nie ma broni? * nie dawał za wygraną. * Ja pana uprzedzałem, że oni tutaj na pewno przyjdą.

Kapitan wyjął legitymację i pokazał choremu.

* Proszę, jestem kapitanem milicji. Nazywam się Iwan Kosickij. Kto pana chce zabić?

Butejko strzelił wzrokiem w jego stronę i nie odpowiedział. Położył basen na podłodze, nogą przesunął go pod łóżko, poczłapał boso do umywalki i bardzo dokładnie umył ręce. Każdy jego ruch świadczył o kłębiącej się w nim panice.

Wcisnął głowę w ramiona, co raz to spoglądał na gościa z dzikim strachem, jakby się spodziewał, że jeszcze chwila, a kapitan wyjmie pistolet i zacznie strzelać. Wreszcie wytarł ręce, podbiegł do łóżka i wcisnął się w jego kąt, nakrywając kolana kołdrą.

* Dobrze, to ja już pójdę. Za pięć minut mam obchód * rzekł lekarz.

* Nie! * wrzasnął chory. * Proszę zostać! Ja będę z nim rozmawiał tylko w pańskiej obecności. Ja tego człowieka pierwszy raz widzę na oczy i nie mam do niego zaufania.

Z zadziwiającą zręcznością zeskoczył z łóżka, zastąpił lekarzowi drogę, stanął na

palcach, chwycił lekarza za guzik fartucha i głośno szepnął mu do ucha:

* Mnie się ten młokos nie podoba. Proszę spojrzeć, jak on na mnie patrzy. Zabije mnie, jak nic zabije. Oni polują na mnie czternaście lat.

* Niechże się pan uspokoi * westchnął ciężko lekarz * specjalnie zaprosiłem tutaj tego pana z milicji, żeby się zorientował, o co chodzi, kto pana prześladowuje i chce zabić.

* To pan go wezwał? * Butejko w mig się opanował i wrócił na łóżko. * A sprawdził pan jego dokumenty?

* Tak, tak, niech się pan uspokoi i opowie panu kapitanowi to wszystko, co mi pan opowiadał. Muszę już iść * lekarz uśmiechnął się przepaszająco.

Milicjant przysunął krzesło do łóżka. Butejko obserwował go, nie mrugając oczami.

A oczy miał przekrwione.

* Ja już od czternastu lat nie śpię * oznajmił świszczącym szeptem.

* Czemu? * również szeptem spytał kapitan.

* On przychodzi co noc. Wystarczy, że się zdrzemnę i już jest. Widzę jego twarz. Wie pan, jak wygląda twarz człowieka, który dusi się w przezroczystym plastikowym worku?

„Brawo! * pogratulował sobie kapitan. * Czyli mamy jeszcze jednego trupa. Sprawa sprzed czternastu lat z workiem na głowie? A to się staruszek Borodin ucieszy, poczęstuje mnie mamusiny pierożkiem...”

* A kto to jest? * spytał szybko.

* Nieboszczyk * odparł Butejko, ledwie poruszając wargami i rozglądając się dokoła.

* Zabili go? * Tak. * Kto?

* Paweł.

* Nazwisko?

* Czyje?

* No, tego Pawła.

* Co pan opowiada? * chory z wyrzutem pokręcił głową. * Kamienie nie mają nazwisk. Mają wszystko: własną historię, los, krew, żywą ludzką krew, ale nazwiska nie mają. Pawła zniosła kura, na Uralu w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym

roku i jego los można w przybliżeniu prześledzić tylko do roku tysiąc dziewięćset siedemnastego. Potem zniknął, ale takie jak on, nigdy nie znikają na zawsze.

Wyłaniają się z niebytu, żeby znów polały się rzeki krwi.

„Oj nie, nie powącham ja pierożka z kapustą * uśmiechnął się pod nosem Kosickij * nic tu nie wyczaję. Bredzi psychol, a ja, durny, słucham i słucham”.

* Wie pan co, panie Butejko, żeby się dalej nie męczyć, to lepiej niech pan wszystko od razu powie. Będzie lżej * odezwał się najbardziej serdecznym tonem, na jaki go było stać.

* Komu lżej? * Chory smutnie pokręcił głową. * Jemu nie będzie, on dawno umarł. Umarł, ale nie zazna spokoju, dopóki my będziemy żyć.

* A jak on się nazywał? * ostrożnie zapytał kapitan.

* Kuzia. * To był kot?

* Żeby... To był pijanica, narkoman, ale jednak człowiek. Lela też tak mówiła jak pan: „wyobraź sobie, że masz przed sobą zwierzę, kota ze śmietnika, który załatwia się na naszej klatce schodowej. Żadnego z niego pożytku, tylko smród”.

* Kto to jest Lela?

* Jak pan nie wie, to nie powiem.

* Drogi panie, jak ja się w tym mam połapać, jeśli pan nie chce mówić?

* A po co? Po co się połapać? Oni zabili Artioma i teraz nasza kolej. Nie rozumiem, dlaczego najpierw jego, jeśli on był wtedy dzieckiem, miał szesnaście lat. Nic nie wiedział i już nigdy się nie dowie.

* O zamordowanie pańskiego syna jest podejrzewany jego kolega z klasy, Anisimow. Pan go zna?

* Znam tego chłopaka od dzieciństwa. To nie morderca. On jest tylko narzędziem zbrodni. Najpierw przysłali go do mnie z pierścieniem. Niby to uprzedzali, chcieli, żebym się rzeczywiście nastraszył. Po co, pytam? Ja się bałem przez te całe czternaście lat, ale nigdy nie pomyślałem, że pierwszy będzie Artiom.

* Chwileczkę * przerwał mu delikatnie kapitan * powiedział pan, że nie sypia od czternastu lat. Czyli, że to wszystko * worek plastikowy, trup, Paweł, to było czternaście lat temu?

* Tak. W osiemdziesiątym piątym. W czerwcu. Był straszny upał. Odwieźliśmy Artioma do kołchozu. Skończył dziewiątą klasę. Wtedy ich wszystkich wysłali do pracy przy ziemniakach. A ja z Lelą wybierałem się na urlop. To był mój ostatni dzień przed urlopem. I wtedy on się zjawił. Przyszedł do sklepu, długo się kręcił koło lady. Nie wyglądał na kogoś, kto może cokolwiek kupić w sklepie jubilerskim. Do zamknięcia brakowało dziesięć minut i milicjant poprosił go, żeby już wyszedł. A potem zobaczyłem go na ławce, na podwórku. Trzymał w ustach papierosa i patrzył w jeden punkt. Wie pan, co zmusiło mnie do tego, żeby usiąść obok? Litość. Pomyślałem, że go bandyci przysłali na przeszpiegi. Takie coś już się zdarzało. Zanim zrobią napad, przysyłają „szestjorkę”, żeby się pokręcił, rozejrzał, kto ostatni wychodzi i zamyka drzwi, o której godzinie przyjeżdżają konwojenci po utarg. A potem tego biedaka wystawiają na cel. Ja tak naprawdę zawsze byłem dobrym człowiekiem. Sam ryzykowałem, ale wielu ludziom pomogłem. Poza tym nie chciałem, żeby obrabowali nasz sklep.

Kosickij spostrzegł, że po twarzy chorego płyną łzy, a chude ramiona lekko drżą.

* Może panu wody nalać? * spytał.

* Nie trzeba... * chlipnął stary * ja już nie mogę ani jeść, ani pić. Niech pan zrozumie, ja jestem bardzo dobrym człowiekiem, mam w książeczce pracy cztery pochwały, mój syn jest znanym dziennikarzem. * Wcisnął twarz w poduszkę i się rozpłakał.

Kapitanowi nie pozostało nic innego, jak wezwać pielęgniarkę.

Rano, przy śniadaniu, Lidia Nikołajewna Borodina milczała znacząco, demonstrując, że nie odezwie się do syna i pozwoli mu myśleć. A jednak nie wytrzymała.

* Aha, wczoraj widziałam Warię Bogdanową. Popatrz, a niedawno mówiliśmy o niej. Jest już całkiem dorosła i taka śliczna. Od razu mnie poznała, pytała o ciebie i prosiła, żebym ci przekazała pozdrowienia.

* Co u niej słyhać?

* Mieszka z kimś, kto mógłby być jej ojcem. On ma pięćdziesiąt sześć, a ona dopiero dwadzieścia.

* A dostała się na studia?

* Iljuszka, dopiero co ci powiedziałam, że spotkałyśmy się na Uniwersytecie Sztuki. Wiesz przecież, że stale mnie tam zapraszają, żebym prowadziła wykłady o symbolistach. Waria studiuje na drugim roku.

* A tak, rzeczywiście. Ale, o ile wiem, tam się płaci za naukę i to sporo. Kto wyklada na to pieniądze?

* Jej konkubent. Tfu! Co za wstrętne słowo * matka skrzywiła się, jakby zjadła coś kwaśnego. * No, ale inaczej nie da się powiedzieć. Kochanek brzmi jeszcze gorzej. Chociaż jeśli on płaci za jej naukę, to znaczy, że traktuje ją poważnie, kocha i ożeni się z nią, jak każdy przyzwoity człowiek .

* A to przyzwoity człowiek?

* Mówią, że tak. A może go znasz? Malcew, Dmitrij Władimirowicz, wiceminister finansów. Słyszałam, że wiele dobrego robi dla uczelni, stuka do merostwa, do Ministerstwa Kultury, znalazł sponsorów w Niemczech, w Ameryce. Mówią, że jest niezłe wykształcony.

* Kto mówi?

* Ilja, co to za okropna maniera, zadawać pytanie, kiedy z góry wiesz, że odpowiedź cię zupełnie nie interesuje? * nachmurzyła się Lidia Borodina.

* Dlaczego nie interesuje? Bardzo mnie interesuje, od kogo zdażyłaś się tyle dowiedzieć o wiceministrze finansów, panu Malcewie.

* Od uczelnianej bibliotekarki, Jekatieriny Borysowny.

* To on korzysta z uczelnianej biblioteki? * roześmiał się śledczy.

* Nie ma co się śmiać, Iljuszka. Rzadko, ale korzysta. Pan wiceminister interesuje się historią, a konkretnie historią zruszczonej francuskiej arystokracji, którą przygarnęła Katarzyna Druga podczas rewolucji francuskiej.

* On chce poznać swoje drzewo genealogiczne? Chce zostać członkiem Towarzystwa Szlacheckiego? To teraz bardzo modne. Przedstawiasz się jako książę z dziada pradziada lub w najgorszym wypadku hrabia?

* Tak, zgadłeś, Iljuszka, prawdopodobnie naszą Warieńkę Bogdanową czeka wielka przyszłość. Może zamiast zostać żoną bogatego urzędnika państwowego Malcewa, będzie hrabiną. Jej przyszły mąż prosił, żeby mu znaleźć wszystko, co mają w

bibliotece na temat rodu hrabiów Paurier.

Rozdział 30

Krasawczenko znikł, wyparował, lecz Liza nie miała wątpliwości, że się pojawi w Moskwie natychmiast po jej powrocie. Musiała opanować emocje, choćby na jakiś czas. Jeśli bez końca będzie zastanawiać się, czy to ona, czy nie ona jest na tych zdjęciach, co naprawdę chce szantażysta i jak najrozsądniej się zachować w takiej sytuacji, to rzeczywiście zwariuje.

Dzień przed odlotem zadzwonił mąż, sprawdzał numer rejsu. I dosłownie za pięć minut odezwał się Jura, zadając to samo pytanie.

* Umówiliśmy się, że przyjadę do ciebie za dwa dni.

* Nie bój się, będę stał z boku * powiedział smutnie * już liczę dni, żyć bez ciebie nie mogę.

* Wybacz, ale lepiej, żebyś nie przyjeżdżał na lotnisko. Już to wszystko omawialiśmy.

* Lizeńko, co z tobą? Masz tam jakieś kłopoty? * Tak.

* Powiedz, choćby w dwóch słowach, co się stało?

* Jestem szantażowana * Liza poczuła, że zaraz się rozplacze.

* Czy ma to związek z nami?

* Nie mogę przez telefon. I proszę, nie przyjeżdżaj na lotnisko. * Jeśli szantaż jest związany z nami, to nie problem. Wreszcie podejmiesz decyzję i nie będziesz już dłużej musiała niczego ukrywać.

„Mój Boże! On nigdy nie miał normalnej rodziny i nie wie, co to jest * zburzyć wszystko, co się budowało latami”.

* Jura, nie będziemy o tym dyskutować przez telefon.

* Ty wiesz, że chcę tylko jednego, żebyś była ze mną. Z dziećmi, czy bez * nieważne.

„O to chodzi, że dla ciebie nie jest ważne, czy z dziećmi, czy nie. W końcu dzieci nie są twoje.

* Wiesz dobrze, że będę czekał, ile trzeba, i pogodzę się z każdą twoją decyzją.

Widzę przecież, jak się męczysz.

„Gdybyś nie był taki kochany, to byłoby mi znacznie lżej”.

* Jurasza, obiecuję, że zobaczymy się dwa dni po moim powrocie. Przyjadę do ciebie jak zwykle, po nocnym programie.

„Najważniejsze to kłamać jak najwiarygodniej i przy tym patrzeć Miszy i dzieciom prosto w oczy”.

Trzeba przyznać, że bardziej bała się czekających ją kłamstw i oszukiwania niż Krasawczenki z jego szantażem. Położywszy słuchawkę, stała przez chwilę, utkwivszy bezmyślne spojrzenie na wieżach kościoła Świętej Katarzyny. Nagle uzmysłowiła sobie, że historia z Krasawczenką nie jest właściwie aż tak poważna. Incydent jest niewątpliwie obrzydliwy, że aż człowieka mdli, ale nie boli. Można coś zaplanować, spróbować przechytrzyć, wymyślić jakąś mądrą kombinację. Natomiast w sferze uczuć trzeba dokonywać realnych wyborów, ciąć na żywca. Tu nikogo nie przechytrzysz, nic nie wykombinujesz.

Liza wyjęła walizkę, zaczęła układać ubrania i zorientowała się, że kupiła za mało prezentów dla męża i dzieci. A dla Jury w ogóle nic. Na zakupy w sklepach nie ma już czasu i będzie musiała to zrobić na lotnisku, podczas przesiadki we Frankfurcie, dwa razy drożej. Na półce z bielizną znalazła jedno ze zdjęć, zrobionych w dzielnicy czerwonych latarni.

Obejrzawszy teraz, spokojnie, zauważyła, że jej twarz na zdjęciu wyraża nie tylko strach, a pełną obrzydzenia panikę. Gwiazda telewizyjna, Bielajewa, nie czuje w tym miejscu ani euforii, ani lubieżnego podniecenia, więc każdy myślący człowiek od razu się zorientuje, że to dęta sprawa. A tak, naprawdę, jeśli fotografie zostaną upublicznione, to każdy zobaczy na nich to, co chce zobaczyć.

Ostatni dzień minął niezauważalnie. Końcowe posiedzenie, uroczyste zamknięcie konferencji, bankiet.

Liza cały czas zdawała sobie z tego sprawę, że rozgląda się z niepokojem, rzuca spojrzenia na boki. Nawet Amerykanka Kerry to zauważyła.

* Wydaje mi się, że ten pani Krasawczenkoff zniknął * oświadczyła, siadając obok

niej na bankiecie, który urządzono w hotelowej restauracji. * Powinnam panią przeprosić.

* Za co?

* Strzeliłam głupstwo, pytając, czy pani ma z nim romans.

* Drobiazg, Kerry. Zapomnijmy o tym. Przepyszny łosoś.

* Tak, oni tu jakoś specjalnie go przygotowują, zapiekają na węglu drzewnym.

Rano, przed odlotem, Liza musiała zapłacić za używanie płatnego barku. Butelka białego reńskiego wina kosztowała trzydzieści dolarów, więc, kolejny raz, wspomniała „ciepło” o Krasawczence.

Na lotnisku we Frankfurcie musiała czekać aż cztery i pół godziny na połączenie z Moskwą. W pomieszczeniach tranzytowych było tyle ludzi, że co najmniej godzinę zajęłoby przyglądanie się im. Arabskie rodziny z tęgim ojcem na czele, sznureczkiem dzieciaczków z ogromnymi oczami i żonami w różnym wieku pozasłanianymi czarczafami. Każda ma na twarzy agresywny makijaż, co bardzo kontrastuje z demonstracyjnie skromną odzieżą. Chasydzi z długimi kręconymi pejsami, w okrągłych kapeluszach i czarnych garniturach. Indianie o wiśniowych twarzach, w pstrych wojłokowych kurtkach i botach z ostrogami, a obok Hindusi owinięci w długie kolorowe tkaniny. Mężczyźni w wielkich turbanach, kobiety w lekkich błyszczących szalach na głowach, z kolczykami w nozdrzach i czerwonymi i niebieskimi kropkami między brwiami.

W tej międzynarodowej pstrokaciznie zdecydowanie wyróżniała się grupa północnokoreańskich towarzyszy: sześciu, identycznych, niskich mężczyzn w jednakowych szarych garniturach. Zdyscyplinowanie dreptali jeden za drugim przez poczekalnię.

Liza znalazła przytulną kawiarenkę, wypila filiżankę kawy, zjadła zapiekanekę z serem, potem przespacerowała się po sklepikach z pamiątkami, kupiła dla Jury zapalniczkę zippo. W irlandzkim sklepie długo wybierała ręcznie robione swetry dla męża i dzieci i kiedy wreszcie się zdecydowała, usłyszała obok siebie znajomy głos:

* Lizo, tu wszystko jest znacznie droższe niż gdzie indziej.

Wiedziała, że Krasawczenko na pewno znów się pokaże i nawet była zadowolona, że

to się stało tutaj, a nie na lotnisku Szeremietiewo 2.

* Dawno się nie widzieliśmy * powiedziała z uśmiechem, patrząc prosto w jego martwe oczy.

* Rzeczywiście, dawno. Zdążyłem się już stęsknić, ale to nic, mam coś na pocieszenie. Mogę codziennie panią oglądać na taśmie wideo.

Nie zareagowała. Zapłaciła, wzięła pakunek i wyszła ze sklepu.

* Erotyczne kino dużo straciło bez pani. Piersi przydałoby się trochę powiększyć, ale to detal. Najważniejszy jest temperament, namiętność * nie rezygnował

Krasawczenko i nawet spróbował ją wziąć za rękę.

Liza wypatrzyła, przy okrągłej ladzie baru w centrum sali, dwóch policjantów.

Siedzieli na wysokich stołkach i popijali colę.

* Chodźmy się czegoś napić i porozmawiamy * powiedziała uprzejmie do

Krasawczenki. * Ja stawiam. * I nie odwracając się, ruszyła zdecydowanie w stronę baru.

W tym czasie policjanci zeskoczyli ze stołków, postali jeszcze przez chwilę i rozeszli się w różne strony. Jeden, starszy, brzuchaty szedł wolno, prosto na Lizę. Kiedy odległość między nimi zmalała do metra, Liza otworzyła usta, by powiedzieć:

„Przepraszam panie oficerze, ale ten człowiek mnie prześladowuje, obraża niestosownymi propozycjami i seksualną napastliwością”, ale zobaczyła, że za nią nie ma już Krasawczenki.

* Pani chciała mi coś powiedzieć? * spytał uprzejmie policjant.

* Nie... przepraszam... * Zorientowała się, że stoi z otwartymi ustami, zastępując policjantowi drogę. Spuściła głowę i szybko skierowała się do pomieszczenia obok, gdzie można było sięść i odpocząć. Znalazła pusty fotel, wyciągnęła nogi i zamknęła oczy.

Do wejścia na pokład zostały jeszcze dwie godziny. Liza usnęła, nie wiedząc kiedy i obudziło ją trącanie w ramię.

* Lizo, już czas. Spóźni się pani na samolot. To nie było mądre. Daję słowo, bardzo niemądre * powiedział, siadając obok niej na fotelu * co pani chciała przez to osiągnąć?

Liza otworzyła oczy i gwałtownie wstała. Paczka ze swetrami spadła z kolan.

Krasawczenko podniósł i podał jej.

* Chciała pani się poskarżyć na molestowanie seksualne? Fakt, że tutaj, tak jak w Ameryce, do tych spraw podchodzą bardziej surowo niż w naszej dzikiej ojczyźnie.

Ale poza współczuciem nic by pani nie uzyskała od tego tłustego szwaba. Chodźmy, odprowadzę panią do samolotu. Po drodze porozmawiamy sobie.

* Krasawczenko, won * skrzywiła się. * Jestem panem zmęczona.

* Byłoby znacznie mniej sympatycznie, gdybym na Szeremietiewie zepsuł pani powitanie z mężem. Tam i beze mnie może zaistnieć kłopotliwa sytuacja * mrugnął porozumiewawczo * zawsze mówiłem, że nie ma absolutnie uczciwych kobiet, nie ma. Kobieta jest jak przekład literacki. Jeśli jest dobry, to nie jest wierny, a jeśli niedobry, to nikogo nie interesuje, czy jest wierny. No i czemu pani tak na mnie patrzy? Jeszcze do pani nie dotarło, że lepiej przyjąć moje warunki?

* Dobrze, słucham.

* Dziękuję. Mnie jest potrzebny dostęp do telewizji na żywo. Chcę, żeby mnie pani zaprosiła do swojego programu.

* Nie da się. To nie ja planuję program. Nie ja decyduję, kogo zaprosić. Jest szefostwo, jest redakcja programów.

* Wiem * skinął głową Krasawczenko * jednak od pani też wiele zależy. Jeśli pani coś zaproponuje, to pani nie odmówię.

* Dobrze. Załóżmy, że tak będzie. O czym chce pan rozmawiać?

* No i proszę, jak szybko znaleźliśmy wspólny język? Oboje jesteśmy profesjonalistami. Mam bardzo bogatą i interesującą biografię. Afganistan, Czeczenia. Znam dużo interesujących historii związanych z pracą służb specjalnych.

* Interesujące historie opowiada się w innych programach. No, a o pracy służb specjalnych tyle napisano, że chyba nie da się niczym zainteresować, zaskoczyć.

* Ale ja wiem to, o czym jeszcze nie pisano i nie mówiono.

* Na przykład? * spytała szybko.

* Werbowanie agentury w Czeczenii, technika porywania ludzi.

* A pan jest z tym jakoś powiązany?

* Dużo wiem.

* Skąd?

* Lizo, niech się pani tak nie spieszy. Jeszcze nie jesteśmy w programie.

* Dokładnie te same pytania usłyszę od szefostwa, gdy zaproponuję pańską kandydaturę do programu. Poza tym muszę dokładnie wiedzieć, jakie pan ma stanowisko, stopień, jeśli go pan ma, muszę znać krótką biografie, no i oczywiście wszystkie te dane muszą być prawdziwe, bo będą sprawdzane.

* Nie ma sprawy * odparł * ale wszystko w swoim czasie. Będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać i ustalić szczegóły.

* Ale czym umotywuje, że właśnie pana zapraszam? Jak pracują służby specjalne i jak się porywa ludzi, to ja mogę dużo opowiedzieć, i każdy, kto czyta gazety i ogląda telewizję...

* Pani może mówić o problemach, ale o metodach, technikach nic pani nie wie * wpadł jej w słowo i po sposobie, w jaki to zrobił, Liza zorientowała się, że dotknęła go do żywego.

* No, dobrze. Niech pan da chociaż jeden przykład. Proszę mi powiedzieć coś, o czym nie wiem.

* Metody indywidualnego i zbiorowego prania mózgow, wykorzystanie hipnozy i narkotyków w procesie werbowania. Techniki przesłuchań przy użyciu narkotyków.

* Stop. Może coś więcej na ostatni temat?

* A czemu właśnie na ostatni?

* Bo o praniu mózgow i werbowaniu wiem bez pana.

* No to świetnie. Porozmawiamy o tym w programie na żywo. To tyle, Lizo. Do zobaczenia w Moskwie. Pani sobie nawet nie wyobraża, jak się cieszę, że w końcu znaleźliśmy wspólny język. Zadzwoń do pani.

.i zniknął w tłumie.

Po wizycie w szpitalu kapitan Krasawickij spotkał się ze śledczym i złożył mu raport o rezultatach rozmowy z ojcem zabitego. Sam uważał to spotkanie za bezwartościowe. Nic prócz bezsensownego gładzenia. Tymczasem szef wysłuchał go

bardzo uważnie, zarzucił dodatkowymi pytaniami, zmuszał do przypomnienia sobie najdrobniejszych szczegółów. Wszystko go interesowało. Nieszczęsny alkoholik o imieniu Kuzia, który czternaście lat temu kręcił się koło sklepu jubilerskiego, a teraz każdej nocy w plastikowym worku na głowie nachodzi przodownika obuwniczej wytwórczości W.I. Butejkę; Lela, która okazała się być Jeleną Pietrowną Butejko i nawet kura, która w 1829 roku zniosła na Uralu jakiegoś Pawła. Co więcej, z powodu tej kury śledczy zmusił kapitana bladym świtem pospieszyć do Instytutu Górniczego w celu uzyskania informacji w katedrze mineralogii.

* Paweł to kamień szlachetny * tłumaczył mu śledczy * najprawdopodobniej duży diament. Pierwsze diamenty w Rosji znaleziono na Uralu, właśnie w końcu lat dwudziestych dziewiętnastego wieku. Jeśli chodzi o kurę, to może być legenda, ponieważ z reguły drogocenne kamienie obrastają legendami, tak że nie bój się, mineralodzy cię nie wyśmieją, jeśli ich zapytasz o kurę.

Nie wyśmiali, a wręcz odwrotnie.

* Czyżby udało wam się wpaść na ślad „Pawła”? To jest wspaniały kryształ, zadziwiająco czysty * sędziwy profesor mineralogii, Fiodor Antonowicz Udalcow, był tak przejęty, że nie mógł usiedzieć na miejscu i biegał tam i z powrotem po niewielkim zasmroczonym papierosowym dymem gabinecie. * Uważa się, że przepadł po tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, ale właściwie nikt go nie widział już od tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku, od czasu, kiedy znany moskiewski jubiler Le Villon, na polecenie właścicielki kamienia, hrabiny Olgi Karłownej Paurier, oszlifował go i wprawił w broszę nadzwyczajnej urody. Proszę spojrzeć * Udalcow wyjął gruby tom jakiejś specjalnej encyklopedii i otworzył kolorową wklejkę * tu są fotografie, niedobre, czarno*białe, zrobiono je w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku, a tu są rysunki.

* A co z kurą? * zapytał kapitan.

* Ten fakt również został udokumentowany * profesor sięgnął na górną półkę i wyjął cienką zniszczoną książeczkę w miękkiej okładce * to są pamiętniki mineraloga Schmidta. On dokładnie opisał historię otwarcia pierwszej w Rosji kopalni diamentów na Uralu. Pierwszy diament znalazł czternastoletni chłopiec, syn

wieśniaka, Paweł Popów, pracujący w Krestowozdwiżeńskej kopalni złota. Doszło do tego w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku i zostało szczegółowo opisane nie tylko przez Schmidta, lecz i przez znanego uczonego niemieckiego Humboldta, który akurat w tym czasie podróżował po Syberii i Uralu. Ale historię z kurą można znaleźć tylko u Schmidta. Ptactwo domowe z przyjemnością dziobie kamyczki, nawet spore. W Moskwie największym znawcą historii kamieni szlachetnych jest Paweł Władimirowicz Malcew. Pracował w naszym instytucie, ale to było dawno. Potem wykładał gdzieś za granicą, albo w Danii, albo w Holandii. O ile mi wiadomo, teraz prowadzi zajęcia w jakiejś prywatnej wyższej szkole w Moskwie.

Kapitan Kosickij na wszelki wypadek zapisał w notesie imię i telefon specjalisty, chociaż uważał, że profesor Udalcow wie dostatecznie dużo, by zaspokoić ciekawość Borodina. Tym bardziej że z zabójstwem Butejki, którym w tej chwili się zajmowali, ta romantyczna historia z diamentem w kurzym gnieździe miała niewiele wspólnego.

* Ile może kosztować taki kamień? * spytał.

* Cena takich kryształów jak ten jest pojęciem bardzo względnym. Trzeba wziąć pod uwagę jego unikalną historię, wartość artystyczną, nazwisko jubilera Le Villona... Nie da się jej przeliczyć na pieniądze. Myślę, że na aukcji międzynarodowej cena wyjściowa broszy z „Pawłem” byłaby nie mniejsza niż pięćset tysięcy dolarów. Ale gdyby aukcja zaczęła się nawet od miliona, to i tak znaleźliby się chętni.

Kapitan aż gwizdnął z wrażenia i dokładniej obejrzał obrazek w encyklopedii. Rzeczywiście, bardzo ładna rzecz. Takie wyroby jubilerskie widział tylko w Diamentowym Funduszu Rosji na czarnym aksamicie, za pancernym szkłem.

* Czy ktoś to kiedyś nosił?

* Nie. Hrabina Paurier zamówiła broszę, będąc już bardzo wiekową damą i przekazała ją w spadku swemu prawnukowi, hrabiemu Michaiłowi Iwanowiczowi Paurier. Hrabia był osobą niczym się nie wyróżniającą i nie znalazł się w żadnym opracowaniu, w żadnej encyklopedii. Mogę powiedzieć tylko jedno: najprawdopodobniej nikomu ani nie sprzedał, ani nie podarował broszy, bo byłoby coś na ten temat wiadome. To zbyt rzucający się w oczy klejnot, a środowisko

jubilerskie nie jest znów tak liczne.

* Jak pan myśli, gdyby teraz ktoś znalazł broszę z „Pawłem”, to mógłby ją sprzedać?

* Akurat teraz jest to możliwe, bo w czasach sowieckich było raczej wykluczone. W ogóle, młody człowieku, muszę uprzedzić, że z takimi cudёнkami sprawa jest niebezpieczna. Częściej je kradną, niż kupują; przez nie ludzie gotowi są pójść na każde łajdactwo i niegodziwość, kłamią, zdradzają, mordują. Chęć posiadania może doprowadzić do szaleństwa. Tak więc, jeśli prowadzicie śledztwo w sprawie zabójstwa, to brosza z „Pawłem” mogłaby być realnym motywem. Skoro szukacie broszy, to z pewnością natkniecie się na mordercę.

Rozdział 31

Sonia Baturina prowadziła dziennik. Szczególnie dużo stron zapisała latem 1917 roku. Było to ostatnie rosyjskie lato, spokojne, łagodne, z jedwabistym bladym niebem, dorodnymi, wyjątkowo słodkimi poziomkami, które nadzwyczaj obficie obrodziły, i świecącymi po nocach tak wielkimi, jasnymi gwiazdami, jakich na niebie w środkowej Rosji nigdy nie bywało.

Hrabina Irina, dzięki namowom ojca, jeszcze w maju wyjechała do wód. Kupiec wreszcie zdecydował, że solidnie zajmie się zdrowiem swojej jedynej córki. Dał wiarę profesorowi medycyny, który mu powiedział, że jeśli nie zmieni się jej zwyczajów i nie przeprowadzi specjalnego toku leczenia, to sprawa weźmie bardzo zły obrót i on nie odpowiada za konsekwencje.

„Jest mi wszystko jedno, co dalej z nami będzie * pisała Sonia Baturina o świcie 3 czerwca * jestem teraz tak szczęśliwa, że spokojnie mogłabym jutro umrzeć, bo wiem, że nic lepszego mnie w życiu nie spotka.

Mogę później jeszcze żyć bardzo długo, w ciągu tych lat może się mi przydarzyć wiele dobrego i złego, ale wiem, że w każdym momencie będę wspominać ten cichy, bezwietrzny dzień, troszkę chłodny, z pochmurnym świtem, leniwym deszczykiem koło południa i jasnym, delikatnym zmierzchem, tę dziwną noc z kryształowo oślepiającymi gwiazdami, które wyglądały tak, jakby miały zamiar spaść na głowę i

spalić ją swym lodowatym ogniem. Każda jak piorun kulisty.

Papa chyba wszystkiego się domyślił, ale na razie milczy i jest zakłopotany. Nadal gra z Miszą w szachy, ale jeśli przegrywa, to ma taki wyraz twarzy, jakby to nie była gra, ale najprawdziwszy pojedynek na szachownicy. Kiedy przechodzę obok nich, wydaje mi się, że słyszę odgłosy tego pojedynku. A, może, po prostu powietrze dzwoni tysiącami pierwszych komarów?"

Doktor Konstantin Baturin rzeczywiście zorientował się, że hrabia Paurier ma romans z jego córką. Najpierw zauważył, że hrabia przestał pić i jakoś tak odmłodził. Potem zwrócił uwagę na dziwne oczy Sonii i nawet zaniepokoił się, czy przypadkiem nie zaczęła, wzorem niektórych pań, zakrapiać sobie ich walerianą, żeby błyszczały.

* Weź pod uwagę, że to jest szkodliwe.

* O czym mówisz papciu? * zdziwiła się córka.

* Bardzo ci oczy błyszcżą, a to, jak wiadomo, jest właśnie skutkiem wkrapiania waleriany.

* Bój się Boga, papciu * roześmiała się Sonia * jaka walerianą? Po prostu bardzo dobrze się wyspałam, no i cały czas jestem na świeżym powietrzu,

* Nie wierzę, że się tak dobrze wyspałaś. Raczej wygląda na to, że ostatnio wcale nie śpisz. Jesteś za blada, schudłaś, zmarniałaś i masz cienie pod oczami.

Sonia rzeczywiście miała bezsenne noce. Poczekawszy do północy, wychodziła cicho na okno, miękko zeskakiwała w mokrą od rosy trawę i skradając się, prawie bez oddechu, biegła przez sad, a potem, już rowerem pędziła do dębowego lasu, przez który przechodziła umowna granica między Baturino i Boliakino. Na skraju lasu, w przybudówce czekał na nią hrabia.

Doktor zwrócił też uwagę, że Sonia znacznie częściej wybierała się na rowerowe przejażdżki w stronę rzeczki Obieszczajki, gdzie hrabia Paurier malował kolejne pejzaże. Zajmował się tym codziennie, lecz jakoś ani jednego obrazu nie mógł dokończyć.

„Czuję, że niedługo dojdzie do poważnej rozmowy między papą i Miszą. Oni tak zawzięcie walczą na szachownicy, jakby od tego zależało coś niesłychanie ważnego. Misza nie powiedział papie, że miałam zamiar uciec na front, i spalił mój list.

Niepotrzebnie. Papa byłby mu bardzo wdzięczny i możliwe, że... Nie, nic nie jest możliwe. Choć papa wie, jak wygląda życie w Boliakino, to dla niego hrabia Paurier jest żonatym mężczyzną i to zamyka całą sprawę.

Wczoraj przyszedł list od Olgi Suzdalcowej. Straszna historia przydarzyła się naszej byłej koleżance z klasy, Nadii Nikolajewej. Świetnie ją pamiętam. Spokojna, dobra, niezbyt ładna dziewczyna. Okazuje się, że zakochała się bez pamięci w znanym poecie symboliście i podczas wieczoru poetyckiego strzeliła do niego, ale na szczęście pistolet się zaciął. Schwytali ją i teraz przebywa w szpitalu dla umysłowo chorych.

Misza powiada, że symbolizm prowadzi do chaosu, do rozpadu. Modnym jest być morfinistą i w nic nie wierzyć. Można nienawidzić Rosję, przeklinać rodzinę carską, w rozbójniku widzieć cierpiętника, zagadkową, zgębioną duszę, a zwykłego stójkowego nazwać publicznie katem, mordercą. Modnym jest widzieć wszystko na opak, uważać, że śmierć jest piękniejsza od życia, gardzić wszystkim co normalne, zdrowe, moralne. Boże, wybacz nam obojgu, czyż my mamy prawo mówić o moralności? Ja żyję z cudzym mężem, okłamuję papę i babcię, nie mogę pójść do spowiedzi. Ale ja tak mocno, tak szaleńczo kocham, że wszystko inne już nie jest ważne.

Misza zabrał się do malowania mojego portretu. Wychodzi mu kiepsko, bo on nie umie malować ludzi, tylko pejzaże, scenki i karykatury. No i dobrze, obojętnie, jak mnie namaluje, to i tak się nie obrażę. Nie wiem, czemu przypiął mi do bluzki ogromną bezsensowną broszę. Powiedział, że to jest bardzo droga rzecz, którą dostał w spadku po prababce, no i właśnie z tym zimnym, ciężkim kwiatkiem pod szyją, maluje mnie w lasku, przy czym martwa błyszcząca orchidea wychodzi mu znacznie lepiej niż ja".

Rozdział 32

Kapitan Kosickij był bardzo zdziwiony, kiedy dostał na pager wiadomość, że Butejko czeka na telefon i podaje swój domowy numer.

Słuchawkę podniesiono natychmiast.

* Nie mogę teraz rozmawiać * usłyszał kapitan przestraszony szept * muszę szybko się z panem spotkać, ale nie wiem jak.

* Chwileczkę, ale przecież jeszcze przez tydzień miał pan zostać w szpitalu.

Dlaczego jest pan w domu?

* Lela mnie zabrała. Oni myślą, że zwariowałem i nie chcą sobie zawracać moją głowę. Tylko w żadnym wypadku niech pan tutaj nie przyjeżdża. Nie uda nam się porozmawiać przy Leli. Musimy się spotkać w tajemnicy, żeby ona nic nie wiedziała. To wszystko, przepraszam... * przerwał połączenie.

Kosickij wybrał ponownie numer. Słuchawkę podniosła Jelena Butejko.

* Dzień dobry. Czy mogę prosić męża?

* Kto mówi?

* Kapitan Kosickij.

* A w jakiej sprawie?

* Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa syna. Muszę koniecznie porozmawiać z pani mężem.

* To pan był w szpitalu? * Tak.

* Bardzo pana proszę, żeby pan więcej tutaj nie dzwonił i nie niepokoił męża * w jej głosie wyraźnie było słycać histerię.

* Proszę pani, ja wiem, że mąż jest w domu. Czy może podejść do telefonu?

* Powiedziała, żeby pan nie śmiał tu więcej dzwonić! Po pańskiej wizycie w szpitalu mąż próbował popełnić samobójstwo! * krzyknęła i rzuciła słuchawkę. Nie namyślając się długo, kapitan zadzwonił do szpitala. Miał szczęście, doktor Pieremyshliw był w pracy.

* Żona zabrała go wczoraj wieczorem. Musieliśmy ją wezwać. Pielęgniarka zorientowała się, że pacjent nie zażywa lekarstw, tylko chowa je do słoiczka.

* Tabletki nasenne?

* Tak, a niedawno pytał, ile trzeba zażyć, żeby umrzeć. A co, madame Butejko już zdążyła zrealizować swoje groźby? * zachichotał lekarz.

* W jakim sensie?

* Domagała się, żebym potwierdził na piśmie, że stan psychiczny jej męża znacznie się pogorszył po tym, jak milicjant, to znaczy pan, go przesłuchiwał. Tuż przed wyjściem ze szpitala Butejko zapytał mnie na ucho, czy nie zostawił pan swojego numeru telefonu. Dałem mu pański służbowy i na pager.

* Dobrze. A czy rzeczywiście poczuł się gorzej?

* Nie powiedziałbym. Inna sprawa, że dwie godziny po pańskim wyjściu siostra znalazła słoiczek z tabletkami.

* W końcu napisał pan to oświadczenie dla madame Butejko? * Jasne, że nie.

„Czemu ona tak panikuje? * zastanawiał się Kosickij, wracając do pracy. * No i dlaczego on się tak jej boi?”

Zastał Ilię Borodina zaczytanego w jakiejś mocno sfatygowanej książce.

* Siadaj, Wania. Chcesz herbatę?

* Jeśli z pierożkami, to chcę. Nie jadłem śniadania.

* To wobec tego nie siadaj, idź umyj ręce, nalej wody do czajnika i zagotuj.

Wszystko, co ci potrzebne, znajdziesz w szafce.

Iwan Kosickij znał śledczego Borodina już pięć lat, często zdarzało się, że razem prowadzili sprawy. Szef zawsze go częstował herbatą w swoim gabinecie, ale nigdy nikomu nie powierzał samego procesu zaparzania.

Dla niego picie herbaty było prawie japońskim ceremoniałem. Nie uznawał herbaty w torebkach, mawiał, że nie powinno się pić wywaru z papieru. Przepłukiwał dokładnie wrzątkiem porcelanowy czajniczek, nakrywał go lnianym ręcznikiem, po dziesięciu minutach odlewał trochę esencji do szklanki, później wlewał z powrotem do czajniczka i tak powtarzał trzy razy. Nazywał tę czynność „ożeniem”.

Wielu śmiało się z niego, ale nikt nie odmawiał pierożków i herbaty.

* A cóż to za ciekawa książka, że zdecydował się pan, szefie, powierzyć mi ten święty rytuał? * spytał Iwan, wracając do gabinetu z czystymi rękami i czajnikiem elektrycznym pełnym wody.

* Georg Smith Historia kamieni * mruknął śledczy, nie podnosząc głowy. * Tu jest najbardziej szczegółowo prześledzona historia diamentów, które zniknęły, oraz losy ich właścicieli. Ty, uważaj, żebyś nie zapomniał „ożenić” esencji.

* No i co, jest tam coś o „Pawle”, co go kura zniosła?

* A jakże! * szef zamknął książkę. * I o „Pawle”, i o hrabi Michaiile Iwanowiczu Paurier, ostatnim właścicielu diamentu. Dobrze, Wania, to teraz ty opowiadaj, co mamy nowego?

Kapitan zrelacjonował dokładnie swoje rozmowy telefoniczne z rodziną Butejków i lekarzem Pieremyszliwem.

* Bardzo ciekawe * mruknął śledczy * wygląda na to, że miał rację profesor mineralogii, mówiąc na pożegnanie: „szukacie broszy, to z pewnością natkniecie się na mordercę”. Być może w tej chwili nie znajdziemy mordercy dziennikarza, ale jakiegoś innego na pewno, a to też nie będzie źle. Trzeba pojechać do Butejków, i zrobimy to obaj. Ty pojedziesz od razu, teraz, a ja troszkę później. Postoisz w bramie i poczekaasz, aż Wiaczesław Butejko wyjdzie na spacer. Masz, zjedz ten pierożek, ten długi, z kapustą.

* Jest pan pewien, że wyjdzie?

* Nie, ale warto spróbować. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

* Dzień dobry, Jeleno Pietrowna. Mówi śledczy Borodin. Jak się pani czuje? A jak zdrowie małżonka? W tych dniach mam zamiar podjechać do niego, do szpitala. Tak, oczywiście... Czy nie będzie miała pani nic przeciwko temu, że wpadnę dziś do pani, dosłownie na dziesięć minut. Wezmę kasety, tak jak się umówiliśmy. Tak? To bardzo dziękuję... ależ

skąd, żadnych pytań... Tylko kasety. Będę u pani punktualnie o czwartej. Zabiorę pani nie więcej niż dziesięć minut. Dziękuję.

Położywszy słuchawkę, wypił trochę herbaty, rozsiadł się w fotelu i spojrzał uważnie na Iwana.

* Jednego nie mogę pojąć. Jak to się mogło stać, że dziecko przyniosło do szkoły taką drogocenną rzecz?

* O czym pan mówi?

* O broszy w kształcie orchidei. Wiesz, od kogo pierwszy raz usłyszałem historię o uralskiej diamentowej kurze? Od Anisimowa. Z Artiomem chodzili do tej samej klasy. A pani Butejko to kobita sprytna, ale nerwowa... Czyli tak, panie kapitanie. Nie

później niż za piętnaście czwarta Wiaczesław Iwanowicz Butejko wyjdzie odetchnąć świeżym powietrzem. Już jego żona coś wymyśli, żeby go usunąć z domu na czas mojej wizyty, ponieważ obiecałem być u niej nie dłużej niż dziesięć minut.

Powinieneś go złapać przy wyjściu z budynku.

* To ona uwierzyła, że pan jeszcze nic nie wie? * zdziwił się Iwan.

* Uwierzyła * roześmiał się śledczy * uwierzyła jak nic!

* Ale powinna się kapnąć, że tak czy siak, niedługo się pan dowie.

* Oczywiście. Ale im później spotkam się z jej mężem, tym lepiej dla niej. A jak myślisz, czemu ona tak szybko zabrała go ze szpitala?

* Żeby go przesłuchiwali jedynie w jej obecności.

* Nie tylko. Ona teraz zacznie pracować nad nim, zrobi mu pranie mózgu i równocześnie spróbuje jak najszybciej uzyskać orzeczenie psychiatryczne o jego niepoczytalności.

* Czy ona nie rozumie, iż tego typu działania spowodują, że * zaczniemy się im baczniej przyglądać?

* Widać nie. Przecież nie powiedziałem o niej „mądra”, tylko „sprytna”.

* Ale czemu ona się tak boi? Przecież sprawa jest już przedawniona. Minęło czternaście lat.

* Przepięstwo nie przestaje być przestępstwem, dlatego że sprawa uległa przedawnieniu, a tym bardziej morderstwo.

Rozdział 33

Hrabiemu Michaiłowi Iwanowiczowi Paurier do tego stopnia trzęsły się ręce, że nie był w stanie przeczytać gazety. Bunt w Kijowie, bunt w Niżnym Nowogrodzie. W Piotrogradzie prawdziwe krwawe powstanie, z paniką, szabrowaniem. W mieście Elec starego carskiego generała rozebrali do naga i rzucili na stos rozbitego szkła. „Nowe Życie” opublikowało list * odezwę tego zwariowanego Trockiego. Każda linijka ziała nienawiścią i chaosem. „Rosyjski Głos” pokazywał jako odkrycie histerię Kiereńskiego: „Do wszystkich! Do wszystkich! Do wszystkich!”.

„Kto to są ci «wszyscy»? * mruzczał hrabia. * Ja nie wiem, co to znaczy?”

Pijani chłopcy z sąsiedniej wsi pościągali obrazy ze ścian wiejskiej cerkwi, rzucili je na stos na pustym miejscu koło stacji kolejowej i podpalili. Między nimi spłonęło bezcenne płótno Nikoły Ugodnika, namalowane w szesnastym wieku, spaliła się cudowna ikona Matki Bożej Iwerskiej. A przecież, całkiem niedawno, ci sami chłopcy przychodzili postawić jej świeczkę, prosząc zmiłowania, zdrowia i pomyślności. Kulawy stary duchowny w lnianej koszuli nocnej miotał się koło ognia, próbując cokolwiek uratować. Skrępowali go, powalili na ziemię, lali mu do gardła wódkę, przygadzając, że „terazki dla wszystkich będzie nowe życie, nima co ludziskom we łbach macić, na tych deskach ino same bójki, ty sie pacz, jak to się skręcajom twoje ugodniki, pacz się, stary głembie”.

Na peronie załadowczym wiatr podnosił kurz i łuski słonecznika. Nikt tu nie zamiatał, w ciągu dnia robotnicy stacyjni zasiadali w „komitecie ziemskim”! z ponurymi minami słuchali prelekcji o powszechnej równości, kiwali głowami i złościли się na naczelnika stacji, który „terazki gównem nas zmusi do zamiatania, niech se sam zamiata”. A wieczorami upijali się do utraty świadomości, grozili, że wszystkich, kogo trzeba, nabiją na bagnety.

Było brudno, ponuro, chociaż dni były pogodne. Nocami w baturinowym dębczaku słowik wyśpiewywał tak namiętnie, tak żarliwie, jakby to robił ostatni raz. W dusznej przybudówce okna otwarto na oścież. Przeciąg gwałtownie trząskając drzwiami, Sonia rozczesywała czarne błyszczące włosy i przy każdym trzaśnięciu podskakiwała. Między doktorem Baturinem i hrabią Paurier doszło do rozmowy wyjaśniającej sytuację. Doktor niczego nie żądał. Hrabia niczego nie obiecywał.

* Kostia, wiem, że jestem winny wobec ciebie. Kocham twoją córkę i nie wiem, co jutro będzie z nami.

* Aleja wiem * odparł doktor, nie podnosząc oczu. * Jutro wróci twoja kupczycha i zabije ciebie i Sonię. A jeśli nie ona, to pijani dezercerzy nadzieją nas wszystkich na bagnety. Misza, ja co noc nie śpię. Wiem, że Sonia jest z tobą w przybudówce i nie męczy mnie to, że jesteś żonaty, a ona prawie dziecko. W tej chwili to nie jest takie ważne. Teraz to właściwie już nic nie jest ważne. Wczoraj przyjmowałem poród w

chłopskiej izbie. Tam była sepsa, zapłatanie w pępowinę, męczyłem się całą noc. Przed świtem ojciec rodziny otwiera drzwi i mówi: „Uważaj doktoru, jak będzie dziewczka, to cię podpalę”.

* I co się urodziło?

* Chłopiec * doktor uśmiechnął się. * Słuchaj, hrabio, a może nam się to wszystko śni?

Na początku sierpnia umarła babcia, Jelena Michajłowna Baturina. Po wizycie batiuszki wezwała do siebie syna i wnuczkę, pobłogosławiła ich i powiedziała bardzo wyraźnie:

* Wyjedźcie stąd.

* Dokąd mamy jechać, mamó? * spytał doktor.

* Gdziekolwiek.

W przycmentarnej stróżówce mieszkał dezertier, krewny stróża, mętnookie zwaliste chłopisko. Przyszedł popatrzeć, jak chowają starą panią, stanął bardzo blisko i bez przerwy słuwał pod nogi. Hrabia nie wytrzymał, zrobił krok w jego stronę i cicho, przez zęby wycedził:

* Paszoł won.

* Uważaj no, jasny panie, ty mnie nie wyzywaj * pogroził dobrodusznie dezertier * mam tu zgrabnom pukawkę z bagnecikiem. Zarazki cię na niego nadzieję, a władza ludowa mi tylko podziękuje i powie: „O jednego krwiopijcę będzie mniej”.

Hrabia już podnosił rękę, ale doktor miał szybki refleks, schwycił ją i szepnął po cichu:

* Uspokój się, Misza, zostaw go, tak nie można...

Następnego dnia Tichon Tichonowicz Boliakin przywiózł Irinę. Okazało się, że wysłała z wód kilka listów i telegramów, ale nic nie doszło. Poczta działała horrendalnie.

Szczuplejsza, pełna sił, odmłodzona hrabina chodziła po domu, zaglądała do każdego kąta. Rozpuszczona przez hrabiego służba przycichła i przez jakiś czas wydawało się, że nie tylko w Boliakino, ale i w całej Rosji wszystko jest jak dawniej. Pokojówka i kucharka całowały panią w rękę, stróż Fiodor kłaniał się i był trzeźwy.

W przybudówce hrabina znalazła szpilki do włosów i grzebień, należący do Soni, a później dowiedziała się od pokojówki, że pan nie nocował w domu, ale tam, pod okapem, od strony lasku widywano rower panny z Baturino. Słyszając to, pani hrabina zbladła tak, że aż usta jej zsiniały, ale nie odezwała się ani słowem.

* Musimy to przeczekać * oznajmił przy obiedzie ojciec Iriny * w Moskwie buntuje się szynkowa hołota, wieszają stójkowych na latarniach, nie istnieją żadne władze. Ale to nic, państwo to potężna machina, z woli Bożej wszystko się jakoś samo wyprostuje, bez względu na całe rewolucyjne awanturnictwo. To nie może długo trwać.

O zmierzchu Irina, w nowej różowej sukni, pojechała do sąsiadów. Tam, na werandzie, rozsiadła się na bujaku, wytarła chusteczką spoconą twarz, wzięła gazetę ze stołu i zaczęła się nią wachlować, ale tak mocno, że na wszystkich dokoła powiało chłodem. Opowiadała, jakimi dzikusami są mieszkańcy Kaukazu, o tym, jak straszna była podróż koleją, a potem, spojrzawszy z sympatią na Sonię, powiedziała:

* Proszę dziś przyjechać do nas na herbatę. Pokażę pani pamiątki, które przywiozłam. Kupiłam dwa perskie szale, srebrne dzbanuszki do picia i na kwiatki, konfitury gruzińskie z niedojrzałych włoskich orzechów, bardzo smaczne.

Przywiozłam trzy słoiki. Proszę przyjść, posiedzimy sobie jak to sąsiedzi. Wspomnimy pani babcię, Jelenc Michajłówną, niech jej ziemia lekką będzie. To była dobra kobieta.

* Dziękuję za zaproszenie * mruknęła Sonia.

* Czyli przyjdziecie państwo?

* Oczywiście, przyjdziemy * pospieszył z odpowiedzią doktor.

Herbatę pili w altance. Sonia, nie odrywając wzroku, patrzyła na drżący płomień lampy naftowej tak długo, że przed jej oczami popłynęły ogniste, pomarańczowe kółka. Hrabia pokornie i szybko jadł gruzińskie konfitury, których całą miseczkę postawiła przed nim małżonka. Jadł, ale nie czuł smaku.

Teść, Tichon Tichonowicz, opowiadał o tym durniu Kiereńskim, o kolejnej zmianie gabinetu, o rządzie, który tylko pozornie istnieje, a właściwie go nie ma.

* Ale największym kłamcą, najbardziej sprytnym i pozbawionym sumienia jest

Lenin. Za nim stoją niemieckie pieniądze, on kłamie bardziej cynicznie niż inni, a umiając kłamać, wie, diabeł wcielony, czym uwieść proletariacką tłuszczę. Te nieroby tylko by zajmowały się rozbojem, pili i żarli za darmochę. Rozdać fabryki robotnikom, ziemię chłopom, a oni będą grabić i zabijać. Jesteś proletariuszem i poza kajdanami nie masz co stracić. Wyjdź z wielkim kiścieniem na drogę.

kiścień * średniowieczna broń obuchowa, do Europy dotarła przez Ruś, od plemion koczowniczych. Składa się z drewnianego trzonka (30*40 cm) i umocowanego do niego, na łańcuchu lub rzemieniu, bijaka najczęściej w formie kuli najeżonej kolcami. Zezwalam. Jasne, że ci gołodupcy pójdą za tym, kto ich pobłogosławi na rozbój. Ale co będzie, kiedy wszystko zagrabione przeżrą, przepiją, wychędożą Rosję?

* A czemu pani, Soniu Konstantinowna, nic nie je? * spytała cicho hrabina. * Proszę chociaż spróbować. Moja miła, proszę mi nie robić przykrości.

* Dziękuję, już próbowałam, bardzo smaczne.

* Ale widzę, że pani miseczka jest całkiem pełna.

* W dzieciństwie Sonjusza była łasuchem * odezwał się doktor, osadzając papieros w cygarnicze * a teraz zupełnie ją odrzuciło od słodkiego.

* Kostia, daj mi papierosa * ochryłym głosem poprosił hrabia. Błysnęła zapalka i oświetliła jego twarz. Doktor spostrzegł, że hrabia jest strasznie blady. Oczy jakby się zapadły, usta posiniały.

* Źle się czujesz? * spytał szeptem.

* Nie... wszystko w porządku...

* Może masz temperaturę? * Doktor przyłożył dłoń do jego czoła. Czoło było lodowate i mokre. * Misza, powinienes się położyć. Coś z tobą nie jest w porządku. Chodźmy.

* Może się przejadł konfiturami? * rzucił teść.

Irina milczała rozparta wygodnie w fotelu. Jej twarz tonęła w mroku. Grube, mocne, opalone kaukaskim słońcem ręce wpiła w podłokietniki, aż pobieleły kostki na jej palcach. Patrzyła na Sonię.

* Tak, pójdę się położyć * powiedział hrabia jakimś dziwnym, nieswoim głosem * coś mnie wewnątrz pali.

Wstał, wyszedł z altanki, zrobił kilka kroków i upadł w mokrą czarną trawę. Doktor i Sonia rzucili się ku niemu. Irina siedziała nadal jak skamieniała. Udało im się jakoś go podnieść, doprowadzić do domu i ułożyć na kozetce, na werandzie.

* Biegnij do domu, obudź Siemiona, weź mój kuferek, jest w gabinecie, koło pieca. Szybko, Sonieczko, szybko... Ej, niech no kto mi da wody, jak najwięcej, całe wiadro... Co tam, wymarlicie wszyscy? Macie nadmanganian potasu? Gdzie pokojówka? Soniu, stój! Jadłaś konfitury?

* Nie.

* Na pewno nie? Ani łyżki?

Pokręciła przecząco głową i zniknęła w mroku, biegnąc przez lasek w kierunku Baturina.

Na werandę ciężko wkroczyła Irina, a za nią jej ojciec. Wyglądał tak, jakby przez tych kilka minut postarzał się, zgarbił. Patrzył to na umierającego, szybko i głośno oddychającego zięcia, to na córkę.

* Jego Wysokość przejadł się konfiturą * rzekła spokojnie Irina * a zapomniałam powiedzieć, że nie wolno ich dużo jeść. W niedojrzałych łupinach orzechów są szkodliwe substancje.

* Hrabia Michaił Iwanowicz Paurier został otruty arsenikiem * powiedział doktor * trzeba wezwać batiuszkę i policmajstra.

Rozdział 34

Na Wiaczesława Iwanowicza Butejkę nie trzeba było długo czekać. * Kapitan Kosickij usłyszał, jak na górze strzeliły drzwi i donośny kobiecy głos poinstruował: * Zrozumiałeś, Sława? Jeśli nie będzie borodińskiego, to weź żytni, ale w żadnym wypadku nie okragły. I nie zapomnij o aptece.

* Tak, Leluniu, zrozumiałem.

Butejko wyszedł z windy, niosąc w ręce płócienną torbę na zakupy; rozglądnał się bojaźliwie, jakby czuł czyjaś obecność w sieni, przebiegł spojrzeniem po twarzy Kosickiego, ale chyba go nie poznał.

* Panie Butejko * odezwał się cicho kapitan.

Starszy pan zastygł, łapiąc za klamkę i wolno odwrócił głowę.

* Przepraszam... o co chodzi?

* Chciał się pan ze mną spotkać.

* Ja? Z panem? A kim pan jest?

* Kapitan Kosickij.

* Przepraszam, ale ja pana nie znam.

W sieni było jasno. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Starszy pan spuścił głowę.

Pompon, na zrobionej na drutach czapce, lekko podskakiwał.

* Panie Butejko * odezwał się ponownie kapitan, kiedy razem wyszli na ulicę *
sprawa jest już przedawniona. Nie ma się pan czego bać, ale musi pan to
opowiedzieć, bo on będzie wciąż do pana przychodził, każdej nocy. Chce pan?

* Ja nie chcę iść do więzienia.

* A kto panu powiedział o więzieniu?

* Ja wiem, będziecie mnie namawiać, obiecywać, ale Lela mnie uprzedziła, że wam
nie wolno wierzyć. Pan jest milicjantem, a wszyscy milicjanci kłamią. Lela
powiedziała...

* A pan nie ma swojego rozumu? * spytał współczująco Kosickij.

* Lela powiedziała, a ja teraz jestem chory. Naprawdę jestem chory. Miałem zawał.
Najpierw muszę wyzdrowieć, a potem mogę odpowiadać na pytania obcych.
Przepraszam, ale muszę iść do spożywczego. Do widzenia.

* Panie Butejko, czemu pan nie zażywał lekarstw w szpitalu i chował je do słoiczka?

* No, przecież już mówiłem, nie mogę spać. A oni dawali mi proszki nasenne.

Tym razem Jelena Pietrowna Butejko wyglądała jeszcze bardziej pociągająco.

Wydawało się, że młodnieje z każdym dniem. Umiejętny, staranny makijaż, idealnie
ułożone włosy. I ubrana była niby po domowemu, ale nawet Ilia Borodin, który
niezbyt dobrze orientował się w damskich fataląszkach, zwrócił uwagę, że spodnie i
bluzka pochodziły z drogiego sklepu.

* Dzień dobry. Proszę wejść. * Jelena Butejko kokieteryjnie poprawiła włosy na

czole. * Proszę, przygotowałam dla pana kasety * wskazała ręką stół, na którym w

równych rządках stały pudełka z kasetami wideo.

* Dziękuję. * Zdziwiony Borodin kiwnął głową. * Jeśli pani pozwoli, to jednak je przejrzę, bo może są tu kopie tego, co wzięłem ostatnim razem.

* Mam pytanie: czy rzeczywiście są wątpliwości co do winy Anisimowa? Wydawało mi się, że wszystko jest jasne...

* Dla sądu wszystko musi być absolutnie jasne * mruknął śledczy * i, niestety, nie mogę na razie podzielić się z panią informacją, jak przebiega śledztwo. Proszę wybaczyć.

* No, ale ja jestem matką * przemówiła patetycznie * mam prawo wiedzieć, kto zabił mojego syna. * Widać było, jak trudno jej ukryć strach i zdenerwowanie.

Ze wszystkich sił chciała się przypodobać śledczemu, rozwiać jego podejrzenia. Przy każdym uśmiechu szczerze obdarowywała go widokiem śnieżnobiałych zębów, ale równocześnie jej oczy biegały na wszystkie strony i co chwilę zerkwały na zegarek. Kiedy rozległ się hałas jadącej windy, pani domu drgnęła i spąsowała.

A śledczy specjalnie grał na zwłokę, wyciągał każdą kasetę z pudełka, obracał ją w rękach, czytał i porównywał napisy.

* Przepraszam bardzo * wtrąciła gospodyni * czy nie mógłby się pan pośpieszyć? Muszę się położyć, źle się czuję.

* Tak, oczywiście.

Borodin powkładał kasety do dużej sportowej torby i ruszył ku wyjściu. Jelena Butejko wyraźnie się rozluźniła i westchnęła z ulgą. Gość otworzył drzwi, zrobił krok za próg i stanął.

* Oj, chyba zostawiłem okulary na stole. * Zamknął z powrotem drzwi i zdecydowanym krokiem wrócił do pokoju, spojrział na blat, a potem, wyjąwszy okulary z kieszeni płaszcza, założył je, popatrzył z roztargnieniem na kobietę i powiedział dobitnie: * Jednej tylko rzeczy nie mogę zrozumieć: jak pani mogła pozwolić dziecku zanieść do szkoły tak cenną rzecz, żeby pokazywał ją kolegom w klasie?

* Kopia... * wymamrotała Jelena Pietrowna Butejko, ledwie poruszając zbielełymi wargami. * Sława zrobił kopię na podstawie rysunku z katalogu... Tiomoczka miał

wtedy zaledwie dwanaście lat. Spodobała mu się historyjka z kurą. Sława lubił mu opowiadać o drogocennych kamieniach...

* Czego się pan tak boi? * któryś raz z rzędu zadał pytanie kapitan, spoglądając z góry na głowę Butejki w dziecięcej czapeczce.

Może tę czapeczkę nosił w dzieciństwie Artiom, a teraz donaszają ojciec? Oni rzeczywiście nie kupują nowych ubrań. Żyją bardzo oszczędnie, prawie w nędzy, chociaż ciężko uwierzyć, by nielegalnie działający jubiler, o tak wysokich kwalifikacjach, nie miał żadnych oszczędności. Przez wiele lat zajmował się wymyślaniem sposobów wywozu z kraju złota i kamieni szlachetnych. Robił dla kolekcjonerów wspaniałe kopie słynnej biżuterii. Jego prace znajdują się w Instytucie Mineralogii. Był chyba jedynym specjalistą w tworzeniu „sobowtórów” znanych drogocennych kamieni.

* Ja pana, oczywiście, nie mam zamiaru namawiać. Do widzenia. * Kapitan otworzył przed nim szeroko szklane drzwi sklepu spożywczego. * Niech pan wraca do swojej Leli.

* Chwileczkę * odezwał się cichutko Butejko. * Niech pan nie odchodzi. Ja zaraz wrócę.

Kosickij został na ulicy. Przez szybę obserwował, jak zgarbiony stary człowiek kupuje chleb, a po chwili wychodzi.

* Usiądźmy * powiedział, bez przerwy się rozglądając. * Chociaż tu nie ma gdzie. I zimno. Może chodźmy na to podwóreczko.

Rzeczywiście, za przychodnią dla dzieci stało kilka całych i czystych ławek. Siedli troszkę dalej od dwóch babć, które pilnowały swoich wnuków.

* On każdej nocy do mnie przychodzi * zaczął opowiadać Butejko nerwowym szeptem, ale tak cicho, że kapitan musiał się przysunąć do niego bardzo blisko. * Ale najgorsze jest to, że wciąż nie mogę zrozumieć, co się wtedy z nami stało? Niech pan nie dymi na mnie. Nie znoszę dymu. Jestem chorym człowiekiem. I niech pan wyjmie lewą rękę z kieszeni. Muszę się przekonać, że nie ma pan dyktafonu.

* Przepraszam. * Kapitan zgasił papierosa i pokazał ręce. * Nie mam dyktafonu.

* Dziękuję... Lela mnie uprzedzała... * Uśmiechnął się nerwowo i skrzywił twarz. *

Oprócz niej, ja nie mam z kim o tym porozmawiać. Ona mi nawet zabrania o tym myśleć. Ciągłe powtarza, że do niczego takiego nie doszło. Początkowo myślałem, że to halucynacje. Tyle razy widziałem tę broszę, własnymi rękami skopiowałem ją z rysunku w katalogu. Najpierw tak, dla siebie, chciałem oddać jej piękno, a zamówienie na kopię dostałem później, znacznie później, i sprzedałem ją.

* Komu? * spytał ostrożnie Kosickij.

* Niech mi pan nie przerywa! * wykrzyknął stary i podskoczył, jakby go poraziło prądem. Kapitan lekko przytrzymał go za rękę.

* Przepraszam. Więcej nie będę.

* Ja wiedziałem wszystko na temat tego kamienia, a tu nagle ten pijanica Kuzia, takie ludzkie badziewie, rozwija brudną szmatkę, a tam brosza hrabiego Paurier.

Prawdziwa, żadna podróba, a to ja mogę stwierdzić jednym rzutem oka. Rozwija i pyta: „Ile pan za to da? To droga rzecz, spadek po kimś”. On mi będzie objaśniał, że to droga rzecz i w dodatku, że to spadek! W pierwszej chwili pomyślałem, a może to jakiś nieślubny syn hrabiego? Nie no, bez sensu. Hrabia nie miał żadnych dzieci. A sprawa była bardzo prosta. Dziadek tego Kuzi, chłop z podmoskiewskiego sowchozu „Bolszewik”, postanowił na swojej działce przyzagrodowej usunąć resztki pańskiej altanki. To było gdzieś na początku lat trzydziestych. Zaczął kopać i wykopał starą szkatułkę. A tam brosza z kamieniem. I sowchoźnik Kuźniecowa, który miał wtedy dwadzieścia pięć lat, uznał, że ta szkatułka przyniesie mu szczęście. Była taka piękna i niezwykła, że odechciało mu się dalej niszczyć altankę. Zbudował dom w innym miejscu, a broszę schował, nikomu nie pokazywał; dopiero na starość dał synowi i zobowiązał go, żeby wnukowie ją strzegli i nie sprzedawali. Po wojnie rodzina przeprowadziła się do Moskwy, a tamte tereny stały się podmiejskim letniskiem. Ostatni z Kuźnieców, ten właśnie Kuzia, rozpił się i na niczym mu nie zależało. Brosza z „Pawłem” okazała się jedyną rzeczą, którą mógł sprzedać. No i zaczął chodzić po sklepach, ale cały czas się bał, że pomyślał, iż broszę ukradł. Kiedy podszedłem wtedy do niego, na podwórku naszego sklepu, to się wreszcie zdecydował sprzedać. Ale widać potem przemyślał sprawę i jak zaczął nam opowiadać rodzinną legendę, to się tak rozczulił, że oświadczył, iż chyba jednak nie

będzie sprzedawał, i tu macie wasze pieniądze i oddajacie mi moją broszę. A to wszystko było w Srebrnym Borze*, w zacisznym, odludnym miejscu. Zaprosiliśmy go wtedy na szaszłyki, mieliśmy uczcić zakup. Wieczór był duszny, wypiliśmy i kiedy Kuzia zaczął marudzić, stękać, żądać, żebyśmy mu oddali broszę, to nasza cierpliwość się wyczerpała. Ja się na niego rzuciłem, przewróciłem go, Lela nałożyła mu na głowę worek plastikowy. .. Kiedy do nas dotarło, co zrobiliśmy, odciągnęliśmy trupa w krzaki, zorientowaliśmy się, że nikt nas nie widział i żywa dusza nie wie, co się stało. Lela zaraz mi powiedziała: zapomnij. Nic nie było. Ale ja nie mogłem. Codziennie, każdej nocy on do mnie przychodzi. A teraz zabrał Artioma. Lela mówi, że trzeba dalej żyć. Jak się to wszystko skończy, to wyjedziemy.

* Co się skończy?

* Śledztwo, sąd.

* A gdzie macie zamiar wyjechać?

* Chyba za granicę. Ja muszę myśleć o swoim zdrowiu. Muszę się leczyć i wtedy on przestanie do mnie przychodzić. * Podniósł głowę, spojrzał na kapitana zupełnie innymi, jasnymi i pustymi oczami.

* Gdzie jest ta brosza?

* Jaka brosza?

* Niech pan przestanie * skrzywił się Kosickij * ma ją pan w domu, w jakiejś skrytce? Kto zamówił i kupił od pana tę kopię? Kto i kiedy?

* To teraz do apteki * powiedział Butejko, rozglądając się dokoła, jak ktoś, kto dopiero się obudził w nieznanym miejscu. * Tam potrzebna jest recepta...

* Odprowadzę pana.

* Dziękuję.

Szli w milczeniu. Kapitan znów przytrzymał mu drzwi i poczekał na ulicy.

* Mogę zobaczyć te lekarstwa? * spytał ostrożnie, kiedy Butejko wyszedł.

Zajrzał do paczuszki. Haloperidol i seduxen w tabletkach, aminazin w ampułkach, trzy opakowania z jednorazowymi strzykawkami.

haloperidol, seduxen, aminazin * leki uspokajające.

* Lela robi panu zastrzyki?

* Tak. Umie, wcale nie boli.

* Dawno?

* Drugi rok.

* A kto wypisuje recepty?

* Ona. Lela. Ma wszystkie blankiety z pieczętkami. Przecież pracowała w rejonowej przychodni. Jest lekarzem neuropatologiem. Trzy lata temu przeszła na emeryturę ze względu na stan zdrowia. Ale, tak naprawdę, to jest zdrowa, po prostu nie chciała pracować za darmo.

* Rozumiem. A pomysł wyjazdu powstał teraz, po śmierci Artioma, czy wcześniej? Butejko zatrzymał się tak gwałtownie, że o mało nie upadł. * Jaki pomysł? Gdzie pojechać?

Rozdział 35

Rozmasowując krzepkie, napompowane cielsko kolejnego klienta, Wowa myślał o tym, że już niedługo ta robota się skończy i zacznie się prawdziwe życie. Klim tym razem przyjechał na długo i na poważnie, no i ma wielkie plany.

Klient był przyjezdny, z Surgutu. Przedstawił się jako Piotr Piotrowicz. Miał około trzydziestu lat. Postępując z zadowolenia, opowiedział Wowie o swoim problemie: musi w szampański sposób przepuścić w ciągu trzech dni pięć tysięcy zielonych. Młody, krzepki i, sądząc z wyglądu, całkiem zdrowy, opowiedział Wowie, że ma chroniczne wrzody, dlatego restauracyjne szaleństwa, niestety, nie dla niego. Nie pije, nie pali, nie gra w gry hazardowe, bo nie wolno mu się denerwować. Instytucje kulturalne w rodzaju Teatru Wielkiego czy sali koncertowej typu „Rossija” działają na niego usypiająco.

* Pozostają mi tylko panienki * westchnął Piotr Piotrowicz, przewracając się z pleców na brzuch. * Ale gdzie tu w Moskwie znaleźć jakieś fajne sztuki?

* No tego dobra mamy po uszy * odparł Wowa, stukając kostkami dłoni krągłe, bezwłose uda klienta. * We wszystkich gazetach są miliony ogłoszeń: „Relaks, sauna*lux”.

* Nie mam zaufania do gazet. Ma być czysto i pięknie. Żeby można było nie tylko pojechać, ale i pogadać o życiu.

* Jest takie specjalne biuro, tam są dziewczyny do towarzystwa. Ekstra klasa, fotomodelki, znają obce język, można pogadać, o czym się chce. Gdzie problem? * dziwił się Wowa.

* Ale jakie mam gwarancje? Zrozum, człowieku, ja nie chcę ot tak, prosto z ulicy. A jeśli w takiej agencji siedzą żule? Potem się okaże, że ta fotomodelka to złodziejka albo szpieg? Ja mam solidną firmę, dokumenty, kontrakty, rozmowy. Wiadomo, że w naszych czasach bardzo łatwo się otrzeć o kryminał.

Wowa był już zmęczony i fizycznie, i psychicznie. Kompletnie nie rozumiał, czego właściwie chce ten przygłup, który za pięć tysięcy baksów nie potrafi sobie znaleźć w Moskwie panienek.

* Ta wasza firma wygląda na solidną, drogą * ciągnął Piotrowicz. * Widać klientami są ludzie poważni. No to powiedz mi, człowieku, gdzie oni się bawią? Na pewno są w Moskwie takie miejsca dla elity, no, jakieś kluby, do których nie wpuszczają po kolei, jak leci. Jakaś podmiejska willa, basen podgrzewany i żeby równocześnie obsługiwały cię dwie ślicznoty.

* Jasne, że są...

* A czy wśród twoich klientów są tacy, którzy mogą mi coś takiego zorganizować? Rozmowa zaczęła się robić dziwna, niekonkretna, a Wowa tego nie lubił.

* Tego się w ten sposób nie załatwia. Widzę pana pierwszy raz i chyba lepiej powiedzieć konkretnie, o co panu chodzi? Wtedy bym zrozumiał. A pan ciągle kręci, jakieś aluzje...

* Człowieku, robisz masaż, pracujesz w solidnej firmie, a taki jesteś niekumaty. A wasz kompleks polecali mi ludzie, co się znają na rzeczy.

* Można wiedzieć konkretnie, kto polecał?

* Powiem, człowieku, ale najpierw ty powiedz: możesz mi pomóc czy nie? Poznaj mnie z kim trzeba, to ja ci powiem, kto polecił. Słuchaj, mam mało czasu.

* Z kim mam poznać? Z panienkami?

* Aleś ty, cholera, tępy! * zdziwił się Piotrowicz. * Na diabła mi twoje dziwki! U nas,

na Syberii, mamy swoje i sto razy lepsze niż wasze, moskiewskie. * Mówiąc to, podniósł się tak energicznie, że niewiele brakowało, a głową rąbnąłby masażystę w zęby. Przywołał go palcem do siebie. Wowa nachylił się ku niemu i usłyszał szept: * Chcę kupić spluwę.

* Aha, żelazo. Trzeba było od razu mówić. Ile trzeba?

* Tylko jeden numerowany gnat. Ale z instruktorem.

* No to czemu pan zaczął od panienek?

* O babach zawsze miło pogadać, nie? Szczególnie z sympatycznym człowiekiem. Ale jeśli się co do ciebie pomyliłem, wrośniesz w beton * wycedził przyjezdny tak cicho, jakby głośno myślał, i natychmiast zarechotał, patrząc przyjaźnie na Wowę szarymi, przezroczystymi oczami. * Żartuję przecież. Rozumiesz? Czyli tak.

Widzimy się jutro wieczorem, o siódmej.

Wieczorem Wowa zadzwonił do Klimy. Za godzinę spotkali się w środku parku Izmajłowskiego, w odludnym miejscu. Wowa nie rozumiał, do czego Klimowi potrzebna jest taka konspiracja, dlaczego nie mogą po ludzku usiąść i zjeść kolację w jakiejś knajpce.

Tym bardziej, że pod wieczór pogoda znów się popsuła. Zaczęło wiać, gołe drzewa kiwały się powoli, trzeszczały pnie, w kręgach światła rzucanych przez lampy trochę strasznie i dziwacznie poruszały się cienie gałęzi. Niebo poczerniało, jakby za chwilę miała rozpętać się śnieżycyca. Wowa zmarzł na kość i już zaczął podejrzewać, że Klim albo go olał, albo coś mu nagle wyskoczyło. Zmarzniętymi palcami wyjął z kieszeni kożucha radiotelefon i w tym momencie, w świetle nielicznych lamp, zobaczył znajomą sylwetkę.

* No mów, co tam masz * powiedział Klim, nie witając się.

Wowa przekazał mu treść rozmowy z facetem z Surgutu, słowo w słowo.

* No, tak. Sądząc po tym, jak cię cwanie sprawdzał, to facet ma łeb * skwitował Klim, wysłuchawszy uważnie Wowę do końca.

* Ma łeb! * prychnął Wowa. * Już miałem mu powiedzieć, żeby mnie w dupę pocałował, słowo honoru. Tak mnie skołował, pierdoł naopowiadał.

* Przyzwyczajaj się * Klim poklepał go lekko po ramieniu. * Prosto z mostu nikt nie

nie zamawia, a gdyby chciał, to trzeba się od niego jak najdalej trzymać. Ale w sumie załatwiłeś okej.

Rozmawiali, brnąc w głębokim śniegu. Wowie z zimna ząb na ząb nie trafiał, a Klim szedł w rozpiętym płaszczu, bez szalika, bez rękawiczek, jakby to było lato.

* Czyli tak * mówił Klim, zastanawiając się. * Zadzwoń Piotr Piotrowicz, spotykasz się z nim. Najpierw niech powie, kto mu polecił, żeby się z tobą skontaktował.

* A jak nie powie?

* Targuj się. Powinien ustąpić.

* A jeśli nie będzie się chciał targować? Szkoda, żeby sprzed nosa uciekło nam fajne zamówienie. Sam mówiłeś, że teraz pół Moskwy to pojedynczy bezrobotni strzelcy wyborowi, plus tacy, którzy pracują grupowo. Pięć tysięcy to z pewnością albo zadatek, albo dla mnie, za pośrednictwo.

* Nie chce nikogo z grupy * dalej zastanawiał się na głos Klim. * Czyli nie chce się wiązać z żadną grupą. Powiadasz, że nie ma nic wydzierganego?

* Czysty * pokiwał głową Wowa. * Nie wygląda na błatnego.

błatny (ros.) * żargonowe określenie kryminalisty.

Raczej na faceta z kupą szmalu, do którego jeszcze się nie przyzwyczał. Może na razie ma więcej pretensji niż pieniędzy. Zacznie się nadymać, wymądrzać, pójdzie sobie, i cześć.

* Poczekaj no, nie bądź taki psycholog * skrzywił się Klim. * Nigdzie nie pójdzie.

On już się wysypał przed tobą, więc spoko. Wyciągnij z niego wszystko, co się da, i potem z tym do mnie.

* Całą sumę z góry? * Wowa wytrzeszczył oczy. * Co ty, Klim?

* Wowa, ty naprawdę jesteś idiota * Klim pokiwał głową z politowaniem. *

Zapamiętaj, żeby zarobić sporo szmalu, nie można tylko wciąż o tym myśleć.

Informacje z niego wyciągnij, informacje. Zrozumiałeś? Nazwisko zamawiającego, fotografię, dobrze by było mieć numery telefonów, adresy i w ogóle wszystko, co trzeba.

* A forsa? * wypalił Wowa zupełnie machinalnie. On i tak w tej chwili potrafił tylko o niej myśleć.

* Mówię * spoko! Da ci swoją zaliczkę * śmiał się Klim.

Oczy Wowy na moment zrobiły się całkiem przezroczyście, wymamrotał coś niezrozumiałego, zapalił papierosa, potem nagle podskoczył do Klimy i wlepił w niego przestraszony wzrok:

* Słuchaj, a takie pięć kawałków to rzeczywiście normalna zaliczka?

* Na razie nie wiem.

* A jak to można sprawdzić?

* Już ci sto razy tłumaczyłem * skrzywił się Klim * że suma zależy od tego, kim jest klient i ile ma się o nim informacji.

„Być może kamień znajdziemy o wiele szybciej niż mordercę * pomyślał Ilia Nikitycz Borodin. * Wystarczy przeprowadzić rewizję w domu Butejków. No ale to trochę później. Teraz nie wolno się dekoncentrować. Nie można bez końca trzymać Anisimowa w szpitalu. Ilość »statystów« nam rośnie, a czegoś konkretnego jak nie było, tak nie ma”.

Włączył wideokasetę podpisaną „Sokołów”.

* Zobaczymy, co to za nowa postać * mruknął do siebie, sadowiac się wygodniej na kanapie.

To była rejestracja starego programu pod tytułem „Stop*Klatka”.

Na ekranie pojawiła się wielka sala widowiskowa, wypełniona nastolatkami.

Wrzeszczeli, gwizdali, dziewczyny włożyły chłopakom na ramiona, machając rękami do półgołego chłopaka, który rzucał się po scenie z mikrofonem i imponująco potrzasał długimi, gęstymi włosami.

„* Sukces na estradzie to rzecz kapryśna i nieprzewidywalna”, rozległ się za kadrem wysoki głos Artioma Butejki.

Śledczy zwrócił uwagę, że skandalizujący reporter po raz pierwszy mówi poważnie, bez ironii i szydzenia.

„* Rzadko komu w tym skomplikowanym świecie popkultury powiodło się tak, jak temu przystojnemu i utalentowanemu chłopcu”, ciągnął Artiom, stopniowo zagłuszając swoim sympatycznym głosem ryk dochodzący z sali.

Na ekranie pojawiła się twarz piosenkarza.

Przyszłaś taka śmieszna, Przyszłaś taka grzeszna. Twoje oczy jak czarne otchłanie
Jeszcze dziś przed sobą mam.

Chłopak miał słabutki głos, śpiewał z przydechem. Sala zagłuszyła pierwszą zwrotkę
wrzaskiem zachwytu. Kamera przejechała po dziewczęcych twarzach. Wiele z nich
płakało.

„* Rusłan Kudimow prawie od razu, od pierwszego pojawienia się na scenie, podbił
nie tylko serca publiczności, lecz zdobył uznanie najbar
dziej szanowanych kolegów z branży. Gwiazdy przyjęły go do swojego grona”,
komentował poważnym i ciepłym głosem reporter.

Zamiast sali widowiskowej był teraz jakiś hol w marmurach. Potem twarz znanego
kompozytora:

„* Ten chłopak wzniósł się na firmament naszej estrady jak świecąca kometa. Taki
talent nie mógł zostać niezauważony.

* Rusłanczik jest po prostu cudowny, za każdym razem, kiedy słyszę jego głos, nie
jestem w stanie powstrzymać łez”, oświadczyła starzejąca się diwa i z holu w
marmurach posłała do kamery pocałunek.

Następnie kamera przeniosła się na Stary Arbat. Niewidzialny Butejko zatrzymał
dwie czternastolatki.

„* Podoba wam się Rusłan Kudimow?

* Ubóstwiam go! Nagrywam wszystkie jego koncerty!

* Kiedy słyszę jego głos, kiedy go widzę, to coś się ze mną dzieje”.

Na ekranie znów pojawiła się twarz Rusłana Kudimowa. Tym razem sfotografowano
go przy stole bankietowym, w restauracji. Śmiał się i podnosił kieliszek do ust.

Stop*klatka.

„* Przyjrzyjcie się dokładnie twarzy Rusłana i zapamiętajcie go takiego właśnie,
przystojnego, wesołego * głos Butejki za kadrem był bardzo poważny. * Tak
wyglądał jeszcze tydzień temu. Świętowaliśmy wówczas jego urodziny”.

Akcja toczyła się dalej. To był amatorski filmik. Na ekranie, wśród jedzących i
pijących gości, mignęła twarz Aleksandra Anisimowa. Kamera tańczyła w rękach
operatora. Najprawdopodobniej był nim sam Butejko, ponieważ nie pojawił się

wśród gości.

„* To był dzień jego urodzin. Zaprosił najbliższych przyjaciół * dalszy komentarz * być może ktoś z nas wypił troszkę za dużo, ale święto, to święto. A teraz patrzcie uważnie”.

Na ekranie pojawiła się śliczna dziewczyna. Śmiała się z odchyłoną do tyłu głową. Była bardzo pijana, a może i naćpana. Nagle wskoczyła na stół i zaczęła tańczyć, zrzucając na boki to, co było na obrusie.

„* To przyjaciółka jednego z gości * kontynuował spokojnie Butejko. * Trzeba przyznać, że zachowywała się niekulturalnie, ale tak postępować z kobietą nie wolno!”

Stop*klatka.

Widać, jak kelner i szef sali próbują ściągnąć dziewczynę ze stołu. Na tylnym planie majaczy twarz piosenkarza. Usta ma otwarte. Kiedy taśma ruszy do przodu, okaże się, że on krzyczy.

Potem kadry zaczęły się przesuwać z niesłychaną szybkością. Piosenkarz rzucił się z pięściami na kelnera i szefa sali.

„* Tak, Rusłan wystąpił w obronie dziewczyny, czyli zachował się jak prawdziwy mężczyzna. * tłumaczył Butejko. * Teraz jeszcze można wszystko załatwić pokojowo, wszystko może rozstrzygnąć rozmowa”.

„Oj, już chyba nie * pomyślał śledczy, obserwując rozwój akcji. * Wszyscy są za bardzo pijani”.

„* A teraz już nie”, dobiegł głos Butejki.

W kadrze pojawia się kilku milicjantów. Spokojnie i profesjonalnie starają się zaprowadzić porządek. Skacząca kamera uchwyciła na moment szeroką, ponurą twarz jednego ze stróżów porządku.

Stop*klatka.

„* Przyjrzyjcie się tej twarzy. Przed wami kapitan milicji Wasilij Sokołow. A teraz po raz ostatni spójrzcie na Rusłana”.

Jego zastygła twarz była rzeczywiście nie z tego filmu. Widać było, że ujęcie wklejono później. Liryczna zaduma, starannie ułożone włosy kompletnie nie

pasowały do pijackiej awantury. Chyba wykorzystano jedno z jego reklamowych zdjęć. Po chwili akcja przeniosła się znów do restauracji. Piosenkarz bił się z milicjantem. Ciężka pięść kapitana uniosła się w górę. Znow stop*klatka. Zgięty Kudimow zasłania twarz rękami. Jeszcze jedno uderzenie. Zbliżenie na skrwawioną, rozbitą twarz.

„* Karetka zabrała Rusłana do szpitala. Ma przed sobą kilka operacji plastycznych * mówi Butejko. * A kapitanowi Sokołowowi nic, poza naganą, nie grozi”.

Koniec amatorskiego filmu. Akcja zapisu programu przenosi się do studia telewizyjnego.

„* Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć * odezwał się jeden z prowadzących program po długiej, dwuznaczej pauzie. * Są wśród nas goście: autor reportażu, Artiom Butejko, i świadek tego okropnego wydarzenia, Aleksander Anisimow.

* Wiecie państwo, kiedy opowiada się okropne historie o naszej milicji, to wydają się być mocno przesadzone. Wszyscy słyszeliśmy, że biją na posterunkach, biciem wymuszają przyznanie się do winy. Kiedy człowiek uzmysłowi sobie, że nikomu z nich za takie coś włos z głowy nie spadnie, to ręce opadają * zaczął refleksyjnie Butejko.

* Z początku nie wierzyłem własnym oczom * odezwał się Anisimow.

* Do głowy mi nie przyszło, że można po prostu zmasakrować komuś twarz. I to właściwie za nic, ot tak sobie, ponieważ ty jesteś milicjantem i ty masz władzę.

* Przepraszam cię, Sania, mamy telefon * przerwał mu prowadzący.

* Tak, słuchamy.

* Ja bym zabiła tego milicjanta * rozległ się podniecony dziewczęcy głos. * Jak długo mamy coś takiego znosić? To są jakieś zwierzęta, robią, co chcą”.

Jeden po drugim dzwoniły telefony. Widzowie byli jednomyślni w swoim oburzeniu. Śledczy Ilia Borodin obejrzał kasetę do końca. Przypomniało mu się, jaki to był skandal przed trzema laty. Oczywiście, ten program wywołał falę krytyki. Ze sprawy kapitana Sokołowa zrobiono coś w rodzaju pokazówki. Akurat wtedy kolejny raz zmieniły się władze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zaczynała się następna kampania przeciw nadużyciom. Sprawa miała rezonans na wysokim szczeblu i

kapitan był kozłem ofiarnym. Chyba dostał trzy lata. Trzeba to będzie sprawdzić. Na lotnisku Szeremietiewo 2, nie wychodząc ze strefy międzynarodowej, Liza zobaczyła ich obu w tej samej chwili, męża i Jurę. Czekaając na bagaż, podeszła do szyby. Mąż uśmiechał się do niej wesoło i machał ręką. Jura palił papierosa przy drugim wyjściu i również patrzył na nią. Liza pokazała mężowi na migi, że jeszcze nie ma bagaży. Odwróciwszy głowę, spotkała wzrok Jury. Zrobiła krok do tyłu, próbując schować się w tłumie, i wolno ruszyła ku drugiemu wyjściu, gdzie Jura wlepił oczy w szybę.

* Kocham cię * powiedział bezdźwięcznie.

Zdjął okulary. Jego oczy zrobiły się jeszcze smutniejsze, a spojrzenie bardziej bezbronne i zagubione. Przed chwilą myślała, że zjawił się tutaj z przekory, chcąc dokuczyć jej i mężowi, ale w tej chwili złość się ulotniła i zrobiło się jej przykro. „Przecież on naprawdę mnie kocha. Jest sam, nie ma nikogo poza szczeniakiem, dobermanem, suczką, którą nazwał Lota i kupił ją bardziej dla mnie niż dla siebie. Kto jest winien, że tak się stało? Gdyby spotkał inną, niezamężną, to miałby normalną rodzinę”.

Liza z uśmiechem powtórzyła, również bezdźwięcznie, takie samo wyznanie, a potem dodała:

* Jedź już, proszę.

Zrozumiał i przecząco pokręcił głową. Nagle w jego oczach dojrzała coś, jakby strach albo niemile zdziwienie. Odwróciła się i zobaczyła Krasawczenkę.

* Już są bagaże * powiedział głośno. * Proszę, pani walizka. A to, jak sędzę, Jura? Ten sam, za którym się pani tak stęskniła w Kanadzie? No cóż, miło mi będzie go poznać. Muszę jednak przyznać, że pani ślubny znacznie lepiej się prezentuje * uśmiechnął się szeroko do zaskoczonego Jury i nawet pomachał mu ręką. * Lizo, mogłaby mi pani podziękować. Zdjąłem pani walizkę z transportera, załadowałem do wózka, a pani nawet mi nie odpowiedziała, czy zaprosi mnie do programu, czy nie? O, pardon, widzę, że nie ma pani teraz głowy do mnie. Nadchodzi mąż. Wspaniała scena!

Ale wspaniała scena nie wyszła. Jura zniknął w tłumie i Krasawczenko rzucił się do

wyjścia. Liza zdała sobie sprawę, że czeka ją wiele nieprzyjemności.

Kiedy przeszła przez odprawę celną i pocałowała męża, usłyszała za plecami podniecony szept:

* A ja ci mówię, że to ona! Na pewno ona!

Mąż załadował walizkę do bagażnika, Liza obrzuciła wzrokiem zadatkowane auta i zobaczyła w oddali granatowego opla Jury. Obok samochodu stał on i Krasawczenko. Obaj palili papierosy.

* No już, wsiadaj, jedziemy * powiedział mąż. * Nadjusza na twój przyjazd upiekła pizzę. Nie wiem, jak jej to wyszło... A Witia przyprowadził wczoraj koleżankę. Ma na imię Ola, bardzo ładniutka, a najważniejsze * niewymalowana, bez rożków i kopyt.

* Co masz na myśli?

* No jak to? One teraz wszystkie wyglądają jak siła nieczysta. Na głowie skręcają sobie z włosów takie jakieś cudeńka, jak rożki, a na nogach mają kopyta, wysokie na pół metra, i biegiem na sabat, żeby tam podrygiwać w napadzie trzęsionki. Nadjusza też domaga się butów na platformach. Powiedziałem, że po moim trupie.

Wyjeżdżając z parkingu, przejechali tuż obok opla. Jura siedział za kierownicą i trzymał w ręku jakąś książkę.

„Akurat, książka... * pomyślała Liza. * To jest pudełko z kasetą wideo.

Krasawczenko zdążył zamówić kopię, i to zapewne niejedną".

Radiotelefon zadzwonił, kiedy była w łazience. Mąż podał jej aparat przez uchylone drzwi.

* Odbierzesz? Czy mam powiedzieć, że nie możesz podejść?

* Obiorę, dzięki.

* Co to jest, Lizo? * usłyszała zduszony, przejęty głos. * Jak coś takiego mogło się stać?

* Jesteś przekonany, że to ja? * spytała cicho. * Przyjrzałeś się dokładnie?

* Tak* roześmiał się nieprzyjemnie * obejrzałem bardzo dokładnie. * Jura, posłuchaj, ale spokojnie i bez emocji. Problem w tym, że ja nic takiego nie pamiętam. Ktoś zastukał do drzwi.

* Mam, szybko wyjdiesz? * spytała Nadjusza. * Papa i Witia nie mogą się podzielić

swetrami, obu podoba się ten z ciemnym wzorkiem, a rozmiar mają taki sam. I jedzenie stygnie.

* Tak, malutka, zaraz! * odkrzyknęła Liza, przykrywając telefon dłonią.

* Ja rozumiem, że nie mam do ciebie żadnych praw. * W słuchawce słychać było ciężki oddech. * Zrozum, jak mnie to boli. Mówiłaś przez telefon, że cię szantażują, ale wybaczone, prowadząc taki tryb życia, nietrudno nadziać się na szantaż.

* Jura, co ty pleciesz? Jaki tryb życia?

* Słuchaj, przynajmniej sama siebie nie oszukuj. Trudno, stało się. W końcu, każdemu się może przytrafić. * Głos był smutny. * A ja, stary idiota, na coś liczyłem.

* Jura, przestań. Przyjadę, to porozmawiamy. Proszę cię, nie bierz tego tak poważnie.

* Wybaczone, ale jestem człowiekiem staromodnym. Do czegoś takiego nie potrafię się odnosić spokojnie.

* Czyli nie dopuszczasz takiej myśli, że to nie ja jestem na tej kasecie?

* Jeszcze nie zwariowałem. To jesteś ty, Lizo. I widać, że czujesz się tam wspaniale! Znów zapukano do drzwi.

* No, długo jeszcze, mamciu? * Witia był wyraźnie niezadowolony. * Nadia już drugi raz grzeje pizzę.

* Tak, Witusza, już wychodzę... Jura, bardzo cię proszę, uspokój się, jutro przyjadę do ciebie, po programie. Muszę wreszcie też zobaczyć tę kasetę.

W odpowiedzi usłyszała przerywany sygnał.

Rozdział 36

W sierpniu 1917 roku żadnych urzędników policji już w Rosji nie było. Jedyne jakaś milicja ludowa, ale gdzie jej szukać, do kogo się zwrócić, nikt nie wiedział.

* Jeszcze tego brakowało, żeby przez konfitury takie nieszczęście. Kto ich pojmie, tych ludzi z Kaukazu * mrucał Tichon Tichonowicz. * Mówiłem, niebezpiecznie kupować na ich brudnych bazarach. Przecież mogli trzymać te przeklęte konfitury w piwnicy, gdzie są szczury. Truli je i arszenik dostał się do słoika.

* Tak * bezbarwnym głosem odezwała się z ciemności Irina. * Tam jest pełno

szczurów. Wiem o tym. Widziałam.

* No właśnie, o tym mówię * pokiwał głową kupiec. * Przez przypadek wszystko się mogło dostać do słoika. Różne rzeczy się zdarzają. Poza tym ja przecież też jadłem konfiturę. I pan, doktorze, i pańska córka. Wszyscy jedliśmy.

* Niechże pan przestanie * doktor machnął ręką. * Kogo chce pan oszukać? Jeden słoik hrabina Paurier otworzyła sama i z niego wyłożyła konfitury na miseczki małżonka i Sonii. Właśnie tam był dodany arszenik. Kiedy siedliśmy do stołu, hrabina podsunęła im obojgu miseczki, a inni, to znaczy pan i ja, sami nabieraliśmy konfitury z dużej wazy. Wszystko jest bardzo proste, Tichonie Tichonowiczu, i wszystko zostało już wcześniej przemyślane.

* Co przemyślane? Przez kogo? * nie poddawał się kupiec. * Jak pan może coś takiego mówić? Wstydu pan nie ma? Czy moja Irina była*

by wrogiem samej siebie? Po co miałyby zostać wdową w takich niebezpiecznych i strasznych czasach? Słuchaj pan, doktorze, a może Jego Wysokość, tego... sam postanowił, w ten sposób... No, rozumie pan, o czym ja...? Już od jakiegoś czasu obserwowałem u niego pewne dziwactwa... To jego zamiłowanie do samotności, do malowania obrazków... A panu, doktorze, zapłacę za kłopoty. Przyzwóicie zapłacę. Nie ukrzywdzę.

* Panie Boliakin, niech pan stąd odejdzie, bardzo pana proszę. Niech pan idzie gdziekolwiek i zabierze stąd swoją córkę, bo nie ręczę za siebie * wycedził przez zęby doktor.

* A to ciekawe, dokąd miałbym stąd iść? * zapiszczała histerycznie Irina. * Jesteśmy w swoim domu i niech się pan tu nie rządzi.

* Ależ głupie babsko * pokręcił głową kupiec. * Proszę jej wybaczyć. Wiadomo, teraz jest w szoku. Chodźmy, dość się nakrzyczałaś, powinnaś się położyć. * Wziął córkę za łokieć i poprowadził do sypialni.

Sonia wróciła po pół godzinie. Razem z felczerem Siemionem przywiozła powozem batiuszkę.

Hrabia umierał długo i w męczarniach. Doktor Baturin starał się, jak mógł, złagodzić jego cierpienia, robił mu zastrzyki z morfiny. Przed świtem, tuż przed agonią,

umierający otworzył oczy i coś wyszeptał. Sonia nachyliła się ku jego wargom.

* Sonieczko... brosza... nie oddaj nikomu, zostaw sobie, to wszystko, co mam...

* Jaka brosza, Miszeńko? O czym ty mówisz?

* Mojej babki brosza z brylantem... nie oddaj im... Dziewczyna wzięła jego twarz w dłoń, spojrzała mu głęboko w oczy

i ledwie dosłyszalnie powiedziała:

* Miszeńko, ja będę miała dziecko. Twoje dziecko. Bardzo cię kocham.

Doktor tego nie słyszał, bo akurat wyszedł do ogrodu zapalić papierosa. Kiedy wrócił, hrabia już nie oddychał.

Dwa dni po pogrzebie w Baturino zjawił się Tichon Tichonowicz w drogim, prosto spod igły, angielskim garniturze, tak białym, że aż raziło w oczy, w błyszczących, białych sztybletach i z mahoniową laseczką w ręce.

sztyblety * krótkie buty męskie z wszytymi po bokach cholewki kawałkami gumy. Wyglądał nieco dziwnie na tle zaniedbanego ogrodu. Za jego plecami sterczała wielka sylwetka nieodłącznego, milczącego towarzysza, szofera Andriuchy, który trzymał ogromny bukiet purpurowych róż.

* Czemu zawdzięczam tę wizytę? * mrukliwie spytał doktor Baturin.

* Ot, przyszedłem wyrazić panu wdzięczność za trud * chrząknął i wyjął z kieszeni czerwony aksamitny futerał owalnego kształtu, który miał na wieczku coś w rodzaju złotego fantazyjnego herbu. * Ponieważ pieniądze nie mają teraz wartości i są niezbyt pewne, postanowiłem w imieniu naszej osieroconej rodziny podarować panu prezent, na pamiątkę. Zechce pan spojrzeć?

* Bardzo dziękuję, panie Boliakin, ale od pana prezentu nie przyjmę * doktor pokręcił przecząco głową.

* Niech pan chociaż spojrzy. To porządna rzecz, dużo kosztuje. * Otworzył futerał. W środku leżał męski zegarek kieszonkowy, okrągły, złoty, z grubym złotym łańcuchem.

* Proszę to sobie zostawić. Do mnie nawet nie pasuje takie cacko.

* Czyli gardzi pan moją wdzięcznością? * kupiec zmrużył oczy. * No to chociaż kwiaty proszę przyjąć. To dla Sofii Konstantinowny. W obecnych ciężkich czasach...

też są bardzo drogie. Specjalnie posłałem Andriuchę do Moskwy. Również dwadzieścia pięć sztuk, gatunek ekstra. Ma pan wazon?

* Dziękuję * wtrąciła Sonia, która właśnie nadeszła. * Ale nie trzeba wstawiać do wody. I tak je zaniósę na grób hrabiego Michaiła Iwanowi*

cza.

* A, to dobrze. * Kupiec powstał jeszcze przez chwilę, kilka razy chrząknął w kułak, wreszcie zwrócił się do doktora: * Proszę wybaczyć, ale muszę porozmawiać z pańską córką na osobności.

* Ależ proszę bardzo. Możecie państwo wejść do domu. Sonieczko, ja będę tu obok.

* U pani została rzecz należąca do naszej rodziny * odezwał się Boliakin, kiedy weszli do salonu. * Bardzo droga rzecz. To brosza w kształcie kwiatu orchidei z dużym brylantem.

* Nie wiem, o czym pan mówi * odparła Sonia.

* No nie, no nie, szanowna pani * kupiec przymrużył chytrze oczka * przecież to nie będzie za darmo. Dam pani pieniądze. Dużo pieniędzy, złotych czerwońców. Złoto jest zawsze w cenie. Niech pani będzie tak miła i odda nam broszę. Ona do pani nie należy.

* Tichonie Tichonowiczu * Sonia pokręciła przecząco głową * coś się panu pomyliło. Ja nie noszę kosztownej biżuterii i nie mam żadnej broszy.

* Czyli nie odda pani? * westchnął kupiec. * To źle. Jeśli pani liczy, że uda się sprzedać tak drogą rzecz, to jest pani w błędzie. Oszukają panią. Ani szanowna pani, ani jej ojciec nie macie smykałki do handlu.

Do salonu wszedł doktor Baturin.

* O, jest i papa * kupiec zwrócił się do doktora. * Próbuję namówić pańską córkę, by po dobroci oddała to, co do niej nie należy. Hrabia, niech mu ziemia lekką będzie, postąpił w sposób nieprzemyślany i podarował pańskiej córce coś, co należy do nas. A ona teraz nie chce tego zwrócić. To nieładnie. Wstyd.

* Soniu, o co chodzi? * zdziwił się doktor.

* Nie mam pojęcia, papo. Tichon Tichonowicz domaga się ode mnie jakiejś broszy.

* Moja córka nigdy nie interesowała się błyskotkami * dodał szybko ojciec.

* To nie żadna błyskotka, to bardzo cenna rzecz. Ostatni raz powtarzam * proszę mi oddać tę broszę po dobroci. Wiem, że ją pani ma. Nigdzie indziej nie może się znajdować. Przecież to grzech zabrać cudze. Powinna się pani wstydzić.

* Dostyc tego, wystarczy. * Doktor zmarszczył brwi. * O sumieniu i grzechu nie mam zamiaru z panem rozmawiać. Lepiej niech pan na ten temat porozmawia ze swoją córką.

* No, niech pan uważa, doktorze * westchnął ciężko kupiec. * Chciałem z wami załatwić sprawę po dobroci, po sąsiedzku, ale, widać nic z tego nie wyjdzie. Dziwni z was ludzie.

I wyszedł, nie oglądając się.

* Teraz wynajmie bandziorów, przeryją nam cały dom * powiedział w zamyśleniu doktor, patrząc w ślad za odchodzącym. * Ta brosza rzeczywiście jest warta ogromne pieniądze.

* Papo, przecież jej nie widziałeś.

* Jest przypięta do twojej białej bluzki, a bluzka wala się na krześle w twoim pokoju. Na portrecie brosza udała się Miszy znacznie lepiej niż twoja buzia. Trzeba portret stąd zabrać, w ogóle usunąć go z domu. A broszę schować. Przyjdą po nią i przekopią dom. Tichon Tichonowicz

dla tego brylantu gotów jest gardło przegryźć. Misza opowiadał mi historię tego kamienia i dodał, że to jedyna cenna rzecz, jaką ma.

* A mnie przed śmiercią prosił, żebym im broszy nie oddawała. Nie interesuje mnie, ile jest warta. Przecież nie będziemy jej sprzedawać * powiedziała Sonia.

W nocy obudził doktora straszny hałas. Wyrwał spod poduszki naładowany rewolwer i popędził na górę, do pokoju Soni. Siedziała w nocnej koszuli, przywiązana do krzesła. W pokoju był Boliakin i jego wierny szofer, ochroniarz, Andriucha. Szofer krótkim fińskim nożem rozpruwał poduszki. Kupiec, siedząc na podłodze, przetrząsał bieliznę dziewczyny. Doktor skierował rewolwer w jego stronę.

* Niech pan to zostawi. * Kupiec pokręcił głową. * Tu jest mnóstwo moich ludzi, a pan nie może liczyć na niczyją pomoc. Teraz nie ma żadnej władzy. Uprowadziłem, żebyście dobrowolnie oddali.

Doktor opuścił rękę. Przed oczami miał białą twarz Soni. Nóż dotykał jej szyi.

* Może jednak pan powie, doktorze? * spytał kupiec, nie wstając z podłogi, i dalej macał bieliznę. * Bo będziemy musieli zadać trochę bólu pańskiej córce. Nie ruszymy się stad, póki nie znajdziemy broszy. Ostatni raz proponuję * oddajcie dobrowolnie, bo potem będzie za późno.

* Tichonie Tichonowiczu, pachnie dymem * odezwał się Andriucha. Drzwi otworzyły się z łomotem, do pokoju wpadło wielkie chłopisko, to był ten żołnierz, dezterter, krewniak cmentarnego stróża. Spojrzał wkoło dzikimi czerwonymi oczami, otworzył usta i zwałił się prosto na kupca. Z roztrzaskanej głowy, szerokim pulsującym strumieniem płynęła krew. Za nim stał felczer Siemion z toporem. Kupiec krzyknął, Andriucha odruchowo rzucił się ku niemu, doktor wystrzelił i trafił szofera w tył głowy. Kupiec został przygnieciony jeszcze jednym ciałem. Na dole coś strasznie huknęło, rozległ się rozpaczliwy krzyk i ciężki, szybki tupot.

* Doktorze, palimy się! * krzyczał felczer. * Tam jest jeszcze dwóch, zamknąłem ich, ale widać się wydostali. Trzeba uciekać.

Konstantin Baturin porwał z toaletki nożyczki i przeciął więzy.

* Soniu, zasłoń sobie twarz i nie wdychaj dymu. * Namacał na podłodze rewolwer, który wypadł szoferowi z rąk, i rzucił go Siemionowi. * Musimy się ich pozbyć!

* Oni już uciekli, nie są głupi, przecież za chwilę runie dach!

Na progu zamajaczyła w dymie ogromna sylwetka, padł strzał. Pierwszy zbir upadł, lecz zaraz się podniósł. Za nim pojawił się w pokoju drugi. Słysząc było strzały, wszyscy strzelali na oślep, bo dym wżerał się w oczy.

* Pomóżcie! * szlochał i wołał zdławionym głosem kupiec. * Pomóżcie mi się wydostać! Moje nogi! Soniu Konstantinowna, gołąbeczko, ratuj mnie, biednego głupca, strasznie mnie boli.

Stary drewniany dom był już ogarnięty płomieniami. Sonia, kaszląc i mrużąc oczy, po omacku dotarła do Tichona Tichonowicza, przywalonego ciężarem dwóch bezwładnych ciał i podała mu rękę:

* Niech pan chwyci i gramoli się!

Wczepił się kurczowo w jej nadgarstek i wychrypiał:

* Nie puszczę cię! Spalisz się żywcem! Gdzie jest kamień?

W tym czasie jeden zbir rzucił się na doktora, drugi na felczera. W małym zadymionym pokoiku czterech mężczyzn walczyło ze sobą na śmierć i życie, i nie wiadomo było, kto ma przewagę.

Sonia spróbowała wyrwać rękę, ale kupiec, trzymając mocno, przyciągał ją ku sobie. Dziewczyna zanosila się kaszlem, dym drapał gardło, ale ostatkiem sił zdołała zawołać:

* Papo!

Ten krzyk dodał sił doktorowi. Udało mu się któregoś z napastników trzasnąć w skroń ręką rewolweru. Nad pokojem coś groźnie zatrzeszczało, słychać było padające na strychu belki. Napastnik rozbił głową okno, wyskoczył z pierwszego piętra i zniknął w porannej mgle. W rewolwerze, który podniósł felczer, został ostatni nabój.

* Kamień * mamrotał kupiec, kaszląc i krztusząc się. * Gdzie jest brosza? Oddaj! Nie jest twoja!

* Soniu, gdzie jesteś? Odezwij się, Soniu!

Ponownie padł strzał, ale tak blisko, iż dziewczyna uwierzyła, że to do niej strzelono. Dym uniemożliwiał oddychanie, nie bardzo wiedziała, co się dzieje, w gardle tak drapało, że zamiast krzyku wydostał się z niego słaby, chrapliwy szept:

* Papo!

Naraz poczuła, że ciało kupca wiotczeje. Z całych sił próbowała się wyswobodzić. Mężczyzna był martwy, lecz nadal ją trzymał. Jego palec ścisnął śmiertelny skurcz. Doktor znalazł córkę, próbował po omacku rozprostować zaciśnięte palce, ale nie mógł.

* Oj nie, dosyć tego! * jęknął felczer, który dotarł do nich. Z rozmachem uderzył toporem w martwą rękę.

W końcu całej trójce udało się wydostać z płonącego domu. Świtało. Sonia ledwie trzymała się na nogach. Z ogromnym hukiem i trzaskiem zawalił się dach, wokół poleciały iskry. Sonia straciła przytomność.

Rozdział 37

Zatrzymam się trochę po programie * powiedziała Liza, całując męża na pożegnanie * musimy z kierownictwem omówić pewne sprawy.

* Ale czemu w nocy?

* Przecież wiesz, że w telewizji nie ma nocy.

Kłamstwo „drapało” ją w gardle. „Dosyć * pomyślała rozdrażniona * ostatni raz”.

Problemem nie były kłamstwa. Już się przyzwyczaiła do wymyślania powodów, które sprawiają, że wraca nie o drugiej w nocy, a o szóstej rano. Ale tym razem pierwszy raz złapała się na tym, że wcale nie chce jechać do Jury. Wiedziała, że czekają tam przykra, bezsensowna rozmo*

wa.

W „Ostankino” wszyscy nadal plotkowali na temat śmierci Artiomia Butejki.

Właściwie temat nie był już pierwszoplanowym, ale pojawienie się Lizy znów odświeżyło w pamięci tragiczne wydarzenie sprzed tygodnia. Liza czuła na sobie ukradkowe spojrzenia.

* Jeszcze nie zwracali się do ciebie w sprawie Butejki? * spytał ją dyrektor wiadomości telewizyjnych. * Na pewno znalazła się jakaś świnią, która wychlapała o waszych szczególnych, wzajemnych stosunkach.

Liza skończyła swój program i wsiadła do auta. Lubiła jeździć pustymi ulicami miasta. Drogę знаła na pamięć i odpoczywała za kierownicą. Całkiem niedawno, kilka tygodni temu, właśnie tu, na skrzyżowaniu, na końcu ulicy Szeremjetjewskiej, zatrzymawszy się nocą na światłach, zobaczyła w jadącym obok aucie, obok kierowcy, znajomy profil.

Dojeżdżając do Nowokuźnieckiej, spostrzegła to samo auto i wtedy przyszła jej do głowy szalona myśl, że Artiom ją śledzi. A ona właśnie jechała wtedy do Jury.

„Jasne, że to wariat, ale nie do tego stopnia * pomyślała * mało mu tego paskudnego show, które urządził z moją mamą?”

Na podwórku rozglądnęła się, ale nikogo prócz Jury i Loty nie dostrzegła.

Podjeżdżając dzisiaj do skrzyżowania, myślała o Butejce, o tym, jak w sumie głupio żył i jak wcześniej i bezsensownie zginął. Wielu przepowiadało, że się w końcu doigra, ale czy za nie tak znów straszne łajdactwa, których się dopuścił, należało go zabić? Mówiło się, jakoby miał to zrobić jego przyjaciel, za nieoddany dług. To nie jest niemożliwe. Butejko żył za pożyczone pieniądze, od wszystkich brał, chociaż zawsze zwracał.

Kiedy ginie człowiek, którego nie znosisz, o którym źle myślałeś i źle się wyrażałeś, to czujesz się zadziwiająco podle. Wstydzisz się, jakbyś sam przyłożył rękę do jego śmierci.

„Dlaczego właściwie nie znosiłam Artioma? Za cynizm? Za bezczelność? Przecież cyników i tupeciarzy w telewizji jest wielu. Ze był beztalenciem? Tego też nie brakuje. Zdarzało się, że między nami były całkiem normalne, nawet przyjacielskie stosunki. On mnie znienawidził po tym talk*show, z fałszywym «bohaterem». I miał rację. Położyłam mu premierowy program. Zrobił wtedy chałturę. No i co z tego? Mało jest chałturszczyków? Mogłam nie naskoczyć z pytaniami na jego "bohatera", tym bardziej w programie na żywo. Czemu to zrobiłam?"

Miesiąc przed tym programem, w serii „Stop*klatka” pokazano jego gorący reportaż o piosenkarzu i milicjancie. Wtedy zaczęło się mówić o Artiomie Butejce, jego nazwisko zrobiło się modne. Od tej chwili dostał możliwość robienia autorskiego programu.

Liza dokładnie przypomniwała sobie szeroką, grubo ciosaną twarz mężczyzny w milicyjnym mundurze, zastygłe oczka jakiegoś niedookreślonego, mętno zielonego koloru.

* Człowieku, proszę cię, nie rób tego. Zrozum, dla mnie wszystko się skończy, to będzie krach, koniec. Posadzą mnie.

Tak się przypadkowo złożyło, że Liza była świadkiem tej nieprzyjemnej rozmowy. W Domu Kino świętowano jubileusz dziesięciolecia programu „Stop*klatka”. W antrakcie Butejko stał z jakimś znajomym w holu, koło balustrady. Śmiali się, widać było, że już trochę wypili. Liza znajdowała się dość blisko i widziała podchodzącego do nich milicjanta.

* A, to znowu ty? * Artiom wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia. * Słuchajcie no, towarzyszu kapitanie, nie rozumiem, kto was tutaj wpuścił. Wy tu w ogóle nie macie nic do roboty.

* Rzeczywiście * przyłączył się znajomy Artiom * a może nagle znów ci przyjdzie do głowy zaprowadzać porządek i komuś rozwalisz pięścią twarz?

* Chłopaki, proszę, dajcie spokój * poprosił cicho milicjant.

* Z czym dać spokój? * spytał z szyderczym uśmiechem Butejko? * Mówić ludziom prawdę? To znaczy, że ty wszystko możesz, a nam nie wolno?

* Ale nie o to chodzi... Proszę cię, facet, nie pokazuj tego reportażu, proszę cię, po ludzku. Chcesz forsy, dam! Chcesz, to klęknię tu przed tobą. To przecież dla mnie koniec kariery zawodowej, koniec mojego życia, zrozum... Jeśli macie choć kapkę zmiłowania, no po prostu jak ludzie, to zlitujcie się nade mną.

* Lepiej było pomyśleć o litości, kiedy waliłeś Rusłana pięścią w twarz. I przestań się mazgać, bo przykro na to patrzeć.

Faktycznie, przykro było patrzeć na całą trójkę. Dwóch przeżyło bary, jeden poniżał się i błagał. Tym dwóm to się podobało. No i właśnie wtedy Liza poczuła do Butejki prawdziwy wstręt.

Reportaż się ukazał, kapitan dostał trzy lata. Dziesiątki tysięcy takich samych kapitanów, lejtnantów i innej rangi milicjantów w całej Rosji daje upust swoim pięściom. Czasem robią to z musu, a czasem z własnej woli i okrucieństwa. Gdyby każdego z nich wsadzano do więzienia, to nie byłoby milicji. Ten kapitan nie jest ani lepszy, ani gorszy od innych. Ale on nie miał szczęścia. Twarz, którą zmasakrował, próbując opanować pijacką burdę, należała do popularnego estradowego piosenkarza. Najbardziej pechowe było to, że wśród gości znajdował się również znany reporter, Artiom Butejko, z amatorską kamerą. A reporter strasznie chciał być sławny.

Potem, kiedy do swojego programu Butejko przyprowadził jako bohatera przyjaciela, Sanie Anisimowa, i obaj znów zaczęli przeżywać bicepsy, kpić z całego audytorium, Liza nie wytrzymała i położyła Artiomowi program.

Jeśli u niej, osoby postronnej, widok tej sceny w holu Domu Kino wzbudził takie obrzydzenie do Butejki, to można sobie wyobrazić, jak musiał się czuć kapitan

milicji? A, właśnie, trzy lata już minęły i on z pewnością jest już na wolności...

Liza jechała pustą ulicą ze zgaszonymi reflektorami, na wszystkich skrzyżowaniach paliło się zielone światło. Tak się zamyśliła, że właściwie nie patrzyła przed siebie.

Nagle w torebce gwałtownie zadzwoniła komórka. Liza drgnęła i, nim odebrała telefon, włączyła reflektory. Dosłownie dziesięć metrów przed nią, w poprzek ulicy, bez jakichkolwiek świateł awaryjnych, stał samochód chłodnia. Z trudem zdążyła zahamować. Zderzak zatrzymał się w odległości kilku centymetrów od ciężarówki. Wrzuciła wsteczny i zaparkowała przy krawężniku. Telefon wciąż dzwonił.

* Lizo, przepraszam, na pewno odrywam cię od ważnej rozmowy z kierownictwem * usłyszała senny głos męża. * Wiesz, strasznie stęskniłem się za tobą. Tak długo ciebie nie było, przyjechałaś i znów cię nie ma.

* Myślałam że śpisz * odparła rozkojarzona.

* Tak, już spałem, ale obudziłem się, nie wiem dlaczego. Czegoś się przestraszyłem i postanowiłem zadzwonić do ciebie.

* Dzięki, Miszeńka. Niedługo przyjadę. Ale ty śpij, nie czekaj na mnie.

* Za co dziękujesz?

* A tak. Za to, że zadzwoniłeś.

* Pamiętaj, że i tak nie usnę, póki nie przyjdiesz * mruknął * pospiesz się.

Schowała telefon i zapaliła papierosa.

„Jak on to przeczuł? Przecież gdyby się nie obudził i nie zadzwonił, to już by mnie nie było”.

Zgasiwszy papierosa, powoli wyjechała na środek ulicy i ostrożnie ominęła chłodnię.

Po piętnastu minutach zatrzymała samochód na dużym podwórku przy ulicy

Nowokuźnieckiej.

Tym razem było absolutnie pusto. Jura nie wyszedł jej naprzeciw z psem, jak zwykle bywało. Otworzył drzwi, Lota skakała, szczekała wyrażając w ten sposób swoją wielką psią radość.

Jura chłodno nadstawił policzek do pocałunku i, odwróciwszy się, poszedł do kuchni, usiadł na taborecie, zapalił papierosa i patrząc w czarne okno, oświadczył głośno:

* Jeśli liczysz na to, że ci dotrzymam towarzystwa, to się mylisz.

* Towarzystwa? W jakim sensie? * zdziwiła się Liza.

* Nie mam zamiaru oglądać kasety razem z tobą. Przecież po to przyszłaś?
„Ma rację. Jasne, że po to przyszłam. Muszę wreszcie wiedzieć, o co chodzi”,
pomyślała i, nie zdejmując butów, bez słowa weszła do kuchni i usiadła naprzeciw
niego.

* Wszystkie jesteście jednakowe * powiedział głośno obcym głosem. Nadal palił
papierosa i patrzył w okno. * Twoje piękne słowa, że nie chcesz ranić męża, to są
tylko słowa. Sytuacja, w jakiej się znajdujesz, jest dla ciebie idealna. Masz męża i
kochanka. Pojechałaś na tydzień do Kanady, zorganizowałaś sobie przygodę,
ponieważ obok nie było ani jednego, ani drugiego. Po prostu na chwilę zapomniałaś,
kim jesteś. A tu wpadłaś jak śliwka w kompot.

* Dziękuję * Liza podniosła się zdecydowanie * oddaj mi kasetę, jadę do domu.

* Oj nie, poczekaj. A nie przyszła ci do głowy taka prosta myśl, że może chciałbym
usłyszeć jakieś wyjaśnienie?

* Czemu?

* Temu, że sprawiłaś mi ból.

* Wybacz.

* Najbardziej mnie zabolalo, jak zaczęłaś kłamać: że to jest fotomontaż i nie ty jesteś
na filmie. Wiesz co? Okłamuj jedną osobę, albo męża, albo mnie, bo inaczej się
kompletnie pogubisz.

* Dobrze, wezmę sobie do serca twoją cenną radę. Oddaj, proszę, kasetę. Jura wstał,
podszedł do niej, wziął za ramiona i energicznie odwrócił
ku sobie:

* Czy rozumiesz, że jeśli teraz wyjdiesz, to wyjdiesz na zawsze?

* A mamy inny wybór?

* Nie wiem.

* Ja też nie wiem * Liza wyswobodziła się z jego rąk. * Ty czekasz, żebym się
zaczęła usprawiedliwiać. Wybacz, ale tego nie zrobię. Czuję się winna w stosunku do
ciebie i Miszy, ale nie w tej sprawie. Nie ze względu na te świństwa, które zobaczyłeś
na kasecie. To wszystko, Jura. Wypuść mnie, proszę.

* Tylko tyle? * spytał ledwo dosłyszalnie.

* Tak.

Poszedł do pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Po chwili dobiegł stamtąd hałas.

Przestraszona Lota zaczęła szczekać.

* O, cholera! * usłyszała Liza i uchyliła drzwi.

Siedział na podłodze, masując nogę. Obok przewrócona etażerka. Rozsypane kasety leżały na podłodze.

* Nie szukaj tutaj * burknął * weź krzesło, ona jest tam, na górze, na bibliotece.

Kulejąc, odprowadził Lizę do samochodu.

* Co on chce od ciebie? * spytał, przytrzymując drzwi auta.

* Być w programie na żywo.

* Co masz zamiar zrobić?

* Pomyśleć. * Pocałowała go szybko, przeciągnęła ręką po siwych, krótko ostrzyżonych włosach, zatrzasnęła drzwiczki i przekręciła klucz w stacyjce.

Wyjeżdżając z podwórka, zobaczyła w tylnym lusterku, jak stoi, trzymając Lotę na smyczy, i patrzy za nią.

Piotr Piotrowicz zadzwonił do Wowy następnego ranka:

* No i znalazłem to, czego szukałem * oznajmił radośnie, bez powitania.

Wowa przestraszył się: „Ano tak, przejęli zamówienie, wiedziałem. Ale potem pomyślał, że gdyby tak było, to Piotrowicz nie zadzwoniłby do niego, a zresztą nie zdążyłby w jeden wieczór i noc znaleźć kogoś, do kogo można by się zwrócić z tak delikatną sprawą. W końcu tu nie chodzi o zamówienie stolika w knajpie, ale o zabójstwo.

* Willa pod Moskwą, z podgrzewanym basenem i od razu trzy lalunie. Blondynka, brunetka i rudaska. Wyobraź sobie, wkoło basenu palą się świece, szampan bąbli w kryształach, temperatura powietrza minus pięć, potem powtórka w saunie i w salonie przy kominku, na skórze z niedźwiedzia. Teraz już mam co wspominać. Wprawdzie pięć kawałków sruu... ale radochę miałem jak na filmach. Tak że nie żałuję tej kasy. Po to jest, żeby ją tracić.

* Jasne... * mruknął Wowa zdezorientowany. * Ale pan chciał stracić pieniądze na

coś innego... ja już się umówiłem... tak się spraw nie załatwia.

* Przestań się martwić! * przerwał mu energicznie Piotr Piotrowicz. * Czekam na ciebie za czterdzieści minut na szosie, dwa kilometry od miejsca twojej pracy. Tam, w parku, jest boisko sportowe i przy siatkach są stołki dla arbitrow.

* Ale zaliczkę musi pan zapłacić dzisiaj * uprzedził go Wowa * już się umówiłem i zegar ruszył.

* Powiadasz, że się już umówiłeś?

* Przecież mówił pan, żeby szybko. Aha, za krótki termin należy się dodatek.

* Tobie za szybkość, mnie za szkodliwe warunki, bo bardzo niezdrowo jest mieć do czynienia z facetem takimi jak ty. Dostaniesz zaliczkę, jak ci obiecałem. Lubisz kasę?

* Myślałby kto, że pan nie lubi * odgryzł się Wowa.

Piotr Piotrowicz czekał na niego, siedząc na szczelbu sędziowskiego stołka.

* No i gdzie twój as? * spytał, znów się nie witając.

* As pracuje, a ja dopinam sprawę * Wowa starał się naśladować Klima. * Czyli tak.

Najpierw zaliczka, potem muszę się dowiedzieć, kto pana do mnie przysłał.

* Po zaliczkę przyjdiesz drugi raz. Razem ze swoim asem.

* Aha, akurat! Zaraz do pana przyleci! To jest zawodowiec. Tylko ja go znam osobiście. Dawaj pan forszę, potem będziemy gadać.

* Dobra * Piotr Piotrowicz machnął ręką, wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę studolarówek, ściągniętych gumką. * Masz, przelicz. Po wszystkim dostaniesz drugie tyle.

* Nie tak się umawialiśmy!

* Licz. Jest równo pięć. Forszę wzięłeś, czyli umowa stoi.

Wowa pomyślał, że teraz powinien zrobić piękny gest, wrócić paczuszkę, nie zdejmować czerwonej gumki. Klim przecież mówił, nie łap zaraz za pieniądze, jeśli wzięłeś sumę, która była zaproponowana na początku rozmów, to znaczy, że ona cię urządza, czyli jesteś bidula.

Rozsądek podpowiadał mu, że lepiej zwrócić zaliczkę natychmiast, ale palce zastygły, wczepiły się kurczowo w grubą paczkę banknotów.

* Jak możemy mówić o cenie, kiedy jeszcze nie wiem, na kogo jest zlecenie, jaka

tam jest ochrona. Może chce pan, żeby mój as skosił ministra spraw wewnętrznych albo prezydenta? A poza tym, dotąd nie wiem, kto pana do mnie przysłał?

* Poleciał cię Władik Myło.

* To co innego * zgodził się Wowa.

Władik Mylnikow był jednym z trzech jego byłych kolegów, pracujących z nim w autoserwisie, z którymi utrzymywał do tej pory przyzwoite stosunki. Władik pochodził z Surgutu tak jak Piotr Piotrowicz.

* No, to teraz słuchaj uważnie. Klient nazywa się Dmitrij Władimirowicz Malcew. Ma dwa auta: dzipa Cherokee i wiśniowego sedana. Częściej jeździ wiśniowym sedanem. Zapamiętaj numer. Ochronę ma przyzwoitą. Zwykle dwóch * ochroniarza i szofera. Pracuje w Ministerstwie Finansów.

* Kim jest?

* Wiceministrem.

Wowa gwizdnął z wrażenia i pokręcił głową:

* I pan chciał taką szychę załatwić za dziesięć kawałków?

* Nie dziesięć. Piętnaście. Pięć już dostałeś, reszta po wszystkim. I słuchaj dokładnie, żebyś potem nie narzekał na słabą pamięć. Klient to gościu krzepki, choć niemłody. Bywa w ministerstwie, parlamencie, w klubie „ST” przy stacji metra Nowosłobodskaja.

* Jest adres domowy?

* Nie. Wiem, że mieszka gdzieś, za miastem. Rzadko nocuje w moskiewskim mieszkaniu. To są fotografie * wyjął z kieszeni kopertę, w której było kilka zdjęć.

* To jest poważne zamówienie, a pan się nie potrafi sensownie przygotować.

Piętnastak za taką robotę to za mało. Dwadzieścia!

W odpowiedzi klient skrzywił się i z obrzydzeniem pokręcił głową. Cyfra dwadzieścia zawisła w powietrzu. Zleceniodawca dawał do zrozumienia, że więcej nie będzie rozmów na temat pieniędzy.

W sypialni paliła się nocna lampka. Misza leżał z zamkniętymi oczami i książką na brzuchu. Liza weszła na palcach.

* Nie śpię * szepnął * co za okropna noc. Na podwórku drą się smarkacze, za ścianą

znów awantura u sąsiadów i co pół godziny ktoś dzwoni, ale się nie odzywa. Chcesz herbaty?

* Chcę.

Wstał, narzucił szlafrok, ziewnął słodko, zasłaniając sobie usta dłonią.

* Nadjusza ma nowego konika * sztuka kulinarna. Upiekła keks z cynamonem i całkiem dobrze się jej udało.

* Czy wiesz, Misza, że dzisiaj uratowałeś mi życie? * spytała Liza, ustawiając filiżanki na stole.

* Szefowie podrzynali ci gardło?

* Nie. W dosłownym znaczeniu. Jechałam ze zgaszonymi reflektorami, a tu w poprzek stoi auto chłodnia, bez żadnych świateł awaryjnych. Kiedy zadzwoniłeś, miałam do niego nie więcej niż dziesięć metrów. A jechałam wtedy siedemdziesiątką.

* Czyś ty zwariowała? * Wyjął papierosa z paczki, choć ostatnio prawie nie palił. * Poważnie mówisz?

* Absolutnie poważnie. Gdybyś nie zadzwonił, to by mnie nie było. Potem długo nie mogłam przyjść do siebie, siedziałam w aucie i bałam się ruszyć. Dlatego tak późno wróciłam.

„Ostatni raz kłamię. Koniec. To ostatni raz...”

Misza, zanim zapalił papierosa, wstał, wyjął z lodówki oszronioną butelkę wódki, nalał sobie do kieliszka i wypił jednym haustem, wrzucił do ust słonego krakersa, usiadł i dopiero wtedy zapalił.

Woda zabulgotała w czajniku, Liza włożyła torebki do filiżanek i zalała wrzątkiem.

* A gdzie jest ciasto Nadjuszy? Strasznie jestem głodna. Rzeczywiście, było bardzo smaczne.

* Nad czym tak rozmyślałaś, że nie włączyłaś reflektorów? Aha, wieczorem dzwonił śledczy. Dałem mu numer twojej komórki, ale prosił, żebyś jutro rano do niego zadzwoniła. Zapisalem, Borodin Ilia Nikitycz. Chce porozmawiać o Butejce.

* Tak? Na pewno zadzwonię. Podobno do dziś nie znaleźli mordercy, chociaż nie znam szczegółów.

* Lizeńko, nie podobasz mi się * zmartwiony mąż kręcił głową * dziwna dzisiaj

jesteś.

Liza paliła papierosa, upiła trochę herbaty, odchrząknęła i powiedziała:

* Misza, ja mam poważny kłopot. Jestem szantażowana.

I opowiedziała mu ze szczegółami wszystko, do czego doszło w Kanadzie. Słuchał z nisko opuszczoną głową i milczał. Nie widziała jego twarzy, a przez to czuła się okropnie.

* Kasetę mam w torebce. Jeszcze jej nie widziałam. Być może robię źle i powinnam zaoszczędzić ci tego widoku, ale boję się popełnić błąd. Ja nic nie pamiętam. Być może tam jest sfilmowana inna kobieta. Ja przecież fotografii także nie oglądałam. Natychmiast je podarłam.

* A w jaki sposób ta kasetka dotarła do ciebie? * spytał po długiej pauzie, nadal nie podnosząc wzroku.

* Krasawczenko dał miją na lotnisku, we Frankfurcie.

* No to cóż, chodźmy zobaczyć to kino. Dobrze, że dzieci śpią. Dopiero po kilku pierwszych kadrach zdecydowała się spojrzeć na męża. W migającym świetle zobaczyła, że jego twarz jest blada, ale spokojna.

* Tu nie ma ani jednego zbliżenia. Na ujęciach z daleka, to jesteś ty * powiedział, nie odrywając oczu od ekranu.

* No więc, w końcu, to jestem ja czy nie ja? * uśmiechnęła się mimowolnie, ponieważ pytanie zabrzmiało idiotycznie. Nagle zerwała się z kanapy i nacisnęła na pilocie pauzę. Obraz znieruchomiał. * W moim pokoju hotelowym łóżko miało całkiem inne wezglowie. Wysokie, półokrągłe, z ciemnego drewna. I obłoczki na pościeli też były inne. Ale jedno jest jeszcze ważniejsze: jeśli filmować z tej perspektywy, to tam powinno być okno, a za oknem wieże kościoła Świętej Katarzyny. A tu wszystko jest ciemne. Zamazane. Można się nie pomylić co do wezglowia łóżka, zmienić obłoczki na pościeli, ale okno i widok z niego nie może ot tak, zniknąć.

* Ale nawet nie o to chodzi * mąż wziął z jej ręki pilota i wyłączył magnetowid. * Kobieta na filmie ma świeży manicure, jaskrawoczerwone paznokcie na rękach i nogach. Ty masz alergię na aceton. Nigdy nie malowałaś paznokci. Nigdy w życiu.

Rozdział 38

Z płonącego domu leciały na wszystkie strony iskry i duże głownie. Konstantin Wasilewicz Baturin przeniósł córkę do altanki, pod dach i zostawił pod opieką Siemiona, a sam udał się po pomoc. Płomienie mogły się przetrzucić na sąsiednie zabudowania. Sonia otworzyła oczy i najpierw zobaczyła płonący dom, potem osmaloną twarz felczera. Już świtało, we wsi przeraźliwie wyły i szczekały psy. * Jak się czujesz? Główka cię nie boli?

* Nie, tylko mi zimno.

* Naprawdę? A ja jestem cały mokry, żar aż tu dochodzi, niczego sobie ognisko. Grzej się * wesoło mrugnął do niej * najważniejsze, że żyjemy, a reszta... jakoś to będzie, No co, Soniuszko? Taka duża dziewczyna, otrzyj łezki.

* Co ty, ja nie płaczę * roztarła po twarzy czarny kopeć * ja naprawdę nie płaczę. To dym gryzie w oczy.

* Popatrz, twój zeszyt * Siemion podał jej ze stołu pamiętnik. * niewiele tego dobytku, ale to twoja własność.

Gruby zeszyt w granatowej ceratowej oprawie, który przypadkowo zostawiła wieczorem na stole w altance, rzeczywiście był jedyną ocalałą rzeczą. Razem z Sonią pojechał najpierw do Moskwy, do ciotki, potem do Odessy, skąd francuskim, wypełnionym po brzegi parostatkiem, do Konstantynopola.

Był pochmurny mroźny luty 1918 roku. Na Morzu Czarnym szalał silny sztorm.

Odeski port, kiwając się jak pijany, oddalał się za horyzon

tem. Znikał brzeg, który jeszcze trzy miesiące temu był Rosją. Ale nikt na statku nie odczuł rozdzierającej świadomości definitywnej straty, która może normalnego człowieka doprowadzić do szaleństwa.

Przeżyte niebezpieczeństwa, nieustanne kłopoty, poszukiwanie możliwości wyżywienia się, konieczność ciągłego zdobywania czegoś, zamieniania, ukrywania, chowania przed złodziejami, nieustannego dogadywania się z kimś * to wszystko tworzyło szczęśliwą możliwość niemyślenia

o przyszłości. Przyszłość bezdomnych rosyjskich obywateli skupiła się na kawałku chleba i świńskiego sadła, miejscu do spania i ciepłym kocu. Byli szczęśliwi choćby dlatego, że płyną po wzburzonym sztormem morzu, na francuskim statku i jeszcze żyją, nie umarli z głodu i chłodu, nie zdążyli zarazić się tyfusem, nie dostali kulą w czoło lub proletariackim bagnetem między żebra. A co jutro? Na jutro zostało jeszcze trochę chleba, Francuzi obiecali, że od rana będą dzielić bezpłatnie czerwone wino. A pojutrze? A za rok? Za rok, wiadomo, skończy się w ojczyźnie ten czerwony koszmar i będzie można wrócić do domu.

Doktor Baturin cudem zdobył dla Sonii koję w kajucie drugiej klasy. Parostatek był przepełniony, kołysanie spowodowało, że wielu ludzi chorowało. Kolejnej nocy, kiedy morze troszkę się uspokoiło, Sonię złapały skurcze.

Znalazł się spirytus, znalazły się czyste prześcieradła, z kuchni przynieśli ciepłą wodę, kajutę opróżniono z postronnych osób. Zjawił się Francuz, lekarz, zatrudniony na statku i zaproponował swoją pomoc. Poród stał się takim wydarzeniem, które zintegrowało wszystkich znajdujących się na pokładzie. Statek, który wypłynął dobie wcześniej, zatonął i nikt się nie uratował. Wszyscy wiedzieli, że radio podało wiadomość o nadchodzącym jeszcze silniejszym sztormie. Miał się zacząć właśnie tego wieczoru. Wiele osób postawiło na dziecko: jeśli wszystko pójdzie dobrze, to i parostatek szczęśliwie dopłynie do Konstantynopola.

Poród trwał dziesięć godzin. Kiedy pierwsze, wysokie fale zaczęły unosić statek i rzucać nim w otchłań, rozległ się basowy głos nowo narodzonego chłopczyka.

* * *

Jest noc, Miszeńka wreszcie usnął. Papa jeszcze nie wrócił ze szpitala. Znalazłam ten zeszyt i nie wiem czemu, postanowiłam kontynuować prowadzenie pamiętnika * napisała Sonia w Paryżu, latem 1920 roku. * Jesteśmy tu już półtora roku i dawno wróciliśmy do równowagi po koszmarach związanych z ucieczką. Zapisałam się do szkoły aktorskiej. Nauka, próby, zdjęcia zajmują mi prawie cały czas. Nie chcę i nie mogę niczego wspominać. A jednak przed oczami jest stale ten dziwny, skrzący się kamień.

Ukryliśmy go w pamiętny wieczór, poprzedzający nocną zbójceją napaść Tichona

Tichonowicza ze swymi zbirami oraz pożar naszego domu. Zakopaliśmy go koło altanki, od strony lasku, dwa metry od najstarszego i największego dębu. Papa powiedział, że nie ma na co czekać. Kupiec Boliakin na pewno dziś wróci i przewróci cały dom do góry nogami.

Włożyłam broszę do tej samej srebrnej szkatułki, w której Misza mi ją przyniósł. W przedwieczornej szarości brylant świecił i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak dziwnie i przerażająco jest piękny. Zawsze odnosiłam się obojętnie do klejnotów.

Uważałam, że to jest martwe piękno, które nie wywołuje u człowieka niczego pozytywnego, a jedynie zło, zawiść i chciwość. A teraz nad maleńką, głęboką jamą zdało mi się, że chowamy żywą istotę. Popatrzyłam po raz ostatni na broszę.

Listeczki drżały, brylant płonął, wchłaniając czerwony ogień zachodzącego słońca. A potem nastąpił koszmar, oszalały kupiec ze swoimi bandziorami, pożar...

Przed wyjazdem do Odessy papa chciał pojechać do majątku, wykopać kamień, ale zabrakło czasu, a poza tym byłoby wielkim ryzykiem uciekać z tak droгим przedmiotem. Papa postanowił, że za jakiś czas, kiedy skończy się ta czerwona awantura, wrócimy na zgliszcza i, być może, brosza pomoże nam zacząć wszystko od początku.

Teraz już wiem na pewno, że my nigdy nie wrócimy. Nie mamy dokąd wracać. Tam jest bandycka władza sowiecka, głód, czerwony terror, katorżnicze porządki.

Niedawno przyjechała z Berlina Natasza Daniłowa. Mówiła, że słyszała od kogoś, kto dopiero co wrócił stamtąd, że Irina Paurrier wcale nie umarła na apopleksję jesienią siedemnastego roku, ale została komisarzem, czerwoną urzędniczką, i zajmuje się rozdziałem zagrabionego dobra. Papa nadal wierzy, że bolszewicy się nie utrzymają, każdego ranka czyta gazety z taką nadzieją, że aż przykro się robi.

Jak zwykle, ratuje go praca. Mieliśmy niewiarygodne szczęście. Rok temu na bulwarze Saint*Michele spotkaliśmy tego lekarza, który pomagał papie, kiedy rodziłam Miszeńkę, na francuskim statku. Monsieur Frapper pomógł papie ominąć wszystkie zakręty francuskiej maszyny biurokratycznej i znaleźć pracę w miejskim szpitalu, co dla takich jak my,

emigrantów, w zasadzie było niemożliwe. Teraz wystarczy nam na to niewielkie

mieszkanko, najedzenie i niańkę dla synka.

Papa jest zajęty od rana do wieczora, często nocami dyżuruje, mało śpi. Ja z kolei jestem pochłonięta swoimi studiami. Nigdy nie myślałam, że będę chciała zostać aktorką, ale okazuje się, że mogę grać, przepowiadają mi wielką przyszłość w kinematografie. Na razie proponują mi role drugoplanowe, ale już mam z czego wybierać.

Dwa tygodnie temu zjawił się u nas na próbach Amerykanin, Dickens. Taki śmieszny, wielki, w białym garniturze. Podczas przywitania od razu uprzedził, że ma na imię Douglas a nie Charles i nie ma nic wspólnego ze słynnym angielskim pisarzem. Na próbie tańczyłam «cyganeczkę», potem «biłam czeczotkę», co tu nazywają stepowaniem, następnie zaśpiewałam przy gitarze romans Świeć, świeć moja gwiazdo. Amerykaninowi pociekły z oczu najprawdziwsze łzy. Od tego czasu każdego wieczoru przyjeżdża po mnie swoim otwartym czarnym automobilem i długo trąbi pod bramą. Purpurowe róże na tle śnieżnobiałego garnituru przywodzą na myśl niezbyt miłe wspomnienia. Ale dość na ten temat. To wszystko zostało tam, w Rosji.

Dzisiaj, dokładnie godzinę temu, zaproponował, żebym pojechała z nim do Ameryki, do Hollywood. Okazuje się, że jest bardzo bogaty i inwestuje pieniądze w kinematograf. Nie wiem, czy wyjdzie z tego coś sensownego. Nigdy nie byłam przesądna, ale tym razem boję się, żeby nie zapeszyć.

Oj, chyba Miszeńka się obudził i płacze".

* Co cię tak zafrapowało? * Dmitrij podszedł tak cicho, że Warwara aż podskoczyła. Wziął książkę z jej rąk. Na okładce była fotografia amerykańskiej gwiazdy filmowej z lat trzydziestych, Sofie Paurier.

* Nigdy nie przyszło mi do głowy, że była Rosjanką * powiedziała Waria. * Okazuje się, że nazywała się Sofija Konstantinowna Baturina, a pseudonim wzięła na pamiątkę swojej pierwszej miłości. Tu są fragmenty jej pamiętnika, wstrząsający romans z jakimś nieszczęśliwym starym hrabią, którego otruła zwariowana żona.

* No wiesz, nie wszystkie opisane tutaj sytuacje są prawdziwe. Wiele jest wymyślonych, a teraz już się nie da sprawdzić.

* Nawet jeśli są wymyślone, to bardzo interesująco. Książka leżała na nocnym stoliku. Ty też ją czytałeś i nie mogłeś się oderwać. A gdybyś się przyjrzał dokładniej, mógłbyś zauważyć, jak jesteśmy do siebie podobne. No spójrz. * Warwara przekartkowała wklejkę z ilustracjami, pokazała mu kilka fotogram, pokręciła głową, powtarzając pozy, w jakich była fotografowana Sonia Baturina.

* Tak, rzeczywiście, jest coś podobnego * stwierdził Malcew.

* A czy przypadkiem na obrazie, który wisi w salonie, to nie jest ona, Sofija Baturina w młodości? Przecież opisuje w pamiętniku, że hrabia malował ją z broszą pod szyją.

* Ona. Pasza jest zafascynowany starym hollywoodzkim kinem, szczególnie filmami z lat trzydziestych. No i kupił ten portret, kiedy dowiedział się, że na nim jest młodziutka Sophie Paurier.

* A ta brosza, którą zakopali w ogrodzie, naprawdę jest taka droga? Ciekawe, czy potem ktoś znalazł tę srebrną szkatułkę?

* No, już dość * Dmitrij niespodziewanie podniósł głos, a oczy nabrały niemiłego, złego wyrazu * lepiej żebyś się uczyła do egzaminów i czytała to, co trzeba.

Z zewnątrz dobiegł głos silnika. Dmitrij spojrzał na zegarek i zszedł na dół, do salonu. Waria podbiegła do okna i zobaczyła, że przez bramę, swoim niebieskim sedanem wjeżdża Paweł, brat Dmitrija.

Po kilku minutach rozległy się kroki na schodach. Zanim weszli do gabinetu i zamknęli za sobą drzwi, usłyszała fragment rozmowy. Dmitrij był bardzo zdenerwowany i mówił podniesionym głosem, prawie krzyczał, co rzadko mu się zdarzało.

* Powiedział, z czym to jest związane? Pasza, proszę cię, skup się. Weź się w garść! On przecież nie poszedł tam na wycieczkę, ale po to, żeby zdobyć więcej wiadomości!

* Mitia, proszę cię, nie krzycz. Miało dotyczyć sprawy zabójstwa dziennikarza telewizyjnego, ale nie znam żadnych szczegółów. Domyślasz się chyba, że śledczy żadnych szczegółów profesorowi Udalcowowi nie zdradził, a tym bardziej profesor mnie.

* Dobrze, Pawle, dziennikarz telewizyjny to już jest coś. Już cieplej, cieplej.

Spróbuję w prokuraturze zweryfikować to, co wiemy.

Trzasnęły drzwi do gabinetu. Głosy ucichły.

Rozdział 39

Bielajewa gotowa była przyjechać do wydziału śledczego zaraz rano. Oświadczyła, że ma dwie wolne godziny, między dziesiątą a dwunastą, ale Ilija Nikitycz Borodin wyobraził sobie, ile ciekawskich, pod różnym pretekstem, zacznie zaglądać do jego małego gabinetu, kiedy po budynku rozejdzie się wieść, że u niego siedzi sama Jelizaweta Bielajewa. Wątpliwe, czy uda się spokojnie porozmawiać.

* Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to podjadę do pani, do domu, teraz.

* Ależ, oczywiście. * Szczegółowo wyjaśniła mu, jak ma dojechać. Borodin spodziewał się, że znajdzie się w eleganckim mieszkaniu, gdzie będzie co najmniej pięć pokoi, a jeszcze pewniej w dwupoziomowym penthousie ze szklaną oranżerią, w jednej z nowo wybudowanych, tak zwanych łuzkowskich dzielnic, dla bardzo bogatych ludzi.

Ale okazało się, że gwiazda telewizji mieszka w zwykłym trzypokojowym mieszkaniu.

Bez makijażu, w dżinsach i swetrze, Bielajewa wyglądała chyba bardziej pociągająco niż na ekranie. W każdym razie tak to odebrał śledczy, który w ogóle nie lubił wymalowanych kobiet.

* Herbata? Kawa?

* Jeśli herbata z torebki, to wolę kawę.

* A jeśli kawa ma być rozpuszczalna, to lepiej niech będzie herbata * uśmiechnęła się.

* A więc do tej pory nie złapaliście mordercy Artioma? * Liza pilnowała piany wędrującej w górę tygła do parzenia kawy.

* Jeszcze nie. Jak długo znała pani Butejkę?

* Nie mniej niż pięć lat. * Zdjęła tygiel z kuchenki, rozlała kawę do małych filiżanek i usiadła naprzeciw śledczego. * Zapewne już panu powiedziano, że stosunki między nami ułożyły się bardzo paskudnie.

* Tak, mówiono mi, a poza tym widziałem kilka zarejestrowanych starych programów.

* Jakie dokładnie, jeśli nie jest to tajemnicą? * Skosztowała kawę i skrzywiła się, bo była bardzo gorąca. Wstała i wyjęła z lodówki karton soku grejpfrutowego. * Nalać panu?

* Tak, proszę. Nie za dużo.

Sok był lodowaty. Liza wypła jednym haustem. Śledczy domyślił się, że gospodyni bardzo się denerwuje.

* Proszę mi powiedzieć, czy wasze stosunki od początku tak źle się układały? Czy też były jakieś konkretne przyczyny, które doprowadziły do wrogości między wami?

* Ale pan mi nie odpowiedział, jakie widział pan programy. Gdybym wiedziała, co pan oglądał, to byłoby mi znacznie łatwiej odpowiedzieć na pańskie pytanie.

* Robi pani znakomitą kawę, czy można jeszcze filizankę? Nie, proszę siedzieć, sam naleję. Wie pani, widziałem kasetę z rejestracją pierwszego i ostatniego talk*show Butejki.

* Doprawdy? * pokręciła głową * myślałam, że się nie uchowała. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że teraz pan przypomni mi o niedawnym jego reportażu o mojej matce.

* Tak, ten reportaż też widziałem. Proszę mi powiedzieć, dlaczego trzy lata temu położyła mu pani program?

* No, jeśli widział pan kasetę, powinien się pan zorientować dlaczego. Tym bardziej że jest pan śledczym i dla pana, jak dla żadnej innej osoby, powinno być oczywiste, jak niechlujnie przygotował swój kryminalny scenariusz.

* Ale musiała pani sobie zdawać sprawę, jakiego wroga sobie pani funduje.

* Ano, właśnie, nie myślałam wówczas o tym. Później żałowałam, to zrozumiałe, ale wtedy, podczas programu, strasznie się wściekłam.

* Czemu?

* A to długa historia.

* Z ciekawością posłucham.

* No, dobrze, spróbuję wyjaśnić, chociaż uprzedzam, to wszystko jest na poziomie

emocji i raczej nie ma związku z morderstwem. Nie wiem, czy wpadła panu w ręce rejestracja programu „Stop*klatka”, w którym był reportaż Butejki o milicjancie i piosenkarzu.

* Tak, widziałem ten reportaż.

* Zapewne już pan wie, że tego kapitana posadzili na trzy lata. Ale nie mnie osądzać, w jakim stopniu wyrok był sprawiedliwy i właściwie w tym przypadku nie chodzi konkretnie o sprawiedliwość. Tak się złożyło, że byłem przypadkowym świadkiem rozmowy między milicjantem i Artiomem. Tam był jeszcze jeden człowiek, przyjaciel Artioma, chyba jego dawny kolega z klasy. Nie pamiętam nazwiska. Kapitan przyszedł do Domu Kino, gdzie akurat świętowano jubileusz dziesięciolecia programu „Stop*klatka”. Kapitan przyszedł tam specjalnie poprosić Butejkę, żeby nie emitował reportażu o tej awanturze w restauracji. Zorientowałam się, że to nie była pierwsza rozmowa na ten temat. Foyer w Domu Kino, przerwa, dokoła ludzie. Kapitan gotów jest klęknąć, a Artiomowi i jego przyjacielowi ta sytuacja sprawia wielką satysfakcję. Nie ukrywając, po prostu pastwili się psychicznie nad tym człowiekiem i nie dało się na to patrzeć. Dzięki temu mordobiciu w restauracji Artiom rozwiązał swój zawodowy problem * dostał to, do czego od dawna zmierzał: możliwość robienia autorskiego show. I teraz, kiedy zobaczyłam, że jako bohatera programu przyprowadził tego samego przyjaciela, i obaj nie zadali sobie trudu, żeby przemyśleć swój kłamliwy scenariusz, a w tym czasie sala wierzy w to, co mówią, sala płacze, poczułam się okropnie. Dotąd wydawało mi się, że w cynizmie Artioma mimo wszystko jest więcej zgrywy, pozy niż prawdy i ma wewnętrzne zakreślone granice. Bo jednak co innego są łózkowe sekrety gwiazd, a co innego przesmarkane życie. Wtedy zrozumiałam, że żadnych granic nie ma. Jeśli na mnie, osobie postronnej, sytuacja wywarła aż tak silne wrażenie, że decyduję się złamać reguły zawodowe, położyć koledze program na żywo, to jak mógł się czuć wtedy ten kapitan milicji? Jak musiał znienawidzić Butejkę i jego przyjaciela? A propos, już minęły trzy lata. Ten kapitan zapewne jest już na wolności, ale raczej do milicji nie wrócił.

* * *

Klim przyglądał się fotografiom bardzo długo i dokładnie. Wowa próbował

zrozumieć, o czym myśli, ale twarz Klima była, jak zwykle, nieprzenikniona.

Milczenie przeciągało się. Wowa czuł się nieswojo. Nagle skonstatował, że właściwie do tej pory Klim pozostaje dla niego zagadkową postacią. Nigdy nie widział jego dokumentów. Nie był u niego w domu, nawet nie wie, czy Klim jest żonaty, czy ma dzieci?

Chyba po raz pierwszy w ciągu tego długiego okresu znajomości Wowa poczuł się niepewnie. Ale tylko na chwilę. Nie lubił zawracać sobie głowy zbyt skomplikowanymi problemami. Po co psuć nastrój. Po co brudzić sobie czarnymi wyrzutami sumienia piękną i czystą nadzieję na spodziewane pieniądze?

Wowa był tak zapatrzony w Klima, że wierzył każdemu jego słowu. Jak większość chorobliwie chciwych ludzi był ufny i uległy, jak domowe zwierzątko. Bez problemu zapomniał, że Sania Anisimow i Artiom Butejko są jego przyjaciółmi. Czy przedsiębiorca zwraca uwagę na takie drobiazgi? Wręcz przeciwnie, to bardzo dobrze, że zna ich obu i ma na ich temat dużo informacji. Jego wartość, jako partnera w interesach, znacząco rosła i w oczach Klima i w oczach zleceniodawców.

Wprawdzie nigdy ich nie widział, ale z opowiadań Klima wynikało, że to ludzie solidni i są zadowoleni z roboty. Nieźle zapłacili, a być może i jeszcze coś kapnie. Dał Wowie tylko tysiącza, ale uprzedził, że to drobnostka, niewielki procent tego co się Wowie należy. Pierwszych pieniędzy, zarobionych za zrealizowanie zamówienia, tym bardziej takiego skomplikowanego, nie wolno ruszać.

* Pierwsze zarobione pieniądze należy oddać mamie * wyjaśnił Klim * wtedy się będą ciebie trzymać. Ty zamiast mamy będziesz mieć konto w niemieckim banku, ja teraz wszystko za ciebie załatwię, suma jest przyzwoita, za parę lat doliczy się solidne procenty, to kupisz sobie domek, a będziesz żył za tę forszę, którą dostaniemy za następne zamówienia.

Wowę nie zainteresowało, w jaki sposób Klim założy mu konto w zagranicznym banku bez jego obecności, a nawet bez jego dokumentów. Wiedział, że zrobi wszystko tak, jak ma być. Zresztą nie miał czasu się zastanawiać. Drugie zamówienie przyszło prawie natychmiast po pierwszym. Klim obiecywał, że szykują się poważne zlecenia i forsy będzie jak lodu. No i tak się dzieje, więc nad czym rozmyślać?

Klim włożył starannie fotografie do koperty, oddał ją Wowie i po namyśle spytał:

* A kto to jest ten Władik Myło?

* To mój kumpel. Razem pracowaliśmy w autoserwisie. Fajny gościu, pewny.

* W jaki sposób mógł na niego trafić zleceniodawca?

* To absolutnie czysta sprawa. Władik pochodzi z Surgutu, czyli z Piotrem Piotrowiczem są z jednego miasta.

* Dobrze. A wiesz gdzie jest klub „CT” ?

* Jasne.

* Pojedź tam i rozglądnij się, co i jak.

* Rozumiem. * Wowa z wrazenia przełknął ślinę. * Słuchaj, tego... chciałem się spytać, a jak z zaliczką? Ile jestem ci winien?

* Nic.

Wowa szybko i nerwowo zamrugął oczami, sięgnął do kieszeni po papierosy i tak mu ręce drżały, że długo nie mógł zapalić.

* Klim, nie bardzo rozumiem...

* A co tu jest do rozumienia? * Klim się uśmiechał. * Strzelasz nieźle. Jutro przywiozę ci fajnego gnata i naprzód. Piętnaście kawałków, to jest kasa!

Sania Anisimow przywitał śledczego Borodina ponurym milczeniem. Nie rozumiał, co się dzieje. Po badaniu psychiatrycznym zostawili go dalej w tym szpitalu, a do tego w pojedynce, która była podobna do więziennej celi. Jasne, że tu było lepiej niż w areszcie: żadnych sąsiadów przestępców, nawet dość czysto. Karmili też lepiej niż w więzieniu, ale to wszystko już mu tak obrzydło, że po prostu marzył o powrocie do domu. Zorientował się, że śledczy jest zupełnie w porządku i nie zamierza zwalić na niego cudzej winy. No to dlaczego nie chce go wypuścić?

* Pokażę teraz panu kilka fotografii * powiedział Borodin * proszę się dokładnie przyjrzeć i spróbować przypomnieć, kogo z nich pan spotkał, a jeśli spotkał, to gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach?

Anisimow długo przeglądał fotografie i najpierw powiedział, że nikogo nie zna.

Śledczy go nie popędział. Kogo jak kogo, ale swojego przyjaciela, Wowę Muchina powinien poznać, chociaż zdjęcie wzięte z biura ewidencji nie było dobrej jakości.

* Może mnie pan wypuści, jak podpiszę oświadczenie, że nie wyjadę? * spytał ostrożnie Sania, podnosząc oczy znad zdjęć.

* To się okaże * mruknął śledczy. * Czyli pan twierdzi, że nikogo z tych, co są na zdjęciach, nie zna. Proszę się przyjrzeć uważniej.

* No, ten, jakby... * pokazał palcem na Muchina * to przecież Wowa! Wowa Muchin, to on! Ale naprawdę, zupełnie do siebie niepodobny. Niech pan poczeka, chyba i tego znam, ale gdzie ja go widziałem?

* Spróbuję panu pomóc * powiedział wolno śledczy * to kapitan milicji Wasilij Sokołow. Trzy i pół roku temu pan i Artiom Butejko byliście razem w restauracji. Świętowaliście urodziny piosenkarza Rusłana Kudimowa...

* W restauracji?... * Sania zmarszczył czoło. * Kto to jest kapitan Sokołow? Ach, no tak, ten milicjant... Nie, a co ma do tego Sokołow? On siedzi... On miał wąsy... i zupełnie inną twarz... W restauracji... Ale to jest Klim! Ernest Klim, biznesmen z Niemiec!

Rozdział 40

Krasawczenko zadzwonił do Lizy na komórkę i powiedział, że będzie czekał na nią na ulicy, obok telewizji „Ostankino”.

* Nie mam czasu * odpowiedziała.

* Dziesięć minut się znajdzie.

Po wyjściu z auta nie od razu go zobaczyła. Podjechał do jej skody srebrzystym bmw i przyjaźnie pomachał ręką. Nie zwracając na to uwagi, Liza zamknęła samochód i włączyła alarm. On również wysiadł z auta i wziął ją pod rękę.

* Dzień dobry, Jelizawieto Pietrowna.

* Powiedziałam, że nie mam czasu * oswobodziła rękę * i, niestety, chyba muszę pana rozczarować. Wszystkie pańskie heroiczne wysiłki nie są warte funta kłaków. Wynajął pan jakąś kobietę, przespał się z nią i to was sfilmowali. Rzeczywiście, ona jest trochę do mnie podobna.

* Ona jest bardzo do pani podobna. Niestety, ma pani zbyt stereotypowy typ urody.

* No i co z tego?

* Jak to, jest pani mądrą kobietą i wystarczająco dobrze zna paskudną naturę człowieka, by nie wiedzieć, że wiele osób będzie chciało widzieć właśnie panią na tym filmie, a nie jakąś przypadkową osobę. Jest pani gwiazdą. Poza tym mam zamiar udzielić kilka szczerych wywiadów brukowcom, w których opowiem o naszym namiętym romansie.

* Z takim samym sukcesem każdy może opowiedzieć o romansie ze mną. Mimo wszystko trzeba mieć jeszcze na to jakieś dowody. Nawet dla brukowców.

* A ja je mam. Fotografie i wideokaseta. To mało? Opowiadam światu wzruszającą historię o tym, że od dawna jestem w pani zakochany bez wzajemności i wreszcie... jednakże szczęście trwało bardzo krótko. Znalazł się człowiek podły, który nas sfilmował i zaczął szantażować, żądając dużych pieniędzy. Wtedy, ze strachu, postanowiła pani zerwać ze mną. Przed każdym sądem będę patrzył na panią nieprzytomnie zakochanym wzrokiem, mogę nawet skąpą, męską łzę wypuścić z oka. Będę powtarzał: Lizeńko, wybacz mi... ja cię kocham... przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi. I uwierzą mnie, a nie pani. W tym przypadku dowody nie mają znaczenia. Będą chcieli mi uwierzyć, bo tak jest ciekawiej i melodramatyczniej. Ja zrobię takie show, taką mydlaną operę, że jeszcze jakiś łebski producent zapłaci mi za to kupę kasy.

* Nigdy nie malowałam paznokci, ani na rękach, ani na nogach * zareagowała obojętnie Liza * mam alergię na aceton. Pańska dama ma paznokcie krwistoczerwone.

* Co pani powie? * aż klasnął * doprawdy, ależ się wygłupiłem, oj, jak to niedobrze! Ale jestem optymistą. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Naturalnie, że wiem o alergii, ale pani z kolei wiedziała, jak podniecają mnie czerwone paznokcie. A propos, jak się spodobał film panu Jurze? O chyba nie zwrócił uwagi na ten drobiazg. Proszę pomyśleć, jeśli on, bliski pani człowiek nie zauważył tego, to czy można oczekiwać spostrzegawczości od pozostałych widzów? Chociaż, muszę przyznać, dopuściłem się zaniedbania. Powinienem był poprosić damę, żeby zmyła lakier.

Liza zauważyła, że na parking podjechał granatowy mercedes jej dyrektora i bez

słowa pobiegła do budynku. Jeszcze tego brakowało, żeby ją zobaczono z Krasawczenką.

* Proszę poczekać, jeszcze się nie umówiliśmy. Wiem, że tu i teraz jest niewygodnie. Proszę wyznaczyć miejsce i czas.

* Dobrze * wie pan, gdzie jest restauracja Patio*Pizza przy Muzeum Puszkina?

* Oczywiście.

* To dzisiaj, o dziewiątej wieczorem.

„On ma racje * myślała, siedząc w montażowni i patrząc obojętnie na monitory * chyba będę się musiała zgodzić na jego warunki. Żaden lakier mnie nie uratuje”.

Włókł się normalny, absorbujący, nerwowy dzień pracy. Na krótkiej odprawie Liza co chwila gubiła wątek rozmowy, wpatrując się w surową twarz dyrektora. Jego usta się uśmiechały, a wzrok był kłujący i poważny. Liza zastanawiała się, jak zaproponować mu Krasawczenkę, żeby to było dla niej bezpieczne, no i kiedy najrozsądniej będzie zacząć tę rozmowę.

„A może mimo wszystko przeciągać sprawę? Spróbować go zwodzić. Póki będzie miał nadzieję na udział w programie, to nie ruszy ze swoją operą mydlaną”, myślała, nakładając podkład na twarz w małym gabinecie obok studia.

Tam się piło kawę, opowiadało dowcipy, ukradkiem paliło papierosy, podskakując przy każdym pukaniu do drzwi, ponieważ strażacy za palenie wlepiali niewąskie kary.

„Na początek muszę wyjaśnić, co on chce powiedzieć do kamery”, zastanawiała się w trakcie rejestracji programu, automatycznie wygłaszając tekst.

* Co słowo, to się zacinasz * zauważył rozzłoszczony redaktor. * Zacznijmy od początku.

Przed dziewiątą Liza wyjechała z parkingu telewizyjnego i dokładnie o umówionej godzinie była pod restauracją. Tam, na parkingu, kątem oka dojrzała stojące, znajome srebrzyste bmw.

Było dużo wolnych stolików. Liza obeszła wszystkie salki, ale nie zauważyła Krasawczenki. Zajęła miejsce pod oknem, które wychodziło na oświetlony parking, zamówiła na razie tylko sok, postawiła torebkę i skierowała się do szwedzkiego stołu.

Nabrała kilka rodzajów sałatek, chleb czosnkowy, wróciła do stolika i spojrzała na zegarek. Było już piętnaście po dziewiątej.

„Gdzie on się podział? Auto stoi...” Liza zabrała się do jedzenia. Podeszedł kelner i spytał, czy podać pizzę? Odmówiła.

O wpół do dziesiątej do dżipa, stojącego dokładnie za srebrzystym bmw, podeszło, wymachując kluczykami, dwóch bysiów w skórach i wysoka jasnowłosa dziewczyna, w długim, niezapiętym futrze. Auto było tak zaparkowane, że dżip nie mógł wyjechać. Jeden z siłaczy w skórach nachylił się do okna, postukał w szybę, odskoczył jak oparzony i podbiegł do kumpla i dziewczyny, którzy palili papierosy koło dżipa. Cała trójka zaczęła o czymś gwałtownie rozmawiać. W końcu dziewczyna wyjęła komórkę i zaczęła dzwonić.

Liza myślała, czy by nie wyjść i popatrzeć, co się dzieje, ale opanowała się i zmusiła do zachowania spokoju. Dopiła sok, zamówiła kawę i zapaliła papierosa.

Po jakichś dziesięciu minutach rozległo się wycie syren. Na parking wjechała karetka pogotowia, a w ślad za nią milicyjny gazik. Zapłonęły jasne światła, pod daszkiem restauracji zapalono silny reflektor i Liza zobaczyła, że w bmw, na fotelu kierowcy siedzi człowiek, dziwnie odchylony na zagłówek. Uniosła się z krzesła, przyłgnęła twarzą do szyby i rozpoznała grubo ciosany profil Krasawczenki.

Grupa operacyjna poprosiła, by wszyscy pozostali na swoich miejscach, każdemu pokazywali jakiś dowód tożsamości z fotografią i pytali, czy zna tę osobę.

Jeden z milicjantów rozpoznał Lizę i się uklonił.

* Co mu jest? * spytała. * Zawał? Wylew?

* Strzał w głowę * odparł cicho.

* Jak to możliwe, nikt nie zauważył, nie usłyszał?

* Pistolet miał tłumik, to robota zawodowca. Podobno ochroniarz i robotnik widzieli, jak jakiś chłopak podchodził do auta, ale na razie nic więcej na jego temat nie można powiedzieć.

Ktoś zawołał na milicjanta, wobec tego uśmiechnął się i skinął głową:

* Wszystkiego dobrego, Jelizawieto Pawłowna. Miło mi było panią poznać.

Nawet jej nie spytał, czy zna tego człowieka.

* O Dmitrij Władimirowicz, dobry wieczór! * twarz właściciela klubu „ST” rozpląnęła się w uśmiechu, uściskał gościowi rękę, a jego towarzysze tylko skinął głową, chociaż osłodził to niezbyt miłe powitanie komplementem: * Wspaniale pani dziś wygląda, Warwaro. Cieszę się, że panią widzę.

Goście podeszli do swojego stolika. Tym razem było tu prawie pusto, orkiestra miała przerwę, z głośnika cichutko sączyła się melodia grana na lutni.

Waria otworzyła menu. Obok nazwy dań nie było cen. Stałym klientom ściągano należność z rachunku bankowego za pomocą specjalnych kart klubowych. W tej sytuacji spis dań i win można było czytać jak poemat, nie zwracając sobie głowy cyframi.

* Afrykańska ryba Lu w sosie z dalekowschodnich krabów z krewetkowymi chipsami
* przeczytała głośno Waria i zrobiła pauzę.

* W żadnym wypadku * zaprotestował wesoło jej towarzysz * już próbowałaś tej egzotyki.

* Ach tak, rzeczywiście. Wyjątkowe świństwo.

Przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz znalazła się w tym rajskim miejscu, długo studiowała menu i w końcu wybrała to właśnie danie, afrykańską rybę Lu. Mniej więcej po pół godzinie do stołu nadeszło danie „ Eskortowane” przez właściciela klubu we własnej osobie i szefa sali. W wyciągniętych przed siebie rękach nieśli talerze, nakryte srebrnymi okrągłymi pokrywami. Ich twarze w tym momencie bardzo przypominały twarze żołnierzy warty honorowej przy mauzoleum. Stanęli wyciągnięci jak struna i zdawało się, że chyba nawet przestali oddychać. Właściciel dał znak lekkim drgnieniem powiek i równocześnie unieśli srebrne pokrywy.

Na talerzu Warii leżało kilka maleńkich, szarobiałych kawałeczków ryby, oblanym jakimś mętym, pomarańczowym sosem. Ta afrykańska ryba przypominała smakiem suchego dorsza w pomidorach. Dziewczyna

o mało się nie rozpląkała z doznanego zawodu. Tak bardzo chciała wybrać sobie coś najsmaczniejszego, najbardziej niezwykłego, a tu, proszę, masz!

* Następnym razem będziesz mądrzejsza * powiedział wówczas Dmitrij i zamówił dla niej bliny z kawiolem * jeden mój przyjaciel, w afrykańskiej restauracji Gwinea

w Marsylii, zamówił sobie firmowe danie narodowe, najdroższe i najbardziej wykwintne. Przy dźwiękach bębnów przyniesiono i ustawiono obok jego stołu ogromny kocioł z rozmoczonymi surowymi ziarnami pszenicy, posypanymi na wierzchu krążkami ugotowanej marchewki. Tak więc, zapamiętaj sobie dziewczyno: należy zawsze zamawiać te potrawy, które znasz, bo inaczej będziesz głodna.

Waria lubiła zabawne historie, które jej opowiadał, ale dziś był milczący i ponury. Problemy długiego i trudnego dnia pracy nie dawały mu spokoju. Dwa razy dzwoniła komórka, odpowiedział krótko i z wyraźnym rozdrażnieniem, bo przeszkadzała muzyka.

* To ja wezmę szaszłyk z jesiotra * zamknęła menu i zapaliła papierosa. Potrawy, jak zwykle, zostały podane w sposób uroczysty. Duże kawałki bursztynowo*rózowego szaszłyka, nanizane na srebrny szampur, były pokryte cienką złocistą skórką, która tworzy się tylko wtedy, kiedy szaszłyk jest pieczony nad prawdziwym żarem.

szampur (ros.) * metalowy płaski pręt zaokrąglony z jednego końca, a z drugiego skręcony i zakończony kółkiem. Służy do pieczenia nad ogniem kawałków mięsa, ryb, warzyw.

Dmitrij jadł szybko i łapczywie. Pił dużo wody.

Podszedł właściciel klubu i spytał, czy wszystko w porządku i nie ściszyć muzyki?

* Słuchaj, Staś * powiedział zamyślony Dmitrij Malcew * ty wszystko wiesz. Jakiego to dziennikarza zabili niedawno?

* A gdzie dokładnie? Jeśli w punktach zapalnych, to...

* Nie. W Moskwie.

* Z tych znanych, to chyba nikogo. Zaraz, chwileczkę. Wykończyli jednego. Nie był znów tak bardzo znany i na pewno pan o nim nie słyszał. Artiom Butejko.

* Jak powiedziałeś? Butejko? * Dmitrij zastygł na sekundę.

* Tak, niedawno zaczął prowadzić nocny program na szóstym kanale. Wie pan, takie tam głupoty, plotki.

* Dzięki, Staś. Przynieś, proszę, kawę dla Warwary, a dla mnie, jak zwykle, zieloną

herbatę.

Staś uklonił się z szacunkiem i odszedł. Dmitrij natychmiast wyjął telefon i wystukał numer.

* Wiesz, jak brzmi nazwisko zamordowanego dziennikarza? * powiedział, nie witając się. * Butejko. Oczywiście, syn...

Schował telefon do kieszeni. Szef przyniósł kawę i herbatę. Pili w milczeniu. Waria wyjęła papierosa z paczki.

* Nie pal. Jedziemy * zarządził Dmitrij.

W holu Warwara poprawiła włosy przed lustrem, potem wyjęła z torebki kluczyki do swojego samochodu i rzuciła je ochroniarzowi Serioży, ryzykując, że uderzą w lustro lub stojący na podłodze chiński wazon, ale chłopak zgrabnie je złapał.

* Nie szalej. * Dmitrij podszedł do niej i żartobliwym ruchem zmierzwił jej, dopiero co uczesane, włosy.

* Nie będę. * Zrobiła pokorną minę, wsunęła ręce w rękawy jasnoturkusowego kożuszka, zapięła go na złote guziki z dużymi, prawdziwymi perłami i znów wyjęła grzebień.

* Pospiesz się, dość tego wystawiania przed lustrem * burknął Dmitrij.

Wyszli w gęstą, mokrą zamieć.

Dżipy i mercedesy pobielili śnieg, a renault Warwary był całkowicie zasypany. Ale to nie był problem. Sierioża, ochroniarz, odśnieży samochód. Bardziej przejęła się tym, że miała teraz mokrą twarz i na pewno zaraz się tusz rozpuści. Prawie biegła do dżipa po mokrym dywanowym chodniczku, rozciągniętym na płytach od wejścia do klubu aż do jezdni.

Pancerny dżip Dmitrija rzucał się w oczy, ponieważ był idealnie czysty. Szofer Kola i ochroniarz Fiodor pospiesznie zmiatali z przedniej szyby resztki śniegu. Do auta zostało jej kilka kroków, gdy nagle, niewiadomo skąd, pojawił się ogromny wilczur. Miał obrozę, ale był bez kagańca. Waria nie bała się psów, jednak instynktownie odskoczyła w bok, niestety, poślizgnęła się i straciła równowagę. Cienki obcas uwiązł w szczelinie między mokrymi płytami, noga boleśnie została wykręcona i Waria upadła. Tusz spłynął z rzęs, szczypało w oczy, nic nie widziała, tylko czuła gorący psi

oddech. Z morderczy czworonoga czuć było paskudny odór zepsutego śledzia. Ktoś obok głośno przeklinał. Poprzez łyż i zamieć udało się Warii zobaczyć padające na ziemię, obok niej, dwie męskie postacie i za sekundę usłyszała strzały. Tylko trzy. Waria wcisnęła twarz w śnieg i nakryła głowę rękami.

Wybiegając spod arkad Wowa Muchin przeskoczył przez zaspy, prawie nie dotykając ziemi. W takim tempie jednak nie mógł długo biec. Nigdy nie był dobrym biegaczem, a do tego przeszkadzał głęboki i grząski śnieg. Słyszał za sobą chrapliwy psi oddech. Biegając, oglądał się i pojął, że wielki jak niedźwiedź wilczur zaraz go dopadnie i rozerwie na kawałki. Nie potrafił o niczym myśleć, trafił czy spudłował * było mu wszystko jedno. Najważniejsze to uciec psu, przeżyć, a potem, niech się dzieje co chce.

Na środku podwórka, pod cienką warstwą śniegu, leżał gładki kawałek plastiku, na jakich dzieci zjeżdżają z górek. Wowa poślizgnął się i pies jednym skokiem go dopadł, mocne zęby wpiły się w jego prawą dłoń. Próbował bronić się lewą, nogami, nie czując bólu, bo strasznie się bał, że wilczur zaraz rozerwie mu gardło.

Przez dzwonienie w uszach usłyszał:

* Frida, do nogi!

Nie od razu dotarło do niego, że pies już go puścił, i dopiero po chwili zdecydował się otworzyć oczy. Ból w ręce był tak straszny, że wrzasnął z całej siły.

* Cicho, cicho nie drzyj się, leż spokojnie, zaraz przejdzie * dobiegł do niego znajomy głos * daj rękę, nie tę, lewą.

* Klim, to strasznie boli, nie mogę * jęczał Wowa, próbując ze wszystkich sił opanować krzyk. * Potwornie boli, słuchaj, a pies nie jest wściekły?

Świadomość, że Klim jest tuż obok, sprawiła, że poczuł się znacznie spokojniejszy, ale ból przegryzionej dłoni nasilał się coraz bardziej.

* Klim, zrób coś!

Klim zdjął z niego grubą kurtkę i podciągnął rękaw jego swetra. Wowa był tak otumaniony bólem, że nie pomyślał, skąd tu, na podwórku znalazł się Klim, skąd się wziął pies, który go słuchał, skąd w rękach Klimy strzykawka, no i najważniejsze, co w niej jest?

Wszystko trwało nie dłużej niż minutę.

* Zaraz ci będzie lepiej. * Klim spuścił mu rękaw, cicho gwizdnął na psa, który siedział z boku, popchnął Wowę do przodu i powiedział: * Uciekamy.

Wowa miał zawroty głowy. Ból w ręce trochę zelżał, ale nogi zrobiły się jak z waty i było mu gorąco. Spocił się tak, że sweter zrobił się mokry i Wowa dostał takich dreszczy, że zaczął szczekać zębami. Mimo że czuł się okropnie, zorientował się, że Klim popycha go wcale nie w stronę przecznicy, gdzie powinni uciekać, ale z powrotem, ku wysokim arkadom.

* Gdzie? Co ty? * wychrypiał z trudem, próbując się zatrzymać.

Ale w tej chwili jego dłonie dostały się chyba w imadło. Cicho jęknął z bólu.

Po strzałach na parkingu przed klubem zapadła cisza tak przygniatająca, że Warii zdawało się, że to ona ją wtłacza w kłujący, mokry śnieg. Po chwili rozległy się jakieś dźwięki. Od strony klubu doleciał głuchy, szybki tupot, chrzęst mokrego lodu. Na parkingu odezwały się alarmy w samochodach, a potem, z oddali doleciało wycie syren. Nadjeżdżały milicja i karetka pogotowia.

Waria zdecydowała się podnieść, ale to nie było łatwe. Jeden pantofel utonął w głębokiej kałuży, obcas drugiego uwiązł w szczelinie chodnika.

Cienka warstwa lodu chrzęściła pod jej nogami, przez rajstopy śnieg parzył stopy.

* Nic się nie stało? * spytał Dmitrij Malcew, który natychmiast był przy niej, obrócił ją twarzą do siebie i pytał gorączkowo: * Czy gdzieś cię boli? No mów, szybko, gdzie cię boli?

Był bez kożucha, miał rozpiętą marynarkę, krawat przekrzywiony. Dziewczyna objęła go, wtuliła twarz w jego mokrą koszulę i zaczęła szlochać.

* Mitia, Mitienka, nie trafili cię? Jesteś cały?

* Stoisz boso na śniegu. Przeziębisz się * powiedział zdenerwowany i wziął ją na ręce. Takie coś zdarzyło się pierwszy raz * w całym jej dwudziestoletnim życiu nikt jej nie brał na ręce. Być może mama, we wczesnym dzieciństwie i kapitan Sokołów, kiedy wynosił z wody.

* Umarłabym, gdyby coś ci się stało * oświadczyła najzupełniej szczerze.

Nic nie powiedział i szybko poszedł do dżipa. Niósł ją z taką łatwością, jakby była

małym dzieckiem.

Ochroniarze, szofer, ochrona klubu miotali się tam i z powrotem, ktoś donośnym głosem wydawał polecenia, milicjanci oglądali miejsce zdarzenia, a z głębi arkad wynurzył się najpierw wilczur z wywalonym ozorem, a potem dwóch mężczyzn. Kiedy wyszli z ciemności, okazało się, że jeden z nich trzyma drugiego za łokieć, właściwie ciągnąc go po śniegu. Prowadzony miał wykręcone ręce do tyłu i był zgięty prawie do ziemi.

„Czyżby udało się dogonić kilerów?”, Waria była zaskoczona.

Dmitrij usadził ją na tylnym siedzeniu dżipa, szofer, który właśnie nadszedł, szarmanckim gestem zdjął z siebie ciepłą skórzaną kurtkę, nakrył jej nogi, włączył ogrzewanie i zatrzasnął drzwi samochodu.

Waria ogrzała się i trochę uspokoiła. Minęły dreszcze. Przeniosła się na przednie siedzenie i obróciła lusterko tak, żeby zobaczyć, jak wygląda. Musiała się jakoś doprowadzić do porządku. W kieszeniach kożucha nie było nic poza opakowaniem po gumie do żucia, a torebka, w której miała wszystko co potrzeba * chusteczkę do nosa puderniczkę, grzebień * walała się gdzieś w kupie śniegu, razem ze zgubionymi butami. Nie chciało jej się wychodzić z auta, ale żał było torebki. Uchyliła drzwi, żeby kogoś przywołać, ale szofer i ochroniarze stali daleko. Rozmawiali z Dmitrijem i milicjantami, na pewno składali zeznania.

Tuż obok nich, na zaśnieżonym parkingu leżał mężczyzna. Waria zobaczyła czarną kurtkę i rozrzucone nogi. Zapewne to on strzelał, to jego parę minut temu wywłócił z klubu właściciel psa.

* Cholera, co tu zrobić? * mruknęła do siebie i szerzej otworzyła drzwi.

W wilgotnym powietrzu zapachniało papierosowym dymem i natychmiast strasznie zachciało jej się palić. Ale paczka została w torebce. Rozglądnęła się i spostrzegła, w niewielkiej odległości od dżipa, barczystego, niewysokiego mężczyznę, palącego papierosa i spluwającego w śnieg. Obok siedział wilczur z wywalonym jęzorem. Z otwartego pyska buchała para, boki ciężko się poruszały.

* Przepraszam, może mnie pan poczęstować?

Mężczyzna obejrzał się, podszedł do otwartych drzwi, wyjmując po drodze paczkę

papierosów z kieszeni.

* To pan złapał bandytę? * Waria odpaliła od niego.

* Nie ja, Frida * odparł nieznajomy urywanym głosem. * Dogoniła go dwoma susami, ledwo mogłem ją odciągnąć.

* A czym mu pan związał ręce?

* Smyczą.

* On strzelał z okna?

* Nie, wyszedł na gzyms.

Przez przednią szybę Waria spojrzała na wejście do klubu. Kamienny gzyms przebiegał na wysokości pierwszego piętra, wzdłuż całej fasady budynku i bezpośrednio nad drzwiami wejściowymi.

* Dziwne... najpierw musiał się dostać do jakiegoś mieszkania na pierwszym piętrze.

* Przez okno na klatce schodowej * uściślił nieznajomy.

Jedno z sześciu okien na klatce schodowej było otwarte. Waria dopiero teraz zauważyła, że silny wiatr porusza otwartą połową.

* A jak pan biegł za nim, nie bał się, że on strzeli? * Nie.

* To co? On rzucił pistolet?

* Nie wiem.

Na dłoni nieznajomego Waria zauważyła dwa pierścionki. W jasnym świetle lamp błysnęły kamienie, ale zbyt intensywnie, aby mogły być prawdziwymi brylantami.

Na przegubie luźno zwisał gruby, złoty łań

cuch. Twarzy nie mogła zobaczyć, ponieważ najbliższa lampa oświetlała mu tył głowy. Ramiona szerokie, nabite, głowa ogolona na zero, krótka mocna szyja. Albo ciężarowiec, albo komandos, albo czyjś ochroniarz.

Przesunęła się na sam kraj siedzenia, bo bardzo chciała zobaczyć jego twarz.

* Pan tu kogoś ochraniał?

* Nie, wyszedłem na spacer z psem.

* To pan mieszka w tym domu?

* Nie, w sąsiednim.

* Czyli znalazł się pan tutaj całkiem przypadkowo? * Tak.

* I wszystko pan widział?

* Prawie.

* A jak padły strzały, to ktoś kogoś przewrócił na ziemię. Wie pan kto i kogo? * spytała, próbując zająrzeć mu w oczy.

Nieznajomy bez słowa odwrócił się, rzucił w śnieg niedopałek i szybko odszedł.

* Niech pan poczeka! * zawołała. * Mogę pana o coś prosić? Zatrzymał się.

* Gdzieś tam, na śniegu, leży moja torebka. Niech mi ją ktoś przyniesie. I jeszcze buty.

Milcząc, skinął głową i poszedł w stronę ochroniarzy i milicjantów. Wilczur trzymał się jego nogi. Waria dostrzegła, że zmierza do niej Dmitrij. W jednej ręce trzymał jej torebkę, w drugiej buty. Zrównawszy się z nieznajomym, przystanął i dość długo rozmawiali. O czym * tego Waria nie słyszała.

„To on, ten nieznajomy, przewrócił Dmitrija, zanim padł strzał * przyszło nagle jej do głowy. Patrzyła przez przednią szybę, jak podnoszą bandytę i wpychają do milicyjnego auta. * On go uratował. A Frida uratowała mnie. Gdybym nie upadła. Milicyjne auto odjechało, zabierając zatrzymanego. Dmitrij Malcew wciąż rozmawiał z nieznajomym.

„Mało to w Moskwie owczarków niemieckich? * rozmyślała Waria. * Mało wyćwiczonych młodych facetów, którzy mają zachrypły głos, mówią urywanymi zdaniem i mają taki kretyński zwyczaj, że kiedy palą, to zgniatają zębami filtr?”

* Czyli pan zobaczył go na gzymsie nad wejściem? * pytał Dmitrij Malcew, wpatrując się w małe, jasne oczy swojego wybawcy.

* Tu zadziałał instynkt. Sekundę przed wystrzałem poczułem, w kogo on celuje.

* Skąd się wziął u pana taki instynkt?

* Afgan. Czeczenia.

* Jest pan żołnierzem?

* Byłem oficerem w komandosach.

* A teraz czym się pan zajmuje?

* Ot, wyprowadzam psa na spacer * w ciemności błysnęły śnieżnobiałe zęby.

Uśmiech mignął jak błysk flesza i twarz na powrót skamieniała.

Dmitrij czuł, że jego rozmówca jest bardzo spięty. Najwyraźniej nie chciał odpowiedzieć na pytanie.

„Nie ma co się dziwić, takiemu wyszkolonemu facetowi trudno się przyznać do problemów z pracą”, domyślił się, szczerze mu współczując.

* No dobrze, ale jak się panu udało przewidzieć, gdzie on będzie uciekał?

* Jak zobaczyłem otwarte okno, to pomyślałem, że najbliższe wejście do arkad powinno być w środku podwórka. Czyli najwygodniej mu będzie przeciąć podwórko i dopiero potem skręcić w jedną z przecznic. Ale to nie ja go dogoniłem, ale Frida.

* Pan specjalnie ją tego nauczył? * Tak jest.

* I często zdarzało się, że łapała przestępców?

* Różnie bywało.

* Ma pan wspaniałego psa. * Dmitrij wyciągnął rękę i poklepał Fridę po wilgotnym szorstkim karku. * A ile ma ona lat?

* Trzy i pół.

* To dobry wiek u psa. * Tak jest.

* No dobrze, to jeszcze raz dziękuje panu. Proszę, to jest moja wizytówka. Jutro o dziesiątej czekam na pański telefon.

Waria znowu przeszła na tylne siedzenie, podłożyła sobie pod głowę zwiniętą kurtkę szofera, podkulila nogi i nakryła się swoim kożuszkim. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Oczy jej się zamykały.

Pierwszy wszedł do auta kierowca i ochroniarz. Sądząc po ich uporczywym milczeniu, dziewczyna zorientowała się, że obu grozi zwolnienie. Gdyby nie przypadkowy właściciel psa, to cała sprawa mogła się fatalnie skończyć.

Dmitrij usiadł obok Warwary.

* Kto to jest ten facet z psem? * spytała, słodko ziewając.

* Były komandos.

* Tak? A ja myślałam, że milicjant.

* Odpocznij, słoneczko. * Pogłaskał ją po kolanie. * Mamy długą drogę, to możesz się przespać.

* Ma fantastycznego psa * mruknęła już z zamkniętymi oczami. * Na pewno już jest

stary. Tylko stare psy są takie mądre.

* Nie. Ma dopiero trzy i pół roku.

Waria usnęła momentalnie. Wystarczyło, że zamknęła oczy, i już coś jej się śniło.

Zawsze miała kolorowe, wyraziste sny.

Teraz ujrzała pokoik, dwuosobowy materac z łóżka, leżący na podłodze z wymiętą, niezbyt świeżą pościelą, czarne okno bez firanek, goła żarówka pod sufitem. Obok * szerokie białe plecy, silny, ostrzyżony po żołniersku kark. Goły do pasa mężczyzna kucnął obok, trzymając szczeniaka.

* Wiesz co, nazwijmy ją Warwarka. Suka Warwarka. Fajnie brzmi, nie?

Sen był tak realistyczny, że Waria czuła, jak wypływające z niebytu zapachy drażnią jej nozdrza. Śmierdziała popielniczka pełna niedopałków. Od służbowych brązowych butów, które zawsze stawiał tuż koło materaca, dolatywał zapach pasty do butów.

Szczeniak z grubymi łapami pachniał mlekiem, czystą sierścią i świeżym sianem. Na wieszaku, zahaczonym o otwarty lufcik, kołysał się szary milicyjny mundur z kapitańskimi pagonami.

Dokładnie, tak jak na jawie, widziała zbliżającą się ku niej surową twarz, małe zielonkawe oczy, jasne jak szczoteczka oficerskie wąsy.

* No, dobra, dobra, nie obrażaj się. Kiedy byłem mały, sąsiedzi z tej samej klatki schodowej, mieli wilczura. Strasznie im tego zazdrościłem i moim marzeniem było mieć dokładnie takiego samego psa. No i na pamiątkę tamtego, nazwę szczeniaka * Frida...

Rozdział 41

Mężczyzna, zatrzymany na miejscu przestępstwa, miał przy sobie dowód na nazwisko Muchina Władimira Mikołajewicza, Rosjanina, urodzonego w 1973 roku, zamieszkałego w Moskwie. Zachowywał się ten Muchin bardzo dziwnie. Był bezwładny jak szmata. Pozwolił felczerowi z karetki przywiązać się i zrobić zastrzyk przeciwężcowy. Felczer zeznał, że podczas czyszczenia rany pacjent coś mrucał niewyraźnie i kilka razy powtórzył: „Klim, ty skurwysynu”.

* Rana nie jest głęboka * powiedział lekarz do milicjantów prowadzących śledztwo.

* To nic groźnego. Niech mu jutro zmienią opatrunek. Pies był domowy, szczepiony, ale na wszelki wypadek powiedzcie, żeby mu dali zastrzyk przeciw wściekliźnie.

Zresztą tu wszystko napisałem.

Muchin kręcił głową, nie odpowiadał na pytania, wytrzeszczył oczy i patrzył w jeden punkt, łąpczywie połykał zatechłe, prześmierdłe dymem, powietrze milicyjnego gazika.

Doświadczeni milicjancie uważali, że albo facet zgrywa się na psychola, albo zgłupiał, bo natychmiast został aresztowany i okropnie bolała go ręka pogryziona przez psa.

Kiedy dojechali na komisariat, otworzyli tylne drzwi i powiedzieli: „wyłaź”, to nawet nie drgnął i musieli go dosłownie wywlec. Charczał, słaniał się i cały czas wytrzeszczał oczy.

* To nic, zaraz się pozbierasz * pocieszyli go, sadzając na ławce w „klatce”. Jakoś tak dziwnie oparł się o ścianę i zaczął powoli i rytmicznie podrygiwać.

* Ej, szefie, coście nam tu przywieźli? * zainteresowali się ci, którzy już tu wcześniej byli. * On nam tu zaraz kopnie w garnek. Karetka potrzebna.

Dyżurny milicjant przyglądał się uważnie nowo przybyłemu i zdecydował się wezwać pogotowie. Załoga karetki, która przyjechała po pięciu minutach, stwierdziła, że zatrzymany jest w stanie śpiączki. Na syrenie zawieźli go do najbliższego szpitala, ale po drodze, mimo prowadzonej akcji reanimacyjnej, zmarł, nie odzyskując przytomności.

Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła w rezultacie przedawkowania syntetycznego narkotyku, obcego pochodzenia.

Następnego ranka na komisariacie zjawiał się jakiś stary, nudny śledź, podniósł wszystkich na nogi, zaczął szczegółowo wypytywać o zamach pod klubem „ST”, zażądał, by mu dać wszystkie dokumenty, łącznie z nie do końca wypełnionymi, zadzwonił do stacji, z której wyjechała karetka, skontaktował się z grupą operacyjną i w końcu oświadczył, że facet z psem, który zapobiegł zamachowi i zatrzymał Muchina, sam go wykończył i w rzeczywistości jest wyjątkowo niebezpiecznym

przestępcą, a sam zamach to po prostu inscenizacja.

* A co, my jesteśmy winni? * dziwili się rejonowi milicjanci. * Zebraliśmy dowody, facet nie miał przy sobie żadnych dokumentów, ale kto wychodzi w nocy z psem na spacer i ma w kieszeni dokumenty? Gościowi należy się podziękowanie za to, co zrobił. Proszę, w protokole jest wyraźnie napisane: Isajew Maksim Maksimowicz, mieszka pod takim a takim adresem.

* A sprawdziliście ten adres? * zarechotał śledczy Borodin. * Czy tam naprawdę mieszka standartenfuhrer Stirlitz?

Standartenfuhrer Stirlitz lub Isajew Maksim Maksymowicz * główna postać szpiegowskiego serialu radzieckiego z 1973 roku, pt. Siedemnaście mgnień wiosny.

* Nie, nie sprawdziliśmy * milicjanci popatrzyli na siebie i nagle wybuchli śmiechem.

* To wcale nie jest śmieszne * zauważył smutno Borodin.

Kapitan Kosickij z ekipą operacyjną, świadkami i nakazem rewizji, zjawił się pod domem Butejków o ósmej rano. Na dzwonek nikt nie zareagował. Okazało się, że drzwi są otwarte. W mieszkaniu wszystko było przewrócone do góry nogami, parkiet zerwany, a w kuchni pocięte linoleum.

Ciało Jeleny Butejko znaleziono w łazience. Leżała na podłodze w kałuży krwi. Usta miała zaklejone taśmą izolacyjną, a dookoła szyi biegł głęboki ślad zadzierzgnięcia, uduszono ją jedwabnym paskiem od szlafroka. Na ciele były widoczne świeże krwawe siniaki, dużo ran ciętych i kłutych.

* To ślady torturowania * skonstatował ekspert.

Mąż Jeleny został zabity strzałem prosto w serce, leżał na kanapie i patrzył w sufit nieruchomymi, szeroko otwartymi oczami. Usta miał również zaklejone, ale prócz jednej śmiertelnej rany, innych śladów nie stwierdzono.

W mieszkaniu znaleziono dwie skrytki, jedną pod podłogą pokoju, który niedawno należał do Artioma, drugą na antresoli. Obie były puste.

W małej komórce natknięto się na instrumenty do prac jubilerskich: imadła, lutownice, pilniki, lupy na statywach i bez statywów, jednym słowem komplet profesjonalnych narzędzi. Ale nie znaleziono nic cennego, oprócz kawałeczka

urwanego złotego drucika, zaczeplonego pod listwą przypodłogową.

Sąsiedzi powiedzieli, że w nocy, słycać było jakieś hałasy, kilka razy jakby coś upadło, ale oni wiedzieli, że Wiaczesław Butejko wrócił ze szpitala, często go męczyła bezsenność, i nie zainteresowali się tym hałasem.

Wieczorem, podczas kolacji, mama zapytała:

* Iliusza, czy dodzwoniła się do ciebie Waria Bogdanowa? Dałam jej twój numer telefonu do pracy.

* Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej! * Śledczy zerwał się od stołu.

* Daj mi szybko jej numer.

* Przepraszam cię, ale nie zapisałam * wzruszyła ramionami mama.

* Zapomniałam. Powiedziała, że na pewno zadzwoni. Niepotrzebnie się denerwujesz.

* Co ci jeszcze powiedziała?

* Poczekaj, niech sobie przypomnę. Była jakaś podenerwowana, przestraszona.

Powiedziała, że musi zaraz z tobą porozmawiać. Spytałam, co się stało, odrzekła, że nic strasznego, po prostu chce się ciebie poradzić.

Za dziesięć minut ponownie zadzwonił telefon.

* Ilia Nikitycz Borodin? * w słuchawce rozległ się głęboki, kobiecy głos. * Dobry wieczór. Mówi Waria Bogdanowa. Pamięta mnie pan?

* Witaj, Warwaro. Jasne, że pamiętam.

* Przepraszam, że przeszkadzam, ale naprawdę nie mam się kogo poradzić. Widzi pan, mam przyjaciela... no, powiedzmy, narzeczonego... właściwie to mieszkamy razem już trzy lata. On się nazywa Dmitrij Władimirowicz Malcew. Jest wiceministrem finansów. Wczoraj w nocy strzelali do niego, ale na szczęście nie trafili. Tam był wtedy jakiś człowiek, szedł na spacer z psem i właściwie to on uratował Dmitrija. Czy pan mnie słucha?

Ilia Borodin milczał i nie przerywał. Wyczuwał jej ogromne zdenerwowanie.

* Tak, bardzo uważnie cię słucham.

* Widzi pan, ja być może się mylę, ale mam wrażenie, że to, co się stało, zostało wcześniej zaplanowane. Może to głupie, co mówię... Ale okropnie się boję. Dmitrij jest bardzo poważnym człowiekiem, pracuje na odpowiedzialnym państwowym

stanowisku. Wczoraj był naprawdę bardzo wdzięczny swojemu wybawcy i ma zamiar przyjąć go do pracy jako ochroniarza. Ale ten człowiek mi się nie spodobał.

* Poczekaj. A skąd ci przyszło do głowy, że to wszystko zostało zaplanowane? * przerwał jej śledczy.

* No, ja po prostu nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. To, wie pan, jak w tym starym dowcipie o fortepianie, który stał w krzakach. Powiadam, mogę się mylić, ale chciałabym prosić, żeby pan sprawdził tego mężczyznę. Na prawej ręce nosi dwa pierścionki z wielkimi przezroczystymi kamieniami, a pod spodem ma wytatuowane także pierścionki. Wydawało mi się, że on jest bardzo podobny do kapitana Sokołowa.

* Bądź tak miła i przypomnij mi, kto to jest kapitan Sokołów? * poprosił Borodin obojętnym tonem.

* No, to ten, który wyciągnął mnie z wody, jak się topiłam. Potem go posadzili. Dmitrij nic o tym nie wie, nie o tym, co było kiedyś. Jeśli się rzeczywiście okaże, że to jest Sokołów... * Rozpłakała się. * Jeśli Dmitrij Malcew dowie się, to na pewno mnie rzuci...

Już nie starała się opanować, z trudem chwyciła powietrze i prawie nie mogła mówić.

* Uspokój się, dziewczyno. I nie kręć. Powiedz mi szczerze, skąd wiesz, że zamach był sfingowany?

* Po prostu tak mi się wydaje.

* A twojemu przyjacielowi też się tak wydaje?

* Nie... Jeśli chce go przyjąć do pracy, to na pewno jest przekonany, że to wszystko było naprawdę. Ja pana tak strasznie proszę. Niech pan sprawdzi, czy to jest Sokołów, czy nie... Chociaż on i tak jutro o dwunastej ma do nas przyjechać, spotkać się z Dmitrijem w domu. My mieszkamy za miastem, sześćdziesiąt kilometrów od Moskwy, jadąc szosą leningradzką. Tam jest taka mała osada „Słoneczna”. Wszystkiego trzy wille na bardzo dużych parcelach. My mieszkamy na drugiej parceli... Przepraszam, chyba niepotrzebnie panu zawracałam głowę. I tak już się nic nie da zrobić... Jutro przyjedzie o dwunastej... Przepraszam...

* Poczekaj, Waria, nie płacz, nie odkładaj słuchawki * wtrącił śledczy, ale w telefonie

słysząc już było miarowy sygnał.

O jedenastej piętnaście czarne żiguli skręciło z szosy leningradzkiej na wiejską drogę, która znajdowała się w odległości pięciu kilometrów od osady „Słoneczna”. W poprzek drogi stała wielka brudna ciężarówka, załadowana drewnem.

* Jasna cholera * zaklął Wasia Sokołów, hamując.

Specjalnie wyjechał z domu wcześniej. W żadnym wypadku nie mógł się spóźnić.

Tacy ludzie jak Malcew są szczególnie wyczuleni na punktualność.

Na początku Wasia zatrał na ciężarówkę, chociaż wiedział, że to i tak bez sensu.

Kabina kierowcy była pusta. Spojrzał do tyłu, kombinując, jak by tu można znaleźć jakiś objazd. Za nim już trąbiły kolejne dwa auta, wołga i wojskowy gazik. Wasia zrozumiał, że jest zablokowany. Chcąc skręcić z drogi, trzeba pojechać albo do przodu, albo się cofnąć. Pozostało jedno * podejść do kierowcy wołgi i dogadać się z nim.

Zatrał jeszcze raz, na wszelki wypadek, wypiął się z pasa, wyszedł z auta i wolno ruszył w stronę wołgi.

Wewnątrz, prócz kierowcy, siedziało jeszcze trzech młodych gości z ostrzyżonymi na zapalną włosami. Wszyscy byli w skórzanych kurtkach. Wasia nie był tym zachwycony.

* Chłopaki, cofnęlibyście trochę * powiedział, nachylając się do półotwartego okna * tam jest zakręt, można objechać.

W tym czasie z gazika wyskoczyło też trzech, takich samych młodych, barczystych.

* Zaraz spróbujemy * zgodził się kierowca.

W tym momencie Wasia spostrzegł leżącą na półce tylnej szyby milicyjną czapkę.

Trzej ludzie z gazika już go otoczyli. Dwaj wyskoczyli z wołgi. Wasia odruchowo wyszarpnął z kieszeni tetetkę i zaczął się ostrzeliwać.

Jednego zdążył zranić w rękę.

Krzyczeli do niego dokładnie to, co powinno się w takiej sytuacji krzyżeć, lecz on przeskoczył przez rów i dosłownie, jak na skrzydłach, tonąc w głębokim śniegu, biegł przez las. Ból przewiercał mu gołeń, wiedział, że jest ranny, odwrócił się, jeszcze raz wystrzelił.

* Stać! Rzuć broń!

W odpowiedzi oddał jeszcze dwa strzały, ranił kolejnego mężczyznę. I wtedy zaczęli strzelać na oślep. Pierwsza kula trafiła go w głowę, druga w kręgosłup, ale wystarczyła ta pierwsza.

Rozdział 42

W aria wyszła z budynku Uniwersytetu Sztuki o siódmej wieczorem. Miękki śnieg padał dużymi płatkami, pięknie podświetlony światłami KitajGoroda.

KitajGorod (ros.) * (dosł. miasteczko chińskie). Obszar wąskich starych uliczek na wschód od Placu Czerwonego nie ma nic wspólnego z Chinami. Nazwa wywodzi się od słowa „kita” * faszyna, używana do umacniania wału ziemnego otaczającego niegdyś przedmieście Kremla. Zasiedlona od XIII w. jedna z najstarszych części Moskwy.

Zamiast wsiąść do swojego renault, ruszyła piechotą w stronę Muzeum Techniki. Szła, nie spiesząc się i wymachując malutką zamszową torebką. Niedaleko pomnika bohaterów spod Plewny skręciła w bramę przechodnią.

Plewna * właściwie miasto Plewen w Bułgarii. Tutaj, w latach 1877*1878 rosyjscy grenadierzy zmusili do kapitulacji turecki garnizon Osmana Paszy.

W głębi stał czarny, długi jak krokodyl lincoln, z zaciemnionymi szybami i wygaszonymi światłami. Podeszła do auta. Otworzyły się tylne drzwi i dziewczyna wsunęła się do ciepłego i pachnącego dobrą wodą kolońską wnętrza.

* Cześć, lalunia * rozległ się z głębi auta niski, męski głos.

* Cześć * odparła, raczej zrezygnowana.

* A coś ty dzisiaj taka smutna, dziewczyno? * Z mroku wysunęła się ręka i delikatnie pogładziła ją po policzku. * Co ci dać? Kawę? Sok?

* Sok żurawinowy, jak zawsze.

Wewnątrz auta zapaliło się światło. Razem z Warwarą na tylnej kanapie siedział rozwalony mały, chudy, zupełnie łysy mężczyzna, z twarzą przypominającą czaszkę. Malutkie oczy tonęły w głębokich oczodołach, chowając się pod wypukłymi,

bezwłosymi łukami brwiowymi.

* Słuchaj, Pnyra, znam cię ponad trzy lata, a cały czas nie mogę się zorientować, jakiego koloru masz oczy? * spytała Waria, popijając sok.

* Chyba piwne * odparł z uśmiechem * ale ty mi tu dupy nie zawracaj. Dlaczego wystawiłaś Waśkę?

* Obiecałeś mi, że on nigdy nie wyjdzie z więzienia i więcej już go nie zobaczę.

* O moich obietnicach porozmawiamy później. Najpierw odpowiedz na pytanie.

* Ja go nie wystawiłam * Waria potrząsnęła włosami i odwróciła się. * Po pierwsze, sam się podłożył. Po drugie, on by mnie z pewnością wsypał.

* Jak to sam się podłożył?

* Dobrze wiesz. * Wyjęła z torebki papierosy i zapaliła. * Nie powinien był zabijać dziennikarza. Postanowił zaspokoić swoją urażoną ambicję. Dlatego właśnie bałam się, że mnie wsypie u Malcewa.

* Mimo wszystko źle zrobiłaś, żeś go wystawiła.

* Nie mam z tym nic wspólnego. Sprawę zabójstwa dziennikarza dostał cwany śledź. Ja tylko napomknęłam, a jeśli by on nie wiedział, o kogo chodzi, to nic by się nie stało twojemu Waśce.

* Mojemu? * Pnyra pokręcił z wyrzutem głową. * W każdym razie zarobiłaś za to minus.

* A za to ile plusów! Podstawiłam ci Krasawczenkę? Podstawiłam.

* Oj, nie, słoneczko, nie przesadzaj. Ty nam tylko dałaś namiary, a myśmy go znaleźli.

* W porządku, Pnyra. Załatwiamy sprawę uczciwie. Ja ci daję broszę z brylantem, a ty mi Waśkę Sokołowa. Bez żadnych tam plusów i minusów.

* No tak, jeśli chodzi o broszę, to jesteś niezła * skinął z podziwem głową Pnyra. * Co prawda, to prawda. Najważniejsze, że na czas. Milicja przyszła dosłownie trzy godziny po nas. Słuchaj, a co ty zaraz, na samym początku, podpowiedziałaś temu swojemu?

* Na początku to ja sama też nic nie rozumiałam.

* Naprawdę? Oj, nie zgrywaj się. Skontaktowałaś się ze mną, jak tylko się

dowiedziałaś o Krasawczence. A nie mogłaś choćby napomknąć temu Malcewowi?

* Myślisz, żeby mnie posłuchał? * Waria zrobiła kwaśną minę. * Był taki moment, że o mało się nie wmieszałam. Kiedy dowiedziałam się, że mają zamiar w Kanadzie użyć narkotyków do przesłuchania Bielajewej, to pomyślałam sobie, że obaj kompletnie ześwirowali. Przecież nie trzeba wielkiego rozumu, żeby wiedzieć, że jeśli ktoś rzeczywiście głęboko przekopał ziemię, to na pewno nie mieszkańcy daczy. W każdym razie nie oni pierwsi. Dopiero po wojnie zaczęto tam stawiać wille, a przedtem tam był sowchoz, chłopskie zagrody. Chłopi budowali domy, sadzili ziemniaki, wykorzystywali każdy skrawek ziemi. Należało szukać tych, którzy mieszkali w Baturino zaraz po rewolucji.

* Poczekaj, ale przecież oni wyjaśnili, że po rewolucji na tym kawałku ziemi stał dom jakiejś chłopskiej rodziny Kuźniecowych. Mówiłaś wtedy, że idą dobrym tropem.

* Szło im bardzo dobrze * zgodziła się Waria. * Udało im się prześledzić historię rodziny Kuźniecowych aż do końca. Po wojnie przeprowadzili się do Moskwy. Ostatni z tej rodziny strasznie pił, stoczył się na dno i od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku jest uważany za zaginionego. I wtedy doszli do wniosku, że znaleźli się w martwym punkcie. Chcieli coś zrobić, nie tracić nadziei. Tyle informacji: portret, dziennik Soni Baturinej, w którym jest dokładnie opisane miejsce * i nagle ślepy zaułek! Czy można w to uwierzyć, zatrzymać się? Wtedy mądrała Pasza znalazł Krasawczenkę, żeby po kolei sprawdzić wszystkich właścicieli tego skrawka ziemi. Mówiąc szczerze, byłam prawie w stu procentach przekonana, że to już koniec, nie da się znaleźć broszy. Ale później, kiedy dowiedziałam się, że kopię zrobił ojciec Butejki, zrozumiałam, że nie istnieje martwy punkt. Odwrotnie, wszystko jest całkiem proste.

* Jak to proste * burknął Pnyra. * Ja, na przykład, nie rozumiem.

* Wiele razy rozmawiali o tym, jaka to szkoda, że tak zdolny rzemieślnik jak Wiaczesław Butejko już się nie zajmuje kopiowaniem biżuterii. Coś zaszło latem osiemdziesiątego piątego roku. Wtedy zwolnił się z pracy w sklepie jubilerskim, przestał przyjmować zamówienia, zerwał stare kontakty, żył, unikając ludzi, prawie w

nędzy; nawet teraz boi się rozmów dotyczących tego, czym się poprzedniego zajmował. Czy tak trudno było się domyślić, że jeśli w tym samym roku zaginął bez wieści alkoholik Kuźniecowa, jedyny możliwy właściciel broszy, to między wydarzeniami musi być jakiś związek?!

* Ale to mógł być tylko zbieg okoliczności * wymamrotał przez zęby Pnyra.

* Racja * zgodziła się Waria * nie przeczę.

Pnyra zaczął się wiercić na kanapie, wyjął z kieszeni marynarki duży skórkowy futerał, otworzył go i podał Warwarze.

* To ona, brosza z „Pawłem”. Popatrz, jakie cudo.

Waria spojrzała obojętnie na rozbłyskujący kwiatek z platynowymi drżącymi Usteczkami, na „Pawła”, który tajemniczo błyskał w półmroku wnętrza samochodu. I odwróciła się.

* Według mnie niczym nie różni się od kopii. Kiedy ją zobaczyłam w kolekcji Malcewa, to długo nie mogłam zrozumieć, czemu oni tak szaleją, jeśli to jest brosza z „Pawłem”. Dopiero później dowiedziałam się, że to jednak kopia.

* No nie, weź ją do ręki, przypatrz się dobrze. To rzecz unikalna, o wielkiej wartości.

* Sprzedasz ją? Zostawisz dla siebie?

* A niech sobie poleży. Po co mam sprzedawać. Nie bój się, możesz nawet przymierzyć. O, tu jest lustro.

* Aha, przymierzę, a potem auto mnie rozjedzie albo mi cegła na głowę spadnie. *

Waria dopiła sok i zapaliła jeszcze jednego papierosa. * Wyobrażam sobie, co by teraz było z moim Malcewem. O, tobie, Pnyra, też oczka zabłyszczały. Teraz widzę, że rzeczywiście masz piwne oczy.

I

Późnym wieczorem, w przytulnym salonie Dmitrija Władimirowicza Malcewa wesoło płonął ogień w kominku, światło było zgaszone, paliły się świece. Na okrągłym stoliku stała butelka francuskiego koniaku, dwa małe kieliszki z czeskiego kryształu. Paweł siedział na kozetce z podwiniętymi nogami i przeglądał kolejny katalog Kamienie szlachetne i biżuteria.

Jego brat chodził po pokoju ze szklanką wody mineralnej w ręce. Waria siedziała w

fotelu obok kominka i czytała podręcznik filozofii wczesnego odrodzenia.

Przechodząc obok, Dmitrij pocałował ją we włosy i cicho zapytał:

* Kiedy, słoneczko, masz następny egzamin?

* Jutro * odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

* Mitia, a może jednak spróbujesz choć łyżeczek koniaku? * spytał Paweł. * Nie każdego dnia do ciebie strzelają i nie każdego dnia ratuje ci życie wyjątkowo niebezpieczny przestępca.

* A co? Ten komandos z psem okazał się przestępcą? * Waria podniosła przerażone oczy. * Skąd wiecie?

* Aresztowali go na drodze, pięć kilometrów od naszej osady * odparł Paweł. * Ostrzeliwał się, zranił dwóch milicjantów w cywilu i dobili go w lesie.

* Mamciu droga * Waria zasłoniła usta dłonią * co za koszmar! A skąd wiedzieli, że to przestępca?

* Lepiej byś już poszła spać, dziecinko * powiedział Dmitrij * już pierwsza w nocy.

* Tak, zaraz, tylko pójde przed snem odetchnąć świeżym powietrzem.

Wstała z fotela i w pantoflach, w domowej jedwabnej sukience wyszła do ogrodu. Na śnieg padało światło z okien, jak kawałki żółtego aksamitu. Nieruchoma gładź basenu błyszczała w poświacie księżyca. Waria podeszła do samego brzegu, przykucnęła, długo i uważnie wpatrywała się w wodę, jakby chciała przeniknąć bezdenną głębię czarnego kwadratu, pośród białego, pokrytego czystym śniegiem ogrodu. Później wolno wstała, zdjęła sukienkę i, mrużąc oczy, wskoczyła do wody. Bryzgi rozprysły się w świetle latarń. Waria popłynęła lekko i szybko.

W domu trzasnęły drzwi, wybiegł Dmitrij i rzucił się w stronę basenu.

* Warwara! Czyś ty oszalała! Trzymaj się! Ja zaraz...

Zanim dobiegł do brzegu, ona już zdążyła wyjść. W tej samej chwili podbiegł ochroniarz z prześcieradłem. Dziewczyna trzęsła się, ale uśmiechała radośnie.

* Zwariowała! * powtarzał Dmitrij, otulając ją prześcieradłem, biorąc na ręce i całując mokrą, zimną twarz. * Ty przecież nie umiesz pływać!

* Okazało się, że umiem. * Waria objęła go za szyję lodowatymi rękami. * Mitieńka, mój kochany, czy kiedyś się ożenisz ze mną?

* O, Boże, oczywiście, ożenię się, szczęście ty moje.

Waria zdała egzamin z filozofii na piątkę, ale tym razem była przekonana, że ocenę dostała nie za dobroczynną działalność Dmitrija. Lekko zbiegła po schodach, podała numerkę w szatni i, czekając na kożuszek, kręciła na palcu kluczyki od samochodu. Kółeczko ześlizgnęło się i klucze z brzękiem upadły na kamienną podłogę. Waria schyliła się, żeby je podnieść, ale już czyjaś ręka z kluczami wyciągnęła się w jej stronę.

* Dziękuję * powiedziała obojętnie i rzuciła okiem na twarz tęgawego mężczyzny, myśląc, że to jakiś nowy wykładowca. Odwróciła się w stronę szatni.

* Dzień dobry, Warwarko * usłyszała cichy, ale dziwnie znajomy głos. Zamarła, trzymając w objęciach kożuszek, i wbiła wzrok w okrągłą dobrotliwą twarz, obramowaną niewielkimi siwymi bączkami.

* Ilia Borodin? Dzień dobry...

* Dziwne, że od razu mnie nie poznałaś. Wspaniale wyglądasz, wyładniałaś, zrobiłaś się dorosła. Zdawałaś teraz egzamin. Mam nadzieję, że z powodzeniem. * Wyjął z jej rąk kożuszek. Waria długo nie mogła trafić do rękawów, ale w końcu się udało. Potrząsnęła głową, rozwiewając wokół siebie falę głębokiego, gorzkawego aromatu perfum.

* Jasne, że na piątkę, a jak mogło być inaczej? Bardzo się cieszę, że pana widzę.

* Ja również, Warwarko. Rzuciłaś słuchawkę, a nie dokończyliśmy rozmowy.

Epilog

W Kalifornii, w białej, dwupiętrowej willi na brzegu oceanu, wysoki, bardzo szczupły starzec, jeden z najbogatszych i znanych adwokatów Hollywoodu, Michael Betturin, wypił łyk wody mineralnej z wysokiego kielicha, rozsiadł się wygodnie w fotelu i nacisnął guzik na pulpicie. Na ekranie, przy wtórze werbli, pokazał się napis Czerwona pętla. Po chwili, przy uspokajającej lirycznej melodii, odczytał: „W roli głównej Sophie Paurier”.

To był rozdzierający serce film przygodowy o wojnie domowej w Rosji, jeden z

pierwszych prawdziwych hollywoodzkich thrillerów. Sophie Paurier grała młodą, piękną księżną, zesłaną na tyły frontu. Wiele strzelaniny, pogonie, mnóstwo trupów, romantyczny miłosny wątek.

Na początku filmu, w stylizowanej na bojarzki pałac restauracji, księżna wykonywała przy wtórze gitary rosyjski romans. Miała niski, głęboki głos. Śpiewała po rosyjsku, bez obcego akcentu:

Słysząc brzęk, dzwonek brzęk już z daleka. Pędzi trojka, znajomy ten dźwięk.

Wokół nas tylko to, co nas czeka, Tylko step i ten śnieg, biały śnieg.

Romans rosyjski Bubiency (przełożyła tłumaczka).

Michael Betturin, przymknawszy oczy, podśpiewywał po rosyjsku, bez najmniejszego obcego akcentu. Ostatnio bardzo często oglądał Czerwoną pętlę. Zdjęcia do tego filmu były jednym z pierwszych jego dziecięcych wspomnień. Nie musiał śledzić akcji, bo znał każdy kadr, każde słowo na pamięć.

Widział swoją piękną młodą mamę i siebie w epizodzie, w którym występował jako trzyletni, chudziutki berbec z wielkimi, jasnymi oczami. W scenie musiał rozpaczać i płakać na całe gardło. Zgodnie ze scenariuszem wypęłzał spod wraka rozbitego pociągu, szukał wśród okaleczonych trupów swojej matki, rozcierał łzy na policzkach i wołał: „Mama! Mamusiu!”.

Było to tak wzruszające, zagrane naturalnie, że kilka pokoleń widzów płakało, oglądając tę scenę. Po przyjeździe do Ameryki, do Hollywood, rzadko widywał mamę i bardzo za nią tęsknił. Mama prawie od razu stała się gwiazdą i cały czas była zajęta przy realizacji kolejnych filmów.

Teraz Michael Betturin zaczął już osiemdziesiąty drugi rok. Był bogaty, ale nadal pracował. Często wspominał słowa swojego dziadka, doktora medycyny, że najlepszym lekarstwem na wszystkie choroby (w tym i przeciw starości) jest praca. Stary adwokat z młodzieńczą werwą brał udział w procesach cywilnych i karnych. Wiek nie ujął mu sił, a dodał sławy i doświadczenia. Wygrywał prawie wszystkie sprawy, nawet te całkowicie beznadziejne. Jego wystąpienia przed sądem były minispektaklami i mówiło się, że talent aktorski odziedziczył po matce.

Za każdym razem, oglądając czarno*białe filmy z jej udziałem, żałował, że taśma nie pokazuje błękitu jej oczu.

Sophie Paurier w ciągu swojego życia zagrała ponad czterdzieści ról, z czego dwadzieścia głównych. Trzy razy wychodziła za mąż. Najpierw za producenta filmowego Douglasa Darvina, potem za skandalistę, znanego francuskiego reżysera Philippa Bonnier. Ostatnim jej mężem został magnat naftowy Henry Krause.

Latem 1968 roku zakończyła zdjęcia do filmu według powieści Agaty Christie, gdzie zagrała rolę miss Marple, i przyjechała na kilka dni do syna, do jego willi. Przez cały wieczór uczyła swojego trzynastoletniego wnuka, Kevina, stepowania, czyli czeczotki. Jego drobne wąskie stopy latały, nie dotykając dębowego parkietu, tak lekko, jakby nie istniało przyciąganie ziemskie i czas się zatrzymał.

Następnego dnia poleciała do Nicei, do męża. A tydzień później mały sportowy samolot, którym oboje odbywali rejs, wpadł w stado ptaków i rozbił się nad francuskimi Alpami.

Sophie Baturina miała wtedy siedemdziesiąt lat.

Przeglądając papiery matki, Michael natknął się na zniszczony, prawie rozlatujący się, gruby zeszyt w granatowej ceratowej oprawie.

Całkiem niedawno, w dziewięćdziesiątym siódmym roku, przyszło mu do głowy, żeby napisać książkę o swojej sławnej matce. W stulecie urodzin Sophie Paurier książkę wydało amerykańskie wydawnictwo Metropolitan. W Anglii stała się ona bestsellerem tygodnia, a prawo do wydania rosyjskiego Michael Betturin sprzedał wydawnictwu Witiaż.

Na bankiecie promocyjnym dziennikarz z „The Times” spytał, czy autor nie wybiera się do Rosji, żeby odszukać broszę ze słynnym brylantem.

* Wiadomo, że świetnie bym wyglądał w rosyjskiej wsi z łopata w ręce * roześmiał się adwokat * ale jestem zbyt stary na tak romantyczne przygody...

Mimo wszystko Michael Betturin wcale nie uważał się za starca, jedynie częściej wspominał swoje dzieciństwo i oglądał stare filmy.

Czemu serce zabiło tak żywo I przeszłości nam wcale nie żal. Niech więc konie z rozbieloną grzywą Z dzwoneczkami poniosą nas w dal

wtórował niskim, lekko drżącym głosem swojej młodej mamie, oglądając film. Szklana ściana salonu wychodziła na brzeg oceanu. Widać było kołyszące się białe jachty i dolatywał krzyk mew.

Michael Betturin czuł się młody, zdrowy i szczęśliwy. Jego ostatnia żona, hollywoodzka aktorka, Julie Milton, miała lat trzydzieści pięć. Najmłodszy syn * dziesięć. W sumie Michael miał czworo dzieci, siedmioro wnuków i dwoje maleńkich prawnucząt. Dla dzieci język rosyjski był już nieznany. Mogły powiedzieć nie więcej niż trzy słowa: „mjużżżik, vuotka, na zderovija", i to z wyraźnie obcym akcentem.